

Z OLBRZYMÓW RODU.

JAN KONTRYMOWICZ - OGIŃSKI.

Z OLBRZYMÓW RODU

Romans historyczny z XIV wieku.

Rząd jest siłą: trzeba żeby zawsze tryumfował: tem gorzej dla niego, jeżeli nie tryumfuje. Nikt nie słucha jego tłumaczeń, kiedy się uniewinnia, dlaczego mu się nie powiodło.

Thiers.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.

1897.



106122

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

PRZEDMOWA
DO PANÓW KRYTYKÓW.

Nie historyczne prawdy macie do oceny,
Tylko na tle historyi fantastyczne sceny.

Autor.

ROZDZIAŁ I.

Królewskie łowy.

Rok 1349 — miesiąc Grudzień. Od Przedborza ponad prawym brzegiem Pilicy, aż do wapiennych wzgórz Sulejowa, rozciąga się puszcza prawie nieprzebyta; stada dzików, żubrów, jeleni, losi i wilków, żyją w niej większe, jak dziś na tej samej przestrzeni stada bydła i owiec. Rzeka Czarna, która obecnie pod Taraską wpada do Pilicy, płynąc wśród zielonych łąk, przecina niezliczony zwierzyniec.

W oddaleniu, na lewym jej brzegu, wznosi się skała, nosząca aż do naszych czasów nazwę Djablej góry.

Śnieg za kolana naleciał już od kilku dni, niebo się wyiskrzyło i księżyc w pełni ukazał się ponad lasami.

Cóż to za ogniska płoną na górze i na przyległych jej pagórkach. Czy obozuje wojsko gotowe do wyprawy? czy zakon Krzyżaków skrada się chyłkiem po zdobycz?

Przy ogniskach roją się ludzie, ale nigdzie nie widać placówek, nie obawiają się widocznie napadu.

Sto białych namiotów rozrzucono po stokach gór — przy ogniskach pieką się jelenie, sarny, losie, dziki.

Przed namiotami, sprzężone na żelaznych sforach, skomlą ogary różnego gatunku, pomiędzy którymi odznaczają się psy z gniazda świętego Huberta, na wozach leżą olbrzymie sieci myśliwskie.

Jeden z namiotów wielkością swoją, barwą purpury i chora-
ragwią z herbem Rzeczypospolitej przewyższa wszystkie. Przed
nim tylko stoi dwóch łuczników na warcie, w nim król Ka-
zimierz obozuje na łowach już od dwóch tygodni i jeszcze za-
pewne drugie tyle przepędzi w kniei.

Zwierzyna tu niewyczerpana, stopy jej już leżą na wo-
zach, gotowych do wyruszenia ze świtem, dla wędzenia, ma-
rynowania zapasów, które mogą się przydać zarówno na wy-
prawy wojenne, jak i na uczty wyprawiane w Krakowie.

W pierwszym przedziale namiotu siedzi kilkunastu dwo-
rzan i gwarną prowadzi rozmowę o wypadkach dnia, jeden
drugiego stara się prześcisnąć w opowiadaniu zdarzeń nie-
zwykłych, jakie się miały przytrafić wśród puszczy.

W drugim przedziale, bogato przyzdobionym tureckimi
kobiercami, stoi stół ogromny z prostych desek przez całą
długość, zasłany białym holenderskim obrusem, zastawiony
sprzętem srebrnym i złotym. Przy stole zasiada ze 30 osób —
znać, że to sama starszyna, po bogatych strojach i twarzach
pełnych dumy i pewności siebie — u niektórych głowy wy-
golone, tylko na samym czubku zostawiony jeden promień, spa-
dający z fantazją na bok, u innych poważne brody, przypru-
szone już siwizną, a u innych znowu dopiero się rozrastają
gęstwą, jak młoda choina. Wszystkich szaty jasnych kolorów,
długie do samej ziemi, tylko na jeden rząd guzików bogatych
spięte, a wszystko atłasy, jedwabie, aksamity, podbite futrami.
Biodra ujęte kosztownymi pasami, przy których wiszą szable,
wysadzone turkusami lub innemi drogiemi kamieniami.

W samym końcu stołu, na wzniesieniu, siedział mąż
w sile wieku lat 39, wytwornie odziany; suknia jego z drogiej
lamy, na tle karmazynowem w kwieciste wzory blado-różowe
się mieni, kibić rozrosła, ujęta pasem złoto-litym koloru bia-
łego, przetykanym srebrem i rubinami, krzywa szabla, bogato
oprawna, wisi przy boku.

Dość spojrzeć na tę dumną postawę, na to szlachetne
oblicze, na to czoło wyniosłe, otoczone czarnym bujnym wło-

sem, w kręconych puklach spadających na ramiona — dość spojrzeć na te oczy myślące, a bystre jak strzały łucznika i przenikające do wnętrza duszy, żeby uznać, że się ma przed sobą niepospolitego męża, że się stoi przed bohaterem wieku.

Szeroka, czarna broda, spada mu na piersi, a ręka, która właśnie po niej prowadzi, okryta kosztownymi pierścieniami, pomiędzy nimi błyszczy ogromny krwawnik z herbem Rzeczypospolitej, białym orlem, wyrobionym ze srebra.

Czyż potrzeba mówić, że jest to sam król Kazimierz, tak sprawiedliwie nazwany przez potomnych Wielkim.

Rozmowa toczyła się swobodna, puhary z winem krążyły gęsto pomiędzy gośćmi, wyprowadzając rumieńce na twarze a szczerość na usta, która w owym czasie nie była jeszcze tak rzadkim towarem jak w XIX wieku.

W tej chwili powstał Stefan Duszan, władca Macedonii, Albanii, Thesalii i Epiru, który w tym czasie przybrał tytuł cara Serbii, a zagrożony od Turków, przybył do Kazimierza prosząc o pomoc — podnosząc do góry bogatą czarę, napelnioną miodem, odezwał się doniosłym głosem:

— Szczęśliwy jesteś, Wielki Kazimierzu, królu potężnego narodu, ukróciłeś zuchwałość Krzyżaków, bez wojen rozszerzyłeś granice państwa, przyłączając Czerwoną Ruś, zaludniłeś wsie i miasta pobudowałeś wielkie — zawiązałeś handel z oddalonymi narodami; okręta twoje ładowne zbożem, futrami, miodem, odwiedzają brzegi dalekiej Hiszpanii i Anglii, a jeżeli naród twój, a rozumiem pod tem słowem szlachtę i duchowieństwo, nie umiał cię ocenić i jeżem się trzyma przeciw tobie i daje ci obelżywy tytuł »Króla chłopów«, nie powinno cię to drażnić, jako niezasłużony — piję więc do ciebie, Wielki Kunigasie litewski Kiejstucie, zdrowie naszego miłościwego gospodarza, odnowiciela państwa!

Wielki Kunigas Kiejstut przyjął czarę i chciał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy król lekko skłoniwszy głową, powstał i głosem męskim, którego każde słowo brzmiało w powietrzu jakby z metalowego wychodziło naczynia, rzekł:

— Przeznaczny carze Stefanie i drogi nam Wielki Kuni-gasie Kiejstucie i wy mili panowie, towarzysze naszych zabaw, pozwólcie mi odpowiedzieć słów parę na dopiero co wygłoszoną mowę.

Tak jest, carze Stefanie, jestem szczęśliwy, bo ludowi mojemu zapewniłem prawa — lud mój przychodzi do zamożności i bogactwa i rozwija się umysłowo, bo zamknąłem niszczące wojny krzyżackie, bo nie nawiedziły tej ziemi klęski, jakie teraz w sąsiednich krajach panują, a co do tytułu, który złośliwość szydząc nadała »Króla chłopów«, sam pochodząc od kmiecia Piasta, niczego więcej nie pragnę. jak żebym na niego zasłużył — to mówiąc, dumnie potoczył wzrokiem po wszystkich obecnych.

Nie wszystkim podobaly się te słowa, dumna szlachta z podelba spoglądała na mówiącego, nikt jednakże nie odważył się wystąpić z jakąkolwiek uwagą, a car Duszan spostrzegłszy drażliwość przedmiotu rozmowy, starał się odmienić jej kierunek, rzekł:

— Och prawda, miłościwy panie, że ziemię waszą nie dotknęły te klęski, jakie tak obficie gdzieindziej się szerzą. Toć słyszałem od pielgrzymów powracających z ziemi świętej, że w Egipcie i Syrii panuje okropna zaraza »czarną śmiercią« nazwana. W Kairze umiera dziennie po 15000 ludzi i dwa razy tyle bydła, a i na Cyprze już się podobno pojawiła.

Ogromne trzęsienie ziemi zatopilo wszystkie okręta na morzu Śródziemnem, i ci, którzy ocalili od zarazy, znaleźli śmierć w łonie morza, a niesłychany uragan naniósł taką obfitość szarańczy na brzegi morskie, że ta zatrula powietrze do reszty. W Grecyi nie było ani jednego dnia wolnego od mgły, w którymby było widać słońce. We Włoszech zboże na pniu zgniło i winnice zmarniały, bo nie było rąk, któreby je obrobiły. Wenecya straciła sto tysięcy mieszkańców, Florencya nie mniej, w Trapanii ani jeden człowiek nie pozostał przy życiu. Śmierć rozpostarła calun nad Hiszpanią, Francją, Niemcami,

Holandya, mówią, i wierzę temu, że trzecia część ludności europejskiej znikła.

— Ale Bóg miłosierny zesłał sługi swoje wybrane — odezwał się ksiądz Albert, proboszcz boheński — którzy biczując się, błagają o przebaczenie dla grzeszników i pomagają do wytępienia niewiernych żydów, z których wszystko zle płynie.

— Dziwni to są ci wybrani słudzy Boży — przerwał król — według wiadomości, które odebrałem o nich, te gromady biczowników wyszły ze Szwecyi i posuwające się ku południowi, mają czytać list przyniesiony jakoby przez anioła kościołowi św. Piotra w Jerozolimie. List ten ma zawiadamiać, że Chrystus Pan, bardzo jest zagniewany na świat za grzechy, lecz na wstawienie się Najświętszej Panny, chce okazać miłosierdzie ludziom, pod warunkiem, że każdy z nich przepędzi 34 dni za domem, biczując się — ludzie przyjmują ich gościnnie, dają im jałmużnę obfitą, a ci całe dnie śpiewają, modlą się i biczują. Ubiór ich jest czarny z czerwonym krzyżem z przodu i z tyłu; tłum ten złożony jest z mężczyzn i kobiet, spowiadają się między sobą i udzielają rozgrzeszenia, wypędzają czartów i innym oddają się praktykom. Mają to być wyznawcy i naśladowcy brata Duleino z Nawary, który ogłosił naukę o wspólności majątków i żon, wystąpił z góry na czele kilkunasto-tysięcznego tłumu mężczyzn i kobiet, przyodziany w kapiec mnisz, odprawiał nabożeństwo i prawil nauki, które kończyły się gaszeniem świec i wezwaniem mistrza »kochajcie się«, a lubo mistrza tego spalono przed 30 laty, lecz nauka ta przeszła do Niemiec, Czech, a nawet w r. 1318 do Polski, ale słabo się rozprzestrzeniła — ja zaś obecnie nie chcąc na mój kraj ściągać skutków tego fanatyzmu, nie kazałem ich wpuszczać na ziemię moje.

— Za to nam przybyło nie mało obrzydliwych żydów, którzy zatruwają studnie, których wszędzie słusznie wytępiają, a dla których wszystkie nasze granice są otwarte — odezwał się uśmiechając ksiądz Albert.

Przytomni spojrzeli po sobie, oczekując jakie wrażenie zrobią te słowa na królu.

Kazimierz nie dając jednak nic wyczytać ze swojej twarzy, odrzekł zwyczajnym głosem.

— Tak, księże Albercie, w państwie mojem mają przytułek wszyscy nieszczęśliwi, bez względu na ich religią — dość, że są niesłusznie prześladowani, żebym ich otoczył płaszczem swojej opieki.

— Zwłaszcza młode a piękne żydówki — szepnął cicho książę Kiejstut do cara Stefana.

Car Duszan uśmiechnął się pobłażająco.

Król dosłyszał coś, bo zmarszczył brwi i rzekł:

— Niema obrzydliwszej choroby, nie wyłączając nawet trądu, na którą może chorować społeczeństwo, jak fanatyzm, jestem jego śmiertelnym nieprzyjacielem; jakikolwiek ma początek i źródło, ostatnim jego rezultatem jest pogaństwo, jak to n. p. teraz świeżo się stało na naszej wyspie Rugii, gdzie już od kilkuset lat przybyli zakonnicy z Krobei, w której św. Wit jest patronem, zaprowadzili wiarę Chrystusa i temu świętemu wystawili posąg i nabożeństwo na jego cześć ustanowili — ale przesadzili wkrótce w okazałościach, w czynach rządzeni się fanatyzmem, dalekim od ducha Chrystusowej nauki i lud ten popadł teraz napowrót w balwochwalstwo — zakonników porozpędzał, a statuetkę św. Wita przerobił na bożka Światowita, którego kiedyś czcił i temu teraz cześć oddaje; wasi księże Albercie biczownicy już są na tej samej drodze i jeżeliby im nie położono tamy, wkrótce staną się balwochwalcami.

Rozmowa toczyła się swobodnie, nie krępowana żadnemi względami, a puławy miodu paziowie roznosili obficie.

W pierwszym przedziale namiotu dał się słyszeć jakiś gwar silniejszy jak dotąd. Król podniósł głowę, przez chwilę słuchał milczący, nareszcie obracając się do jednego z dworzan rzekł:

— Zobacz-no mój Plichta, co znaczy ten niezwykły hałas ?

Wysłany dworzanin wkrótce powrócił, donosząc, że jakiś rycerz przybyły na spienionym koniu, żąda natychmiast widzenia się z królem i pomimo wszelkich przedstawień straży robi taki hałas.

— Niech wejdzie! — powiedział spieszenie król.

Wszyscy współbiesiadnicy zwrócili się ku drzwiom.

Zasłona namiotu podniosła się i zaraz wszedł rycerz średniego wzrostu, wenecki kaftan z stalowych ogniw okrywał mu piersi, żalazne naramienniki i nagołenniki na nogach, stalowa przyłbica i zapuszczony szyszak na twarz ukrywały oblicze, długi miecz wisiał u boku, herbu żadnego, po którymby można poznać ród rycerza.

Rycerz wszedł, nie odkrywając twarzy, zbliżył się do króla i przyklęknął na jedno kolano i nie mówiąc, ukazał pierścień złoty z jakimiś napisami na tarczy.

— Na ten znak król szybko powstał, skinął na rycerza i wyszedł z nim do drugiego pokoju. Wszyscy obecni z zadziwieniem spoglądali po sobie, ale zaledwie upłynęło parę minut, zasłona od namiotu gwałtownie szarpnięta opuściła się i król blady, z szablą w rękę, spiesznym krokiem wrócił do gości, a za nim postępował rycerz ze spuszczoną przyłbicą.

Na ten widok, wielu przytomnych zerwało się od stołu i położyło ręce na szablach.

— Miłościwi panowie — rzekł król — nie mamy ani chwili czasu do stracenia, kazać trąbić natychmiast na koń, ten rycerz nam donosi, że szybkości tylko swego konia winien ocalenie od ogromnej zgrai wilków, ale swego towarzysza i dwóch giermków pozostawił w niebezpieczeństwie życia. Na Boga, spieszymy jak najprędzej na pomoc.

Namiet w jednej chwili został próżny. W kilka minut stu dzielnych jeźdźców pod przewodnictwem samego króla, pędziło co koń wyskoczy na ratunek, prowadzonych przez przybyłego rycerza.

Księżyc świecił w całym blasku, a mróz rozsypał brylanty na śniegu, po którym się posuwali.

Wkrótce cały oddział wypadł na obszerną polanę.

— Tam! tam! gdzie te małe czarne krzaczki — zawołał rycerz, ukazując je końcem szabli.

Król i książę Kiejstut pędzili na czele oddziału, wśród drobnych jałowców, ostrogami kalecząc boki rumaków, a za nimi reszta towarzystwa tuż w tropy.

Książę Kiejstut, na żmudzkim swoim koniu, prawie wyścigał króla i być może, że tylko przez grzeczność nie wysuwał się naprzód.

Ale raptem konie, jak gdyby znalazły przed sobą przeszkodę, zaryły kopytami ziemię i zatrzymały się na miejscu.

Wśród choinki, do której się zbliżali, zamigotały setki świateł i choinka ta zaczęła się widocznie do nich przybliżać.

— Na miłość Boga! — zawołał car Stefan — to nieprzejrzane okiem gromady wilków, zwracajmy konie co żywo nazad, bo z nas nikt się tu nie ocali. Szaleństwem by było walczyć.

— Polacy! za mną! — zawołał Kazimierz w odpowiedzi i spiąwszy konia ostrogami, wysadził się naprzód ku gromadzie wilków, a za nim poszedł cały oddział.

Car Stefan dotarł do samego króla.

— Nie jestem tchórzem, mój bracie, i walczyć gdzie trzeba potrafię, ale co za potrzeba narażać życie bez żadnego widoku wygranej? — rycerz, któremu spieszymy na pomoc, już pewno nie żyje.

— Niech nas wszystkich raczej wilki rozszarpia, niżeliby jemu przyszło na taki koniec — krzyknął unosząc się Kazimierz.

Tymczasem reszta jeźdźców nadbiegła do boku króla i sformowała czworobok. Konie rzucały się jak szalone, żaden z jeźdźców nie mógł uhamować swojego. Dzikie chrapanie i chrzęst zbroi, ponure wycie wilków powiększało okropność nocy.

Książę Kiejstut pierwszy, spiąwszy ostrogami swojego żmudzina, zdołał go przymusić do postąpienia naprzód, ale nie widząc nikogo, coby go naśladował, powrócił do szeregu.

— Z koni panowie! — zawołał Kiejstut, dla którego w litewskich borach podobne spotkania nie były osobliwością — puście konie na wolę, one nam więcej przeszkadzają jak pomagają.

Rycerze zeskoczyli z koni, a te puszczone samopas, szalonym pędem pognały napowrót ku ogniom obozowym.

W tejże chwili jedna połowa stada wilków, jak gromada owiec, pognąła za uciekającymi końmi, przebiegając tuż obok orszaku króla, drugie tyle zatrzymało się, obchodząc w około i otaczając spieszonych rycerzy.

— Taborem będziemy się tu bronili — sformujmy czworobok panowie, ci co nie mają zbroi na sobie, w środek, oddać im arkabuzy, niech strzelając, robią hałas — zawołał król — ci co okryci są żelazem, niech stanowią ściany, szablami rąbią napastników i tak w zwartym szeregu posuwajmy się naprzód w imię Boże!

Sześćdziesięciu przeszło rycerzy było okrytych żelazem i ci natychmiast wystąpili na czoło, dwa miejsca zostały jeszcze nie zajęte. Kiejstut zajął jedno z nich spieszenie, do drugiego cisnęło się kilku ze środka rycerzy, ale król, chociaż bez zbroi, postąpił naprzód i już chciał stanąć z szablą w ręku w pierwszym szeregu, kiedy car Stefan, zlekka go zatrzymując, rzekł:

— Niegrzeczny jesteś gospodarzu, pierwszeństwo należy się zawsze gościom, dlatego racz mi ustąpić swojego miejsca.

— Jesteś Stefanie bez zbroi — odpowiedział król — darujesz więc, że nie będę zachowywał etykiety i miejsca tego ci nie ustąpię, odwagę twoją znają wszyscy i nikt o niej nie wątpi, a ja bronię drogiej mi osoby, która dla ciebie nie ma tej wartości.

Nie było czasu w dłuższą wdawać się rozmowę.

Wilki zbliżyły się na kilka kroków, było ich tyle, iż bez mierzenia wypuszczony raz, nie chybiał celu.

Strzały zaświstały w powietrzu, ozwały się arkabuzy¹⁾, dym zaciemniał powietrze i wokół kilkunastu wilków już tarzało się po ziemi, wyjąc przeraźliwie, w jednej chwili towarzysze ich rzuciły się na nich i rozszarpały. Gromada podjudzona widokiem krwi i zapachem jej, z nową zajadłością rzuciła się na postępujący czworobok. Szable ubroczyły się w posoce i wkrótce wał formalny utworzył się z ciał zabitych wilków — arkabuzy odzywały się co chwila, te jednak oprócz strasznego huku, nie zrzędały prawie żadnej szkody, strzelający z nich nie mieli jeszcze wprawy, a śmierć roznosiły szable — dwóch z towarzyszy, którzy się przewrócili potknąwszy się, postępując w tyle oddziału, w oczach wszystkich rozszarpanych zostało.

Czworobok postępował jednak ciągle naprzód, nie zatrzymując się — ręce już opadły zmordowane, a napastnicy wcale nie myśleli ustąpić.

Raptem rycerze zobaczyli o kilkaset kroków od siebie ogień, z początku zwolna się wznoszący, potem wielkim płomieniem obejmujący smolną sosnę, wiatr zaczął roznosić płomienie na pobliskie drzewa i płomień coraz szersze zataczał koło.

Oddział skierował się w stronę ognia i wkrótce ujrano pod palącą się sosną, stojącego w zbroi rycerza z szablą w dłoni, otoczonego na około wałem zabitych wilków, na którym końcem szabli opierał się.

Na ten widok, król nie zważając na groźne niebezpieczeństwo, wysunął się z szeregów i szybko postąpił kilkanaście kroków naprzód, ale w tejże chwili otoczony został naokoło przez zgraje wilków — towarzysze pospieszyli mu z pomocą, rycerz samotny spostrzegł także to niebezpieczne położenie,

¹⁾ Jerzy Stella w historii Genui, wspomina o prochu i działach już pod r. 1316. — Dokument Florencki z r. 1325 wspomina o kulach żelaznych i o *cannones de metello*. — Francuzi używali prochu pod Puy-Guillaume w r. 1338. Szware, który miał proch wynaleść, podług wiarogodnych badań, należy do istot tego samego rodzaju co feniks.

w jakim się król znajduje, ani chwili nie wachając się, opuścił swoje obronne stanowisko i z szablą w rękę rzucił się na pomoc, nie zważając wcale, że zęby wilków dzwonią po jego zbroi.

Króla porwano napowrót do czworoboku, a i rycerz nieznamomy zdażył się weń weisnąć.

— Cześć niech będzie Bogu, że żyjesz! zawołał uradowany król i roztworzył swoje ramiona — rycerz chciał się rzucić do nóg króla, ale ten spiesznie podnosząc go szepnął:

— O nierozważna! jak miałaś sumienie narażać tak swoje życie.

— Tu idzie o twoje losy królu, o twoją spokojność — czegożbym dla nich nie poświęciła?

Tymczasem wilki przerażone łuną pożaru, coraz szerzej się rozpościerającą, nie z taką już gwałtownością nacierały, na chwilę zatrzymały się nawet.

— Zapalać suche gałęzie wokół, zawołał groźnym głosem książę Kiejstut, wśród których się znajdujemy, inaczej nie położymy tamy tym szalonym napadom.

Ogień z szybkością rozszerzył się w okrag i objął jakby morzem płomieni cały zastęp — wilki przerażone tym widokiem, zwolna zaczęły ustępować i nareszcie znikły zupełnie, w oddali tylko słychać było ich wycie.

Niebezpieczeństwo jednak nie ustało jeszcze zupełnie, przybrało tylko inne kształty — ogień pomimo śniegu leżącego na ziemi, szerzył się gwałtownie po wierzchołkach suchych drzew i gałęziach rozrzuconych po ziemi. — Kłęby dymu otoczyły naokoło oddział rycerzy, a spłoszone ptactwo leśne, tłukąc się nad chmurami dymu, wydawało piekielne wrzaski.

Naraz wiatr przyniósł takie tumany dymu i otoczył niemi rycerzy, że ci stracili kierunek drogi, ale drugi podmuch oswobodził ich, spiesznie więc rejterując, znaleźli się na obszernej goliźnie, pokrytej masą kamieni, tutaj dopiero mogli uważać się za ocalonych. Teraz wszystkie spojrzenia skierowały

się na ocalonego rycerza. Okryty lekką wenecką zbroją, stał opierając się na szabli, widocznie wyczerpany z sił, liczne ślady zębów na żelaznych łuszczykach zbroi, jasno pokazywały, że tylko dzięki jej wytrzymałości ocalał życie.

— Czyś sam tylko ocalał rycerzu? zapytał król.

— Nie — Najmiłościwszy Panie — ocalał rycerz, przez którego posłałem ci wieść o sobie.

— Opowiedz nam całą tę nieszczęśliwą podróż.

— Drogę odbywaliśmy szczęśliwie i już zbliżaliśmy się do twojego obozu królu, gdy wtem w oddali ozwało się wycie pojedynczego wilka. Konie zaczęły strzydz uszami i niespokojnie rwać się naprzód — wkrótce głos pojedynczy zamienił się w wycie całej gromady, setki, tysiące podobnych głosów wtórowały mu w oddali — wówczas przejęty obawą, zacząłem uciekać z moimi towarzyszami — było nas tylko czterech.

Uciekając, natrafiliśmy na jakąś wyrąbaną goliznę, pełną pniaków i dołów — uciekaliśmy, ile sił było w koniach, ja pędziłem najprzód, dzielny mój rumak, jakby dostał skrzydeł ptaka, zdawało się, że przefruwał przeszkody, przesadzał kamienie i byłem pewny, że już daleko zostawił za sobą nieprzyjaciół, a wtem koń mój, przesadzając ogromny pniak stojący mu na drodze, niespodzianie wpadł w dół, tuż za nim się znajdujący; uderzenie było tak gwałtowne, że wypadłem z siodła, koń mój złamał widać nogę, bo nie mógł powstać — zaledwie miałem czas obejrzeć się, gdy wilki już były najdalej o jakie dwa staje odemnie. Scibor chciał mi oddać swojego konia, lecz czyż mogłem przyjąć ofiarę cudzego życia, rozkazałem, żeby spieszył do królewskiego obozu po ratunek dla nas. Wilki już zbliżały się — na szczęście dla mnie o kilka kroków stała stara sucha olbrzymia sosna, skoczyłem pod nią i zabezpieczyłem sobie plecy, i dobywszy szabli postanowiłem walczyć do ostatniego tchu.

Zgraja zatrzymała się o paręset kroków odemnie, ale wilki otoczyły już obydwóch moich giermków — widzia-

lem jak wpily się najpierw w gardziele koni, jak te się przewróciły wraz z jeźdźcami, potem jakaś czarna masa zakotłowała się w moich oczach, ruszała się, jakby mrowisko rzuciło się na upatrzoną ofiarę — straszny jęk rozdzieranych koni i ludzi rozległ się w powietrzu, i znowu ta cała czarna masa kotłowała się, wyjąc, rycząc, szarpiąc się nawzajem w moich oczach, unosząc kawały pokrwawionych ciał.

Och! widoku tego! głosów tych szatańskich nie zapomnę nigdy, póki żyć będę. Raptem kilkadziesiąt wilków oddzieliło się od gromady i pomknęło naprzód, gdzie leżał mój koń ze złamaną nogą, słyszałem jeszcze jak zarżał przerażliwie — rozpoczęła się orgia.

Sosna, pod którą znalazłem schronienie, miała tuż obok siebie wyrastający młody świerk, co przedłużało ścianę i tym sposobem doskonale zabezpieczało moje dwa boki — teraz wilki mnie już spostrzegły i gromadą rzuciły się ku mnie, lecz jakkolwiek ich było dużo, nie mogły do mnie przystępować, jak tylko pojedynczo. Szabla moja nie próżnowała, każdy co się wysunął naprzód, poniósł ciężkie rany albo śmierć, tym sposobem broniąc się, oczekiwałem waszej pomocy. Następowały przerwy w napadach, wilki jakby się naradzały co dalej robić? — to dawało mi czas cokolwiek odetchnąć, bo już ręka wypowiadała mi posłuszeństwo tak, że raz nawet omyliwszy cięcie, uderzyła mieczem o krzemień znajdujący się około sosny — iskry posypały się i przeraziły tak napastników, że odskoczyli na kilkanaście kroków i stanęli w milczeniu. Niespodziana myśl uderzyła mi do głowy i ta mnie zbawiła — szybko schyliłem się, podniosłem krzemień i tylcem mojej szabli zacząłem krzesać iskry. Wilki napadów zaprzestały, ale nie odstępowały mnie — niektóre nawet pokładły się, jakby cierpliwie chciały czekać.

Smolna sosna okryta całą żywicą, łatwy przedstawiała przedmiot do zapalenia, nie namyślając się, podniosłem z ziemi kawałek spróchniałego drzewa, najprzód za-

tlilem a potem zapaliłem sosnę. Wilki na ten widok odsunęły się dalej, ale nie odstępily zupełnie.

Wkrótce posłyszałem tentent zbliżającego się oddziału jazdy, wilki go jednak wcześniej musiały usłyszeć, bo jakby na komendę zerwały się i pobiegły w tę stronę — rozległy się strzały waszych arkebuzów — byłem ocalony.

A teraz pozwól mi Najmiłościvszy Panie i wy przezacni rycerze, podziękować za okazaną mi pomoc, bez której nie żyłbym już teraz.

Oddział cały pieszo postępował ku obozowi, zostawiwszy na wieczny spoczynek cztery ofiary, których nawet szczątków nie można się było dopatrzeć — dalej zbliżając się ku obozowi napotykali kości rozszarpanych koni, które nie zdążywszy ująć, stały się pastwą żarłoczności wilków, — inne ocalały wpadłszy pomiędzy ognie obozu.

Za przybyciem do obozu, król Kazimierz pożegnał swoich gości, a sam z ocalonym rycerzem odszedł do swojego namiotu.

Gdy się znalazł w komnacie bogato wyłożonej dywanami, Kazimierz skinął na służbę, żeby się oddaliła i sam tylko pozostał z nieznanym rycerzem, ujął go za rękę i wpatrując mu się w oczy rzekł:

— Czyż można było, o moja jedyna Iskierko, popełniać podobne szaleństwo! — opuścić bezpieczny zamek w Opocznie i szukać mnie o trzy mile od niego z trzema tylko ludźmi, wśród zimy zapuszczać się w te niedostępne puszcze?!

— Najmiłościvszy królu mój i panie! nie potępiaj mnie, pokąd nie wysłuchasz.

— Gdyby samo tylko pragnienie ujrzenia ciebie, złożenia pocałunku na tem tak dumnie pięknem czole, było powodem mojej podróży, już by stokroć warto ryzykować życie biednej sieroty, która nie ma nikogo na świecie oprócz ciebie. Sto razy mówię, warto ryzykować życie, jeżeli się spieszy po uścisk uwielbianego, który obetrze łzę zastygłą na oku tęsknoty. Ale Panie mój najmiłszy, mnie tu inne przypędziły przy-

czyny, mnie tu przywiodła obawa o ciebie, grożące ci niebezpieczeństwo!

Kazimierz zdjął helm z głowy Estery, długie sploty zlocistych włosów rozsypały się po srebrzystej zbroi, czarne, wielkie zamglone oczy z lubością wpatrywały się w twarz króla, a drobna rączka, która jednak tak dzielnie władała szablą, niecierpliwie rozpiniała klamry zbroi.

— Będę twoim giermkim, moja piękna »Iskierko«, powiedział Kazimierz, pomagając jej do rozbrojenia — i z lubością wpatrując się w jej lica. Taką musiała być Judyta biblijna, jak ty moja perło bez ceny! Król pomógł pięknej kobiecie zrzucić zbroję, która jakkolwiek misternie wyrobiona, była jednak za ciężką dla nieprzywykłej do niej kobiety.

Estera ukazała się niebawem w malowniczym stroju greckim, kaftan z zielonego aksamitu, podbity jakimś delikatnem futerkiem białem, złotem haftowany na przodzie a zapięty na ogromny brylantowy guzik pod szyję, rozchodzący się u dołu, z pod którego wyglądała biała jedwabna bluza — na nim znajdował się jeszcze drugi kaftan ciemno purpurowy, ale nierównie dłuższy i bogaciej haftowany jedwabiem — cały kołnierz jego i szerokie rękawy mieniły się od srebrnych haftów. Niższe ubranie ściśnięte było szerokim pasem jedwabnym złotego koloru, po którym roily się pszczoły z rubinowemi oczami — za nim tkwił bogato oprawny sztylet. Od kolan noga pokryta była białym koturnem greckim aż po kostkę, tu zgrabnie ujęta w sandały aksamitne fioletowe ze złotemi sprzączkami. Król z zachwytem wpatrywał się w tę piękną postać, zapomniawszy zupełnie o ostatnich słowach przez nią wyrzeczonych.

Przycisnął ją do piersi i długo tulił w objęciach, — ona otoczyła szyję jego ramionami i zawisła jak kosztowny wieniec na jego piersiach.

— Tyś cała zziębnięta, moja Iskierko droga, rzekł nalewając czarę cypryjskiego wina, wypij to najmilsza i niech róża Syonu znowu zabłyszczycy swojemi cudnemi barwami.

Estera przyjęła czarę i wpatrując się w oczy króla, wychyliła do połowy nektar, drugą podała swemu ukoronowanemu kochankowi.

— Czemukolwiek mam przypisać twój przyjazd, moja Iskierko, rozgość się, wypocznij, jesteś u siebie.

O panie mój! nie czas tu teraz gościć, przybyłam po to tylko, żeby zachmurzyć twoje szczęście, żeby złowrogim głosem puszczyka, ostrzedz cię o niebezpieczeństwie, które ci zagraża.

— Cóż to być może, mój ty piękny puszczyku? — powiedział Kazimierz uśmiechając się.

— Nie lekceważ najmiłościwszy królu słów moich — i Bolesław Śmiały wielkim był bohaterem i on władał potężnem państwem, a musiał uleść nieprzyjacielowi, który ci zagraża.

— Może mówisz o duchowieństwie, z którem mam pewne zatargi? — najwięcej podobno o ciebie piękna czarownico — ależ czyliż nie wiesz, mówił uśmiechając się i przyciskając ją do piersi, że dość mi oddać moją Iskierkę na spalenie, żeby mi dali pokój.

— Nie wahaj się najmiłościwszy królu! nie wahaj! zawołała Estera z roziskrzonym okiem, czy większe szczęście może spotkać córę nieszczęśliwego potępionego ludu, jak poświęcić się za największego bohatera? — ale nie o to tu idzie tylko mój panie. Wojewoda sandomierski, Otto z Pilicy, który z twojego ramienia ściągał podatki z dóbr duchownych, został wyklęty.

— Kto się odważył na to? — zawołał król z roziskrzonymi od gniewu oczami.

— Bodzanta, biskup krakowski.

— Ha! ten ciska mi rękawicę — dobrze — podejmę ją.

— To nie dość najjaśniejszy panie — mówiła kobieta, ująwszy dłoń Kazimierza z przymileniem, jakby mu tem chciała

osłodzić przykrość wiadomości — niedosyć na tem, kłątwa Bodzanty sięga jeszcze wyżej.

— Co? — zawołał zrywając się z siedzenia król — śmiałżeby ją cisnąć aż na moją głowę?!

— Tyś rzekł panie, ale jeżeli tu idzie o nędzny tylko pieniądz, o dochody z dóbr duchowieństwa? wyrzeknij ich się, mój królu, ja ci dostarczę sumy, jakie ci są potrzebne, współwyznawcy moi ochotnie pospieszą z pomocą, rzeknij słowo, a skarbiec twój napelniony zostanie złotem po same brzegi, nie zaczepiaj tego nieprzyjaciela, którego potęga jest tak straszna, przed którym drżą trony.

— Ja tylko drzę przed jednym Bogiem, a nieprzyjaciół deptać przywykłem pod moimi stopami. Nie o pieniądze tu idzie, ale o zasadę władzy; zasady tej bronić będę i muszę ją widzieć tryumfującą.

— Bodzanta biskup w liście swoim utrzymuje, że ja czarami wpłynęłam na miłość twoją mój królu, że ja podburzam cię przeciwko duchowieństwu i wyrokiem swoich sądów duchownych skazał mnie na próbę wody, a potem samo się z siebie rozumie, na śmierć przez spalenie.

— Co ty mówisz kobieto? kto poważylby się wydać wyrok śmierci na najnędźniejszego z moich poddanych bez mojej wiedzy, zkaż masz te wiadomości Estero, to wszystko musi być fałsz?

— Wiadomości moje są pewne, a kupiłam je na wagę złota.

Król wyszedł do pierwszej komnaty, w której było kilku dworzan.

— Zawołać mi tu natychmiast księdza Alberta, — ale właśnie kiedy te słowa wymawiał, ksiądz Albert wszedł pośpiesznie.

— Najjaśniejszy królu!

— Właśnie po was posyłać chciałem, pójdź mój księżu Albercie.

Gdy się znaleźli wolni od uszów służby, król opowiedział odebrane wiadomości.

— Przed chwilą przybył właśnie do mnie goniec, który mi przywiózł kopię tego aktu, z tem właśnie spieszyłem do Waszej Królewskiej Mości.

Król wyrwał mu pargamin z ręki i szybko przerzucił go oczami.

— Ha! ha! — zawołał przeczytawszy — ten Bodzanta stara się widać o palmę męczennika, mało mu być biskupem, chce mu się być świętym; opiera się na bulli Bonifacego VIII *Clericis laicos* i na drugiej *Unam Sanctam* tegoż, która wyższość władzy duchownej nad świecką tak stanowczo głosi i ogłasza to ten Bonifacy, na którym właśnie już skończyło się wszechwładztwo papieży, któremu Nazaret w Anonii umiał stracić tyarę z głowy.

— Najjaśniejszy Panie — dziś panuje Klemens VI, nie Bonifacy, będziemy się starać, żeby tę klątwę odwołał.

Na te słowa, król wpadł w jeszcze większy gniew.

— Co! — zawołał — ty myślisz, że ja się będę odwoływał do Klemensa VI, czy myślisz, że mi nieznane jego życie światowe, że niewiem, kto tam teraz panuje? Otóż powiadam ci, i daję ci na to moje słowo królewskie, że pierwszy, który się odważy tę klątwę ogłosić mi, zginie straszliwą śmiercią. Ja jasno widzę, do czego wy dążycie, biada Polsce, gdyby nią kiedy zawładnęła oligarchia, lub rządy szlachty; ja jestem król chłopów, na nich się opieram i zgniotę każdą potęgę, która będzie chciała stanąć obok mnie! — Król mówił to tak podniesionym głosem, że dworzanie w przedpokoju słyszeli każde słowo.

— Kto się podjął ogłosić mi wyrok biskupi?

— Baryczko Marcin, doktor teologii, kaznodzieja krakowski.

— Sam wydał wyrok na swoją głowę — rzekł król.

— Pozwól najmiłościwszy królu, zrobić sobie uwagę, że duchowieństwo stoi tylko przy swoich prawach i broni ich, nie chcąc się poddać opodatkowaniu; to za zasadę niewzruszoną przyjęte jest w całym świecie katolickim.

— Księżę Albercie, albo jesteś bardzo nieświadomy tej sprawy, lub sądzisz, że ona nam jest obcą, czyż nie wiemy, że w Anglii Edward I wymógł opodatkowanie duchowieństwa, i to pomimo swego uporczywego sprzeciwiania się, uległo mu w końcu.

Filip Piękny, król Francyi, zrobił podobną próbę i jakkolwiek Bonifacy wydał bullę *Clericis laicos*, wyklinającą królów, jeżeliby pobierali podatki od osób duchownych, król zakazał stanowczo wywozu ze swojego państwa złota i srebra do Rzymu i nie sobie nie robił z bulli i opierając się na żebrzącym duchowieństwie, które stanęło po jego stronie, kazał uwięzić nuncjusza papieskiego, spalić bullę *Ausculta Fili* publicznie, przy odgłosie trąb. Czy myślicie, ja nie będę miał na to odwagi? że się nie upomnę o znieważone prawo człowieka, przez tortury i inkwizycyę, na które umysł ludzki się oburza. Nie zaczepiajcie mnie, bo ja się opieram na potęgze niezwyciężonej, na ludzie całym.

— Duchowieństwo nie jest ojczymem, ale ojcem ludu, da się łatwo przejednać, jeżeli miłościwy panie zrobisz mu pewne ustępstwa.

Król Kazimierz wstrząsnął energicznie swoją piękną głowę i rzekł:

— W tem właśnie błąd popełniali moi poprzednicy, w tem i ja błąd popełniłem, że idąc za głosem zwyczajów, obdarzałem was hojnie, sądząc, że się nasycicie. Powiedz mi księżę Albercie — mówił dalej z coraz bardziej wzrastającym gniewem — czy dochody z twojego probostwa nie wyrównują dochodom najbogatszych panów? Powiedz mi, na co się zdało, iż ja biskupa Mikołaja z Gorzkowa¹⁾ obdarzyłem książęcym majątkiem, dając mu nad Dniestrem Ubore wraz z całym po-

¹⁾ Rzeczywiście dopiero w późniejszym czasie biskup Mikołaj, którego niektórzy nazywają Borkowskim, dostał Ubore z całym powiatem. — Autor dzieła: *In philosophiam Universam Comentarii*.

wiatem. Czy przez to polepszyła się dola ludu, czy duchowieństwo oceniło moje zamiary, czy stara się dopomódz mi w przeprowadzeniu moich planów, podniesienia ludu i ulżenia mu w jego wielkiej niedoli — roztyliście się na niesprawiedliwych przywilejach, czyż nieznane mi są wasze obyczaje, klasztory stały się warsztatami, w których wyrabiają sukna i gromadzą za nie pieniądze. Arcybiskup Mikołaj własnymi okrętami prowadzi słoninę i mąkę aż do wybrzeży Flandryi, przepych jego dworu jest oślepiający.

— Ksiądz dzierżawi żupy Wielickie ¹⁾, niższego rzędu duchowieństwo zajmuje się kramarstwem i czego wam jeszcze potrzeba? Tak, ja wiem, czego wam jeszcze potrzeba — mówił król, groźnie patrząc w oczy księdzu Albertowi — wam potrzeba munsztuka na waszą samowolę, a ten ja wam nałożyć potrafię.

— Obudzisz lwa, miłościwy panie, szlachta i duchowieństwo stanie przeciwko tobie, potęga ta złamała Bolesława, i ciebie złamać może.

— Ja mam za sobą lud wiejski, sprawiedliwość i Boga samego; wypowiedacie mi wojnę? dobrze, przyjmuję ją, ale dość już tego, jestem znużony, żegnaj cię księże Albercie — i obracając się do stojącego Plichty, dodał:

— Jutro rano zwinąć obóz, udajemy się na zamek Opatczyński wraz z gośćmi — następnie zwrócił się do czekającego jeszcze księdza Alberta — tam wydam moje postanowienia, a jeżeli nie będą mile dla was, sami je wywołujecie.

Ksiądz Albert, który kochał króla i znał jego porywczy charakter, wiedział, że byle przetrzymać pierwszy impet, wszystko się ułagodzi, wyszedł jednak chmurny, rzuciwszy nieprzyjazne spojrzenie na Estere.

— Ten ksiądz jest ci prawdziwie przychylny, królu nie odrzucaj rad jego.

¹⁾ Vol. Leg. I. 160.

— Wiem o tem, ale i on śpiewać musi podług naznaczonej nuty, ja bynajmniej nie chcę się dopuszczać samowoli nad nimi, ale chcę ulżyć doli biednego chłopa i od tego mnie nie nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ II.

Król i lud.

Na piaszczystem wzgórzu, w okolicy otoczonej naokoło lasami, wznosiło się warowne miasto Opoczno.

Od południa rzeka silnie opalisadowana dębowemi balami, leniwo posuwała się wśród łąk i bagnisk, potężne mury, widocznie niedawno wystawione, zdaleka bielily się zasypane śniegami, nie widać jednak było blanków i wież, bo miejscowość sama z siebie nie przedstawiała warunków do obrony, a widocznie przeznaczona tylko do protegowania handlu. Wokoło murów jednak, biegła fosa murowana, głęboka.

Cztery bramy dębowe, okute zielonemi blachami, najeżone kolcami, wiodły do miasta, a zwodzony most od strony rzeki, był arcydziełem inżynierii owych czasów.

Tuż za bramą nadrzeczną, wznosił się gmach drewniany modrzewiowy, ze świeżo domurowanemi wieżami, sięgający niezawodnie jeszcze czasów Bolesławowskich, był to stary zamek, rezydencya starosty grodowego.

Miasto cale miało pozór bardzo wesoly — pyszny dzień grudniowy ubrylantowany śniegiem świeżo spadłym, pokrywał dachy domów, długich, wązkich, a krętych ulic.

Naprzeciw bramy głównej, zwanej krakowską, otwierającej przystęp do rzeki, rozciągał się obszerny rynek, za nim wily się w rozmaite strony ulice kręte i po długich kołowaniach wychodziły na drugi rynek, na którym wznosił się gmach murowany, zupełnie nowy, zbudowany z łupku, z dwiema wieżami, obszernemi dwoma dziedzińcami i ogromnemi stajniami i nie kończącemi się piwnicami.

Gmach ten świeżością swoją, wzorową czystością utrzymania, dziwnie miło przedstawiał się oku, chociaż architektura jego była ciężka i właściwie nie przedstawiała żadnego stylu.

Jest to dzień jarmarczny, wszystkie ulice i rynki roją się secinami włościan w białe ubranych sukmany welniane, z pod których wygląda szeroki wyłożony kołnierz baraniego kozucha, na głowach siwe czapki, także barankowe wysokie, z aksamitnym wierzchem z niebieskimi wstążkami, przepasani welnianemi jaskrawych kolorów pasami; włościanie ci przybyli nawet o mil kilkanaście, gdyż rozeszła się wieść, że król Kazimierz przybędzie na zamek Opoczyński. Ciekawość zobaczenia ukochanego króla, o którym pieśń nucono na wieczornicach przy szumie wrzecion, o którym opowiadano legendy, ściągnęło mnóstwo ludu.

Na podsieniach domów, gdyż każdy prawie dom miał od frontu słupy, niekiedy bardzo ozdobne i wystający ponad nimi dach, rozstawione były liczne tassy z rozmaitemi towarami.

Ściany domów zawieszane były obrazami świętych, krzyżami i muszlami z Żuław, wówczas jeszcze prawie całych zalanych wodą, a które wędrowni, liczni pielgrzymi, sprzedawali jako pamiątki z Ziemi świętej.

Rozmaitego rodzaju medale, krzyże, amulety i relikwie świętych stanowiły przeważną większość towarów, a przy wszystkich tych kramach zasiadali księża ¹⁾ przywabiając wszelkimi sposobami kupujących.

Dziwnie bardzo nam się to może wydawać dzisiaj, ale każdy wiek ma swoje właściwości, i to co uznane zostaje za rzecz najzwyczajniejszą w jednym, potępione bywa w drugim, i dziś jeszcze, co jest cnotą z jednej strony Alp, z drugiej strony poczytywane jest za zbrodnię.

¹⁾ Fleurs: *Histoire ecclesiast. Avignon r. 1777* tom XIII. str. 158.

Główny przedmiot sprzedaży włościan stanowiły skóry niedźwiedzie, wilcze, bobrowe, kun, wyder i rysiów. Obszerne lasy, niezmierzone błota sprzyjały bardzo mnożeniu się zwierzyny wszelkiego rodzaju. Liczne wojny za czasów ostatniego panowania, poniszczyły wsie, rozpędziły ludność i zmusiły ją na porosłych lasami niwach, szukać w sidłach, wnykach i strzałach sposobu utrzymania życia, a w zakładaniu licznych barci i pasiek po lasach zamożności.

Król myśliciel całą swoją uwagę i pracę zwrócił na podniesienie dobrobytu włościan i miast — i cudownie mu się to udawało. Prawie jakby na skinienie czarodzieja wyrastały wsie, rozrastały się, wznosiły się mury miast, zamki warowne i spichlerze olbrzymie, wszędzie było znać rękę gospodarza, wszędzie czynność, prace i wyższy pogląd nad wiek dawał się spostrzegać.

Uznawszy rolnictwo i handel za najwyższe zadania swoje, nie wdawał się w wojny, rozsądkiem zdobywał to, na co inni wylewali krew i łzy ludu.

A lubo lat temu osiem, aż po Wisłę zapuściły się zagony Tatarskie, wsie już powstały z gruzów i kipiało w nich życie i praca.

Za poprzedniego panowania, wśród wojen domowych i krzyżackich napadów, rozprzestrzeniły się rozboje w kraju. Kazimierz umiał je ukrócić i masami sprowadzał zdolnych cudzoziemców, niosących swoje bogactwa i umiejętność rzemiosł i przemysłu.

W tym roku właśnie został ujęty sławny rozbójnik Szydło, który na czele zgromadzonej bandy, pustoszył okolice Świętego Krzyża i Opoczna, i w miejscu jego pobytu, Kazimierz założył miasto Szydłowiec.

Ruch zrobił się pomiędzy ludem zgromadzonym na rynku, jak kiedy w ul pszczoł uderzy niespodzianie kamień.

Kilkunastu starościńskich pacholków pokazało się konno, a za nimi oddział pieszy knechtów z halabardami w cudzoziemskich ubiorach. Ci starali się lud zgromadzony na rynku

rozdzielić na dwie połowy dla otworzenia drogi spodziewanemu orszakowi króla. Nie zdążyli jednak tego dopełnić, kiedy strażnik stojący na najwyższej baszcie, uderzył w róg i dał znać, że już widzi orszak królewski zbliżający się do bram miasta.

Jednocześnie most zwodzony opadł na rzece i ogromna brama na rozcież się otwarła.

Wkrótce pokazała się gromada jeźdźców, zdążających ku miastu.

Król Kazimierz jechał na czele oddziału, mając po jednej stronie cara Stefana, po drugiej Kiejstuta, księcia trockiego.

Przed oddziałem królewskim jechał chorąży królewski Ligieża, trzymając sztandar z herbem Rzeczypospolitej. Oddział królewski składał się ze stu koni, prowadził go Nawój z Przegini, herbu »Topór« przodek domu Tenczyńskich, który właśnie co wybudował wspaniały zamek olbrzymi Tenczyn i otoczył go 40 wsiami.

Oddział królewski, ubrany skromnie w żelazo, odznaczał się tylko dobozem koni czystej polskiej rasy. Na rycerzach błyszczały zbroje stalowe, jeden tylko Nawój Tenczyński, miał zbroję całą pozłacaną w ogniu, na szyszaku jego powiewała dumnie kita piór czaplich.

Kilkunastu dworzan cara Duszana, ubranych z cudzoziemska w aksamitne bogate bobrowe kożuchy, jechało tuż za oddziałem królewskim.

Następnie na małych żmudzkich koniach, okryci skórami ubitych niedźwiedzi i wilków jechali Żmudzini, ustrojeni w łuki gięte, żelazne palasze i z ciekawością rozglądający się po bogatym mieście, do którego wjeżdżali.

Lud z uszanowaniem rozstąpił się na dwie połowy, chałabardnicy uszykowali się po bokach i zwolna cały orszak postępował naprzód.

W ulicy prowadzącej do starego zamku, na czele szlachty stał starosta Piotr Bobrzycki, ojciec Leszka Bobrzyckiego (który za następnych panowań, miał okryć się taką sławą,

zdobywszy dla króla Władysława Kesmark i Eperies w Wędrzech, i następnie w sędziwym już wieku życie swoje położyć pod Warną, w chwili gdy waleczny lecz szalony biskup waradyński Jan de Dominio, rzuciwszy się z swoim oddziałem w środek nieprzyjaciół, spowodował klęskę, mimo upartej obrony Leszka Bobrzyckiego, której przeszkodziła ucieczka z placu boju kardynała Juliana ¹⁾).

Dumny magnat nie wyjechał za bramę na przyjęcie króla jak był powinien, ale stojąc w ulicy, na dziarskim dzianecie, na czele orszaku szlachty bogato przybranej, dumnie spoglądał na przybyłych.

Książę Kiejstut, przywykły do głębokiego uszanowania, okazywanego mu przez kunigasów i bojarów litewskich, groźnie się zmarszczył, widząc to lekceważenie panującego.

Car Duszan wychowany na Wschodzie, wśród niewolników pokornych, rzucił wzrok zapytujący na króla.

Kazimierz jednak nie zmarszczył brwi nawet; twarz jego wyrażała posagową obojętność, lecz kiedy starosta Bobrzycki zbliżywszy się ze szlachtą, składał głęboki ukłon i zapraszał na zamek, wówczas król nie odpowiedziawszy spał konia i zawróciwszy na lewo, z wielkiem zdziwieniem wszystkich skierował się do nowego zamku, oddziały królewskie i książęce postąpiły za nim.

Zgroza wyryła się na twarzach zarówno starosty jak i obecnej szlachty, stojących w milczeniu, ale okrzyki ludu zewsząd cisnącego się do konia króla, ażeby chociaż dotknąć jego sierści, wesołe oblicze włóścian, baldachim, z którym czekali na króla żydzi, wszystko wyrównywało położenie i pokazywało nieklamane przywiązanie narodu.

Kazimierz obrócił się, skinął na Plichtę i coś mu szepnął cichym głosem, ten wypuścił konia spiąwszy go ostrogami i szalonym biegiem popędził na nowy zamek.

¹⁾ O Leszku Bobrzyckim, Paprocki, Niesiecki, ani Okolski w herbach o nim nie wspominają, lecz za to mówią o nim obszernie Starowolski, Strykowski i Kalimach.

Za zbliżeniem się orszaku królewskiego, wązka brama zamkowa otwarła się na rozeież. i cały orszak wjechał w pierwszy dziedziniec, a brama natychmiast się zamknęła.

Szerokie marmurowe schody prowadziły na pierwsze piętro, u stopni ich pokazała się Estera wspaniale ubrana, a przy niej 12 dziewic oślepiających swoją pięknnością.

Estera przyklękła przed bohaterem królem, lecz ten szybko ją podniósł i obracając się do postępujących za nim gości, przedstawił im swoją przyjaciółkę.

Kiejstut zwrócił swój wzrok łagodny ale ognisty na lice pięknej żydówki, może ją porównywał ze swoją Birutą właśnie niedawno porwaną bogini Praurymy, której była kapłanką, nie zważając na przekleństwo krywe-krywejte.

Wszystkie dziewice trzymały w rękach instrumenta muzyczne, używane w owych czasach, tamburyna, liry, flety, gitary, harfy, a na znak dany przez jedną z nich, zabrzmiała melodia prowansalskiej pieśni, rozkoszna, urocza. Przy dźwiękach jej całe towarzystwo weszło do olbrzymiej sali w rotundę zbndowanej, której kopuła sięgała drugiego piętra. Białe kolumny marmurowe otaczały ją naokoło, obicia z drogich jedwabnych materyj otaczały ściany, malowane jedwabiami w kraj-obrazy pustyni wspaniale palmy i pochody na wielbłądach karawan, wszystko to wyszyte było ręką pracowitych artystek, a kolorami tak naturalnemi, że robiły wrażenie rzeczywistości obrazu.

Na dopełnienie takiego areydziała, lata całe poświęcały robotnice-artystki.

Kosztowna mozajkowa podłoga, była dziełem artystów greckich widocznie przywieziona przez kupców z Bizancyum, którzy w tym czasie obszerny prowadzili handel areydziałami starożytnej Grecyi, rabując pozostałe szczątki pałaców w Aleksandryi. W czterech rogach tej pysznej rotundy pomiędzy filarami stały 4 brązowe kadzielnice artystycznej roboty, napelniając powietrze wonnościami Arabii.

Na około po za filarami marmurowemi wila się brązowa balustrada, misternie rzeźbiona, wykładana kością słoniową i hebanem, przedstawiając zwoje poplątanych roślin, przeznaczona na teraz dla orkiestry, lub na łożę dla gości w czasie przedstawień igrzysk w sali.

Car Stefan, któremu nie obce były przepychy Wschodu, jako władcy Epiru, Tesalii, Macedonii, był jednak bardzo zdziwiony, widząc tu w tej na pół barbarzyńskiej krainie, pod tem niebem surowem, nagromadzone arcydzieła sztuki starożytnej, tak umiejętnie zastosowane do klimatu i tworzące tak harmonijną całość.

Kiejstut poprostu stanął osłupiały. On znał zamki Krzyżaków, bogactwa i przepych w nich nagromadzone uważał za piękności nie dające się z niczem porównać i sądził w swojej prostocie, że bogowie, nawet sam Perkun nie mieszkają okazalej — a tu u jednej żydówki, kochanki tylko króla, nagromadzono wszystko co tylko najbujniejsza myśl człowieka zapragnąć może. Jakież porównanie z jego starymi zamkami w Kownie lub Trokach, gdzie kamienne ściany zdobią tylko żelazne zbroje, od których odbija się płomień ogniska, palącego się na środku komnaty, gdzie ogary leżą po kątach, a smerdy źle ubrani straż trzymają.

Lud gromadnie otoczył zamek, wznosząc okrzyki na cześć króla; lud to był złożony przeważnie z mieszczan, chłopów i żydów, którzy swoim nieznanym strojem w Polsce zwracali powszechną na siebie uwagę.

Rozgościecie się, moi miłościwi panowie, w przeznaczonych wam komnatach, odpocznijcie trochę po trudach polowania i podróży, i kiedy klepsydra dwa razy się przesypie do dna, znajdziemy się wszyscy u naszej milej gospodyni na uczcie, która, jakkolwiek niespodzianieśmy ją najechali, mam nadzieję, że potrafi nas przyjąć odpowiednio waszej godności, i że nie wstaniemy głodni od stołu. Ja muszę się przywitać z ludem moim, który czeka mnie niecierpliwie.

Bogato postrojeni dworzanie odprowadzili cara Stefana i Kiejstuta do przeznaczonych im komnat. Orkiestra umilkła

i znikła w jednej chwili, dworzanie opuścili rotundę, a Kazimierz pozostał sam z piękną Esterą. Majestatyczny widok przedstawiała ta kobieta swoją postacią i zaprawdę zdawała się godną dzielić tron jednego z najpotężniejszych Faraonów. Kazimierz długo z zachwytem wpatrywał się w uroczą boginią, rozwarł ramiona, a kobieta zawisała na jego piersiach, otaczając swojemi rękoma jego szyję.

Okrzyki ludu, który tłumnie cisnął się na zamek, przerywały pieszczoty dwojga kochanków.

Kazimierz, gwałt sobie zadając, zlekka usunął namiętną kobietę, gdy w sieniach dały się słyszeć cudze kroki.

Kazimierz dał znak i Estera znikła za bogatą kotarą.

Król klasnął w dłonie, na ten znak wszedł Plichta.

— Najmiłościwszy królu, lud o mało nie wywali bram zamku pod wpływem przywiązania. Straże już sobie nie mogą dać rady.

— Otworzyć wszystkie bramy natychmiast, niech lud zapełni dziedzińce, oświadczyć im, że zaraz do nich wyjdę.

W jednej chwili wszystkie trzy obszerne podwórza zamku zalane zostały tłumami ludu, różnorodna ta masa narodu, spoglądała niecierpliwie na główne drzwi, któremi miał się ukazać ukochany król Kazimierz.

Drzwi na rozcież się otworzyły i w ramach ich w asy-stencyi tylko dwóch dworzan Plichty i Kochana stanął Kazimierz. Ubiór jego był pełen prostoty, prosty kożuch barani, pokryty suknem, ściśnięty na wierzchu pasem, barankowa czapka na głowie i karabela zawieszona u pasa, na pierwszy rzut oka, niewtajemniczonemu w skromne upodobanie króla, zdawałoby się, iż ma przed sobą zwykłego szlachcica, nie karmazyna może nawet, ale dość spojrzeć na to dumnie podniesione czoło, na to oko czarne, w którym taka potęga myśli była ukryta, na całą tę postawę majestatyczną, w którą im więcej się wpatrywano, tem większy blask roztaczała około siebie, tem większym przejmowała podziwem i czcią, a mimo-wolnie rodziło się w umyśle każdego patrzącego przekonanie,

że się ma przed sobą bohatera wieku, męża, na którego pojawienie się trzeba czekać całe stulecia.

W jednej chwili wszystkie głowy zostały obnażone, niektórzy z widzów padli na kolana, i krzyk kilkutysięcznego tłumu, jakby z jednej pochodzący piersi, rozległ się w powietrzu, ręce podniosły się do góry, oczy pozachodziły łzami, a kiedy drugi i trzeci raz okrzyk się powtórzył, zdawało się, że mury zamku trzęsą się w swoich podstawach.

Król podniósł rękę do czoła i uniósłszy czapki, pokłonił się ludowi.

Na ten widok entuzjazm ludu doszedł do ostatnich granic, wszyscy upadli na kolana, głowy pochyliły się do samej ziemi, a okrzyki umilkły w jednej chwili.

— Rozstąpcie się na dwie strony — zawołał potężnym głosem Plichta — król chce przejść się pomiędzy ludem.

Ileżby to potrzeba użyć trudu dzisiaj, ileż policya i żandarmerya musiałaby się napracować, żeby zaprowadzić jaki taki porządek w podobnych okolicznościach.

Ale wola potężna, która zapełniała piersi bohatera, przełamała się w lud, ten ją pojął, zrozumiał i wykonał.

W jednej chwili przez środek zgromadzonego tłumu utworzyła się jakby ulica swobodna, gromady rozdzieliły się na dwie strony, a król w towarzystwie dwóch tylko dworzan swoich, którzy o kilka kroków postępowali za nim, wszedł w środek; koło się za nim zamknęło, a Kazimierz wraz z swoim nielicznym orszakiem utonął jak w morzu.

Król postępował coraz dalej, a w miarę jak się zbliżał do najbliższych stojących, ci, wyciągali ręce, ażeby się dotknąć chociaż skraju szaty jego; szczęśliwi, którym się udało pocałować koniuszek sukmany swojego monarchy.

Król dobrotliwie zatrzymał się i rzucił wzrok pełen współczucia po tłumie; bystre jego oko dojrzało niedaleko chłopca w białej sukmanie, stojącego na szczudle drewnianem, a pusty rękaw u sukmany pokazywał brak ręki.

Kaleka opierał się jedyną pozostałą ręką na młodziutkiej dziewczynie, która starała się odpychać tłumy, ściskające ich na okolo.

Kazimierz skierował swoje kroki do nieszczęśliwego kaleki, tłum rozstąpił się i król zatrzymał się przed nędzarzem.

Ten widząc zatrzymującego się przed sobą władcę i zwrócone na siebie oczy królewskiego majestatu, chciał upaść na kolana, kula drewniana jednak przeszkadzała mu i pomimo wszelkich usiłowań, nie mógł tego dopełnić.

Kazimierz dobrotliwie położył rękę na jego ramieniu, i wpatrując się w twarz, którą długie białe włosy otaczały naokoło, zapytał z wyrazem pełnym współczucia:

— Kto jesteś dobry człowieku, i z kąd pochodzi twoje kalectwo?

— Najmiłościwszy królu i panie mój, jestem pokornym sługą twoim, nazywam się Maciej Skowronek, z Prymasowej Woli.

— Jakim sposobem zostałeś takim kaleką?

— Rękę utracilem pod Płowcami, walcząc z Krzyżakami, przy boku świętej pamięci nieodżałowanego ojca twego, najmiłościwszego nam króla Władysława.

— A nogę, czy także w tej samej batalii utraciłeś?

— Nie miłościwy królu, to mi uciał w domu pan mój, wojewoda poznański Maciej Borkowie.

Na twarzy króla wyrzyło się oburzenie; w jednej chwili te rysy łagodne, promienne, jakby czarna chmura je zaciemniła, zmieniły się do niepoznania — grom zawisł już na jego wargach i piorun lada chwila miał wypaść.

— Co popełniłeś za występki, iż zasłużyłeś na taką karę?

— Komturowie Nieszewski i Toruński przyjechali do nas na zamek Koźmiński, nasz wojewoda wyprawiał dla nich łowy, nam nakazano całą oblawa pilnować sieci, chociaż bez ręki, musiałem iść wraz z innymi. Postawiono mnie przy wbitym kole, na którym się sieć myśliwska opierała. Napór

zwierzyny był mnogi bardzo, sieć cała drżała od nawaly, na nieszczęście w tem miejscu, gdzie ja właśnie stałem, zaplątał się w sieć ogromny jeleni, ja z moją jedną ręką nie mogłem mu dać rady, żeby powiązać go, jak było nakazano, na pomoc mi wczas nie podskoczono, bo każdy był zajęty swoją zdobyczą, nie spostrzegłem więc, że kolek z siecią się przewrócił, właśnie ten, który ja strzedz byłem obowiązany, za pierwszym kolkiem przewracały się inne i zwierzyna prawie wszystka uciec zdołała. Komtur toruński rozwścieczony podskoczył do mnie na koniu, chciał mnie nim roztratować, ja jednak nie wiele myśląc, tak potężnie szkapę uderzyłem po nozdrzach, że zdaleka odskoczył odemnie. Wówczas zmiarkowałem się, że czeka mnie straszna kara, zacząłem uciekać. Wojewoda Maciek na swoim koniu pędził, wygrażając mi i wołając, żebym się zatrzymał, ja jednak z przestachu nie wiedziałem co robię, uciekałem coraz dalej; wysłani za mną dojeżdżacze, wśród rzadkich krzaków dopędzili mnie i wzięwszy na pętla za szyję, przyprowadzili przed zgromadzonych panów.

Krzyżacy stali na okolo wojewody, a ten cały czerwony od złości, najpierwej przyskoczył i uderzył mnie z całej siły w twarz, a ręka u naszego wojewody Maćka potężna kiej u niedźwiedzia — przewaliłem się na ziemię.

— Za włosy, za te moje białe włosy, o mój królu, podniesiono mnie napowrót i postawiono twarz w twarz z wojewodą.

— Dlaczego pozwoliłeś, żeby się sieci przewróciły i zwierzyna ponciekała?

— Nie mogłem dać rady, miłościwy wojewodo, jedna ręka nie wystarczała, napór był wielki, robiłem co mogłem, ale nie mogłem zładzić.

— Nie mogłeś zładzić, a za jakie złodziejstwo ucięto ci tę rękę?

— Pod Płowcami ucięli mi Krzyżacy, kiedym bronił naszego króla, otoczonego naokoło.

Na te słowa wojewoda spojrział po komturach, ale niemcy nie rozumieli ludzkiej mowy.

— A dlaczego ośmieliłeś się podnieść rękę na prześwietnego rycerza, komtura krzyżackiego, mojego gościa.

— Bo on mnie chciał stratować koniem, a bić Krzyżaków to naszym nie pierwszozna, proszę łaski miłościwego wojewody.

Wojewoda znowu spojrział na komturów — i przygryzł wargi.

— A dlaczego nie słuchałeś głosu swojego pana, kiedy wołałem na ciebie, żebyś się zatrzymał, a ty uciekałeś coraz więcej.

— Bałem się, miłościwy panie mój.

— Bałeś się! więc widać, że zasłużyłeś na karę i sądziłeś, że się swemi nogami od niej zbawisz. Maciek Borkowie długie ma ręce, duch ludzki przed nim nie ujdzie — i ty już drugi raz uciekać nie będziesz.

— Weźcie go! — mówił, obracając się do stojących wokół dworzan — przewróćcie i na tym pniaku utnijcie mu nogę.

— Zaledwie miałem czas wysłuchać tych krwawych słów, już byłem przewrócony, jakiś knecht z orszaku Krzyżaków, do którego coś wojewoda powiedział po niemiecku, wziął siekierę od stojącego wieśniaka, którą miał na wypadek obrony od niedźwiedzia i zbliżył się do mnie leżącego na ziemi z nogą opartą na niskim pniaku. Prosiłem Boga, żeby zamiast w nogę, uderzył mnie w szyję, ale Niemiec podniósł siekierę, obejrzał jej ostrze, przytknął mi do nosa, żebym powąchał, uśmiechnął się tak, że pokazał zęby białe jak u tygrysa i podniósł siekierę do góry.

Nie zmrużyłem oczów, widziałem błysk siekiery w powietrzu, potem słyszałem stuknięcie — Niemiec schylił się — i wówczas zobaczyłem, że moją nogę obciętą skrwawioną trzyma w swoim ręku, czułem jeszcze jak zbliżył ją do mojej twarzy i krwią ciekącą obmazal mi czoło — zemdlałem.

— Moi sąsiedzi wzięli mnie na nosze i zanieśli do Koźmina, szczęściem na drodze blisko lasu była kuźnia, Wojciech, kowal, przypalił mi ranę rozpalonem żelazem, w chałupie stara lekarka obłożyła pajęczyną, odmówiła jakieś zaklęcia i tak mało pomalu wykurowałem się, ale noga mi już nie odrosła.

Kiedy już przyszedłem zupełnie do zdrowia, pomyślałem, że żyć pod takim srogim panem, jak nasz wojewoda, nie sposób, syn mój więc zabrał na wóz żonę, mnie i dzieci swoje i w nocy uciekliśmy szczęśliwie z Koźmina. Jechaliśmy długo, bardzo długo, z początku w dzień, kryjąc się po lasach, a w nocy przebijając się coraz dalej — dobrzy ludzie pomagali nam po drodze, zaopatrując w żywność i tak przywlekliśmy się aż do Prymasowskiej Woli pod Opocznem, tutaj rozdawano pustki na osiedlenie na 10 lat z wolą. Syn mój wziął jedną z nich na swoją głowę, a ja przy nim resztę dopędzam żywota. Wczoraj dowiedziawszy się od ludzi, że ty, najmiłościwszy królu, będziesz tutaj sędził sprawy, wspierany przez moją wnuczkę Jagusię, załazłem tu, żeby zobaczyć i pokłonić się krwi mojego miłościwego pana a ś. p. ojca twego, mój królu ukochany, co bronisz biednych ludzi od przemocy panów.

Król Kazimierz stojąc, wysłuchał tego długiego opowiadania, a kiedy starzec skończył, kładąc rękę na jego głowie pochylonej kornie, rzekł:

— Biedny, stary żołnierzu! towarzyszu bojów mojego ojca, zaprawdę Bóg prowadził twoje kroki do mnie, żeby trudy i boleści życia twego zostały wynagrodzone i żebyś na starość przynajmniej miał cichy kąt i kawał własnego chleba. — Młyn Bobrnik i dwa łany gruntu do niego przylegające na wieczne czasy dają tobie i twoim potomkom w wieczyste posiadanie, akt odpowiedni każe ci natychmiast wygotować w mojej kancelaryi — i król już postąpił dalej wśród ludu, który na dwie strony przed nim się rozstępował, ale zatrzymał się i głosem donośnym wyrzekł jeszcze:

— Przemocy i gwałtom koniec położę, postanowiłem prawa w Wiślicy, te dadzą opiekę najbiedniejszemu z moich

poddanych, odtąd spokojnie zasypiajcie pod tarczą moich praw, a biada temu, kto poważy się je lekceważyć — spadnie głowa, chociażby najdumniejszego magnata, chociażby nawet był tak potężny, jak wojewoda poznański, jeżeli ukrzywdzi biednego.

— Panie nasz! ojcze, królu chłopów, my za ciebie zawsze i wszędzie staniemy — odezwały się głosy — z tobą żyć i umierać przy twoim boku!

Teraz wystąpiła z tłumu jakaś kobiecina, nie stara jeszcze ale chuda, wynędzniała, ledwie na nogach utrzymać się zdolna i przyklękawszy przed królem, podniosła ręce do góry i zawołała pełnym bóleści głosem:

— Królu mój, ojcze! ratuj biedną wdowę, ja tu do ciebie o mil kikanaście o chlebie i wodzie, o proszonej łyżce stawy, boś ty sprawiedliwy, mówią, że wysłuchasz najbiedniejszego żebraka.

— Mów, co cię boli, dobra kobieto.

— Serce boli, mój gołąbku kochany, serce boli po mojej Magdusi, co mi ją porwał na publicznej drodze, ten wilk okrutny.

I kobieta zanosila się od płaczu, tarzając się u nóg króla.

— Powstań i opowiedz w porządku, o co ci idzie i na kogo się skarżysz.

— Skarzę się o mój królu na potężnego pana, rozbójnika, na Jędrzeja Cedrowicza ze Strafczyna ¹⁾.

— Co! Jędrzej Cedrowicz — zawołał król — ten zdrajca nikiemny żyje jeszcze i w mojem państwie przebywa i na nowo broi pod okiem moich starostów, mów dalej kobieto — a potem obracając się do stojącego za nim Plichty zapytał: — czy to być może ten sam, co Świec sprzedał Krzyżakom,

¹⁾ Jędrzej Cedrowicz herbu Gryf, przekupiony przez Krzyżaków w r. 1310, znajdując się w załodze na zamku Świec, poprzerynawszy sznury od maszyn i kusz, zawiadomił o tem Krzyżaków, i ci zamek zdobyli, wymordowawszy załogę (Długosz).

czy tylko imiennik jego — i nie czekając odpowiedzi, powiedział jeszcze raz z roziskrzonymi oczami:

— Mów kobieto.

— Ten rozbójnik nie boi się Boga, mój najmiłościwszy królu, każe zaprzęgać ludzi swoich poddanych do pluga i nimi orze pustosze; zabiera ostatnią krowę biedakom i w swoim zamczku Strafczynie ¹⁾ zjada ją ze swymi towarzyszami, napada kupców prowadzących towary, zabiera je, w więzieniu gnoi ludzi na śmierć, a Szydło, rozbójnik z pod Świętokrzyskiej góry, dopokąd go nie zmiażdżyłeś panie, pomagał mu i lupami się dzielili; ile tam kości ludzkich poniewiera się około zamku, ilu biedaków jęczy w kajdanach, ile łez się wylewa, ile przekleństw słyszeć, na wołowej skórze tegoby nie spisał, mój królu.

— Jestem żoną kupca z Krakowa, nazywam się Salamonowa; kto nie zna w Krakowie naszej rodziny, zaszczyconej rozmaitemi dostojeństwami od wieków? przed trzema miesiącami jechałam z mężem moim i córką Magdą, 16-letnią dziewczicą do Warszawy, mąż mój prowadził na 4-ch brykach towary do książąt Mazowieckich; mieliśmy wszystkiego 8 pacholców; my z córką zabrałyśmy się dla tego, że chciałyśmy odwiedzić po drodze cudowne miejsce św. Krzyż, bośmy sobie to niegdyś w domu ślubowały. Przejechaliśmy szczęśliwie Chęciny i pod wieczór zbliżyliśmy się lasami pod Strafczyn — o bodaj moje oczy nigdy nie były oglądały tego miejsca! — Jeszcze widać było w oddali wieżę Chęcińskiego zamku, mrok zapadał, spieszyliśmy się, ażeby się wydobyć z lasu, bo na jesień noc wcześniej zapada; raptem na zwrocie drogi ujrzelśmy kilkudziesięciu ludzi, uzbrojonych w łuki i pałasze; załedwie mieliśmy czas rozejrzeć się, gdy na nas napadli hurmem — pacholce nasi chcieli się bronić, w jednej jednak chwili, pomordowano ich w najokropniejszy sposób; mąż mój, także

¹⁾ Strafczyn leży o 2 mile od Kiele — dziś sterczy tylko wieża samotna z zamczyska istniejącego tu niegdyś.

został ranny i leżał zbaczony krwią własną na ziemi; Magdusia rzuciła się na kolana i tamowała krew rodzica, ja, bezprzytomna, stałam jak słup, nie mogąc słowa przemówić.

— Wozy nasze zabrano z towarami, i uprowadzono w naszych oczach. Wtem zobaczyłam starego zbója, ze siwemi zupełnie włosami, siedział na koniu i wydawał rozkazy, domyśliłam się, że to jest dowódca bandy i ten zwrócił na mnie swoją uwagę, zbliżył się i zapytał:

— Zkąd jesteście szubrawcy, szubieniczniki, jak śmiecie jeździć po mojem państwie, bez mojego pozwolenia?

— Jesteśmy mieszczanie krakowsey, mąż mój Salamon, rajca i kupiec, jedziemy z towarami do książąt Mazowieckich, opłaciliśmy wszystkie cła, przewozowe, mostowe i nie wiemy, za cośmy ludzie spokojni, zostali napadnięci i czeladź nasza pobita?

— Salamon! Salamon! — powtarzał stary zbój — to przyjaciel Wierzynka, to bogacz, gdzie on jest?

— A ot leży, pławiąc się w swojej krwi — odpowiedziałam, pokazując oczami mego męża, któremu Magda podtrzymywała głowę.

Natychmiast rozkazał kilku zbójom wziąć go i włożyć na naszą furę, wpakowano mnie także i moją córkę, i tak zawieziono do Strafczyńskiego zamku, zamknięto nas wszystkich troje z początku w jednej komnacie, przychodził felczer i leczył mego męża, rany pokazały się dosyć lekkie i wkrótce przyszedł do siebie; żywili nas z początku jako tako i nie wiedzieliśmy nic, co z nami myślą zrobić. Aż tu jednego dnia wieczorem, drzwi od naszej komnaty się otworzyły i wszedł ten siwy pies stary.

— Tyś jest kupiec Salamon z Krakowa, tyś bogacz, przyjaciel Wierzynka, jeżeli mi w przeciągu dwóch tygodni nie zapłacisz dziesięć tysięcy grzywien polskiej monety i wagi, każe cię kołmi rozszarpać na cztery wiatry.

— Sumy takiej nie jestem w stanie zapłacić w tak krótkim przeciągu czasu, a zresztą, jest nasz dobry król, on mi nie da krzywdy zrobić.

Na te słowa Cedrowicz podskoczył, jakby go żmija ukąsiła, klasnął w ręce i natychmiast zwało się do komnaty czterech zbirów. Myślałam, że już nam wszystkim koniec będzie i tylko duszę swoją polecałam Bogu.

-- Weźcie go i zaprowadźcie do lochów, przykucie za kark do draga.

Porwano go i nie zważając na to, żeśmy obie z córką rzuciły się do nóg zbrodniarza, błagając go, powlekli biedaka do wieży, myśmy obie z córką postępowały za nimi, nie broniono nam.

Żelazne drzwi wieży otworzyły się i po ciasnych schodach zaczęliśmy się spuszczać do lochów; dostaliśmy się do jakiegoś długiego korytarza, po którego obydwóch stronach znajdowało się mnóstwo żelaznych drzwi, z po za których ciągle słyszeliśmy jęki zamkniętych tam niewolników. W końcu korytarza drugie żelazne drzwi otworzyły się i weszliśmy do dużej piwnicy, na kilkadziesiąt kroków długiej. Och! cośmy tam ujrzały, język nie jest w stanie opowiedzieć; — przez całą długość piwnicy na wysokość człowieka, przeciągnięta była belka drewniana, wsparta na słupkach, w niej co pięć kroków wbity był hak żelazny z ogniwnem, w którym na krótkim łańcuszku wisiała obróż żelazna zamykana na klódkę, a w niej rzędem od jednego boku do drugiego stali ludzie, a raczej widma, przykuci za szyje do belki, tak, że ani położyć się, ani usiąść nie mogli; niektórzy wydawali słabe jęki, drudzy stali, a raczej wisieli milczący, a kiedym się lepiej przypatrzyła, zobaczyłam, że to są trupy, dalej wisiały na obrożach dotykając ziemi nogami kości, gołe szkielety, opadłe już dawno z ciała.

Jak w wygłodzonej psiarni, kiedy doń wejdzie dozorca z batem, odezwalo się naokoło skomlenie, jęki, przekleństwa, niektórzy nie mieli już sił mówić, głowy im zwisły na pierśsiach i zdawali się posagami, ulepionemi z białego wosku.

Cedrowicz podstąpił do jednej z zawieszonych postaci, była to kobieta — w cieniu piwnicy nie mogłam rozpoznać jej rysów, włosy długie, pokoltunione, spadały jej na ramiona,

odzienie zbutwiałe płatami odpadało od jej ciała, bosa nogi stały na błocie, utworzonem z odchodów ludzkich.

— A co, piękna pani — zwrócił do niej mowę stary zbrodniarz — gdzie twoje wdzięki, gdzie liczni dworzanie na twoje usługi, tobie się zachciało zmierzyć z potęgą Cedrowicza, nie chciałaś przyjąć ręki zdrajcy, jak się wyrażałaś do swoich przyjaciół, gdzie oni teraz? czemu ci nie spieszą na pomoc — a jednak Cedrowicz nie jest taki zły, przeproś mnie, zgodź się zostać moją żoną, a spadną z ciebie okowy, otworzą się drzwi więzienia i wszystkie skarby, jakie posiadam, staną się twoje.

Kobieta z trudnością podniosła głowę opadającą na piersi, podniosła łzami zasłane oczy i plunęła w twarz nikczemnika. Ten roześmiał się tylko i odwrócił do stojących za nim siepaczy.

— Przykujcie tego krakowskiego panka do draga.

— Com ci zrobił okrutniku, że się tak pastwisz nademną? — zawołał mój mąż, wleczoney przez silnych zbirów.

— Ty nie.

— Więc czego chcesz odemnie?

— Wykupu. Dziesięć tysięcy grzywien polskiej monety i wagi.

I widziałam, jak nieszczęśliwego podciągnięto pod belkę, jak mu założono żelazną obróżę na szyję, jak zamknięto kłódkę i za chwilę już stał razem w rzędzie z tymi nieszczęśliwymi męczennikami.

Kat nasz obrócił się do mnie i rzekł groźnie brwi marszcząc:

— Ty, jesteś wolna — możesz się udać do Krakowa, lub dokąd ci się zresztą podoba, wystarać się o pieniądze i przywieźć je na okup męża, a jeżeli w przeciągu trzech tygodni nie wrócisz się, ciało jego zgnije na tym haku i będzie służyć za pożywienie dla szczurów.

Co było robić — żegnając się z mężem, ten rozkazał mi przywieźć jak najprędzej pieniądze, ażeby go wyrwać z tego piekła, innego ratunku nie było.

Wysliśmy z córką z tych obrzydliwych lochów, sądziłam, że nas obiedwie wypuszczą, ale jakim się myliła, córkę moją oderwano odemnie i zamknięto w komnacie, którąśmy z początku zajmowały.

Nie pomogły nic moje łzy i prośby, wypchnięto mnie za wrota, a kiedym się już znalazła na zwodzonym moście, Cedrowicz, stojący na baszcie, zawołał potężnym swoim głosem:

— Pamiętaj ty, Salamonowa, żeś powinna mądrą być jak Salomon żydowski, jeżeli będziesz się udawać o pomoc do twego króla lub kogobądź, jeżeli za trzy tygodnie nie przybędziesz tu z pieniędzmi, zastaniesz tylko dwa trupy, a teraz idź i rozważ dobrze, co ci powiedziałem, jeżeli ich chcesz odebrać żywych, powracaj jak najprędzej z pieniędzmi, inaczej biada im i tobie kobieto.

Kiedym wyszła z przekłętego zamku bez denara, ludzie pokazali mi drogę do Kielc. Piechotą się tam zawlekłam i tam już u kupca, znającego nas, pożyczyłam pieniędzy na drogę do Krakowa. Nie bawiąc się, zebrałam czempredziej znajdujące się w kasie pieniądze i napowrót udałam się do Strafczyna. Upłynęło jednak przeszło dwa tygodnie czasu, zaczęłam zoba-
czyłam znowu wieżycę zamku rozbójniczego. Straż przepuściła moją furę przez most i znalazłam się na podwórzu okrutnika. Cedrowicz zobaczył mnie z okna, w którym stał właśnie i zawołał, żeby mnie do niego przyprowadzono.

Pierwsze jego pytanie było, jak tylko weszłam, czy mam pieniądze.

— Mam — odpowiedziałam ze łzami — a moi biedni?

— Czy wszystkie? całe dziesięć tysięcy grzywien?

— Całe — odpowiedziałam — a moi nieszczęśliwi?

— Zobaczysz ich — wylicz zaraz pieniądze.

Pacholek mój przyniósł worki, w każdym z nich znalazło się tysiąc grzywien, a było ich dziesięć.

Cedrowicz zdawał się zdziwionym, że tak dużą sumę tak prędko zgromadzić potrafiłam.

— Możesz zabrać swojego męża, pozwalam ci, idź do niego.

— A córka moja?

— Może także iść z tobą i pomódz ci do zabrania ojca.

Wprowadzono mnie do komnaty, gdzie moja Magda przebywała. Dziecina moja wyszła jak szczapa, zczerniała, zaledwem ją poznać mogła; rzuciła mi się, płacząc na ręce i powiedziała, że przez cały czas mojej nieobecności, ani razu nie pozwolono jej widzieć ojca.

— Więc pójdziemy teraz do niego — zawołałam — on już wolny, wykupiłam was.

Zbir stojący we drzwiach uśmiechnął się, ale nie mówiąc szedł przed nami do znajomej nam już wieży, też same drzwi żelazne znowu się otworzyły, zaleciał nas ten sam smród z podziemi, usłyszałyśmy też same jęki i znalazłyśmy się wśród piwnicy — ten sam szereg widm zdawał się stać w tem samym miejscu, prawieśmy nie patrzyły na nieszczęśliwych, spiesząc jak najprędzej do miejsca, gdzieśmy zostawiły nasz skarb jedyny.

Zastałyśmy go stojącym nieruchomo, na tej samej obróży zaczepionego, nie śmiałam mu spojrzeć w lice, rzuciłam się do jednej ręki, córka uchwyciła za szyję, ale on odwrócił się od nas całem ciężarem, ręka była zimna, zeszytywniała, ścisaliśmy trupa tylko.

Dozorca otworzył klódkę obróży i trup upadł na ziemię u nóg naszych.

— Możecie go zabrać i pochować — powiedział do nas — nie wszystkim się tak prędko i szczęśliwie udaje ujść ztąd.

Oniemiałam z boleści, ale dusiło nas powietrze, wzięłyśmy z córką trupa i wyniosły na podwórze.

Kościółek parafialny stał niedaleko, tam chcieliśmy zanieść ciało naszego męczennika, lecz nie pozwolono nam na to, nie pozwolono z nieboszczykiem przekroczyć za bramę

zamkową, ale wskazano nam miejsce ustronne w końcu niewielkiego ogrodu, pod rozsochatemi dębami i powiedziano, że tam możemy pochować ciało. Pacholek mój, który mnie przywiózł, przyszedł także, ciśnięto nam dwa rydle, a tak my obiedwie naprzemian się mieniając, przy pomocy naszego czeladnika, wykopałyśmy jamę i złożyły ciało w ziemi nie święconej, bez trumny, bez żadnych obrzędów religijnych — uklękłyśmy na grobie i krótką modlitwą poleciłyśmy duszę jego Bogu.

Sądziłam, że już koniec moich udręczeń i pragnęłam tylko lotem ptaka, z dziewczyniną moją, jak najprędzej wydostać się za bramy tego piekła.

Niechciano nam jednakże bramy otworzyć bez zezwolenia pana zamku, i właśnie, kiedyś się sprzeczała ze strażnikiem, w oknie zamkowym pokazał się znowu Cedrowicz.

— Hej! tam tę babę z jej córką przyprowadzić tu do mnie.

Porwano nas i zawleczono przed tego okrutnika.

— Jakto, chcesz odjechać, nie podziękowawszy mi nawet za łaskę oddania ci męża — niewdzięczna babo!

Taka bezczelność — takie naigrawanie się nad nędzą naszą, otrzeźwiły mnie i zdobyłam się na odpowiedź:

— Zamordowałeś go okrutniku — co chcesz odemnie? zapłaciłam ci za jego trupa, resztę zostawiam Bogu.

Cedrowicz rozśmiał się — No idź, nikt cię nie trzyma.

Przeżegnałam się i skinąwszy na córkę, zwróciłyśmy się ku drzwiom.

— A ty dokąd — zawołał zbrodniarz, chwytając moją córkę za rękę i gwałtownie ją odcinając — za ciebie nie przywieziony okup, ty zostaniesz tutaj.

Zdrętwiałam od przerażenia, nie byłam w stanie przemówić jednego słowa.

Cedrowicz stał nademną, podparłszy się pod boki i śmiejąc się mówił:

— Wykupiłaś męża, oddałem ci go, nie moja wina, że nie chciał czekać na ciebie i pierwszej pomaszerował do swoich przodków, ale córki nie wykupiłaś, i bez okupu jej nie puszczę.

Dziewczynina moja, konwulsyjnie uchwyciła mnie za ręce, i wpila się tak, że ścisłała mnie, jakby kleszczami żelaznymi.

Cedrowicz patrzył na to z uśmiechem.

— No! nie będę się długo zatrzymywał, moja miłościwa pani Salamonowa, krótko ci powiem, czego żądam od ciebie; kobieta zawsze ma tylko połowę wartości mężczyzny, chociażby to była nawet Salomonówna, w przeciągu trzech tygodni masz mi przywieźć pięć tysięcy grzywien złota za jej okup.

— Panie! miej litość nademną.

— Czyż ci nie okazuję litości, kontentując się tak małym wykupem, a dzierlatka ta, chociaż szpetnie jest chuda, dosyć mi się podoba, i dlatego nie każe ją nawet przykuwać do wspólnego draga, będę ją trzymał u siebie jak ptaszka w klatce, sama zobaczysz, jak wygodnie jej będzie u mnie do czasu twego powrotu — i oderwano moją gołąbkę od moich piersi i prawie nieprzytomną wyniesiono — mnie zatrzymano w tej samej komnacie.

Cedrowicz wydał jakieś rozkazy siepaczom, uprowadzającym moją córkę i znowu obrócił się do mnie:

— Cóż to znaczy taka bagatelna suma pięć tysięcy złota dla tak bogatej mieszczanki jak ty jesteś, jedź i spiesz się, gdyż, jeżeli w oznaczonym czasie nie przywieziesz opłaty, bieda jej!

Prosiłam, żeby mi pozwolił się z dzieciną moją pożegnać, zgodził się i na to, i sam mnie zaprowadził przez długi korytarz do obszernej stancyi.

Och panie mój i najmiłościwszy królu! to com ujrzała, nie da się opowiedzieć słowami, zamarłam z oburzenia.

Na środku obszernej komnaty stała klatka druciana, duża, formy uciętego stogu, u dołu szeroka a zwężająca się ku wierzchowi, w środku niej skulona leżała bezprzytomna Magdusia; klatka ta była tego rodzaju torturą, że zostający

w niej więzień, ani stać, ani siedzieć, ani nawet leżeć wyciągnięty nie mógł swobodnie, dzbanek z wodą i kawał czarnego chleba stał w klatce obok nieszczęśliwej.

— Dotrzymałem ci słowa, ptaszka zamknąłem w ładnej klatce, a mieściła ona nieraz już nierównie kosztowne ptaki — codzień jednak każe ją na kilka pacierzy wyprowadzać, żeby nogi rozprostowała — na wygodach jej zbywać nie będzie — jedź i powracaj prędko, im prędzej wrócisz, tem prędzej skończy się jej niewola.

I wyrzucono mnie za bramę z moją furą i moim pacholkiem, długom się namyślała co mam zrobić, nie mogłam się oderwać od bram zamczyńska, zostawiając moją sierotę w paszczy tego wilka; tymczasem pacholek mój wiózł mnie przez las drożyną. Nad drogą siedział stary dziadek z lirą na plecach, mój pacholek zapytał się go, dokąd prowadzi ta drożyna, którą jechaliśmy. Staruszek w miejsce odpowiedzi smutnie na nas popatrzał i nareszcie odezwał się w te słowa:

— Z jamy wilczej jedzicie moi ludzie! tam lucyfer siedzi i jego pomocnicy, co was tam sprowadziło?

Nie namyślając się, opowiedziałam wszystko dziadkowi, ten długo patrzył na mnie zamyślony, nareszcie przerywając milczenie rzekł:

— I cóż z tego będzie, że przywieziesz znowu wasani taką ogromną sumę, za trzy tygodnie, albo już żywej córki nie zastaniesz, lub jeśliby żyła jeszcze, to ją wypuści, ale tobie na nowo każe się wykupywać — nie tą drogą się idzie, żeby się wyzwolić z paszczy Cedrowicza.

— Więc co robić? — zawołałam, zalamując ręce — co robić?

Jest jedna rada, powiedział mi wówczas dziadek, w paszczy Przedborskiej poluje teraz nasz ukochany król Kazimierz, nie tak to daleko ztąd będzie, jedź wasani do niego, wyszukaj go, opowiedz mu wszystko, a on tam sobie już na to poradzi.

Nie długo się namyślałam, pojechałam do Przedborza, tu mi konie ustały, i dowiedziałam się, że król już jest

w Opocznie — piechotą przybyłam tu mój królu, aby cię błagać o opiekę i poratunek.

Król przez cały czas opowiadania Salamonowej stał, z uwagą przysłuchując się opowiadaniu kobiety, kiedy skończyła, położył jej rękę na ramieniu i rzekł:

— Zaprawdę nie udalaś się napróżno pod opiekę moją, biedna matko i żono, znałem twego męża, niejednokrotnie nawet ułatwiał mi stosunki handlowe z kupcami Amsterdamu i szanowałem go; niestety! wrócić ci go do życia już nie potrafię, ale się srogo pomszczę jego krzywdy i córkę twoją wydobędę z paszczy potwora; nie mam wprowadzić pod ręką odpowiedniego oddziału wojska, ażeby zdobyć zameczysko, ale jutro powracam do Krakowa, co znajdę w Chęcińskim zamku załogi, użyję jej, lub natychmiast z Krakowa wyprawię odpowiednie siły.

— To za późno być może, mój dobry królu, dziecko moje nie przetrzyma tak długo katuszy.

Teraz z tłumu słuchającego z uwagą opowiadania kobiety i odpowiedzi króla, przecisnął się chłop, lat czterdzieści, wysoki, suchy, w białej sukmanie na kozuchu, ściśnięty rzemieniem pasem, i przyklękając przed królem, rzekł:

— Na co ci panie nasz miłościwy wojsko? jesteś pośród swojego ludu, który cię kocha, pośród chłopów polskich, których jesteś królem i ojcem, rzeknij słowo, a jutro dziesięć tysięcy chłopów stanie jak jeden z siekierami, łukami i procami na skinienie twoje, rozwalimy to gniazdo rozbójników, i każde inne, któreby się śmiało sprzeciwiać twojej woli.

Król z uwagą popatrzył się na mówiącego, widząc, że słowa jego podobały się mu, bo zapytał:

— Kto jest, czy byłeś w jakiej wyprawie wojennej, że tak pewny jesteś zwycięstwa?

— Królu mój i panie! ja tylko biedny kmieć z Wólki Klóckiej, walczyłem niejednokrotnie pod twoim ojcem i nie jednego Krzyżaka młóciłem mojami żelaznymi cepami — znam zamek Strafczyński, bo zaledwie o milę od niego mieszkam,

znam wszystkie ścieżki po lasach, wszystkie przechody przez bagna i stawy otaczające go, pozwól mi tylko zebrać gromadę ludu tobie oddanego — a Strafczyn zburzymy i na żelaznej obroży przyprowadzimy do twojego ukarania tego nędznego szlachetkę.

— Pójdziemy! wszyscy pójdziemy! — zaryczał tłum ludu jednym wielkim głosem — za naszego Boga i króla.

— Idźcie więc moje dzieci w Imię Boże i w imię uciśnionych nędzarzy, Bóg was poprowadzi, ja zaś dodam wam dowódcę, pod którego kierunkiem, ożywieni tym zapalem, do pełnicie szlachetne dzieło — tu król obrócił się i skinął na Kochana stojącego za nim wraz Plichtą.

Był to człowiek lat zaledwie czterdziestu kilku, na losiowym kaftanie miał naciągniętą lekką wenecką zbroję, jaką podówczas używano pospolicie na turniejach, która na pozór będąc delikatnej roboty, w istocie zaś była tak umiejętnie zahartowana i tak misternie spojone jej ogniwa, że uginając się jak skóra pod uderzeniem szabli, nie ustępowała jednakże najlepszym ciosom. Kochan był postawy okazalej, dumnie podniesiona głowa, włos czarny, kręący się i rzut czarnego oka sięgający do głębin, czyniły go tak podobnym do króla Kazimierza, że wielu utrzymywało, iż jest jego bratem, bo wiadzano powszechnie, iż król Władysław długo się chronił w zamku jego rodziców, leżącym w ziemi Proszowskiej.

— Słuchaj Jaśku, czy odważysz się bez udziału wojska, na czele tylko tego ludu, uderzyć na zamek Strafczyński, zdobyć go i oddać w ręce nasze herszta rozbójników, a poprzędnio zdrajcę kraju Cedrowicza?

Kochan ani chwili nie namyślał się, powiódł okiem po zgromadzonym tłumie i odrzekł:

— To lud polski, mój królu — to lud twój, który cię ubóstwia, za niego i z nim czegoż zdobyć nie potrafimy.

A więc oddaję ci komendę, weź nadto z mojej straży przybocznej pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, porozumiej się z tym

dzielny wieśniakiem, który ze mną mówił, uderz i zwycięż, uwolnij więźniów i ukarż morderców!

— A zamek zburzę do podstaw i zaorzę ziemię.

— To zbyteczne, zamek nam się może przydać — oszczędź go.

Teraz król obrócił się do ludu zgromadzonego i głosem potężnym, trochę zającując się, wyrzekł:

— Idź ludu mój do domów, ci którzy zdolni nosić broń, niech się przygotują pod dowództwem mego walecznego rycerza Kochana na wyprawę przeciw Cedrowiczowi. Idź ludu do domów, uprawiaj rolę, hoduj stada bydła i owiec, hoduj barcie pszczół w pasiekach i spokojnie zasypiaj, ja czuwam nad tobą i żadnej krzywdy nie przepuszczę.

Lud zaczął wychodzić z bram zamkowych, każdy jednakże chciał pierwiej docisnąć się do stóp króla i chociaż dotknąć obrąbku jego szaty.

Kiedy już tłumy ludu wywały się za bramy, pozostała gromada żydów, którzy niedawno wypędzeni barbarzyńsko z Hiszpanii, znaleźli schronienie na ziemi polskiej. Ci zwyczajem ludów wschodnich, padli twarzą na ziemię do stóp króla, i dziękowali mu i prosili zarazem o opiekę przeciw naciskowi duchowieństwa, które najnieprzyjaźniej od chwili ich przybycia okazywało się usposobionem.

Kazimierz spojrział po kornie schylonych postaciach i rzekł:

— Znaleźliście się pośród obcego wam ludu, nie umiając jego języka, nie znając jego zwyczajów, lud ten bratersko otworzył wam bramy i serce swoje, bądźcie mu braćmi, żyćcie w zgodzie, uczcie go handlu i przemysłu, któremi władacie, on was nauczy rolnictwa i będziecie spokojni, nikt was tu prześladować nie będzie, prawa moje zabezpieczą was, a opieka osłoni.

ROZDZIAŁ III.

Uczta Estery.

Wspaniała uczta zastawioną została w jednej z bogatych sal palacu Estery, a nie tylko dary szczodropliwości króla złożyły się na upiększenie jej mieszkania, chociaż i te nie były skąpe, lecz piękna czarodziejka, córka potężnego plemienia Chazarów, mieszkającego na przestrzeniach pomiędzy Dnieprem a Wołgą, szeroko rozlanych u podnóża gór Uralskich, wyznawała jak i wszyscy jej współplemiennicy religią żydowską, i była córką jednego z ich książąt, których starożytność ginęła w mgle wieków. — Wielki książę kijowski Włodzimierz, nim go przyciągnęły okazałości Bizancyum i stanowczo przyjął wyznanie wschodnie, podług starych kronikarzy, naradzał się z drużyną swoją, czy nie lepiejby było przyjąć religią Chazarów swoich sąsiadów, i utworzyć państwo żydowskie. — Przemogły wpływy Bizantyńskie, a ludy Chazarskie pomalu uległy orężowi Waregów, Rurykowiczów; pomiędzy nimi temuż samemu losowi ulegli i Połowcy także wyznania żydowskiego, lecz wielu z nich nie chciało złożyć hołdu Rurykowiczom i przeszedłszy Dniepr i posiadłości książąt Ruskich, zatrzymali się w granicach Polski. — Z takiego to rodu pochodziła Estera, która przyniosła z sobą podania Wschodu, jego przepych i rozkosze. — Kazimierz chętnie garnał do siebie wszelkie emigracyjne żywioły i kraj rozrastał się w potęgę i bogaćwa. Miasta zapelniały się cudzoziemcami, którzy przynosili z sobą swoje kapitały i umiejętność i dodatnio wpływali na rozwój cywilizacyi. — W tym czasie żydzi prześladowani w Hiszpanii, tłumnie opuścili jej niegościnne prowincye i znaleźli otwarte bramy dla siebie Rzeczypospolitej polskiej — z drugiej strony pokolenia Chazarów naciskane przez Mongołów w XIII wieku i przez Warego, Rurykowiczów, nie mogąc cofać się na Wschód

przez dzikie ludy, zamieszkujące w ich sąsiedztwie, znajdowały pustynie nieosiadłe na prawym brzegu Dniepru i tu przesiedlały się całemi pokoleniami i posuwały się z czasem coraz, coraz dalej aż do granic Rzeczypospolitej polskiej, i przekroczywszy je cichaczem, rozlały się po całych jej obszarach. — Żydzi, pochodzący od Połowców i Chazarów, mają dotąd wybitną cechę swego pochodzenia w rysach twarzy i kolorze włosów i brody — kiedy żydzi Hiszpańscy odznaczają się czarnemi, kręconemi się włosami, cerą śniadą i garbatemi nosami. Potomkowie Chazarów należą do najpiękniejszego szczepu ludów Kaukaskich, oczy ich pospolicie są czarne, lecz włosy blond, rysy regularne, a broda z czasem zamienia się w złoto-żółtą; dwa te szczepy rozdzielone przed tysiącem lat, zlały się na ziemi polskiej z sobą i utworzyły napowrót jeden lud.

Dziś tradycya tego podania w niewielu tylko familiach żydowskich się przechowuje, lecz w XIV wieku były to jeszcze żywe fakta, które odbywały się prawie w oczach współczesnych.

Stół zastawiony był na kilkanaście tylko osób wybranych; na podwyższeniu okrytem bogatym kobiercem, pod baldachimem z purpury i złota, siedział król Kazimierz w jedwabnej białej szacie, z szeroką złotą listwą u dołu, przepasany kosztownym niebieskim pasem przetykanym perłami i w srebrne białe kwiaty haftowanym perłami. Obok niego po lewej stronie siedziała Estera, kosztowne zausznicze z pereł białych i czarnych spadały na jej ramiona i stanowiły zarazem strój głowy, z pod nich wydobywały się obfite zwoje włosów lnianej barwy, spadającej w ten odcień złotawy, którym tak pyszniła się cesarzowa Eugenia. Po prawej ręce króla siedział car Stefan Duszan w bogatym stroju na bizantyński sposób uszytym, dalej Kiejstut, który nawet przy stole nie zdejmował swojej żelaznej kolczugi — następnie siedział Nawój Tenczyński, Lięża, a w dalszym ciągu stołu ku końcowi, siedziało kilku panów serbskich, przybyłych z carem Duszanem i dwóch

książąt litewskich, towarzyszy Kiejstuta. Muzyka umieszczona po za zasłonami jedwabnemi, od czasu do czasu się odzywająca, uprzyjemniała biesiadę; gościom usługiwały kobiety bogato postrojone, jedne z nich ze złotemi dzbanami w dłoni uwijały się, dając baczność, ażeby nie próżnowały puhary i kiedy tylko spostrzegły, że są próżne, natychmiast je nalewały cypryjskiem winem lub staremi miodami; drugie na złotych i srebrnych ogromnych półmiskach wnosily potrawy dziwnie przystrojone, a jeszcze dziwniej przyrządzone, silny zapach korzeni wonnych rozchodził się dookoła, a dym ze złotej kadzielnicy wonnościami Arabii napelnionej, umieszczonej w rogu, napawał powietrze niezwykłą uderzającą wonią. W drugiej sali, przy dużym stole, siedzieli dworzanie króla, cara i księcia Kiejstuta, tu już hajduki przynosili im potrawy i gwar wcale niekrepowany sąsiedztwem dostojnych gości, głośno się rozlegał pośród nich. Ani jeden z magnatów polskich ani duchowieństwa nie był zaproszony na królewską ucztę — być może, żeby i nie przybyli wieczerzać u niewiernej żydówki, bo ze zgrozą patrzyli na to, jak król nietylko sam ale i swoich dostojnych gości ugaszczal przy wspólnym stole z Esterą.

Kazimierz w owej epoce znalazł się w otwartej wojnie z duchowieństwem i magnaterią. Przed dwoma laty ustanowiony został znakomity na ów wiek statut Wiślicki, ogłaszający prawa niewzruszone, zapobiegający samowoli, dający opiekę biednemu. Jakkolwiek podpisany przez szlachtę i duchowieństwo, nie podobał się wogóle, ale kiedy król nietylko że zaraz polecił wprowadzić go w wykonanie, lecz drobiazgowo pilnował, żeby urzędnicy wyznaczeni do egzekucyi praw, nie uwodzili się pozorami, a ścisłą sprawiedliwość wykonywali, szlachta, przywykła do samowoli, z niecierpliwością żuła wędzidła nałożonej im uzdy i ze wzgardą odzywała się o wielkim prawodawcy, nazywając go pogardliwie »Królem chłopów«. Duchowieństwo miało jeszcze osobiste i wprost go dotykające powody nieukontentowania. Król, nieprzyjaciel wojny, zmuszony jednak

był koniecznie prowadzić ją z Czechami i Rusinami. Świeżo przyłączona Czerwono - Ruska ziemia potrzebowała wielkich nakładów, Kazimierz nie chciał podwyższać podatków włościan, podciągnął więc pod kategorią wspólnych opłat dobra duchowieństwa. Był to rzucony kamień w gniazdo os. Bodzanta wyklął króla, a król śmiało gotował się do podniesienia rzuconej mu rękawicy.

Wiadomość o kłatwie rzuconej na króla przez Bodzantę biskupa krakowskiego, pierwsza Estera przywiozła królowi do puszczy Przedborskiej, sądząc, że król przedsięwzięcie środki, zapobiegające ogłoszeniu jej publicznie, bo ta dopiero wtedy stawała się ważną, gdy podlegający interdyktowi urzędownie zawiadomiony został o wyroku biskupim. Kazimierz jednak nie był tak przerażony jak sądziła Estera, kłatwy w XIV wieku bardzo liczne, stępiły już swój oręż i wiele było panujących, zostających pod interdyktem, którzy sobie z tego żartowali. Gniew tylko potężny opanował go i lew śmiało postanowił stawić czoło nieprzyjaciolom; dlatego to przybywszy do Opoczna, nie udał się na zamek starościński, ale przyjąwszy gościnność u Estery, nie wezwał do siebie ani duchowieństwa ani szlachty. Król zapomniał zdawało się o grożącym mu wyroku, wesoło prowadził rozmowę z otaczającymi go, a tymczasem nie zaniedbywał wychylać puharów i smakować potraw, które swoim widokiem przyciągały zarówno oko jak zmysł smaku.

Książę Kiejstut ze swoim oddziałem wprost z Opoczna jutro wybierał się z powrotem do Żmudzi; była to więc pożegnana uczta. Car Stefan udawał się do Krakowa razem z królem i ztamtąd dopiero miał się wybrać do Serbii.

— Piję zdrowie twoje, szlachetny książę Kiejstucie, aby związki nasze przyjacielskie nie przerywały się. Dwa razy mam już zaszczyt ugasać cię u siebie, raz wprawdzie jako szlachetnego jeńca, drugi raz teraz jako przyjaciela, i mam nadzieję, że tymi już pozostaniemy do śmierci, bo wspólnych mamy wrogów i wspólnie sobie pomagać powinniśmy. Krzy-

żacy zarówno groźni są Polsce jak Litwie, wspólny to nasz wróg.

— O dawny to i srogi wróg Litwy i mój osobisty — mówił Kiejstut, zadumawszy się ponuro. W kolebce dzieckiem jeszcze byłem przy piersi, gdy Krzyżacy zniemacka napadli na zamek, w którym zostawałem przy mamce tylko. Ojciec mój był na dalekiej wyprawie na Rusi, a matka, nie spodziewając się napadu, bo zawarte nawet było przymierze niedawno z mistrzem, wyjechała o kilkanaście mil. Zameczek drewniany, jakkolwiek opatrzony był waleczną załogą, ta jednak w czasie zupełnego pokoju, w części udała się na łowy, druga zaś połowa niedbale strzegła zamku. Krzyżacy podpełzli jak gadziny jadowite, ze wszystkich stron otoczyli zamek drewniany, a będąc powiadomieni, że matka moja w nim ze mną przebywa, wśród wściekłych okrzyków wyrwali palisady, wycięli załogę i zdobyty zamek zamienili w kupę gruzów. Mamka moja wśród zgielku bitwy, przy zapadającym zmroku, zdołała ze mną tajemnym wyjściem wydostać się na wolność — zaledwie potrafiła zabrać z sobą kawał surowej słoniny. Uniosła mnie do groty wśród odwiecznego lasu położonej i tam przywiązawszy mi słoninę na piersiach, przytknęła do ust i pospieszyła ratować swoje dziecko, o którym na chwilę zapomniała; dziecięcia nie zastała już przy życiu, zgorzało wraz z walecznymi obrońcami zamku, a sama nieszczęśliwa kobieta dostała się do niewoli Krzyżakom. Ci dowiedziawszy się od jeńców, że ona była moją karmicielką, przez trzy dni męczyli ją, bijąc z największym okrucieństwem, ażeby zeznała, co się ze mną zrobiło. Kobieta wytrzymała wszystkie męczarnie głodu, pragnienia, bólu — ale żaden Litwin nie zdradzi swojego kunigasa — ciągle utrzymywała, że uciekłszy ze strachu, w zameczku zostawiła oboje dzieci; nie nie pomogły groźby, tortury, męczarnie, nareszcie Krzyżacy opuścili pobojewisko, a na pół żywą tylko moją Maturnę wyrzucili za bramę, na śmierć głodową przeznaczając. I ta nieszczęśliwa ofiara barbarzyńców, czwartego dopiero dnia była w stanie dowieść się do

miejsca, w którym mnie ukryła; spodziewała się, że dziecko dawno umarło z głodu, lub zostało pożarte przez wilki, rysie, lub drapieżne ptaki, pragnęła chociaż kości dziecięcia zabrać, odnieść Wielkiemu księciu, żeby je spalili na stosie ofiarnym Perkunowi.

Lecz jakże została zadziwiona, gdy zastała dziecko żyjące i zdrowe, które w czasie jej nieobecności żywiło się ssaniem słoniny, którą zmniejszyło do wielkości laskowego orzecha. To było pierwsze moje zetknięcie się z Krzyżakami, a potem! potem ileż to walk z nimi stoczyłem, ilu ich położyłem trupem, ilu oni moich walecznych towarzyszy zamordowali — bywałem i gościem w ich zamczyskach i jeńcem. Co za obrazy przesuwiają się przed moimi oczami! raz pomnę, poraniony srodze, mając ubitego pod sobą konia i kiedy padli wszyscy moi towarzysze, dostałem się do niewoli, nie raz tylko, ale ten wypadek został mi na zawsze wyryty w pamięci, bo obraz, jaki ujrzałem, przechodzi wszelkie ludzkie okrucieństwa.

Zaprowadzono mnie do Malbarga. Krzyżacy, lubo zwyciężyli nas w małej bitwie i wzięli mnie jeńcem, skrycie jednak drżeli przed potęgą mego ojca Gedymina W. Ks., a mnie chcieli użyć za narzędzie niezgody, sięjąc pomiędzy książętami Litwy intrygi. Jakkolwiek więc byłem jeńcem, traktowali mnie ze względami należnemi synowi potężnego władcy północy.

Zasiadaliśmy do uczty wyprawianej przez Wielkiego Mistrza, w sali wspaniale przybranej. Wino i miody lały się potokami; kiedy rycerze i sam mistrz i goście różni, książęta Niemiec, byli już dobrze podcięci, po skończonym obiedzie Wielki Mistrz rzekł do swoich gości, że teraz wyprawi im rzadką rozrywkę. Zaprowadził więc nas wszystkich na balkon, który, jak to jest pospolicie w starych dworach i zamkach, był umieszczony nad kuchnią. Liczne knechty krzyżackie i służba przybyłych zagranicznych gości skończyli już obiad; na środku podwórka stało kilka długich koryt, w jakich pospolicie dają świniom jedzenie, w nie rzucano resztki niespożytej żywności, poobgryzane kości i wszelkie pozostałości przy-

noszono w cebrzykach i pakowano do koryt. Sądziliśmy, że będą wypuszczone psiarnie lub chowane niedźwiedzie, które i na naszych dworach przechowujemy.

Na znak uczyniony przez Mistrza, który stał pośród nas, przełożony nad kuchniami brat zakonny dał sygnał na swej srebrnej piszczałce; natychmiast podniesiono do góry drzwi od budy podobnej do psiarni, a na dziedziniec wypadła krzyżąc, wrzeszcząc, wyjąc, nie gromada psów, ani niedźwiedzi, do których w zwierzęcych ruchach wielce były podobne, lecz ogromna zgraja dzieci, około 300 sztuk, na pół nagich i zupełnie dzikich.

Ci nieszczęśliwi, jak zgłodniałe psy, rzucili się do koryt, bili się, szamotali, krzyczeli, gryźli się między sobą, aby porwać kość obgryzioną, albo na pół surową główkę czarnej kapusty. Pomiedzy nimi chodzili dozorczy z batami rzemiennymi i niemi starali się zaprowadzić jakiś porządek; te nieszczęśliwe dzieci litewskiej ziemi, których rodzice zostali wymordowani, siola i dworce spalone więcej już jak od roku, zostały przygnane na postronkach do Malbarga; swojego języka zapomniały, niemieckiego się nie nauczyły, był to więc tylko belkot dzikich ptaków, charczących pomiędzy sobą zwierząt. Wielki Mistrz był zadowolony, niemieccy goście śmiali się, biorąc się za boki, a ja schwyciłem żelazną balustradę ganku i gdybym ją był wówczas zdołał wyrwać, byłbym roztrzaskał czerep temu potworowi, co tak lubował się nędzą nieszczęśliwych sierót.

O! nadeszły potem chwile i dla mnie odwetu, dwadzieścia tysięcy mieszkańców w okolicach Malbarga wyciąłem, nie oszczędzałem płci ani wieku, miasta i wieś puściłem z dymem i na stosach paliłem rycerzy niemieckich, lecz czyż to dosyć za wszystkie krzywdy, jakie Litwie wyrządzili Krzyżacy? Żmija ta, którąście wy Polacy ogrzali przy swojej piersi, zarówno jadłem swoim zatrują polskie równiny, jak litewskie lasy. Kiedy jej potrzeba, pokornie czołga się do nogi, lub też staje dęba jak koń i rzuca się do twarzy upatrzonej ofiary;

dobrześ powiedział mój królu, wspólny to nasz nieprzyjaciół, dlatego więc, jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował z nim się zmierzyć, przyślij gońca, a pięćdziesiąt tysięcy żmudzkich koni stanie pod twojemi sztandarami; pięćdziesiąt tysięcy rycerzy, źle wprawdzie uzbrojonych, bez żelaznych zbroi, ale za to z żelazną piersią i ręką stanie do twojej pomocy.

— Przyjmuję twoją pomoc książę Kiejstucie i w danej chwili nie zaniedbam z niej skorzystać — król zamyślił się na chwilę, a potem podnosząc głowę dodał:

— Mam ci ja i innych nieprzyjaciół, również groźnych jak Krzyżacy; tamci otwarcie z orężem w rękę występują przeciwko nam, a ci jak krety kopią podemną nory i w ciichości starają się zgotować mi upadek. Ale minęły czasy Bolesławów Śmiałych — jeżeli mnie wyzwa do otwartej walki stanę na czele ludu wiejskiego, wezwę wówczas twojej książę Kiejstucie i na czele moich chłopów i twoich Żmudzinów zaprowadzę porządek w kraju, na który świat z zadziwieniem patrzeć będzie, podepcę harde karki szlachty i ich sprzymierzeńców, i nie zawaham się wyprowadzić najdalszych konsekwencji.

Car Stefan siedział głęboko zamyślony — wprawdzie król obiecał mu pomoc w jego sprawach serbskich, jednakże widział, że król ten nie spoczywa na różach i że położenie jego jest bardzo naciągnięte i że ma tyle spraw do załatwienia wewnątrz, iż pomoc jego okazać się może bardzo nieznaczna.

— Ale zacni panowie, nie zamieniamy uczt w jakieś układy dyplomatyczne i nie zasępiamy czoła pięknej naszej gospodyni, podajcie-no puhary z winem, niech trunek rozjaśni nasze ciemne myśli i niech szlachetni goście moi uwiozą z sobą wspomnienie mile przepędzonej chwili.

Po tych słowach króla, w mgnieniu oka zadość się stało woli jego. Król z Esterą i goście powstali od stołu i z puharami w rękę udali się do sąsiedniej sali i tam pozasiadali na wezgłowiach.

Tymczasem tony muzyki, dotąd ciche, łagodne, jakby snujące się gdzieś w dalekich przestrzeniach i ztamtąd melodyjnie wpływające do ucha, odezwały się naraz z potęgą uraganu, który wirując po puszczy, łamie drzewa, przewraca skały i wszystko porywa w swoje wiry — i w tejże chwili purpurowa opona, stanowiąca jedną ze ścian, podniosła się i do sali wpadł orszak kobiet, bogiń może, bo z wdziękami ich nieda się nie porównać; w rękach trzymały jakieś starożytne instrumenta muzyczne: flety, gitary, tamburyny, bębni, kastaniety i jednocześnie grając na nich, wykonywały tańce.

Goście z zachwytem wpatrywali się w zgrabne ruchy tancerek, te upojone szalem, z palającymi żrenicami, z podniesionymi rękami do góry, z kastanietami srebrnymi na palcach, wyprawiały tańce, jakie dzisiaj jeszcze bajadery odbywają na dworach książąt indyjskich. Raptem, przewodnicząca tańcom wzniosła srebrną laskę ozdobioną wstążkami do góry i sama zatrzymała się w pozie nieruchomej, z jedną nogą w powietrzu, z ustami nawpół rozchylonemi, jakby skamieniała; na ten znak, wszystkie tancerki pozostały nieruchome, w takiej postawie, w jakiej je zastał niespodziewany sygnał. Wszystkich oczy były zwrócone na kotarę zakrywającą ścianę, która pomalu podniosła się i do sali wtoczył się ogromny smok. Paszcze jego siedmiu łbów buchały ogniem, z nozdrzy wychodził dym, ale tak cudownie piękne aromaty sabejskiego kadzidla rozlewał naokoło, że upajał — czarował.

Smok wtoczył się w koło przelekłych niby tancerek, siedem łbów wykręcił na siedem stron i zdawał się upatrywać ofiary, którąby mógł pożreć.

Wieszczka dała znak, i w mgnieniu oka wszystkie dziewczę zaczęły uciekać, chronić się, tańczyć, wirować, że smok zdziwiony obracał się naokoło, nie mogąc uchwycić upatrzonej ofiary, a tymczasem tancerki zarzucały mu na łby szale, kwiaty, zasłony. Wówczas rozległ się grzmot przeciągły, sufity się rozsunały i w obłokach ukazał się rycerz w żelaznej zbroi z mieczem w dłoni, ale był to rycerz tak malutki, mniejszy jak karzeł,

jakiś król liliputów. Ten odważnie spuściwszy się z obłoków, stanął wprost paszczy potwora i mieczem swoim po kolei ścinał wszystkie siedem łbów. Cielsko zostało nieruchome, a z odciętych kadłubów ciekły czerwone balsamy kosztownych zapachów.

Wówczas tancerki zawirowały około zwycięskiego rycerza, porwały go w swoje ramiona, otoczyły kwiatami szyszak, i rycerz, który pokonał smoka siedmiogłowego, musiał uleść przed natarczywością bachantek, skrepowany zwojami kwiatów, jako jeniec został zaprowadzony przed oblicze króla. Cała grupa wraz z rycerzem przyklęknęła i oddała królowi pokłon. Król wyciągnął ręce i wziął rycerza na swoje kolana, rozpiął mu szyszak, w którym mały rycerz zdawał się dusić i zdjawszy z głowy helm postawił obok. Wszyscy z ciekawością przypatrywali się tej scenie; bujne kędziory lnianych włosów rozsypały się po ramionach, i oczom obecnych pokazał się prześliczny dzieciak rumiany, z wesoło śmiejącymi się oczami, mógł mieć około pięciu lat wieku. Król z lubością wpatrywał się w oczy chłopięcia, odgarnął mu włosy i złożył pocałunek na czole; chłopiec objął obu rączkami szyję króla i pocałunkami okrywał królewskie oblicze. Był to Niemira, starszy syn Kazimierza i Estery.

— Waleczny rycerzu, który pokonujesz smoki, chcąc nagrodzić twoją waleczność i zachować twoje groźne ramię na naszą usługę, nadaję ci na własność wsie: Kutaw, Jurznie i Drugnią, w naszej ziemi Sandomierskiej, któremi matka twoja w czasie twojej małoletności zarządzać będzie; — to mówiąc, król powstał, podał rękę Esterze, i oddalił się. Jednocześnie półmrok ogarnął salę, a wśród niego słychać było cichą melodyę muzyki i śmiechy gości pozostałych.

ROZDZIAŁ IV.

Zdobycie Strafczyna. — Amadeje. — Zemsta kobiety bez nosa i uszów.

Na drugi dzień rano, wśród mrozu iskrzącego się od brylantów rozsypanych po śniegu, stały przed zamkiem Estery dwa orszaki, gotowe do pochodu, jeden z nich stanowili Żmudzi, towarzyszący księciu Kiejstutowi na swoich małych, ale silnych, obrośniętych kudłatą pierśią koniach, sami pokryci skórą niedźwiedzi i wilków w ciepłych baranich kożuchach pod spodem, uzbrojeni w potężne łuki i proce z ciężkimi mieczami przy boku, z toporami zatkniętymi za siodło; ludzie zawięśli, złożeni tylko z żył i kości, przedstawiali oddział wcale nie zasługujący na lekceważenie, chociażby nawet przeciw w żelazo okrytemu nieprzyjacielowi, jak Krzyżacy, którzy niejednokrotnie też doświadczyli ciężaru ich toporów, potęgi mieczów i celności strzałów. Żmudin, kiedy celował z łuku do wieiórki siedzącej na wierzchołku niebotycznej sosny, trafiał ją zawsze w oko, żeby nie psuć skóry zwierzęcia. Ten sam system przyjęty był wprawdzie z innych względów i z Krzyżakami. Strzały wypuszczone przez Żmudzinów trafiały zawsze w twarz i pospolicie popadały w oko lub usta. Dlatego też bardzo wielu rycerzy krzyżackich, którzy walczyli z Litwinami, było ślepych lub z ranami w ustach — i Polacy doświadczyli nieraz na sobie ich siły i trafności oka.

Teraz cały ten oddział stał gotowy do pochodu przy koniach, oparty jedną ręką o siodło z nogą w strzemieniu.

Na ganku pokazał się król Kazimierz, car Stefan i książę Kiejstut; natychmiast odezwały się letaury, rogi żmudzkie i cały orszak na skinienie swojego kunigasa dosiadł koni, z oczami utkwionymi w swojego bohatera.

Książę Kiejstut w żelaznej zbroi, jak również i kilku z kunigasów, żegnali się z królem. Kiejstut zdjął żelazną ręk-

kawicę i chciał przyklęknąć na jedno kolano, Kazimierz szybkim ruchem nie dopuścił jednak do tego, zatrzymał bohatera Litwy i przycisnął go do piersi. Jak prawice nasze, tak i ludy niech będą złączone przyjaźnią — rzekł poważnie król.

I niech zawsze mają jedno cele i razem uderzają na wspólnego wroga.

I dwóch tych bohaterów wieku, jeszcze jednym twarzym uściskiem dłoni pożegnali się. Gdy Kiejstut dosiadł konia, wówczas zbliżyło się dwóch giermków królewskich i podało mu długą żelazną strzelbę ze skalkowym już zamkiem i odpowiednią ilość prochu, jako upominek królewski; inni kunigasi obdarzeni także zostali bogatymi ciężkimi mieczami i koncerzami.

Radość wielka wyryła się na twarzy Kiejstuta na widok podarowanej broni; miecz tę ognistą żmiję na swoje rozkazy, wycelować jej szyję ku łbom krzyżackim, rzucić iskrę z krzemienia na proch, i potem słyszeć huk potężny jak głos perkuna, rozlegający się z paszczy, i widzieć przewracającego się Krzyżaka, któraż radość tej wyrównać zdola?!

Z konia już skinął głową królowi, rusznicę zawiesił na plecach, i wzrok, jaki mu cisnął, był tak pełen wdzięczności i malował takie wzruszenie, że ledwie był w stanie wymówić:

— Dziękuję, królu, bracie mój! — na wspólnego wroga.

Dał znak, letaury znowu zabrzmiały, odezwały się rogi i cały orszak skierował się ku bramom miasta.

Teraz odezwały się trąby polskich rycerzy. Nawoj z Przegini na pysznym tureckim bachmacie, cały w złocistej zbroi, na której tygrysia powiewała skóra, spięta na ramieniu bogatą agrafą złotą, wysadzana brylantami, prowadził orszak królewski.

Ligeza z chorągwią Rzeczypospolitej, jak zwykle poprzedał oddział. Dwaj ci magnaci szczerze przywiązani do króla, razem z wojewodą sandomierskim Ottonem z Pilicy, stanowili silne królewskie stronnictwo, gotowi za króla ukochanego i za reformy przez niego zaprowadzone położyć głowy. Kochan

i Plichta należąc do mniej zamożnych domów, zawsze jednak z magnacką fortuną, byli również fanatycznymi czcicielami wielkiego prawodawcy.

To też Kazimierz zobaczywszy wiernych przyjaciół przy swoim boku, uśmiechnął się sympatycznie i dosiadł konia, którego trzymało dwóch giermków, zaledwie mogąc mu dać radę.

Orszak Duszana stał na boku, oczekując swojego władcy.

Król ręką zaprosił cara Stefana do jechania obok siebie, i poprzedzony przez chorążego Ligęzę, ruszył wraz z całym orszakiem, żegnany przez lud tysięcznymi okrzykami.

Przed ratuszem stały nowe tłumy, ale te złożone były po większej części ze szlachty, mającej na swoim czele starostę Bobrzyckiego. Król nie zatrzymując się, chciał przejechać około nich, groźnie zmarszczywszy lice, na sam jednak środek drogi wysunął się starosta, otoczony licznym orszakiem szlachty i zastąpił królowi; butne miny jednak na widok groźnie zmarszczonych brwi królewskich, nagle spokorniały i szlachta odkrywając głowy, stała milcząca; Bobrzycki nie stracił jednak fantazyi, z odkrytą wprawdzie głową, ale głosem, w którym nie słyhać było wcale pokory, rzekł, lekko się nachyliwszy:

— Najjaśniejszy Panie i Królu nasz miłościwy, szlachta pragnie ci złożyć swoje powitanie i zaprosić wpośród siebie na ucztę.

— Mości starosto — odpowiedział król głosem donośnym, tak, że słowa jego jak metalowe dźwięki dzwonu rozległy się w około — zapóźno waszmoście wybraliście się z powitaniem, król wasz bawi tutaj od wczoraj, mieliście dosyć czasu na oświadczenie swoich uczuć, lekceważyliście naszą łaskawość. Król wybornie obejdzie się bez waszych oświadczeń i potrafi wymierzać sprawiedliwość ludowi, bez względu na to, czy wam się to podoba, czy nie.

— Najmiłościwszy Królu — mówił dalej starosta — biskup nie pozwolił nam złożyć swoich wiernopoddanych uczuć w domu żydówki, zagroził nam równie klątwą.

Król chciał coś odpowiedzieć, ale tak był rogniewany, że tylko skinął na Tenczyńskiego, i w tej chwili zagrmiał donośny głos Nawoja:

— Rozstąpić się. Niech żyje król! z nim razem chociażby do piekła — w setnych echach lud powtórzył ten okrzyk i orszak cały ruszył, zostawiając zdziwioną szlachtę.

Lud rozstępował się z uszanowaniem przed orszakiem królewskim. Ciężka brama otworzyła się na rozcież, ze zgrzytem łańcuchów zwodzonych opadł most i król poprzedzony chorążym Ligezą, wyjechał z bram Opoczna, za nim ciągnął się liczny tabor wozów obładowanych sprzętami i przyborami królewskimi.

Droga ciągnęła się płaszczyznami piaszczystymi, na teraz jednak przykrytymi śniegiem — wszędzie lud wiosek, przez które król przejeżdżał, wychodził z chlebem i solą, król wszędzie zatrzymywał się, przyjmował podane sobie dary i uprzejmie wypytywał się chłopów, czy są sądzeni podług praw już nowych, czy im się nie dzieje krzywda, kto jest panem ich włości. Prawie wszystkie wsie, przez które przejeżdżali, należały do biskupa krakowskiego Bodzanty, herbu Róża. Pod wieczór na samym już zachodzie słońca, strzeliły w górę wieżycy, krytego blachą klasztoru Bernardynów w Paradyzie — tu król postanowił przenocować wraz z swoim orszakiem — obszerne zabudowania klasztorne z ogromnemi stajniami i wozowniami wygodnie mogły pomieścić wszystkich podróżnych.

Co mogło skłonić fundatora do założenia klasztoru tak pięknego i imponującego swoim ogromem, właśnie w tem miejscu, trudno bardzo zdecydować. Lotne piaski Sahary, w które po kolana zapadają nogi idących, płaszczyna bezbarwna i bez żadnego piękna, nie mogła przyciągać do siebie, chyba tylko zdrowotność miejsca mogłaby usprawiedliwiać wybór, ale w owych czasach na względy sanitarne nikt podobno nie zważał; ogromne lasy sosnowe otaczające go naokoło, w czasie upałów roznosiły zapach żywicy, i być może, że dlatego przed kilkoma właśnie laty, kiedy morowa zaraza wyludniała

pół Europy, a i Polsce także nie przepuściła — w Paradyzie i w ogóle prawie w całym Opoczyńskim, nie potrafiła się ulokować. Klasztor naówczas pełny mnichów, i duża wieś roztaczająca się u stóp jego, Wielka Wola, nie zaznały tej kłeski; rzeczywiście wielka wola potężnego władcy musiała stworzyć tę Wielką Wolę wieś i klasztor, czyli jak inaczej nazywają Paradyz, bo ówczesni ludzie zwykle szukali dużych gór, bieżących rzek do zakładania zamków lub klasztorów, ta zaś miejscowość wybrana była wśród puszczy Przedborskiej, za całą wartość swoją mając tylko bogaty płaszcz zielonych igieł sośniny.

Wysłany został pospieszny goniec naprzód, ażeby zawiadomił gwardyana o przybyciu króla; jakoż jak tylko orszak królewski zbliżył się, gwardyan na czele 80 księży i kleryków wszystkich ubranych w ciemne wełniane habity, przepasanych białymi sznurkami grubości palca, z kapturami na głowie, które teraz były spuszczone i spoczywały na plecach, w białych komżach na wierzchu, poprzedzany zakonnikiem niosącym krzyż wielki, wystąpił za bramy klasztorne na przyjęcie króla.

Orszak królewski zsiadł z koni, odkrył głowę, nie wyłączając Kazimierza przykleknął, a gwardyan wznosząc krzyż do góry, błogosławił przybyłych; znać że tu jeszcze klątwa biskupia nie była wiadoma, lub zakonnicy niechcieli się poddać.

W owych wiekach często były przykłady, iż zakonnicy żebrzący, krnąbrnie nie wykonywali rozporządzeń wyższego duchowieństwa, jak to np. niedawno było we Francyi za Filipa Pięknego wyklętego przez Bonifacego VIII, a tymczasem wszystkie zakony żebrzące stały po stronie króla i nie zestraszyły się gromu z Watykanu.

Przyjęcie to zrobiło na królu dobre wrażenie, niezbyt pewny był, czy bram klasztornych nie zastanie przed sobą zamkniętymi i czy nie przyjdzie mu wśród zimy szukać gdzieindziej noclegu.

Gwardyan, starzec 70-letni, miał białe jak śnieg włosy, krótko ostrzyżone, z wyciętą na wierzchu tonzurą, wielkości

przerzniętej pomarańczy, twarz jednak pomimo wieku jędrna i czerwona, oko niebieskie pełne łagodności a zarazem i energii, pokazywały władcę nieograniczonego tej małej rzeczypospolitej. Pomiedzy księżmi mszalnymi znajdował się jeden starzec, ojciec Floryan, liczący już lat 115, dwóch zakonników wspierało jego drżące kroki, oczy na wpół zasłże mgłą, z trudnością podnosiły powieki, patrząc na świat Boży.

Ojciec Floryan znany był w szerokich stronach kraju jako mąż świętobliwy, pełen miłości Chrystusa i miłosierdzia, mógł zająć, gdyby chciał wysokie godności w hierarchii duchownej, bo król Władysław silnie go popierał; jak się nazywał na świecie, nikt nie wiedział, jakaś tajemnicza mgła pokrywała jego przeszłość, to tylko było znane powszechnie, że był nieodstępnym towarzyszem króla Władysława Łokietka, odbył przy boku jego wszystkie kampanie, razem z nim tułał się po obcych krajach, razem cierpieli głód i zimno, i kiedy nareszcie król Władysław zwyciężył Czechów, Krzyżaków i wewnętrznych nieprzyjaciół, Floryan, starzec już wielki, włożył na siebie habit św. Bernarda i zakopał się w tej pustyni. Mówiono, iż był z Saryuszów rodu (przed laty jeszcze trzydziestu autor tej opowieści oglądał jego portret, niepospolitego pędzla, zawieszony w klasztorze Paradyżu, po prawej stronie ołtarza), w obecnych nawet czasach Wielka Wola należy jeszcze do tego rodu; kto on jednak był, najróżnorodniejsze podania nie rzucają promienia prawdy.

Król znał go osobiście i musiał coś wiedzieć o nim, bo na jego widok spieszenie postąpił naprzód, przyklęknął przed nim i z pokorą pocałował starca w rękę.

Ojciec Floryan miał zawieszony na piersiach krzyż z relikwią drzewa świętego, podniósł ociężałe powieki, przez chwilę przypatrywał się klęczącemu, i pomału ręka jego spoczęła na głowie króla, a przyciskając ją ku ziemi swoim ciężarem, głosem cichym, łagodnym, jak szmer strumyka, mówił:

— Niżej, mój mileńki, głowę, niżej jeszcze, nie przedemną, boć ja grzesznik wielki, ale przed Tym, którego widzisz

tu rozpiętego na krzyżu, zniź głowę, ozdobioną koroną złotą, przed głową ubraną w cierniowe kolce.

Król pomimowolnie klęcząc pochylał się coraz niżej.

— Jestem ci posłuszny ojcze Floryanie, z radością pochylałam czoło moje przed Bogiem ukrzyżowanym, bo większy zaszczyt człowieka spotkać nie może, jak kiedy uniży się w modlitwie przed swoim Zbawicielem.

— Nie z dumą, mileńki mój, trzeba zginać czoło przed Bogiem, ale z pokorą dziecka przypadającego do stóp swojej matczy.

Król podniósł głowę i niespodzianie głosem męskim odezwał się:

— Ale czy wiesz ojcze, że przed tobą klęczy wyklęty?

— Wiem wszystko, mój mileńki, wiem wszystko, Kazimierzu, królu potężnego narodu, ja błogosławię cię — powstań.

Ramiona staruszka roztwarły się, jak dwa skrzydła ptaka i głowa króla spoczęła na jego piersi.

Obszerne cele klasztorne z łatwością pomieściły wygodnie cały orszak królewski; w olbrzymim refektarzu, wspartym na dwóch rzędach kolumn marmurowych, z posadzką wyłożoną marmurem chęcińskim, stał przez cały środek jego wielki stół, pokryty białym obrusem i zastawiony cynowemi miskami z obydwóch stron, drewniane łyżki i proste żelazne noże spoczywały obok — na stole rozstawione były dzbany miedziane, niektóre kunsztownej roboty i ogromnych rozmiarów, pełne piwa i miodu — dla króla tylko było zrobione pewne wzniesienie w końcu stołu, nakryte dywanem pod baldachimem, ale łyżka była również drewniana.

Dzwonek rozległ się w kurytarzu kościelnym donośny, dźwięczny, a na głos jego, ze wszystkich stron klasztoru wychyliły się widma czarne w kapturach na głowie, i ślapiąc po kamiennej posadzce drewnianemi trepami, zgromadziły się w refektarzu i w porządku wszystkie stanęły przy drewnianych ławach i stołkach, z dębowego drzewa wyrobionych. Król za-

czem zasiadł na przygotowanym miejscu, obejrzał się na okolo, upatrując kogoś, a nie spostrzegając, zapytał się:

— Gdzie jest ojciec Floryan, pragnę, żeby zasiadł miejsce dla mnie przygotowane, ale nie widzę go tutaj.

Wystąpił gwardyan i nisko się pochyliwszy przed królem, rzekł:

— Najmiłościwszy Królu i Panie nasz, ojciec Floryan od bardzo dawnego czasu nie zasiada przy wspólnym już stole — 115 lat, to ciężar za duży nawet na takiego jak on. Od piętnastu lat, to jest od chwili, w której dorachował się setki, nie miesza się ani w świeckie ani klasztorne sprawy, a zimową porą nie wychodzi ze swej celi, dziś wyjątkowo tylko opuścił ją pomimo (musimy się przyznać do tego) naszych przedstawień, ażeby powitać w tobie Panie nasz miłościwy syna wielkiego króla, z którym przepędził całe dziesiątki lat i uczyć w tobie krew Piastów.

Król zasiadł na przygotowanym stolcu, mając po jednej stronie cara Stefana, po drugiej ojca gwardyana, dalej zasiedli ojcowie Bernardyni mszalni, następnie dopiero orszak królewski i carski, a za nimi laicy i niższa służba.

Na ogromnych drewnianych misach wniesiono pieczenie baranie, kielbasy z chrzanem, szczupaki do dwóch metrów dochodzące i ważące po 70 funtów i inne ryby różnych gatunków przyrządzone korzenno i ustrojone szafranem i zielonemi roślinami z oranżeryi.

Gwardyan odmówił głośno po łacinie modlitwę przed jedzeniem, wszyscy przytomni nie wyłączając króla, powstali i pocichu ją powtarzali; obiad nie przeciągał się zbyt długo pomimo, że pokarmów był dostatek a i kufle z miodem i piwem nie stały próżne — w owej epoce był zwyczaj, iż jeden z laików w czasie obiadu i kolacyi czytał głośno żywot którego ze świętych męczenników, i teraz więc nie odstąpiono od tego przepisu, ale to nie przeszkadzało zupełnie, że laik czytał swoje, a przytomni z początku pocichu, a potem z całą swobodą rozmawiali, śmiali się i sprzeciali.

Przed powstaniem od stołu znowu gwardyan odmówił krótką dziękczynną modlitwę, przeżegnał wszystkich, najpierw króla, a potem obecni ruszyli od stołów.

Pragnąlbym zobaczyć wasze gospodarstwo, księżę gwardyanie — powiedział król — klasztor wasz słynie zdaleka wyrobem sukien, chciałbym zobaczyć jak się to odbywa.

Gwardyan z pokorą skłonił głowę na piersi i prosząc króla, żeby raczył postępować naprzód, wyprowadził go z kurytarzy klasztornych i skierował się ze swoim dostojnym gościem przez podwórze ku dużym budynkom murowanym z cegły czerwonej.

— Oprócz przeznaczonego czasu na modlitwy — mówił, objaśniając położenie gwardyan — pozostaje dosyć jeszcze każdemu człowiekowi na pracę dla siebie i dla dobra innych — my mieszkając w okolicy piaskowej, prawie pustej, otoczonej lasami sosnowemi, możemy hodować tylko jedynie owce, dla których dostateczne pastwisko w lasach otaczających nas na około znajduje się. Strzyżemy wełnę i wyrabiamy z niej sukno czarne i białe, i takowe idzie na użytek klasztorów całej naszej prowincyi, a nawet zbywającą ilość od potrzeb rozdajemy ubogim, których teraz nierównie mniej się pojawia, jak to miało miejsce za czasów wojen krzyżackich i czeskich, i napadów Jadźwingów i Litwy.

A więc przeprowadził najpierw króla przez obszerne składy wełny czarnej, którą czesały, trzepały, sortowały dzieci pod nadzorem kilku księży, dalej pokazał mu szeregi warsztatów z krosnami pierwotnej bardzo budowy, z którymi zasiedli laicy a nawet niektórzy księża, i z szybkością właściwą wprawnemu robotnikowi, przesuwali członka z jednego końca postawu na drugi; w innych salach na kołowrotekach przedły kobiety biedne, które po niedawno przeszłej zarazie zostały wdowami; dalej jeszcze ciągnęły się magazyny z gotowemi już postawami wyrobionego sukna. Król wszystkiemu przypatrywał się z wielką ciekawością i o wszystkie szczegóły wypytywał.

Następnie gwardyan pokazał owczarnię, pełną owiec zebranych z kwesty, lub też wyhodowanych już u siebie; wszędzie było znać ład, porządek i drobiazgową pieczołowitość gospodarza — obszerny ogród omurowany cegłą, przeznaczony na użytek klasztoru, pokrywały piękne drzewa owocowe, teraz okryte szronem; gwardyan zdawał się pysznić swoim gospodarstwem i z ochotą opowiadał wszystkie szczegóły.

Teraz, najmiłościwszy Panie, racz jeszcze wstąpić do tego budynku, którego ściana południowa cała oszklona błyszczy od zachodzących promieni słońca, jest to nasza oranżerya, hodowla rzadkich roślin i kwiatów. Oranżerya składała się z jednej ogromnej, wysokiej sali, ze ścianą południową szklaną, szyby wszystkie oprawne były w ołów — na około sali na wszystkie cztery strony tuż przy samych ścianach wił się, jakby chodnik, jakby trotuar dzisiejszy — był to murowany kanał podziemny, opalany z piwnic, który rozprowadzał ciepło umiarkowane na około; pierwotne to było urządzenie, a całe jodły smolne lub sosny pochłaniające codzień, ale wówczas któż mógł przypuszczać, że nadejdzie chwila, że drzewo potrzeba będzie oszczędzać, lub kupować na opał?

Król pełen zadowolenia, odprowadzony przez gwardyana, udał się na spoczynek do wyznaczonej dla niego celi. Była to obszerna komnata sklepiona cała w lukowate sklepienie, na białych jej ścianach wymalowane były obrazy świętych, obrazy zczerniałe już od starości; przy łóżku stał klęcznik dębowy i wisiał na ścianie ukrzyżowany Chrystus naturalnej wielkości, na stole obok łóżka postawiono parę dzbanów miedzianych pełnych miodu i piwa; na ogromnym kominie buchał potężny ogień, roznosząc miłe ciepło i rozświetlając te ponure ściany celi.

Król zaczął się położyć, upadł na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem i pogrążył się w głęboką modlitwę — jeden Plichta znajdował się w komnacie, ażeby mu pomódz do rozebrania się.

Zdala, jakby z pod ziemi dochodziły głosy zakonników,

śpiewających w chórze na nonę i prymaryą — królowi jednak nie przeszkadzało to zasnąć wybornie.

Po kilku godzinach odpoczynku, po wychyleniu w przerwach tych pewnej liczby dzbanów z napitkami, razu jednego król został rozbudzony raptem jakimś niezwykle hałasem, przechodzącym wszelką miarę śpiewów kościelnych — biały poranek już zaczął zaglądać przez zakratowane okna celi.

— Co to za hałas? — zawołał król, siadając na łóżku. — Plichta, który spał na baranich skórach u drzwi królewskich, na wpół rozbudzony podniósł się także, ale nie zdając sobie sprawy z słyszanego hałasu, odrzekł:

— To księża w chórze odprawiają śpiewy.

— Nie, to coś innego — powiedział król — idź zobacz.

Plichta zerwał się na równe nogi, zarzucił na kark kożuch barani i spiesźnie udał się w kierunku dającego się słyszeć hałasu; za otworzeniem drzwi celi, zgiełk się powiększył i jakieś dzikie głosy i jęki buchnęły, jakby fale światła uchylonemi podwojami.

— Co to jest? — powtórzył król sam do siebie, nie kładąc się już na pościeli — czyżby jaki niespodziany napad Jadźwingów lub Tatarów.

W tejże samej chwili powrócił Plichta, twarz jego blada wyrażała przerażenie, a włosy w nieładzie i trzęsące się od strachu i zimna ręce, pokazywały jakiś wypadek niezwykle.

Plichta był to jednak rycerz, który nie byle czego się uląkł, miecz jego w czasie walk z Czechami, umiał się plawić we krwi wrogów i odwagą właśnie swoją zwrócił na siebie uwagę królewską, który wziął go do swego boku i został jednym z największych ulubieńców jego.

— Co takiego się stało — zawołał król, podnosząc się z posłania — co się tam dzieje.

— Najmiłościwszy Królu, cały klasztor pełen szatanów, a zakonnicy kropiąc ich święconą wodą na wszystkie strony nie mogą sobie dać rady.

— Co!? Jadźwingi, Tatary czy Litwini! mordują księży?

— Nie najmiłościwszy Królu — wcale nie mordują — modlą się i śpiewają.

— Oszalałeś Wasze chyba, alboś się jeszcze ze snu nie wytrzeźwił; podaj mi szaty — to mówiąc król spiesźnie się ubierał, a hałas tymczasem nie ustawał ani na chwilę; przez okno sali przy rozstępującym się zmroku widać było liczne postacie, snujące się po podwórzu klasztornej, dalej zobaczył król cały swój oddział pod kierunkiem Nawoja z Przegini, gotujący się do drogi z całym spokojem.

Król przypasał szablę i w towarzystwie Plichty udał się długimi kurytarzami do kościoła, z kądem właśnie dawał się słyszeć zgłęb — wąskimi drzwiczkami, umieszczonemi po za ołtarzem wielkim, wszedł do nawy kościelnej.

Widok, jaki go tu uderzył, był rzeczywiście niespodziewany i mający w sobie coś fantastycznego — prawie cała nawa kościoła napelniona była tłumem dziwnych postaci ze świecami lub pochodniami w ręku. Zakonnicy zgromadzili się około wielkiego ołtarza z gwardyanem na czele, trzymając także świece, gwardyan w białej komży z kropidłem w ręku obficie kropił święconą wodą tłum, który w tej chwili właśnie przyklęknął. Z początku mrok nocy, para unosząca się po nad głowami obecnych, nie dawała dostrzedz szczegółów widowiska, ale wkrótce oko przywykło do tej atmosfery mroku i król z wielkiem zdziwieniem swoim dojrzał, jak ten cały tłum, na znak dany przez jednego z przewodniczących, powstał z kolan, szybko zrzucił wierzchnie ubranie i po gołych plecach zaczął się bić dyscyplinami zapamiętałe. Wielu ciała pokryte strupami dawnych ran, zaciemniały, zaczerwieniły się i strugi krwi zaczęły skrapiać posadzkę kościelną. Tymczasem dzikie śpiewy, nucone w nieznanym języku, połączone z językiem bólu, wzmaczały się, rosły i zamieniły się w wycie szatanów, czy jęki potępieńców. Byli tam starcy, mężczyźni dorośli, dzieciaki i kobiety. Na dany znak wszystko umilkło na chwilę, ale tylko na jedną chwilę. Dotąd każdy sam na sobie dopełniał egzekucyi, teraz za nowym znów znakiem sąsiad sąsiadowi zaczął

wyrządzać tę przysługę, krew tryskała na wszystkie strony, a dzikie śpiewy potęgowały grozę.

Teraz król poznał prawdziwą zagadkę, bo smutnie uśmiechnął się i wyrzekł:

— To biczownicy.

W tejże chwili jeden z zakonników spostrzegłszy stojącego króla, zbliżył się doń i z pochyloną głową, ze skrzyżowanymi rękami na piersiach, rzekł:

— To biczownicy, najmiłościwszy Królu.

— Widzę to, ale zkąd oni się tu wzięli, zabroniłem starostom pogranicznym puszczać ich do moich ziemi.

A jednak są tu najmiłościwszy Panie. Dziś w nocy nad ranem, w czasie śnieżnej zadymki, cała ta gromada, złożona z 200 przeszło osób najrozmaitszych narodowości, na pół żywa od zimna i głodu, przybyła pod mury klasztorne. Brat furtyan nie chciał ich puścić i ksiądz gwardyan wahał się także, ale za radą ojca Floryana, otworzono im podwoje kościelne, przebaczyć więc Najmiłościwszy Królu, jeżeli się to stało wbrew twojej woli.

— Przecież to są ludzie — odpowiedział król ze zdziwieniem — gdyby nie miłość chrześcijańska, to sama litość przemawia za nimi.

Teraz zbliżył się gwardyan do króla i niepewnym, nie zdecydowanym głosem zapytał się:

— Co z nimi zrobić?

— Przedewszystkiem pomieścić ich w ciepłych stancjach, nakarmić, napoić.

— Nie mamy miejsca na pomieszczenie półtrzecia sta tych biedaków.

Król na chwilę się zamyślił, ale raptem nowa myśl zaświtała w jego głowie.

— Wszak wasze owce na dzień wychodzą w lasy, wypróżnić owczarnią, ciepło jest tam majowe, nasłać słomy i na pierwszy raz będzie już dosyć — potem co do żywności...

— Tej nam wystarczy miłościwy Królu na parę dni, mamy kilka sąsieków bobu i grochu i piwnice nasze nie próżne są kapusty.

— To wybornie — zawołał król — byle tylko ci goście nie zbyt długo chcieli korzystać z waszej gościnności.

— Nie możemy się z nimi rozmówić najmiłościwszy panie; mówią nieznanemi dla nas językami.

— Domyślam się, że zapewne mówią po czesku, węgiersku lub niemiecku, popróbuję ja sam.

Król zbliżył się do tłumu, który już poprzestawszy swoich dobrowolnych tortur, przywdział napowrót kapice mnisie rozmaitego kształtu, z kapturami na głowach; przez chwilę rozpatrywał się w tym różnorodnym tłumie, nareszcie swoim głosem potężnym w języku węgierskim odezwał się. Na pierwsze dźwięki znanego języka, kilkanaście postaci przeciśnęło się przez tłum i otoczyło króla, nie wiedząc, ani domyślając się z kim prowadzą rozmowę. Król dosyć długo z nimi rozmawiał, wypytując ich z kąd są i dlaczego weszli w granice Polski. Byli to po większej części ludzie bez wykształcenia, ale przejęci silną wiarą w prawdę swojego posłannictwa, w list, który mieli przynieść aniołowie od Chrystusa do kościoła w Jerozolimie, a wzywający ich, żeby porzucili domostwa, rodziny i biczując się za grzechy, przez 40 dni czynili pokutę, podróżując bez przerwy; wiara ta była tak silna, że żadne rozumowania ludzkie zachwiać jej nie potrafiły. Król kazał im wyjść z kościoła za przewodniczącym braciszkiem, do owczarni, gdzie znajdą ciepło i pożywienie; i cały ten różnorodny tłum z pokorą, w milczeniu udał się z przewodnikiem; niektórzy jednak, zwłaszcza kobiety i dzieci tak byli osłabieni, że tylko prowadzeni pod pachy przez swoich towarzyszy, mogli się zawlec do wskazanego im miejsca, gdzie z rozkoszą napawali się słomą i ciepłem.

— Wiara! cóż to za potężna siła — pomyślał król — siła, która może poruszyć tłumy, skazać je dobrowolnie na

nędzy i cierpienia i nie cofnąć się przed żadnego rodzaju poświęceniem. Szczęśliwi!!

Tymczasem w refektarzu zastawione już były misy grzanego piwa, zatrzymanego śmietaną, po którym obficie pływały kawalki sera i suszonych grzanek chleba. Król siadł i ręką dał znak przytomnym do zabrania swoich miejsc przy stole. Śniadanie trwało krótko bardzo, kielichy jednak starego miodu nie próżnowały.

— Księżę gwardyanie — odezwał się król wstając od stołu — dziękuję ci za gościnne przyjęcie mnie i mojego orszaku. Niechcąc jednakże, żebyście się czuli pokrzywdzeni moją wizytą, kazaliśmy zostawić dziesięć wozów z ubitą przez nas zwierzyną na wasz pożytek. Nadto wydajemy wam stosowne polecenie do żupnika naszego w kopalniach soli Wieliczki, żeby co rok wydawał wam bezpłatnie taką ilość soli, jaka się pokaże potrzebną na kuchnię klasztorną. Nadto dajemy wam dwa stawy wielkie i trzeci mniejszy we wsi naszej królewskiej Malińcu, i oddajemy młyn, położony w Rudzie Malenieckiej na wasze użytkowanie.

Gwardyan przykląkł przed królem i ucałował z pokorą jego rękę. Król powstał i poprzedzony całym zgromadzeniem zakonników wyszedł na podwórze, gdzie zastał cały już swój orszak gotowy do drogi. Choraży Ligeza, trzymając sztandar Rzeczypospolitej na dzielnym rumaku, stał przed frontem. Nawój z Przegini bystrem okiem przebiegł po orszaku królewskim i kiedy król już dosiadł rumaka, otworzyło się okno celi. Ojciec Floryan, starzec podtrzymywany przez dwóch zakonników, podniósł rękę do góry i zakreślił nią krzyż w powietrzu. Król pobożnie się przeżegnał i ruszył z miejsca. W tejże chwili Nawój z Przegini zaintonował śpiew:

»Boga rodzica dziewica

Bogiem chwalona Marya«...

i cały orszak wraz z królem wtórował pieśni. Jednocześnie odezwały się dzwony na wieżach klasztornych, a zakonnicy

z gwardyanem na czele, stojąc w otwartej bramie, potężnym głosem nucili tążsamą pieśń starożytną, która niejednokrotnie wiodła hufce polskie do sławy nieśmiertelnej.

Orszak zanurzył się w lasy sosnowe, drożyną mało uczęszczaną, piaszczystą i po dwóch godzinach jazdy znalazł się w miasteczku Żarnowie. Na wstępie zaraz do miasta uderzyła oko podróźnych olbrzymia mogiła, usypana w czasach jeszcze pogańskich, stercząca na równinie i przewyższająca wysokością swoją wieże kościelne, dalej sterczały mury rozwalonego zamku, budowanego w zamierzchłych wiekach, w owych czasach już rozsypujące się w gruzy. Bolesław Śmiały już uposażył Benedyktynów w Mogilnie, przeznaczając im z Żarnowa $2\frac{1}{6}$ grzywny rocznego dochodu; miasteczko wówczas było nie obronne, to też orszak królewski nie zatrzymując się przebył je, jak również wielką wieś po za niem leżącą Straszową Wolę; król zauważył jakiś ruch niezwykle we wsi, prawie cała ludność złożona z kobiet i dzieci wysypała się na drogę, którą przechodził orszak królewski; król niechcąc się jednak zatrzymywać, podążył dalej ku Radoszycom, oddalonym o dwie zaledwie mile; ale teraz zaczęły się bagna rzeki Czarnej, po obydwóch stronach drogi rozciągały się niezgruntowane błota, wody, łąki pokryte wysokimi szuwarami.

Od wsi Małeńca droga stawiała się nadzwyczaj trudna do przebycia, cała wyłożona okraglakami, które jak klawisze ustępowały pod kopytami koni, rozstępowały się na boki i niejednokrotnie potrzeba było ratować jeźdźców i konie. Mosty a liczba ich była nie mała, chwiały się pod ciężarem i groziły co chwila zawaleniem. Stada dzikich kaczek, gęsi, czapli, swobodnie pluskały się po oparzeliskach, sprawiając hałas nieznośny. Tu także gnieździły się liczne familie bobrów w nieprzystępnych miejscowościach, często bardzo można było spotkać chłopów z Rudy Malenieckiej i z pod Radoszyc, chodzących w bobrowych skórach i mających głowy okryte bobrowemi czapkami.

Teraz droga zamarznięta, dawała się łatwiej przebywać, w wielu miejscach orszak przechodził po lodach, omijając popsute mosty i narażając się niejednokrotnie na zatopienie w trzęsawiskach.

Król jednak zauważył, że droga jakkolwiek tak nieprzystępna, była silnie udeptana, prawie wszędzie znać było w śniegu stopy ludzkie i kopyta końskie, w jednym nawet miejscu znaleziono konia ze złamaną nogą, około którego uwiijało się kilku wilków, widocznie niedawno, przed kilku może godzinami, jakiś oddział liczniejszy przechodził tędy — miałyby to być jaki skradający się oddział Litwinów albo Jadzwingów — nareszcie niebotyczne lasy zdawały się rozjaśniać, orszak przebył szczęśliwie łożyska rzeki Czarnej i Roziec, i tu znowu napotkał piaski, w pośród których wychylało się miasteczko Radoszyce — wieczór zapadł, ale obszerny dworzec Radoszycki obiecywał wygodne pomieszczenie dla orszaku króla. W nim z ramienia biskupa krakowskiego Bodzanty, mieszkał i zarządzał obszernymi dobrami biskupiami, Wilczek. Nawój z Przegini wysłał przodem jeźdźca do Wilczka z zawiadomieniem, że nadjeżdża król i prosi o gościnność na jedną noc, orszak tymczasem zbliżył się pod samo miasto, garstka żydów i mieszczan wysypała się na przyjęcie króla. Wilczek, stary szlachcic, przybył także z kilku swoimi dworzanami, ale nie widać było radości z przybycia tak dostojnego gościa, przeciwnie malowało się w twarzy jego jakieś zakłopotanie.

— Witamy cię najmiłościwszy Królu i Panie nasz — mówił, stojąc z odkrytą głową — witamy w tych dobrach Biskupa krakowskiego, które wolne są od postojów wojsk i uwolnione od dawania prowiantów przejeżdżającym orszakom królewskim.

Król zmarszczył brwi na tę zuchwałą mowę, hamując się jednak w gniewie, odrzekł:

— Nie nie potrzebujemy od twojego biskupa, mości Wilczku, oprócz dachu dla nas i stajni dla koni, w zapasach

naszych podróŜnych znajdzie się czem głód zaspokoić i nie przyjmie od was nic, nawet szklanki wody.

Wilczek zmieszał się, chciał się tłumaczyć, ale król nie słuchając go, ruszył dalej i zajechał do dworca Radoszyckiego.

Zapasy podróŜne mogły rzeczywiście wystarczyć dla posilenia orszaku królewskiego, liczne wozy z ubitą zwierzyną i innemi zapasami, ciągnęły się za obozem, nie trudno więc było sporządzić ucztę odpowiednią, inaczej się jednak rzeczy miały z obrokami dla koni.

Słowa królewskie powiedziane głośnie do Wilczka, lotem błyskawicy rozeszły się pomiędzy mieszczanami, nastąpiła krótka narada między nimi i wkrótce ze wszystkich stron miasteczka, pokazały się wozy naładowane sianem, to mieszczanie i ŷydzi na plecach niosący worki z owsem, a wszędzie znać było taki pośpiech, takie oŷwienie, ŷe król z przyjemnością patrzył się na tę mrówczą pracę swoich wiernych czcicieli.

Dworzanie królewscy zajęli się przygotowaniem wieczery dla króla i jego orszaku, mając polecane nie przyjmować nic z dworu biskupiego. Wilczek parę razy zachodził do przedpokoju, chcąc się tłumaczyć, ale król nie kazał go stanowczo puszczać do siebie, wkrótce światła zagasły i król z całym swoim orszakiem legł na spoczynek.

Przez całą jednak noc, ruch na rynku i ulicach Radoszyc nie ustawał, tłumy ludu z okolicy przeciągały około sypialni króla i lubo starały się zachowywać spokojnie, hałas ten zwrócił jednak uwagę króla, zawołał więc na będącego w drugiej komnacie Plichtę.

— Co może oznaczać ten ruch niezwykle na ulicach miasta?

— Jest to armia twoja najmiłościwszy Panie, armia złożona z chłopów, spiesząca na wezwanie Kochana pod Strafczyn dla zdobycia go na twój rozkaz.

— Aleŷ to są poddani biskupi, ruszający się bez pozwolenia swego pana i wbrew jego woli.

— Ale idą za głosem swojego bohatera, swojego ukochanego króla, któż będzie śmiał wystąpić przeciw nim.

— Ciż sami co wystąpili przeciwko mnie i obłożyli mnie kłatwą. — Biedny to kraj, gdzie uprzywilejowani nie ponoszą żadnych, lub bardzo małe ciężary publiczne — wystąpiłem przeciw nim, za to jestem pod interdyktem, i to poruszenie chłopów teraz bez wiedzy i pozwolenia ich dziedzica, nowe na mnie ściagnie wrzaski i da powód moim nieprzyjaciółom do krzyczenia na mój despotyzm; ale mniejsza o to, damy sobie jakoś radę — idę spać — a jutro rano wyruszamy ze wschodem słońca.

Na drugi dzień, orszak królewski przejechawszy rynek Radoszycki, nabity ludem, który okrzykami żegnał swojego ukochanego króla, na nowo zanurzył się w lasy sosnowe. Droga tu wijąca się wśród piasków, teraz okrytych śniegiem i udeptana świeżo przeciągającymi tłumami, nie przedstawiała żadnych trudności dla pochodu królewskiego; lasy zdawały się coraz gęstsze, często napotykały się leżące i próchniejące całe kłody ogromnych drzew, zawałające drogę, które potrzeba objeżdżać — na sosnach widać było liczne barcie pszczelne, które jedynie dowodziły, że i tu człowiek przeniknął już swoją pracą. Raptem orszak cały, postępujący w milczeniu, zatrzymał się w miejscu. Król, który w tej chwili prowadził ożywioną rozmowę z jadącym obok carem Stefanem, zapytał o przyczynę, ale w tejże chwili Nawoj z Przegini szybkim zwrotem konia zbliżył się do króla, i uśmiechając się rzekł.

— Nieprzyjaciół zagroził nam drogę i nie chce nas przepuścić — wspaniały nieprzyjaciół — sam jeden w pojeźdynkę stoi na środku drogi i bez względu na sztandar królewski, ani na krok nie chce ustąpić.

Król ze zdziwieniem spojrzał na mówącego, lecz fizyognomia Nawoja była tak rozjaśniona, śmiejąca się, że nie trudno król odgadł jakąś mistyfikację.

O nic więc nie pytając, skinął ręką, żeby orszak się

rozstąpił, dał koniowi ostrogę i znalazł się na przodzie wraz z carem Stefanem i kilku rycerzami.

Droga w tem miejscu była wązka, z jednej i drugiej strony zarosła młodą gęstą choiną, z pewną więc trudnością przychodziło przedrzeć się na czoło.

Dworzanie rozstąpili się, o ile ciasnota miejsca pozwalała, na obydwie strony, a król raptem ujrzał niezwykły widok, koń przerażony nim stanął dęba i nie chciał kroku postąpić naprzód.

Na samym środku drogi, o kilkadziesiąt kroków od zbliżającego się orszaku, stał ogromny tur i wcale nie myślał ustąpić, grzbiet jego podnosił się po nad łopatkami na kształt garba wielbłąda, rogi krótkie ale grube i kończaste, końcami zagięte w tył do góry. Ogromna kudłata grzywa, okrywała całą przednią część ciała, długa gęsta broda i oczy czerwone nabiegłe krwią, strasznym czyniła tego potwora, który teraz kopiąc ziemię rogami a dzikiem mručeniem, zdawał się wyzywać do walki nieprzyjaciół.

Przez chwilę w milczeniu król lubował się tym widokiem, zapalony myśliwy, zapewne niejednokrotnie z nim się spotykał i teraz więc postanowił zajrzeć mu w oczy; wydobyto arkabuz, napelniono go prochem i kulami, i król zsiadłszy z konia, oparł go na przygotowanych do tego widelkach, wycelował i przyłożywszy lont zapalony do panewki, wystrzelił. Huk rozległ się straszny, bo nie żałowano prochu i kula celną ręką puszczone ugodziła zwierza w sam łeb pomiędzy rogami; było to właśnie miejsce najfatalniej wybrane, zwierz strząsnął tylko głową, jakby nań tylko spadła szyszka z chojaka, zaryczał potężnie, ogonem uderzył parę razy boki i rzucił się na nieprzygotowanego króla. Napad był tak nagły i gwałtowny, że król nie miał czasu dobyć już miecza i niezawodnie skutki swojej odwagi byłby przeplacił życiem, ale w tejże samej chwili jeden z dworzan, szybki jak błyskawica, podniósł miecz do góry siedząc na koniu i potężnym ciosem cyclopa, w chwili gdy właśnie tur już miał wziąć na rogi króla, uderzył tak

silnie w kark zwierza, że głowa jego potoczyła się pod nogi królewskie, a kadłub buchając krwią z odciętej szyi, powalił się zagrządzając całą drogę.

Zdumienie wyryło się na licach króla i całego jego orszaku; wprawdzie dowody nadzwyczajnej siły w owych żelaznych wiekach nie były rzadkie, i nie jeden z rycerzy zdumiewał swojemi potężnemi cięciami, ale młodzieniec, który teraz ocalił życie królowi, nie przedstawiał wcale olbrzyma. Był on z rodu Pomianów, liczył zaledwie lat 24, wzrostu dosyć wysokiego, na pozór zdawał się nawet szczupły, ale potężne żyły u rąk wyglądały jak postronki naprężone; rycerz jakby dopełnił najzwyczajniejszej czynności, spokojnie obtarł swój miecz o kadłub zwierza i obojętnie przypatrywał się ubitemu potworowi.

— Na uczczenie pamiątki twojego zwycięstwa i dla pamięci ocalonego mi życia, do herbu twego dołączam turzy lew i rękę z mieczem wzniesionym do góry i nadaje ci na własność wieś »Pomiany« — a teraz uprzątnijcie tego szlachetnego nieprzyjaciela i ruszajmy dalej w drogę.

Nie tak to łatwo jednak przyszło dopełnić, tur bowiem miał długości trzynaście stóp, siedm wysokości, i ważył przeszło dwadzieścia trzy cetnary, cały więc orszak okrażając wyminął go i puścił się dalej.

Lasy ciągnęły się bez przerwy, na chwilę zatrzymano się tylko w Wólce Kluckiej dla odetchnienia koniom i pokrzepienia się zimnemi mięsiami, które jednakże zakropione potężnemi porcjami miodu, stanowiły dostateczny posiłek.

Słońce zaczęło się już zniżać ku zachodowi, kiedy cały orszak królewski znalazł się na »Pérzowej górze«, położonej wśród lasów. Na górze tej znajdowała się grota wykuta w skale i zamieniona w kapliczkę św. Rozalii, która w tem miejscu kiedyś miała się objawić, przy niej mieszkał pustelnik, który utrzymywał się z licznych ofiar, przynoszonych przez lud nawet z dalszych okolic. Grota ta, pod nazwiskiem groty świętej Rozalii, przechowała się do dni obecnych, ale mieszkanko

pustelnika już znikło, lasy się zmniejszyły na około, ale lud wierny swoim podaniom, w dzień św. Rozalii tłumnie napływa do groty dla modlitwy na »Pérzowej górze.«

Z »Pérzowej góry« widok rozległy roztaczał się na około, jak jednak daleko sięgnąć było można okiem, wszędzie rozpościerały się lasy, lasy i lasy, jednak od południowo-zachodniej strony, las zniżał się w amfiteatr, dalej w promieniach zachodzącego słońca widać było błyszczące zwierciadło stawów, a za niemi na wielkiem wzgórzu sterczały ponure wieże zamku Strażczyńskiego; dalej jeszcze wznosiła się ku niebu gotycka wieżyczka wiejskiego kościółka, pokrytego miedzianą blachą, teraz palająca tysiącami ognia od promieni zachodzącego słońca.

Z »Pérzowej góry« widać było wybornie, jak tysiące ludzi z wolna wynurzało się z rokicin pokrywających brzegi stawów i spiesznym krokiem po lodach otaczających zamek, kierowało swoje kroki do jednego punktu — do zamku.

Zamek z tej strony otoczony głębokimi stawami i rozległemi nieprzebytymi bagniskami był niedostępny w czasie odwilży, lub letnią porą, dlatego też i mury z tej strony otaczające go nie były wysokie; cała potęga fortyfikacyi rozkładała się z przeciwnych stron, wysokie i grube mury, potężne baszty z maszynami do rzucania kamieni olbrzymich, mogły długo stawiać czoło nieprzyjacielowi, chociażby bardzo licznemu i walecznemu, i widocznem było, że bez kusz, maszyn oblężniczych, taranów do rozbijania murów, nie można było marzyć o zdobyciu zamku.

Zdaleka widać było oddział Kochana, stojący na koniach i otoczony masami chłopstwa, uzbrojonego w siekiery, widły, potężne maczugi, nabijane krzemieniem i gotujący się do napadu; cała uwaga oblężonych zwrócona była w tę stronę właśnie, liczne więc widać było na murach postacie z procami i maszynami gotowemi do wyrzucania z siebie tysiące pocisków.

Na murach od strony stawów panowała cisza zupełna, kilku tylko łuczników chodziło po wałach, i to więcej uwaga

ich była zwrócona na oddziały otaczające Kochana, jak na stawy u podnóża i na zarośla otaczające je. Król stojąc na »Pérzowej górze«, widział dokładnie, jak w zaroślach rokitnicy, pocichu snuły się gromady chłopów, jak chyłkiem podnosili drabiny i wciąż ukrywając się w gąszczach, zbliżali się do brzegów stawów, nie wychylając się jednak na ich powierzchnię.

Widocznem było, że obleżeni z tej strony nie spodziewają się napadu, i że nie widzą nieprzyjaciół ukrytych w bagnach, które nawet zimową porą, kiedy lody pokrywały wody, nie wszędzie były przystępne dla przechodnia i potrzeba było być dokładnie obeznanym z miejscowością, ażeby po ciasnych ścieżkach wydeptanych przez dzikie zwierzęta, mieć odwagę dostać się do wody. Na oparzeliskach słychać było głosy tysięcy dzikich gęsi i kaczek, prowadzących głośnie rozhowory.

Zmrok tymczasem szybko zapadł, króla zaczęło już niecierpliwić to wahanie się Kochana. Wtem niespodzianie duży kłęb ognia wzbil się do do góry, tysiące głosów odezwało się i oddziały Kochana uderzyły na zamek wprost od czoła — obleżeni czekali właśnie tej chwili, proce ich zaświstały w powietrzu, maszyny wyrzuciły potężne bryły kamieni, a oblegający cofnęli się od bram nie poniosłszy żadnej straty.

Widocznie był to fałszywy atak, bo nie można było przypuszczać, żeby rycerz doświadczony, jakim był Kochan, mógł marzyć, ażeby na czele kawalerii zdobył bramy i wdarł się na mury, chociaż go posilkowały tłumy uzbrojonych chłopów.

Okrzyk tryumfu rozległ się na wałach, widząc cofające się szeregi oblegających.

Odezwały się głosy wyzywające i ciskające obelgi z wałów, na które z tłumów chłopskich, stojących przy oddziale Kochana, również odpowiedziano obelgami.

Tymczasem w rokitcinach otaczających stawy, rozległ się głos piszczalki, donośny, przeraźliwy, na ten znak zarośla zakotłowały się tysiącami postaci, spłoszone stada wodnego ptactwa uniosły się w powietrze i w jednej chwili ze wszystkich stron wynurzyły się tłumy chłopów, niosących drabiny i spie-

sznie po lodach posuwających się pod mury zamku. Na murach zamku znać spostrzeżono ten niespodziewany napad, okrzyki straży wałowej rozległy się, i spieszenie zaczęły się pokazywać gromadki rozrzucone, z procami i kamieniami do zwałenia ich na głowy nacierających.

Ale napad chłopów przez zamarznęte stawy był tak nagły, tak imponujący swoją liczbą, że drabiny pomimo wścieklej obrony w jednej chwili zostały przystawione i na nich jeden za drugim pokazywali się chłopci. Olbrzymi kamień zsunięty z wału, rozmiął jedną drabinę, zwalając wraz z nią dzielnych chłopów w fosę; w drugim i w trzecim miejscu powtórzyło się to samo; śniegi zarumieniły się krwią, ale napad nie osłabiał ani na chwilę — w miejsce pogruchootanych drabin, znalazły się natychmiast inne, i po nich znowu z tą samą energią wdzierali się napastnicy. Pierwszy chłop, który stanął na wałach, potężnym cięciem miecza został powalony na ziemię, ale w tejże chwili okrzyk: »Górami nasi!« rozległ się, wydany z potężnych piersi głos Wojtka z Wólki Kluckiej, tego samego chłopca, który w Opocznie zachęcił króla do uderzenia na Strafczyn. »Górami nasi!« powtórzyły tłumy wdzierających się, rozległy się jęki mordowanych zbójów, a wały pokryły się białymi sukmanami.

Teraz zaczął się bój pojedynczy, maczugi, noże, kamienie, siekiery błyskały w powietrzu, krew wszędzie lała się potokami, słychać było jęki umierających i okrzyki zwycięzców, wkrótce całe te masy walczących zwały się z wałów na podwórza zamkowe i kotłowały się jakby bałwany morza, wściekle uderzające na siebie; w tejże chwili Kochan ze swoim oddziałem uderzył od czoła zamku, słychać było stuk toporów rąbiących bramy, i wkrótce potężne dębowe podwoje z trzaskiem wywalone zostały, po nich wpadł z mieczem w dłoni Kochan, a za nim tłumy chłopów w białych sukmanach. Tu jednak zgromadziło się wszystko, co posiadała najdzielniejszego załoga, tu stał sam Cedrowicz, uzbrojony potężnym krzyżackim mieczem, a za nim kilkudziesięciu również dobrze uzbro-

jonych rozbójników — ten widząc wywaloną bramę i przez nią wpadających rycerzy w podwórzec, rzucił się jak szalony naprzeciw Kochana, i miecze ich jednocześnie podniesione do góry i opuszczone posypały się iskrami.

Cedrowicz dzikie wydawał okrzyki, stał jak byk rozjuszony, ryjąc ziemię podkówkami i potężne wymierzał ciosy, ale i młody rycerz nie ustępował mu ani w sile, ani w odwadze, jednocześnie prawie obydwa miecze skruszyły się i upadły połamane u stóp walczących, obydwa zapastnicy odrzucili pozostałe im w rękach główne i z sztyletami w rękę rzucili się na siebie, pierś przyparta została do piersi, ręka pochwyciła rękę przeciwnika, i żelaznemi ściskając ją szponami, starała się wyrwać sztylet wrogowi.

Oczy ich czerwone, nabiegłe krwią, prawie wychodziły z orbitów, aż raptem dłoń Cedrowicza rozwarła się i sztylet jego wypadł na śnieg. Kochan wówczas jednym pchnięciem zadał mu cios w bok, i ten olbrzymi zbrodniarz powalił się na ziemię u nóg jego.

Król przypatrując się z wierzchołka »Pérzowej góry« walce, uznał za właściwe przybliżyć się do pola bitwy, dał znak i cały orszak ruszył z góry wyciągniętym klusem, potrzeba było jednakże okrażyć znaczną przestrzeń, chcąc się dostać do zamku, bo drogą, którą przebyli po łodach chłopie ze swoim Wojtkiem na czele, niepodobienstwem było się puszcząć — wąska grobla wiła się między stawami, na której sterczało kilka mostów chwiejących się pod naciskiem kopyt końskich, przebyto je jednak szczęśliwie i cały orszak zbliżył się pod zamek Strafczyński.

Na widok zbliżającego się orszaku króla, tłumy chłopków wysypały się z bram zamku, most na fosie został spuszczoney i wśród okrzyków radosnych swego ludu, król wjechał na podwórzec zamkowy. Tu oczom jego straszny przedstawiał się widok, całe podwórze czerwone było od krwi, liczne trupy zastygłe już, leżały w nieładzie, gdzieś jednak rozlegały się jęki rannych, załoga prawie cała została wycięta,

chłopów, chociaż byli stroną nacierającą, stosunkowo mało zginęło, jednakże tu i owdzie leżały białe sukmany, teraz ubroczone na czerwono.

Kochan spostrzegłszy króla, bez czapki w poszarpanej odzieży, pospieszył na powitanie.

— Zamek wzięty, Najjaśniejszy Panie.

— Ale nie ty go wzięłeś Kochanie — odpowiedział król.

— Nie przyswajam sobie tego zaszczytu Najmiłościwszy Królu — lud twój, twoi chłopci biali wzięli go dla ciebie.

— To nie odejmuje nic twojej odwadze, Kochanie, plan był dzielnie obmyślany, a chłopci wykonali go z całą dokładnością.

— Co się stało z hersztem tych rozbójników?

— Raniony mocno w walce, ot tam leży — mówił Kochan, wskazując na rozciągniętego opodal watażkę.

— Wziąć go i leczyć, on nie zasługuje na tak piękną śmierć, jaka jest udziałem rycerza; inne ja jemu przygotowuję gody.

— A jeńcy czy uwolnieni z piwnic, o których nam mówiła Salamonowa? Natychmiast ich uwolnić i stawić przed nami.

— Racz wejść Najmiłościwszy Panie do komnat, wszystko się stanie natychmiast podług twojej woli.

Chłopi tłumnie się rzucili do piwnic dla wyprowadzenia jeńców, okrzyki radości dały się słyszeć z wnętrza, i wkrótce zaczęły się pojawiać na podwórzu postacie blade jak trupy, prowadzone pod ręce, nie mogące o własnych siłach postąpić, niektórych niesiono na rękach zaledwie dających znaki życia, inni wlekli się na klęczkach z podniesionemi rękoma do góry, zalani łzami, błogosławiąc wielkie imię Boga; ci którzy już nie żyli, pozostawiono tymczasowo zawieszonych na obrożach.

Król ze łzą w oku przypatrywał się temu widokowi. Kazał wszystkich wygodnie pomieścić w ocieplanych komnatach, nakarmić ich i napoić miodem.

W tej chwili przedarła się przez tłumy i upadła do stóp króla Salomonowa.

— Królu mój i ojcze! Magdusia moja tam, w tej wieży. Drzwi zamknięte żelazne, nie mogę się do niej dostać — ratuj ją panie.

— Wyrąbać drzwi natychmiast — zawołał król.

Kilkunastu chłopów z siekierami rzuciło się do wyrąbywania podwoi; wkrótce silne dębowe drzwi, pod uderzeniami siekiery, rozłupały się i pokazał się wązki korytarz i kamienne schody.

Salamonowa rozepchnęła wszystkich i nie zważając nawet na wołanie króla, rzuciła się na schody i jako świadoma miejsca, spieszenie pędziła do komnaty, w której była uwięziona jej córka. Kochan postępował za nią z dobytym mieczem, dalej Pomian, Plichta, król, a za nimi cisnęło się wielu dworzan i chłopów.

Salamonowa zatrzymała się u jednych drzwi żelaznych popchnęła je z siłą niekobiecą, drzwi zaskrzypiały na żelaznych zawiasach i otworzyły się. Ciemność wieczoru nie dozwoliła jednak z początku nic dojrzeć, słychać było tylko jakies skomlenie, ni to płacz dziecka, ni to mruczenie zwierza.

— Pochodni, oświecić ten przytułek piekła — zawoła król.

Salamonowa tymczasem rzuciła się do środka i latając w koło olbrzymiej klatki, wyła jak furja, kalecząc palce i nieumiejąc otworzyć barbarzyńskiej pułapki.

Wniesiono światło, wówczas król i przytomni ze zgrozą zobaczyli coś skurzonego w kłębek, leżącego w żelaznej klatce, stojącej na środku komnaty. Była to tortura tego rodzaju, że zamknięty w niej człowiek, ani stać, ani siedzieć nie mógł prosto, mógł tylko skurczony leżeć lub siedzieć schylony, przy klatce stał dzbanek z wodą i leżał chleb czarny, spleśniały.

Otworzono nareszcie żelazną klatkę i wydobyto zeń postać dziewczęcia, złamanego cierpieniem, głodem, nie będącego w stanie o swoich siłach stanąć, ani wyprostować głowy. Salamonowa z jękiem rzuciła się na szyję swojego dziewczęcia, okrywała tysiącami pocałunków, odgarnywała jej włosy, całowała

wała oczy i usta; dziewczyna osłupiałemi oczami spoglądała po obecnych.

Zwolna, nie pozwalając nikomu się dotknąć tego drogiego ciężaru, Salamonowa wzięła dziewczyninę na ręce; wychudło to i zbiedzone było tak strasznie, że zdawało się, iż podmuch wiatru uniósłby z sobą tę papierową postać. Rączęta dziewczyny owinięły się około szyi matki, oczy zamknęły, długie włosy w nieładzie spadały po bokach i tylko oddech ust świadczył, że tleje tam gdzieś iakierka życia. Że to jeszcze nie trup.

— Umieścić ją w najwygodniejszej komnacie, rozgrzać i wszelkich dołożyć starań do przywrócenia jej do zdrowia — wyrzekł król oddalając się.

Dziewczę tymczasem oprzytomniało trochę, otworzyło oczęta i głosem słabym, zaledwie dającym się słyszeć, wyszeptalo:

— A myszka moja — moja myszka!

Z początku nikt nie rozumiał tych słów dziewczęcia, ze dziwieniem spoglądano po sobie, sądząc, że nieszczęśli wa straciła rozum. Wkrótce jednak ujrzano w klatce male stworzonko, przyczajone do ściany. Magdusia zmusiła matkę, żeby się z nią schyliła, wzięła myszkę w rękę, jej jedyne go towarzysza niewoli, którego żywiła okruciami swego chleba i który ją rozweselał w samotności.

Powróciwszy z wieży więziennej, król znalazł się w ogromnej komnacie sklepionej. Na olbrzymich dwóch kominach paliły się potężne szczapy dębowe, piec wielkości potwornej stał na środku. Ściany obite były adamaszkiem i na nich rozwieszono broje starożytnych bardzo form, łuki i proce, ławy drewniane dębowe stały przy ścianach pokryte welnianemi dywanikami.

W jednym końcu sali, na wilczych skórkach, spoczywało dwóch młodych niedźwiadków czarnych, z białemi włosami, stanowiącemi jakby obróże na szyjach, które dopiero po skończeniu 3 lat nikną.

Na widok wchodzącego króla, wesole zwierzęta podniosły się ze swojego legowiska, przeciągnęły się i w wesółych podskokach zbliżyły na środek komnaty, gdzie niekrępowane zupełnie obecnością tylu osób, zaczęły wyprawiać igrzyska z całą swobodą młodocianego wieku.

Kiedy jednakże Plichta sądząc, że król może być z tego niezadowolniony, tupnął nogą, obydwaj niedźwiadki spiesźnie uciekły w koniec komnaty i zakopały się w skóry wilcze.

Król uściadł na ławie przed palącym się ogniskiem i na chwilę głęboko się zadumał; dworzanie stali do koła drugiego ogniska, grzejąc zziębnięte ciała.

Jeńców tymczasem bardzo mało się znalazło i ci powiązani, po większej części ranni, oczekiwali na podwórzu swego wyroku.

— Powiesić to wszystko tałalajstwo na murach zamkowych — wyrzekł król po namyśle. — Herszta przyprowadźcie tutaj do mnie, obrzydliwa to i wstrętna gadzina, ale trzeba jej zajrzeć na ślepie, może z jego odpowiedzi jakaś korzyść wypłynąć będzie mogła, on miał swoich protektorów i obrońców, o nich chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Tymczasem dworzanie i żołnierze królewscy rozbiegli się po komnatach zamku, szukając nagromadzonych skarbów. Komnaty prawie wszystkie świeciły gołemi ścianami, czerwone cegły, niepociągnięte nawet wapnem, stanowiły ściany, kupy tylko popsutej zbroi, nagromadzonych pałaszów, proc i łuków wisiały w nieładzie; skarbów jednakże dotychczas żadnych nie znaleziono.

Tymczasem wniesiono Cedrowicza, który ciężko ranny o swojej sile postępować nie mógł, złożono go na kamiennej posadzce na środku komnaty.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, prawie już zupełnie siwy, »liczne szwy po twarzy i czole pokazywały, że nie brak mu odwagi; wąsy białe sterczały zakręcone do góry po madyarsku, cały ociekły krwią, przedstawiał groźny, ale zarazem wstrętny widok. W oczach jego jednak paliło się tyle

jeszcze życia, takie błyskały z nich iskry nienawiści, a piana ze krwią połączona na ustach pokazywały, do jakiego upadku może dojść człowiek w swoim zezwierzęceniu.

Król ze wstrętem przez chwilę patrzył na rozciągniętego u nóg swoich nędzarza, odwrócił się pełen oburzenia i obracając się do Nawoja z Przegini, rzekł:

— Badajcie go.

Ale w tejże prawie samej chwili z oddalonych komnat rozległ się ryk straszny, grzmiący jak uragan, nieludzki, przerażający swoją wściekłością. Na ryk ten więzień będący na podłodze, podniósł głowę do góry i wyrzekł:

— To moja niedźwiedzica, broni skarbów.

Kilku dworzan powróciło w tejże chwili z Plichtą na czele i doniosło, iż w wąskim bardzo kurytarzyku, prowadzącym do jakichś oddzielnych komnat, stoi ogromny niedźwiedź w tak dogodnem dla siebie położeniu, że nie ma miejsca na zamach miecza, że zapewne użyć nań będzie trzeba arkabuza.

— Nie zabijajcie jej, odezwał się Cedrowicz, ja ją odwołam, a skarby będziecie mogli zabrać spokojnie. I w tej chwili drżącą i skrwawioną ręką wyjął zawieszoną na szyi świstawkę, przyłożył do ust i wydał głos przeciągły, rozlegający się jak świst wiatru, jak pocisk strzały po wszystkich komnatach.

Zaczem obecni mieli czas się zorientować, w przyległych komnatach dał się słyszeć ryk, hałas, jakby wywalenia ścian i raptem w odrzwiach sąsiedniej komnaty, ukazał się ogromny niedźwiedź, z czerwonymi oczami; przez chwilę stał rozpatrując się po zgromadzeniu, na cichy jednak głos Cedrowicza, nie zwracając najmniejszej uwagi na nikogo, przeszedł obok rozstępujących się na strony dworzan, obtarł się kudłami o nogi króla i zbliżywszy się do leżącego na ziemi więźnia, obwąchał jego twarz i zaczął lizać jego skrwawione rany, mrużąc z zadowolenia.

— Teraz możecie udać się do komnat wieży i zabrać skarby w nich się znajdujące, skarby są tak duże, że będzie to niespodzianka dla ciebie Królu Kazimierzu, i może wpłyną

na twój łaskawy wyrok na mnie, kiedy zobaczysz to, co się tam znajduje.

— Idźcie i zobaczcie co tam jest — rzekł król.

Plichta z innymi dworzanami postąpił naprzód i nie znajdując żadnej już przeszkody, zbliżył się do tajemniczych komnat. Drzwi nie były zamknięte. Przystąpiwszy więc próg, z największem zadziwieniem znaleźli się w komnacie bogato przybranej, wybitej dywanami. Pod ścianą stało wysokie krzesło ze słoniowej kości, nabijane złotem, a na niem siedziała w czarnej sukni wysoka kobieta z zasłoniętą zupełnie twarzą.

Plichta stanął na progu pełen zdziwienia.

— Kto jesteście i czego tutaj chcecie? — zapytała jakimś niewyraźnym głosem kobieta, podnosząc się.

Plichta raczej odgadł jak zrozumiał o co go pytano, bo nie tylko głos był niewyraźny, ale i język zupełnie nieznany.

— Król Kazimierz jest w zamku, uwalnia więźniów i karze zbrodniarzy.

— Król Kazimierz w zamku — zaśmiała się kobieta dzikim spazmatycznym głosem — prowadźcie mnie do niego; to mówiąc powstała majestatycznie z krzesła. Postać to była wyniosła, dumna i nie podnosząc wcale zasłony z twarzy, wzięła małą tarczę leżącą obok, na której był wymalowany orzeł biały bez nóg w niebieskiem polu.

Postąpiła naprzód, dworzanie rozstąpili się, a ona krokiem pełnym godności, udała się do komnaty, w której zasiadał król i leżał na kamieniach niedawny pan zamku.

Król ze zdziwieniem zwrócił oczy na wchodzącą damę; wszyscy przytomni podzielali je, kobieta postąpiła kilka kroków naprzód, nie spostrzegając Cedrowicza, i zatrzymała się przed królem, długą chwilę wpatrywała się w oblicze potężnego władcy, nareszcie odrzuciła zasłonę z twarzy, i wszyscy przytomni, nie wyłączając króla, wydali okrzyk oburzenia.

Pokazała się twarz barbarzyńsko zeszpecona, nos był oberznięty i świeciły tylko dwie czarne, głębokie jamy. W miejscu obydwóch warg, które także były urznięte, widać było

błyszczące białe zęby jak u tygrysa, uszy obydwu były także oskalpowane, a kiedy kobieta podniosła w obydwóch rękach tarczę herbową i przycisnęła ją do piersi, pokazało się, że wszystkie palce u rąk są poobcinane, a pozostały tylko kikuty bezkształtne.

Król zerwał się na równe nogi na ten przerażający widok i zawołał wielkim głosem:

— Kto jesteś maro i czego od nas potrzebujesz?

Kobieta przez chwilę milczała, wpatrując się uporczywie w króla, nareszcie odrzekła:

— Jestem ofiara nieszczęśliwa — potrzebuję sprawiedliwości.

— Nie napróżno udajesz się do nas nieszczęśliwa istoto, sprawiedliwość zostanie ci wymierzona — i raptem zwracając się do leżącego Cedrowicza — król w uniesieniu zawołał:

— Zbrodniarzu! dziki zwierzu! potworze! spojrz na tę swoją ofiarę i drżij przed straszną zemstą, jaka cię czeka za tak nieludzki postępek.

Cedrowicz uniósł z wolna głowę od podłogi i odpowiedział stanowczo.

— Istota ta dla mnie była świętością, nie ja dopuściłem się tego barbarzyństwa.

— Więc któż to śmiał uczynić?

— Ty — odpowiedziała kobieta, dotykając się kikutem piersi króla.

Król odsunął się na bok i patrząc z uwagą na tarczę herbową, którą kobieta trzymała w ręku, wyszeptał:

— Biały orzeł bez nóg — herb Amadejów.

— Tak, nie omyliłeś się królu. Przed tobą stoi córka, wielkiego rodu Amadejów, nadobna Klara, którą Waszej Miłości podobało się uczynić potworem.

Na wymówienie tego nazwiska, król jakby w posąg zamieniony, zbladł i wargi jego zadrżały z przerażenia, a Cedrowicz siłą woli uniósłszy głowę i oparłszy ją na spoczywającym obok niego niedźwiedziu, mówił:

— Posłuchaj więc królu i wy wszyscy miłościwi panowie tu przytomni, opowiem wam sprawę może nie każdemu z was dokładnie wiadomą, ale opowiem wam historię z dawnych czasów, na której wspomnienie włosy powstają na głowie i krew rzuca się oczami w miejsce łez.

Król Władysław, ojciec twój królu Kazimierz, dzielny to był rycerz i niezłamany nieszczęściami, a jednak przyszła na niego chwila, że opuszczony przez swoich lenników, ujrzał się sam, bez wojska, z kilkoma zaledwie towarzyszami, błakającymi się piechotą w przestrzeniach tego pustego kraju. Na głowę jego nałożona była cena przez Czechów i wewnętrznych wrogów. Wśród zarosłych bagnisk, gdzie przebywają tylko gądziny, lub wśród niedostępnych pieczar leśnych, pędził życie tułacz, co chwila obawiając się zdrady. I tułaczka ta przeciągała się, wasi magnaci łączyli się z Czechami i nie było dachu w całej Polsce, pod którymby król wygnaniec mógł odpocząć swobodnie.

Wówczas ten mąż żelazny, mały wzrostem, ale wielki duchem, uznał za właściwe i za jedynie możebne opuścić granicę kraju i udał się do Węgier, gdzie na dworze węgierskiego magnata barona Felicyana Amadeja, znalazł nie tylko gościnność i przyjęcie, ale pomoc w pieniądzech, koniach i żołnierzach.

Baron węgierski otworzył dla niego nie tylko skarby swoje, wpływy, ale i serce, i kiedy ten król wygnaniec znalazł się wśród Węgrów, Amadej utworzył liczne drużyny. Stada jego dostarczyły koni, skarby pieniędzy, a serce ludzi. I na czele tych to oddziałów, waleczny król przeprawił się przez Tatry, przebył Wisłę i napadł na warowny zamek Pełczyska; niema siły i nie będzie nigdy, któraby się oparła, jeżeli Węgier z Polakiem trzymają się za ręce, to też i potężny zamek Pełczyska, należący do kościoła krakowskiego, uległ, wzięliśmy Wiślicę, Lelów i inne warownie i gwiazda króla Władysława dotąd zaćmiona, zajaśniała potężnem światłem na nowo, przo-

dowała mu i zawiodła go aż na tron potężnego narodu. Czy nie prawda królu Kazimierz?

— Zaiste tak — odpowiedział król.

W dwa lata potem byłem już przytomny. Kiedy panowie pomorscy Szweru wojewoda gdański, Wojsław kasztelan pucki, Piotr¹ podkomorzy słupski, Bogusz sędzia pomorski, Jaśko ze Sławy, Wawrzyniec z Rogienwaldu, Niemira składali hołd wierności i poddaństwa bohaterowi, którego my Węgrzy krwią swoją wprowadziliśmy na tron i nastąpiły czasy potęgi i bratnich związków dla obydwóch narodów, Amadej Felicyan stał na czele magnatów węgierskich, przyjaźń łączyła go z obydwojema królami, najpotężniejsi książęta ubiegali się o rękę jego córek, a jedna z nich Klara, cudownej piękności dziewczica, stoi oto teraz przed wami, budząc wstręt i politowanie. A sprawcą tego jest nie Cedrowicz, zbrodniarz wyjęty z pod prawa, ale ty królu niewdzięczny, tak odpłaciłś się za wysługi jej ojca twojemu ojcu i tobie.

— Jam temu nie winien, co się stało — zawołał król.

— Tak, ale ty był powodem nieszczęść, które obsypały cały dom Amadejów. Posłuchaj dobry królu dalszej historii tej nieszczęśliwej.

Król nasz Karol połączył się związkami małżeńskimi z siostrą twoją Elżbietą. Ty jako dwudziestoletni młodzieniec przebywałeś na naszych królów dworze Wyszehradzie, prowadząc życie pełne swawoli i wyuzdane na zbytki. I wówczas to na dworze siostry twojej królowej Elżbiety, bawiła w gronie dam przybocznych Klara baronowna Amadej, czy ją poznajesz królu Kazimierz? przypatrz się dobrze. Czołem przed jej pięknoscią i cnotą bili najpotężniejsi panowie. — I ja hrabia Andrzej Kopaj, pan niezliczonych dóbr, czy mnie poznajesz królu Kazimierz. Miałem nadzieję i obietnicę pozyskania ręki najcenniejszej i najpiękniejszej kobiety w świecie. Ale cóż jest niepodobnego dla osiągnięcia królewskich pożądań. Piękna Klara wpadła w oczy nieuskromionego lubieżnika, ta anielska istota nie miała nawet pojęcia o tem, co jej grozi. Na umizgi

twoje odpowiedziała wzgardą, za ubogi byłeś, ażebyś ją mógł kupić, dom Amadejów za potężny, żeby ją porwać przemocą, potrzeba więc użyć było zdrady. Dyabelski plan, nie wiem, powstał w twojej, czy w twojej siostry głowie.

Udałeś chorego Kazimierzu, położyłeś się w łóżko, a siostra twoja królowa Elżbieta, wieczorem o zmroku poszła cię odwiedzić, wzięwszy z sobą damę przyboczną, którą była nieśczęśliwa Klara. I wkrótce ta nieuczciwa kobieta wyszła pod jakimś pozorem z twojej komnaty, zostawiając was dwoje. Co się dalej stało, wiesz królu. Synogarlica uległa jastrzębiowi, ty na drugi dzień wyjechałeś do Polski, a może uciekłeś ze strachu. Ale nie tu kończyła się miara przestępstw.

Klara prawie odchodząca od zmysłów, tegoż samego wieczora wszystko wyznała ojcu, który ją ubóstwiał. Ten dumny starzec, ten pan niezliczonych bogactw, przyjaciel królów i ich protektor, ten nieśczęśliwy ojciec, cały zapalał gniewem, oszalał z bólu, ani chwili nie namyślając się, porwał miecz, ten sam miecz, królu Kazimierzu, którym osadził na tronie twojego ojca i w towarzystwie tylko syna, szlachetnego Stefana i kilku wiernych sług, popędził na zamek wyszegradzki. Było to we wtorek po oktawie Wielkiej nocy. Czemuż i ja wówczas nie znajdowałem się w Wyszegradzie; byłem na dalekiej wyprawie wojennej — i albobym się pomścił, lub poległ wraz z nimi.

Królestwo oboje wraz z dwojgiem dzieci siedzieli przy stole, kiedy wpadli Amadeje pijani zemstą. Felicjan nie namyślając się podniósł miecz i chciał uderzyć króla, ten jednak zastawił się ręką, otrzymawszy lekką ranę; ale siostra twoja Kazimierzu, królowa Elżbieta, drożej przypłaciła swoją niegodziwość. Za jednym cięciem Amadeja wszystkie cztery palce jej ręki prawej potoczyły się pod stół. Syn jego biernym był tylko świadkiem tych krwawych czynów, przez miłość synowską, nie chcąc odstąpić ojca. Wówczas hr. Jan Potocki, który naówczas sprawował urząd stolnika, jednym uderzeniem sztyletu powalił olbrzyma, którego swoim własnym ciałem zasła-

niał syn; rozrąbano go na sztuki, a syn, który nie chciał uciekać i zostawić swego ojca, został pochwycony, przywiązano go do ogona konia i po ulicach Wyszegradu dotąd włóczono, aż kości się rozsypały po różnych miejscach, odmówiono im nawet pogrzebu, a psy głodne nakarmiły się szlachetnymi szczątkami Amadejów.

Nie dosyć to jednak było jeszcze zemsty dla twojego królewskiego rodu, upusty nienawiści rozwarły się na ścieżaj, wszystko co tylko miało chociażby najdalszy związek z Amadejami, ścigano, gnębiono, tak poległ brat mój starszy Kopaj Ludwik i żona jego, enotliwa Zeba, starsza siostra Klary.

Czaszkę z głowy Felicjana posłano do Budy, ręce zaś, nogi i inne części ciała, porozsyłano do znaczniejszych miast Królestwa Węgierskiego i na bramach miejskich poprzybijano. Czy dosyć już szlachetny królu tych okropności? — nie — to dopiero połowa roboty szatanów, teraz obrócono się do tej nieszczęśliwej ofiary, której majątki skonfiskowano, wyrzucono z pałaców, zbezczeszczono i tę istotę, której aniołowie zazdrościli wdzięków i cnoty, wywlekli z grona rówienniczek, a królowa Elżbieta, siostra twoja nie okryła ją płaszczem swojej opieki, obcięli jej uszy, nos, wargi i u rąk obydwóch palce, a obwożąc nieszczęśliwą i na wpół martwą po wsiach i miasteczkach Węgier, dla urągowiska, zmuszano biczem, by głośno wyznawała swoją ojcowską zbrodnię, i żeby wołała, że słusznie ukarana jest za popełnione przestępstwo zamachu na króla.

I nareszcie umierającą już od bólu, wstydu, zimna i trudów, rzucono jak zdychającego psa przed chatą biednego cygana, oddając mu ją na własność.

W tym czasie właśnie powróciłem do kraju, okryty sławą, ale dowiedziałem się, że i na mnie urządzono oblawę jak na dzikiego zwierza; postanowiłem się zemścić na tobie królu, i dlatego zatarłem wszelkie ślady mego pobytu; krwawa procesya, która się odbywała z Klarą po kraju, znacząc ślady swoje krwią nieszczęśliwej, zbyt była głośna, zbyt jawna, żebym miał trudność w dążeniu za śladem, i nareszcie po kilku

tygodniach tej kalwaryi męczeńskiej, dowiedziałem się, że ciało zamordowanej rzucono przy drodze wśród puszczy, udałem się tam, ażeby przynajmniej zwłokom męczennicy sprawić chrześcijański pogrzeb; wskazano mi miejsce, wyszedł do mnie z na wpół rozwalonej chaty stary cygan, grajek, i bacznie mi się przypatrując, chociaż byłem przebrany w szaty ubogie, poznał mnie, padł na kolana, z odkrytą głową; był to jeden z moich poddanych, z których mnie wywłaszczono, i nie mówiąc zaprowadził mnie do chaty.

Cóż za widok przedstawił się moim oczom, na nędznym, brudnym barlogu, zaledwie przykrytym obrzydliwą płachtą, leżała Klara — cofnąłem się przerażony! to monstrum miałożby być tą dziewicą bez skazy, tą pięknością, przed którą zginali kolana książęta i królowie świata; jedne oczy pozostały też same, poznałem ją po tym anielskim wzroku i padłem na kolana jak przed męczennicą, jak przed świętą. Stara cyganka warzyła jakieś zioła, i maściami z nich wytworzonemi opatrywała rany krwawe. Klara poznała mnie, chciała wyciągnąć do mnie rękę, ale siły jej nie dopisały, łza tylko potoczyła się z oka i głosem cichym zaledwie słyszalnym wyszeptała:

— Przybyłeś Andrei do mnie?

— Com wycierpiał, Bóg to widział, i policzy mi to za moje zbrodnie na sądzie ostatecznym, ale wówczas przysiągłem jeszcze raz wobec tej męczennicy, że całe życie moje poświęcę na zadośćuczynienie zemście nad tobą króln.

W Węgrzech jednak niebezpiecznym był dla mnie pobyt, lada chwila, mogli wpaść na moje tropy, pochwycić, umęczyć. O życie nie dbałem, ale cóż się wówczas stanie z tą nieszczęśliwą; z bandą cyganów, którym hojnie sypnąłem złota, przedostaliśmy się do pokoi i znaleźliśmy schronienie w jednym z zamków Templaryuszów z Zagościa; przywiozłem z sobą nie małe pieniądze, zapłaciłem im, zmieniłem nazwisko, i nie żałowałem skarbów Krzyżakom, żeby ich zachęcać do wojny z tobą. Szatan jednak miał cię królu w swojej opiece, wychodziłeś zwycięzki wszędzie. Wydzierżawilem zamek Strafczyn

od Templaryszów, tu przeniosłem Klarę, i nie mogąc wyrzucić zemsty na tobie osobiście, przeniosłem ją na twoich poddanych, lubowałem się ich mękami, a kiedy słabła moja energia na chwilę, to dość mi było spojrzeć w lica tej nie-szczęśliwej, żeby czart znowu podpałił ogień zemsty: obdzierałem, rabowałem. Ja Kopaj! zbierałem skarby, ażeby je znowu użyć przeciw tobie.

— A teraz sądz mnie królu.

Przez cały czas tego długiego opowiadania, Klara Amadej z odkrytą twarzą stała, przysłuchując się pilnie — król z pochyloną głową wsparty na ręce, siedział zamyślony, czas od czasu podnosząc głowę i wzrok swój zwracając na baronównę, ale nigdy nie był w stanie wytrzymać jej śmiałego spojrzenia, które z nieprzemyślanym uporem było obrócone na niego.

Kiedy Cedrowicz, a raczej Andrzej Kopaj skończył, król jakby budząc się z długiego uspienia, podniósł głowę do góry, wstrząsnął nią i odezwał się:

— Sprawiedliwość Boża położyła rękę teraz na mojem czole, jeden błąd młodości, pozwolenie na chwilę oddania się swojej chuci, domaga się zadośćuczynienia, i ja grzesznik wielki wobec was wszystkich tu panowie, przyznaję się, że hrabia Kopaj wierną prawdę opowiedział, a ty szlachetna pani, hrabianko Klaro Amadej, przebac mi w Imię Chrystusa — to mówiąc, król nachylił się do ręki Klary, i biorąc jej kikut w swoją prawicę potężną, przycisnął ją do piersi.

— Królu Kazimierzu, ja przebaczyłam ci dawno — odrzekła cichym głosem kobieta — a ty przebacz mojemu mścicielowi.

— Krwi wylanej, ani łez, obydwaj nie potrafimy cofnąć do swoich źródeł, ale niech, skarby swoje, zdobyte rozbojem, Kopaj odda pokrzywdzonym, a przebaczymy mu.

— Widzisz te mury kościoła — odrzekł Kopaj — tak wspaniale, wznoszące się naprzeciw zamku Strafczyna, to moje dzieło rehabilitacji ludziom.

Bogu zaś poświęcę resztki mojego życia, przywdziawszy habit Cystersów, i jeśli Klara darowuje swojemu wrogowi, Kopaj zacieklejszy nie będzie.

W tej chwili u podwoi zamkowych rozległ się głos trąby, dający znak o zdarzeniu się czegoś niespodziewanego.

— Pozwól mi się oddalić miłościwy Królu, i zabrać ze sobą tego nieszczęśliwego.

Król skinął głową przyzwalająco.

Wówczas Kopaj oparł rękę na łbie niedźwiedzia, spokojnie dotąd leżącego, powiedział do niego słów kilka i niedźwiedź podniósł się, wyprostował, mruknął przeciągle — dworzanie dobyli mieczów, sądząc, że zwierz rzuci się na króla, lub na nich, ale niedźwiedź najspokojniej schylił się napowrót, wziął w łapy swoje Kopaję, zarzucił go na grzbiet jak jagnię i wolnym krokiem w towarzystwie Klary tylko, wszedł w wązki korytarz mrucząc.

Cała ta scena była tak niespodziewana, tak zdawała się mieścić w sobie coś czarnoksiężkiego, że dworzanie pomimo-wolnie przeżegnali się.

Drzwi się otworzyły, wszedł Pomian.

— Najmiłościwszy Królu, do zamkowych bram przybył orszak uzbrojonych rycerzy i pragnie być wpuszczonym do zamku.

— Kto oni są i jak liczny orszak.

— O ile w ciemności widzieć można, wszyscy są uzbrojeni i okryci żelazną zbroją, na wierzchu mają białe płaszcze z czerwonymi krzyżami, sądzą, że to są Templariusze, cały orszak składa się zaledwie z dziesięciu osób.

— Dowiedz się kto oni? i wprowadź ich przed nasze oblicze.

Pomian oddalił się.

Król zbliżył się do okratowanego okna, na dziedzińcu i na około zamku paliły się liczne ogniska, w około nich siedziały lub na pół leżały gromady chłopów w białych sukmanach, tu i owdzie słychać było głos skrzypiec lub fujary.

Na murach zamkowych widać było kilkanaście postaci zawieszonych na postronkach za szyję i kołysanych za podmuchami wiatru.

Byli to towarzysze łotrostw Cedrowicza — bąk się ocalił, muchy wszystkie wpadły w ukrop — zwykła stara historia na świecie.

Na znak dany przez Pomiana stojącym na straży chłopom, most zwodzony na fosie opadł, bramy nie potrzeba było otwierać, bo była wyrębana i po nim zwolna wjechała do zamku garstka rycerzy, okrytych od stóp do głowy w zbroje żelazne, na wierzchu mających białe płaszcze z czerwonymi krzyżami.

Na czele orszaku postępował dowódca.

Cały orszak zatrzymał się, wjechawszy na podwórze, giermek zeskoczył z konia, potrzymał strzemie zsiadającemu rycerzowi, reszta jednak orszaku pozostała na koniach, jakby przyrośnięta do siodeł.

— Prowadź mnie waść do waszego króla — rzekł dumnie rycerz do Pomiana — jestem Albert Dusemer, komtur świętego zakonu Templaryuszów z Zagościa.

Pomian postąpił naprzód, za nim postępował komtur, giermek niosł za nim miecz i tarczę herbową.

Zabrzęczała zbroja na kamiennych schodach zameczyska, drzwi otwarły się i do sali, w której znajdował się król, wszedł rycerz.

Teraz dopiero można było ocenić jego siłę i postawę — był to mąż olbrzymiego wzrostu, kosztowna bogata zbroja okrywała go całego, na ramionach zawieszony miał płaszcz biały, głowa okryta hełmem, u którego kita strusich piór powiewała — wchodząc do komnaty, nie tylko nie zdjął hełmu, ale nawet nie uchylił głowy, dumnie wyprostował swoją postawę, podniósł głowę i mierząc króla zuchwałym wzrokiem, rzekł:

— Jestem Albert Dusemer, komtur świętego zakonu Templaryuszów, brat rodzony wielkiego mistrza Braci szpitalnych. Królu Kazimierzu Polski, w zamku będącym własnością naszego zakonu — witam Cię.

Słowa to były napozór uprzejme, ale spojrzenie, które im towarzyszyło, jasno pokazywało inne znaczenie.

Strażczyn wówczas rzeczywiście należał do zakonu Templaryuszów, którzy w Zagościu o dziesięć mil ztamtąd odległym mieli swoją rezydencję. Państwo to jeszcze w roku 1154 nadane im zostało w posiadanie. Przez cały czas swojego władztwa, w historii polskiej bardzo mało o Templaryuszach było słychać; wzrastali jednak w bogactwa i dumę. W czasie wojen prowadzonych z Krzyżakami, tak licznych i tak krwawych, mało brali udziału, za ostrożni byli, ażeby żyjąc i mając swoje włości w sercu Polski, ryzykowali się na ich stratę, tembardziej teraz, kiedy Filip Piękny spalił ich mistrza na stosie, a papież zakon skasował, a majątki skonfiskowano we Francji.

Postępowanie ich było zawsze pełne ostrożności, przebiegłości i wyrachowania, czasu od czasu wysyłali małe oddziały do Palestyny, a w sprawozdaniach swoich słanych do Rzymu i wielkiego Mistrza w Paryżu, podnosili bohaterstwo czynów swoich do niesłychanej potęgi.

Król pozostając jeszcze pod wpływem strasznej historii, którą był przymuszony wysłuchać, i w której tak nieszczęśliwą odgrał rolę, był milezący, zdobywając się jednak na odpowiedź odrzekł wyniośle:

— Zapóżno trochę witacie nas szanowny komturze, myśmy się tu już pierwiej rozgospodarowali, i właściwie w tych gościnnych komnatach, my was jako gospodarz powitać powinniśmy.

Widziałem to gospodarstwo, miłościwy Królu, potoki krwi rumieniące śniegi, trupy poniewierające się po podwórzach, wyrabana brama, dały nam na chwilę do myślenia, że oddział Tatarów, lub Litwinów, roznosi swoje barbarzyńskie pożogi i rujnuje włości świętego zakonu; tymczasem omyliłszy się w naszych przypuszczeniach, to nie był napad żadnej dziecy pogańskiej, ale miłościwy Król polski, którego przodkowie nadali nam tę ziemię, którym my się wysługiwali;

bądź jak bądź zawsze my tu jesteśmy gospodarzami; witam cię więc panie jeszcze raz w tych progach zbuczonych krwią obrońców.

Krew uderzyła do twarzy króla, wyraz oburzenia rozlał się po jego obliczu, nie zatrzymując się więc ani na chwilę, głosem donośnym, ale zająkliwym, jak to u niego było w zwyczaju, odrzekł:

— Było to gniazdo rozbójników, w dalekich promieniach rozpościerające swoje łupieztwa. Jęki nieszczęśliwych doszły aż do naszych uszów i dlatego postanowiliśmy zburzyć gniazdo i zburzyliśmy je, a jeżeliś się przyjrzał szanowny Komturze, to widziałeś zapewne na murach zamkowych powieszona na pastwę kruków ciała zbrodniarzy. Ten sam los spotka każdego, chociażby najwyżej postawionego człowieka, który się odważy naruszyć prawa przez nas postanowione, uciemieżyć najędźniejszego z naszych poddanych lub da pomoc opryszkom.

— Nie przybyłem tu z tak licznym orszakiem, jakby się godziło dla odpowiedzenia na słowa twoje panie, my przychodzimy z różczką pokoju, ale nie zapominaj N. Panie, że w tej samej chwili 40.000 Krzyżaków wyruszyło z Malborga na poskromienie Litwinów, twoich sprzymierzeńców, i że Krzyżacy ci z Wielkim Mistrzem na czele, Henrykiem Dusemerem, moim rodzonym bratem, już wzięli Olgierdowi 20.000 jeńców, zmiażdżyli go i że siły te zawsze są gotowe stanąć w obronie uciśnionych współpraci.

Zuchwale te słowa jeszcze większy gniew wzbudziły w królu; podnosząc się więc i groźnie marszcząc brwi, zawołał:

— Więc grozić mi przybyliście w środku mojego własnego państwa, natrzasać się nad prawami. Czego nareszcie chcecie odemnie?

— Chcemy miłościwy Panie, żebyś oddał nam zamek Strafczyn, będący naszą własnością, a dziś niespodzianie napadnięty i zdobyty.

Bezczelność ta tak przeczodziła miarę oczekiwania, że król przez parę chwil nie był w stanie nie odpowiedzieć.

— Nie ma już Templaryuszków — zawołał nareszcie. — Czyż nie wiecie, że król Francyi zabrał wasze majątki, waszego mistrza spalił wraz z jego rycerzami, a Papież wyklął was. Powtarzam wam, nie ma już Templaryuszków, jesteście wyklęci, wyjęci z pod opieki prawa.

— Ale to była właśnie słaba strona, której w prędkości nie dopatrzył się król i uniósłszy się, w ten moment pożałował tego co wyrzekł.

— Nie sami my tylko jesteśmy wyklęci królu, i nad twoją głową zawisła klątwa, jedne więc posiadamy prawa i wspólnie nie mamy sobie czego zazdrościć.

— Jeszcze jedno słowo! — zawołał król gwałtownie, a głowa twoja zawiśnie na murach zamkowych, wśród godnych ciebie towarzyszy. Precz mi z oczów.

Komtur przez chwilę był milczący, uporczywie wpatrując się w twarz króla. Dumnem potoczył okiem po zgromadzonych i nie oddawszy żadnego ukłonu władcy państwa, oddalił się i dosiadłszy konia, na czele oddziału przebył bramę zamkową.

Rozwidniać się już zaczęło, król nie kładąc się spać, rozkazał, żeby oddział jego natychmiast siadał na koń i oddawszy zarząd zamku Pomianowi, wyszedł w podwórzec.

Lud zgromadzony powitał go okrzykami nieniesienia. Kazimierz podziękował mu za okazaną pomoc i odwagę i zapewniony, że zawsze i wszędzie znajdzie w nim lud ojca i opiekuna, oddalił się z miejsca, które mu tyle sprawiło przykrości.

ROZDZIAŁ V.

Templaryusze w Zagościu. Dwór ich. — Sąd duchowny na czary, — Więzienie Estery.

Wieś Zagość, leżąca na szosie pomiędzy Pińczowem a Buskiem, dzisiaj osada złożona z zaledwie kilkunastu chałup, niczem niezwracająca na siebie wzroku podróźnego, położona w okolicy nie odznaczającej się wcale pięknnością widoków, chyba pięknie uprawionemi łąkami zboża, była w XIV wieku rezydencją potężnego zakonu Templaryuszów, których Henryk książę sandomirski, syn Bolesława Krzywoustego, za doznaną gościnę w Ziemi świętej u tego zakonu, sprowadził do Polski i hojnie uposażył, wybudowawszy olbrzymiej wielkości zamek, oddał go rycerzom i nazwał »Zagość« na pamiątkę doznanej gościnności.

Czerwone słońce wspaniale świeci po nad czerwonymi murami zamku. Olbrzymie to zameczysko, wybudowane jeszcze w początkach XII wieku, rozsiadło się rozległe i swojemi zabudowaniami ogromnemi, stajniami, składami, spichrzami, rozsadało boki potężnych grubych murów, otaczających je dookoła. Dwie bramy z ciężkimi piętrowemi basztami, uzbrojone taranami i maszynami do wyrzucania kamieni. roily się teraz od zbrojnych straży. Na muraeh w pewnych odstępach od siebie, przechadzali się łucznicy, baczne dając oko na okolice.

W okolicy nie się jednak nadzwyczajnego nie działo. Wszędzie panował spokój, a z baszt zamkowych widać było gromady ludu wiejskiego, pilnie zajętego swoją pracą około ziemi.

Zamek nie odznaczał się żadną architekturą, imponował tylko swoim ogromem i liczną załogą, zawsze gotową do boju; mury stawiane z kamienia i cegły razily swoją grubością niesłychaną. Miejscowość z natury wcale była nie obronna; sztuka

więc tu musiała zastąpić wszystko i zabezpieczyć mieszkańców od niespodziewanego napadu.

Łucznik stojący na najwyższej baszcie zamkowej, dojrzał widać jednak coś niezwykłego w oddali, bo z całą uwagą zaczął się przypatrywać. Z początku pokazał się tylko jakby mały obłoczek dymu, potem zamienił się w kłęb kurzawy. Strażnik ani na chwilę nie odwracał od tego widoku oka. Słońce w całym blasku oświecało wszystkie przedmioty i w pośród kłębu kurzu wznoszącego się na gościńcu, odbiły się jego promienie i zabłyszczały żelaza lustrzaną światłością. Łucznik nie wahał się już dłużej, podniósł do ust róg kowali, zawieszony przez ramię i zadał na nim sygnał ostrzegawczy załogę. Na ten znak wkrótce na baszcie pojawił się jeden z braci zakonnych, łucznik w milczeniu pokazał mu kłęby kurzu, w których już teraz częściej czas od czasu, błyskały żelazne przedmioty, podług wszelkiego prawdopodobieństwa zbroja rycerzy; templaryusz spiesźnie zeszedł z wieży i wkrótce rozległy się dźwięki doniosłe dzwonów. Najpierwej jeden cienki, przenikliwy, a potem zawtórował mu głos gruby basem, a za nim już wiele innych. Na głos dzwonów rozlegający się w powietrzu, lud pracujący po polach, spiesźnie zaczął opuszczać swoją pracę niedokończoną, i widać było ze wszystkich stron gromady ludu spieszące do swoich wiosek, większa jednak część wprost udawała się ku murom Zagościa.

Z oddziału zbliżającego się do Zagościa, odłączył się jeden jeździec i w całym pędzie konia z jakąś chorągwią w ręku przybliżył się.

Na podwórzni zamkowym zrobił się ruch, widać było rycerzy okrytych zbroją spiesźnie przebiegających w różne strony, w stajniach zamkowych giermkowie kulbaczyli konie i szykowali oręże. Krótco jednak trwały te wszystkie przygotowania, najstarszy z masztalerzy zadał w srebrną piszczalkę. Na ten znak giermkowie wyprowadzili konie na podwórzec zamkowy, do siodła ich przytroczone już były kopie, czekany i ustawili się w porządku.

Jednocześnie prawie wyszedł sam Komtur w ślniącej zbroi, za nim postępowało 50 rycerzy również zakutych w żelazo.

Giermkowie podprowadzili konie, każdy swojemu rycerzowi. Wielki Komtur dosiadł swojego dosyć swobodnie, ale inni rycerze odznaczający się po większej części swoją grubością, zapasieni, od długiego pokoju i bezczynności, mieli pewną trudność, zaczęli się wgramolić na grzbiety również zapasionych rumaków.

Zwodzony most spadł z trzaskiem, łańcuchy zazgrzytały i cały orszak prowadzony przez Dusemera, pomału wyjechał za mury zankowe.

Za każdym rycerzem jechał giermek, niosąc tarczę herbowa swojego pana i potężną kopię.

Jeździec przybywający od zbliżającego się orszaku, wkrótce zbliżył się na taką już odległość, że można było doskonale rozpoznać tak jeźdźcę jak i konia.

Koń i jeździec okazale się przedstawiali. Był to rycerz w pełnej zbroi, ślniącej od promieni słonecznych, dzielnie prowadzący swojego rumaka i pomimo szalonego biegu po piaszczystej drodze, niepokazywującego wcale znużenia. Kita strusich piór powiewała na szyszaku jeźdźcy, herbowa tarcza z godłem rodu Toporów, zawieszona była na lewem ramieniu.

Rycerz na kilkanaście kroków zbliżywszy się do oddziału postępujących zwolna Templaryuszów, osadził konia w miejscu. Spienione zwierzę zaryło ziemię podkowami, podniosło do góry swój uzbrojony kołcem łeb i stanęło wyciągnięte, nieruchome jak posąg marmurowy.

Templaryusze zatrzymali się także na chwilę.

— Jego ekscelencya opat klasztoru Cystersów. sulejowski, najświętobliwszy mąż Gwilicz, opiekun uciśnionych i postrach heretyków, zbliża się do ciebie najprzewielebniejszy Komturze i do was świętobliwi rycerze w odwiedziny.

— Spieszmy na przyjęcie J. Świątobliwości, zdaleka poznaliśmy jego orszak, serca nasze jak bramy naszego zamku stoją

otworem dla tak drogiego gościa, spieszymy, żeby go powitać czempredzej — odpowiedział komtur.

Orszak opata wyjechał tymczasem na wzgórze i wspinał się przedstawił w promieniach słońca. Templariusze zbliżyli się na kilkadziesiąt kroków i obydwaj orszaki jednocześnie zatrzymały się.

Na czele orszaku opata jechało 30 jeźdźców na dzielnych koniach w półzbrojach, helmy ich zdobiły pióra, u każdego kopia długa sterczała w rękę — za nimi na tegim, krępym koniu siedział jeden z braci zakonnych, trzymając krzyż potężny, z obydwóch stron jego dwóch innych zakonników, również na koniach, trzymało rozwinięte chorągwie, z którymi wiatr igrał swobodnie.

Teraz na bułanym koniu, bogatemi okrytym czaprakami, siedział sam opat Gwilin; był to mąż w sile wieku, długa, czarna broda spadała mu na piersi, okryte stalowym pancerzem, na głowie miał kapelusz również przyozdobiony w pióra, ale tuż jadący za nim giermek trzymał na rękę hełm żelazny; postać jadącego opata niczem nie podobna była do zakonnika, spojrzenie dumne, wyniosłe, z góry patrzyło na ludzi.

Za nim postępowało dwóch giermków, trzymając na swoich ramionach sokolów z zapuszczonemi kapturami na oczy — dalej prowadzono psy myśliwskie, wierzchowe konie, za nimi dopiero postępowała 6-cio-konna kolasa, bogato złocona, do której Jego świątobliwość w chwilach zmęczenia, uciekał się dla wzmocnienia swoich sił. Orszak zamykało 10 jeźdźców tak samo jak trzymający straż przednią, ubranych na dzielnych koniach — za nimi dopiero ciągnął się długi łańcuch wozów mieszczących służbę, zapasy żywności, beczki z miodem i piwem, i wszelkie mogące być potrzebne w podróży.

Nie była to zupełnie zbyteczna ostrożność, w owych czasach w kraju tak mało jeszcze zaludnionym, budującym się dopiero, podróżny często musiał nocować pod gołym niebem, lub położyć się spać z pustym żołądkiem, jeżeli nie miał zapasów z sobą.

Gdy orszaki przybliżyły się do siebie i zatrzymały — obydwie chorągwie pochyliły się przed komturem, a zakonnik, piastun krzyża podniósł go w górę po nad swoją głowę — wówczas Templaryusze wraz z swoim dowódcą spieszenie posiadali z koni i piechotą zbliżyli się do wysokiego dostojnika Kościoła. Opat nie zsiadając z konia, podniósł rękę do góry, Templaryusze przyklękli, a on przeżegnawszy ich, odmówił bardzo krótką modlitwę nad ich głowami schylonemi.

Teraz powstał komtur i zbliżywszy się do wierzehowca biskupa, wyrzekł:

— Witaj nam najdostojniejszy i najprzewielebniejszy ojcze i panie, na ziemi ubogiego zakonu, zaszczyt jaki nas spotyka, przyjmujemy głęboko wzruszeni i prosimy cię o wstąpienie pod nasze dachy.

Opat coś odpowiedział niewyraźnie, ale ręką dał znak zapraszający komtura, ażeby zajął miejsce obok niego. Komtur natychmiast dosiadł konia — odezwały się trąby kapeli Templaryuszów, wartownie i flety i obydwaj orszaki połączone udały się do bram Zagościa wśród nieustannego bicia w dzwony.

Lud tłumnie pokrywał drogi, tworząc jakby szpalery żywe dla jadących — mury zamkowe zapelniły się patrzącemi, a kiedy orszak biskupi zjechał już na most zwodzony, wystąpiły grupy dziewczyn biało ubranych, były to córki poddanych Templaryuszów ze wsi okolicznych i trzymając kosze w rękach pełne kwiatów polnych, rzuciły je pod nogi wjeżdżającego oddziału.

Opat błogosławił je kornie schylone i cały orszak znalazł się na podwrocu zamkowym.

Sam komtur dopomógł zsiąść z konia opatowi, towarzyszący księża, również uprzejmie przyjęci zostali przez innych Templaryuszy i cały orszak zanurzył się w wąskich sieniach komandoryi.

Olbrzymia komnata z pułapami w formie łuków sklepieniami, podparta grubemi kamiennymi kolumnami, mieściła

już w całej swojej długości stół, zastawiony do uczty bogatemi srebrami.

Komtur Dusemer, niderlandczyk rodem, wychowany wśród blasku dworu książąt i bajecznych okazałości uczt, przejął się duchem owej krainy bogatej najbardziej przemysłowej i najbardziej kwitnącej w owym czasie w całej Europie, w której 3200 warsztatów tkackich było w ruchu — a do Brygi kanałem długim na 5 mil, wpływało codzień 100 okrętów.

W XIV wieku starożytny ucisk osłabł, człowiek ufa już swojej sile i zaczyna lubić zdrowie, piękność i rozkosz — duch średnich wieków już zaczyna konać — rycerstwo w przepychu dosięga zenitu, oddaje się defiladom, turniejom i ucztom, — wyobrażenia zaczyna szaleć w przesadzonych ubiorach, suknie dam 12-lokciowe nie są osobliwością, rękawy zwieszają się do ziemi, obuwie zakończą się pazurami, rogami i ogonami skorpionów, spodnice wyszywane literami, zwierzętami, nutami. Kapelusze wyszywane liśćmi złotymi, suknie pokryte szafirami, rubinami, jaskółkami złotymi, z których każda trzyma w dzióbku złote naczynie, takich naczynek liczą w jednym ubraniu 1400, a do wyszycia jednej piosnki na sukni, zużywano 900 pereł. — U kobiet wspaniałe welony, lona obnażone, na głowach monstrualne ubrania — na sukniach wyszyte złotem, lwy, dzieci ludzie, siadają na krzesłach wybudowanych na kształt małych złożonych katedr.

Rycerze, nie wyłączając Templaryuszów bawią damy rozmowami o miłości i nucą śpiewy miłosne, składają im hołdy i biją się na cześć swoich piękności.

Życie dworu i książąt podobne jest do zapust, krew i złoto płynie obszernymi strumieniami.

To rozpasane zwierzęce życie rozwija się jak wielkie targowisko. Filip Dobry, ma trzy żony i 24 kucharek, 16 naturalnych dzieci, wszystko to on utrzymuje.

Hrabia de Cleves ma 63 nieprawych dzieci, kronikarze ciągle wspominają o nieprawych dzieciach, jako o rzeczy zupełnie naturalnej.

Jakób de Croy, arcybiskup w Cambre, uroczyście odprawiał nabożeństwo ze swojemi 36 dziećmi z nieprawego łoża i zachowywał w rezerwie pewną sumę pieniężną dla tych, jakie mógł mieć jeszcze później. Przywodzę tutaj te obrazy, nie dlatego, żeby usprawiedliwić zbytek uctw Templaryuszów, lecz żeby czytelnik patrzył z właściwego punktu i czasu na przedmiot.

Tak opat jak i komtur Dusemed, obydwaj cudzoziemcy, znalazłszy się w kraju obficie im dostarczającym bogactw, przynieśli doń obyczaje Zachodu i te znalazły dla siebie urodzajną niwę wśród bogatej szlachty.

Każde zepsucie, które ma w sobie zarody cywilizacyjne, bardzo prędko się rozprzestrzenia i Polska więc przyjąwszy od Zachodu dobrodziejstwo cywilizacyi i religii, zmuszona była przyjąć również i fusy, które tam osiadały na dnie wśród rozkładów chemicznych jakie się odbywały.

Goście wszedłszy do ogromnej sali, znaleźli ją już w połowie zapełnioną damami, były to siostry, kuzyny lub przyjaciółki Templaryuszów, dowody pokrewieństwa niekoniecznie potrzeba było przedstawiać, siostry według św. Piotra, mogły być tylko pokrewne duchem.

Opat zasiadł na przygotowanym jakby tronie, na wysokim złoconem krześle, okrytem drogocennym dywanem wschodnim, a obok niego komtur zakonu, dalej bracia i duchowieństwo przybyłe z opatem. Miejsca jednakże zajmowane przez uczujących były poprzeplatane żywemi kwiatami dam, bogate ich i oryginalne ubiory, ozdoby złote i jaskrawe kolory dziwną czyniły dysharmonię obrazu. Odezwały się trąby i piszczałki i zasłona oddzielająca salę uczt podniosła się, a na olbrzymim pasztecie wjechała do sali postać kobiety z odkrytą piersią z której dwoma strugami lało się wino czerwone i złote, giermkowie bogato ubrani w aksamitach i jedwabiach podstawiali złote i srebrne puchary i roznosili je gościom.

Dalej wznosił się z ciast kunsztownie zabarwionych wspaniały kościół, w którym grały organy i rozlegał się głos dzwonu — na około niego rozciągała się głęboka fosa napełniona wodą pomarańczową, a z niej wynurzały się od czasu do czasu przesłiczne syreny, wabiąc do siebie uśmiechem i gestami. Dwa lwy ciągnęły dużą beczkę miodu, z której siedzący na niej geniusz ze skrzydłami, rozlewał napój raz słodki, to znowu gorzki naprzemian. Pierwsze to przedstawienie nasycający wzrok i podniebienia uczujących, znika za przeciwną zasłoną, a teraz przybywa olbrzym w złoconych sukniach z dzidą w ręku, prowadząc z sobą słonia pokrytego jedwabiem, na którym stoi zamek, a z okna zamku wygląda pani ubrana jak zakonnica; ma to wyobrażać kościół święty. — Kościół ten zatrzymuje się — zakonnica przemawia i wzywa do wojny krzyżowej rycerzy i chwali waleczność Templariuszów, i każe pić za ich zdrowie. Uczta przedłuża się, potrawy jedne nad drugie dziwaczniej ozdobione nikną w przerażającej obfitości, miód, wino i inne napoje leją się strumieniami.

Przy dźwięku instrumentów, przy świetle pochodni, wchodzi biała pani niosąc swe imię na ramieniu — jest to: »Łaska Boska« — wypowiada opatowi wiersz pochwalny i komturowi za ich gotowość do boju z niewiernymi, i wybiera z pośród dam biorących udział w uczcie 12 cnót: wiarę, litość, sprawiedliwość, rozum, siłę, prawdę, hojność, męstwo, nadzieję, zwycięstwo. Każdej z tych cnót jeden z rycerzy podaje rękę, okrażają stoły na około w wspaniałym pochodzie, zginając się przed opatem i zaczynają się tańce trwające do późnej godziny — inne damy i rycerze biorą także udział.

W istocie ludzie tego czasu bawią się jak dzieci zabawkami, żarłocznie spożywają potrawy, nie smakując ich, piją jak smoki — moralne i oderwane pojęcia umysłowieją w cnoty — cnoty te stają się rzeczywistymi kobietami, przed którymi jednocześnie klękają i każą sobie ściągać buty.

Sceny z owych czasów przedstawiają nam się dzisiaj, albo jako lśniące się złotem orgie, bahanalie, kalwakaty; albo rażą nas i przerażają swoją ponurą ascetyczną tragicznością. Sceny te naprzemian po sobie następujące, tem silniejsze stanowią kontrasty i trzymają jeszcze człowieka w jakiejś czarowanej krainie, czarów. Myśl ludzka pracuje jednak w ich głębi i prowadzi ludzkość ku Nieznanemu, bo ma za przewodnika wielkie światło Chrystusowej nauki; może ono być na jakiś czas przyćmione, zadymione okopciałościami namietności ludzkich, zdające się nawet już gasnąć — ale ta iskierka malutka na pozór ginąca, ma w sobie potęgę nieskończoną, niewyciężoną, nieprzepartą — prawdę bezgranicznej miłości i dlatego zawsze musi zostać zwyciężką.

Na drugi dzień, po przybyciu Gwilina opata do Zagościa, odbywać się miały sądy duchowne na czarownice, które w tej okolicy bardzo się rozpanoszyły i przyczyniały ludziom wiele zlego i prowadziły na zatracenie dusze chrześcijańskie.

Słońce już świeciło w całym blasku, gdy w jednej z sklepionych komnat zameczyska, której okratowane okna w tej chwili otwarte wychodziły na ogród, siedział na wysokiem krześle opat, na drugiem komtur Dusemer, pomiędzy nimi na małym marmurowym stoliku stały dwa potężne srebrne dzbany i obok nich z tegoż samego kruszczu puchary, napelnione cypryjskiem winem.

— Czyż nie widzicie Ojcie najprzewielebniejszy — mówił w dalszym ciągu komtur — jak podstawy istnienia z pod nóg wam się wysuwają, jak władza wasza, w tej chwili jeszcze potężna, taje i król dąży do samowładztwa — szlachtę i duchowieństwo zgnieść usiłuje, i na karkach ich postawiwszy nogę, zaprowadza nowe porządki.

Gwiliu uśmiechnął się na pozór dobrodusznie, ale ktoby się był bacznie przypatrzył tej twarzy, dostrzegłby raczej szyderstwo, niż naiwność i odpowiedział:

— Łączycie dwie zupełnie różne sprawy z sobą, przeznacny Panie, dwie instytucye, które jakkolwiek wspierać się

powinny, każda z nich jednak idzie samodzielnie — podstawy ich egzystencji nie są jednakowej trwałości: szlachectwo opiera się na sile oręża lub łasce królewskiej. Duchowieństwo ma za podstawę skałę Piotrową, wieki przeminą a podstawa ta nie zachwieje się i gmach na niej zbudowany, rozrastać się tylko będzie w potęgę i sławę.

— Nie zaprzeczam bynajmniej potędze świętego Kościoła katolickiego, którego jesteście właśnie Templariusze najgorliwsi obrońcami — ale czyliż nie widzisz najszlachetniejszy Ojczy, że gromy Kościoła dzisiaj osłabły bardzo, że nieposłuszni i krnąbrni mu królowie, niemal lekceważą go, najgrawiają mu — że ten np. Kazimierz polski, dźwigając na sobie klątwę Bodzanty biskupa krakowskiego, swobodnie sobie żyje, nie na nią nie zważając — że tenże Kazimierz przed kilku miesiącami najechał nocną porą na czele tłumów zbrojnych zamek nasz Strafczyn, własność kościoła, zdobył go, osadził swoją załogę i lekcewał sobie wszystkie nasze i biskupa krakowskiego wezwania i ani myśli go nam powrócić.

Opat opuścił głowę na piersi, jak gdyby w cichości rozważał co dopiero powiedziane słowa, tymczasem komtur mówił dalej:

— Zbrodnia, jaką popełnił we Francyi Filip, zwołując sąd bezprawny i paląc na stosie naszego wielkiego mistrza z jego rycerzami, konfiskując nasze dobra, jest plamą wieku; podobne zachcianki, wiadomo nam to dobrze, jawią się i przed oczami Kazimierza — podobna zbrodnia i tutaj na północy powtórzyć się może — podobne bezprawia...

— Sąd ten był dozwolony przez papieża i wyrok on potwierdził.

— I podzielił się razem z królem francuzkim naszymi dobrami, wymyślając imaginowane zbrodnie. Świątobliwy nasz mistrz Molé wezwał obydwóch przed sąd Boży, stojąc na zapalonym stosie, i obydwa w przeciągu roku pomarli.

— Odszkodzyliśmy od celu naszej rozmowy, zacny komturze, wezwaliście mnie tutaj, pragnąc zasięgnąć naszego zdania.

Co wam czynić wypada w chwili, gdy ważą się losy naszego zakonu w Polsce.

W przejeździe do Krakowa wstąpiłem do was, i pragnąłem bardzo wam pomódz. Kazimierz jest wprawdzie pod kłatwą biskupią, nacisk więc pewien na niego będzie można wyrzucić, i sądzę, że się da wiele wytargować.

— To nie rozstrzyga zupełnie rzeczy; drażnić nieprzyjaciela a potem go głaskać, mogą tylko słabi — walka kiedy raz mu została wypowiedziana, trzeba ją doprowadzić do końca i zebrać konsekwentnie owoce zwycięstwa. — Kazimierz prześladuje duchowieństwo, nie szanuje jego przywilei, lekceważy szlachtę — czyż te dwie siły połączone z sobą nie potrafią mu nałożyć wędzideł. Magnaci są oburzeni jego nowymi prawami, jego statutem wiślickim i gotowi do podniesienia oręża. Niech duchowieństwo podniesie krzyż, niech zawoła wielkim głosem »krzywda się dzieje« a ten pyszny panek kogóż znajdzie po swojej stronie? Wojewoda poznański Maciek Borkowicz, panowie Pomorscy, Templariusze, Krzyżacy Malborsecy, a nadewszystko duchowieństwo z biskupem krakowskim na czele; cała ta potężna siła z mieczem w jednym ręku a z kłatwą kościoła w drugiej, zmusi tego pysznego władcę puścić z tonu i znowu ukrywać się, jak ojciec jego, po jaskiniach Ojcowa.

— On ma za sobą przywiązanie ludu; spory z duchowieństwem nie przebrały jeszcze tak potężnych rozmiarów, żeby nie dały się drogą układów zakończyć — co więcej mamy mu do zarzucenia?

— A jego życie rozwiąże i wyuzdane na zbytki — a jego stosunki z żydami, czary pod wpływem których działa, czyż nie będą miały znaczenia.

— Czary? — powtórzył zdziwiony opat — gdzie dowody?

— Dostarczymy wam ich księżę Opacie, jeszcze dzisiaj — tymczasem zaś najprzewielebniejszy Opacie, racz porachować siły, któremi rozporządzać możemy i przedstawić je Bodzancie,

sily to tak poważne, że przeciw nim nie ostoi się władzca, chociażby dużo potężniejszy od tego potomka kołodziei.

Opat głęboko się zamyślił, nie odpowiadając.

Tymczasem na ogromnym dziedzińcu zamkowym odbywał się ruch niezwykły, w półkole ustawiono trybuny, pokryto je czerwonym suknem, a w środku ich, wznosiła się trybuna ozdobiona czerwonym aksamitem, po nad nią unosił się baldachim wspinały, jedwabny i trzy stolce okryte dywanami, przeznaczone dla trzech sędziów. Przed samą główną trybuną stał stół dębowy, przy nim siedzenie dla sekretarzy i pisarzy — dalej jeszcze krzesło dla instygatora i dwóch obrońców z urzędu.

Nieopodal ułożone sterczały trzy stosy drzewa, pośród każdego był wbity słup z łańcuchem u wierzchu i żelazną obróżą, snopy słomy i smolne szczepy donosili pomocnicy kata. On sam zaś ubrany w czerwoną długą sukienną szatę, z zapuszczonym kapturem na twarz, stał nieco opodal oparty o ogromny topór, godło jego godności i wydawał rozkazy.

Tłumy ludu z okolicy różnego wieku i płci płynęły dwoma bramami, teraz otwartymi na rozcież i w milczeniu szykowały się po obydwóch stronach trybuny i ustawionych stosów.

Łucznicy chodzili pomiędzy tłumem z długimi dębowymi prętami i zupełnie samowolnie zaprowadzali porządek, okładając potężnymi razami cisnących się.

Wszystkich oczy zwrócone były ku lochom zamkowym, gdzie uwięzione były trzy czarownice, których losy miały się wkrótce rozegrać przed oczami zgromadzonej publiczności.

— Będzie im ciepło... niema co mówić — odezwała się jedna z kobiet — ale zawsze ta stara Michałowa, to była nie zła kobiecina.

Bo ona była białą czarownicą — odrzekł sąsiad — nikomu nie zrobiła nic złego, a i nie jednemu pomogła, ale ta druga czarna Zośka, to ludziom dała się we znaki nie jeden raz, to też będziemy widzieć, jak ciało jej pryskać będzie siarką w ogniu, a nieczyści uniosą jej duszę do piekła. Jest

i trzecia czarownica, ale tamta podobno jakaś obca, była upiorem i zmorą, wysysała krew ludziom i w nocy porywała dzieci matkom — kiedy ją złapali, miała przy sobie ślicznego chłopczyka, podobno pańskie dziecko.

W tej chwili trąby odezwały się potężnym głosem, łucznicy zaczęli odpychać lud tłoczący się zanadto.

Podwoje zamku otworzyły się i z nich najpierwej pokazał się człowiek niosący krzyż, ubrany w kapiec długą aż do ziemi, za nim szereg braci zakonnych w zbrojach — następnie dopiero postępował opat Gwilin, komtur Dusemer i najstarszy wiekiem brat zakonu hrabia Neusdorff. Był to starzec, z białą po pas brodą, zbroi już dźwigać nie mogło wątłe ciało, dlatego ubrany był w długą, czarną, aksamitną szatę, przy boku jednak przypasany był w bogatej oprawie miecz, dwóch giermków prowadziło go pod ręce, na których opierał się całym ciężarem swego ciała.

Dalej ciągnęła się długa procesya kobiet, które wczoraj miały udział, i rycerzy zakonnych, jak również nie wielkiej garstki cywilnych gości, zaproszonych na tę uroczystość.

Wśród smutnego trąb odgłosu, wśród bicia dzwonów z wież zamkowych, wśród łoskotu bębnow i przeraźliwego głosu fletów, sędziowie zasiedli przeznaczone im miejsca — inni uprzywilejowani widzowie zajęli ławki w amfiteatrze ustawione. Komtur dał znak ręką i w jednej chwili zgiełk muzyki ustał, szmery pomiędzy ludem ścichły i zapanowało głębokie milczenie.

Wówczas komtur powstał z siedzenia i głosem donośnym odezwał się w te słowa:

— Bóg w miłosierdziu swoim nieograniczony, i w zemście swojej nieublagany, powołał nas tutaj zgromadzonych rycerzy świętego zakonu pod duchowem przewodnictwem najprzewielebniejszego Opatu Sulejowskiego, a pod bezpośredniem działaniem Ducha Świętego — do oczyszczenia ziemi od występku czarodziejstwa, do wymierzenia sprawiedliwości i ukarania zbrodni. Niech wyprowadzą przed oblicze nasze prze-

stępczynie, te naczynia piekła i czcicielki szatana. — Grobowa cisza zapanowała wśród zgromadzonego ludu, wszystkich oczy zwróciły się ku bramom więzienia, które wkrótce otwarły się i z ciemnych lochów zaczęły się wynurzać postacie ludzkie.

Najpierwej kilku pomocników kata, prowadziło pod ręce a raczej wlokło starą bardzo kobietę, bo o siłach swoich postępować nie mogła, na rękach i nogach swoich miała kajdany, w rękę trzymała kostur, na którym się podpierała. Kobieta drżała na całym ciele od zimna lochów więziennych i osłabienia; długie a rzadkie białe włosy wysuwały się z pod chustki związanej na głowie — szła, pocichu coś rozmawiając sama z sobą i widocznie lubowała się ciepłymi promieniami słońca, które w tej chwili dokuczliwie przypiekały.

Tuż za nią postępowała dziewczyna lat 16, również okuta w kajdany, czarne jak smoła włosy okryte były czerwoną chustką, płeć śniada z odblaskiem brązu — oczy czarne, sypiące iskry w około, dwa sznury bursztynów i koralików na szyi, pokazywały jasno, że należy do tej kasty Parjów indyjskich, które niewiadomo kiedy zjawily się na słowiańskich ziemiach i tutaj przedłużają swój koczujący żywot wśród zimna północy, do którego nie przywykli nad brzegami Gangesu.

Ale największe wrażenie zrobiła trzecia kobieta postępując również w łańcuchach, przy niej szedł malutki chłopczyk wytwornie ubrany i silnie trzymał się jej ręki. Ubiór kobiety z czarnego jedwabiu, wytwornego kroju, dawał poznać osobę wysokiego stanowiska — dumnie odrzuciła zaslonę okrywającą jej twarz i wtenczas poznajemy ze zdziwieniem, naszą znajomą piękną Esterę z Opoczna i jej syna.

— Patrzcie, to ta czarownica, co porywa dzieci, odezwały się głosy pośród tłumu — jakiego ślicznego porwała chłopczyka, mówią, że to syn książęcy.

— Ukamienować ją! — odezwał się jakiś głos gruby — zerwać na sztuki tę czarownicę!

— Ukamienować! — powtórzyły tłumy — i w tejże chwili grudy ziemi i kamienie zaczęły latać około głowy nieszczęśliwej.

Ale nie ta śmierć przeznaczona była biednej kobiecie.

Komtur dał znak i dowódca łuczników trzymających straż nad więźniami, zakomenderował, i w tejże chwili posypał się grad strzał, puszczonych w zbite masy ludu — jęki rozległy się na okolo, — tłum cofnął się, ale kilkanaście osób rannych, a może i zabitych, wyniesiono po za bramy zamkowe.

Krótką sprawiedliwość i najprostszy sposób przywrócenia porządku.

Na drewnianych ławach posadzono obwinionych, przy nich stanęli łucznicy uzbrojeni w łuki i sztylety; staruszka zdawała się drzemać pod piekącymi promieniami słońca. Cyganka z wściekłością uwięzionego zwierza rzucała wzrok wyzywający po tłumach i kiedy się z niej naigrawano, pokazywała język. Estera siedziała smutnie zamyślona. Niemira uklęknął przy jej kolanach i wzięwszy swojemi małemi rączkami jej obciążoną łańcuchem rękę, z miłością wpatrywał się w twarz matki.

Teraz wystąpił oskarżyciel publiczny przed trony zajmowane przez sędziów.

Był to człowiek w długiej czarnej szacie, opasany pasem rzemiennym, szerokie rękawy sukni jak skrzydła zranionego ptaka, spływały mu do ziemi, twarz cała wygolona bez najmniejszego zarostu, blada, jakby napuchnięta, niemily sprawiała widok.

Przybliżywszy się przed sędziów, oskarżyciel upadł na kolana i uderzywszy głową o ziemię, milczał w tej pokornej postawie.

— Wstań i mów — odezwał się opat.

Człowiek powstał, podniósł nieśmiały wzrok ku obliczom sędziów, przeżegnał się i zaczął mówić:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. Ja Piotr Szule, syn Wilhelma, pisarz prześwietnego zakonu Templariuszów i oskarżyciel zbrodniarzy, przejęty duchem świętym, który nakazuje, ażeby wszelkie świętokradztwo, tu na

ziemi zostało ukarane i wyplenione, oskarżam te trzy stojące przed dostojnem obliczem waszem wiédźmy o stosunki z szatanem, nieprzyjacielem rodu ludzkiego, o naigrawanie się z imienia Przedwiecznego Boga i o szkody, zrządzone przez nich ludziom, a wszystko to co powiem, gotów jestem udowodnić wiarogodnymi świadkami, zeznającemi pod przysięgą i swoim własnem przekonaniem. A gdy czary ich zostaną udowodnione, prosić was będę najmiłościwsi sędziowie o pohańbienie złego ducha, o zabezpieczenie biednego ludu od skutków ciemności jego działań i o ukaranie tych obrzydliwych naczyń czarta.

— Mów po kolei — odezwał się opat — oskarżaj pojedynczo i twierdzenie swoje popieraj dowodami, a sprawiedliwość nasza nie będzie się wahała wydać wyrok sprawiedliwy, na chwałę Boga i pohańbienie nieprzyjaciela rodu ludzkiego.

Oskarżyciel znowu złożył niski pokłon, dał znak oprawcom i ci przywlekli przed trybunę sędziów staruszkę, która idąc, uśmiechała się i gadała coś do siebie; ustać o swojej sile nie mogła, dwóch więc pacholków podtrzymywało ją pod ramiona.

— Kobieta ta, którą tu widzicie, najprzewielebniejsi sędziowie, nazwana Michałowa, jest mieszkanką wioski Busk o dwie mile ztąd położonej.

Od dawnych już czasów zostawała ona pod moim czujnym dozorem, mieszka samotnie w małej chatce prawie rozwalonej wśród błot i bagien otaczających w około wieś Busko, przejść tam nawet w środku lata jest niebezpiecznie, bo bagna są tak głębokie, że najmniejsze zboczenie ze ścieżki można przypłacić życiem — ta jednak wiédźma chodzi po nich swobodnie wśród najciemniejszych nocy, towarzyszy jej zawsze duży czarny kot, którego wzrok jest tak dziki, że ludzie ze strachem tylko spoglądają na niego; widziano nawet, jak nocną porą czarownica głaszcząc go pod włos, wydobywała świecące iskry. Widziano nieraz, jak wiédźma ta, siedząc przed swoją chatą, rozmawiała z kotem, a wtenczas wychodziły ja-

szczurki z ziemi i latały koło nóg jej i wchodziły jej nawet na podolek, rozmawiała z niemi; jeżeli miała złość na kogo, sprowadzała jego bydłę na moczary, gdzie bez litości na nędzę ludzką topiła je w bagnisku. Zauważono, że bydło pasące się na tych bagniskach, zawsze prawie powracało do domu bez mleka. Wszystko to jednak byłyby słabe dowody, ale prześwietni sędziowie, wiedźma ta za pomocą czarów, leczy choroby ludzkie, odmawiając nad niemi jakieś wyrazy. Oto stoi tu jako świadek człowiek, Walenty Kurek, niechaj on zeznaje dalej.

Wystąpił chłop mizerny, chudy, sukmanina płócienna zaledwie okrywała jego plecy; drżąc cały z przerażenia, zbliżył się i upadł na kolana.

— Powstań i mów co wiesz.

— Jestem rybakiem z powołania, przed dziesięcioma laty, zrobiła mi nasłanie jedna baba, ale ona już nie żyje; zły nawiedził mnie i powykręcał mi kości u nóg i u rąk, wożono mnie do różnych zażegnawczy, płaciłem im, ale nie mi pomódz nie potrafili i tak przez kilka lat leżałem w chacie jak kawał drewna nieruchomy.

Dawałem na msze, jeździłem po rozmaitych świętych miejscach, ale mi nie nie pomagało; życie się już człowiekowi sprzykrzyło, a bieda coraz większa zaczęła zaglądać do chałupy, aż mi ludzie naraili, żeby się udać do Michałowej czarownicy, która mieszka na bagnach Buskich; strach mnie straszny przejmował na samą myśl złego ducha i jego matki, ale byłem już tak biedny, tak nieszczęśliwy, tak chory, że kości mi prawie wylazily przez skórę; kazałem się więc zawieźć, ale ani bydło, ani koń, tam dostąpić nie może, krewni więc moi położyli mnie na nosze i nieśli. Ledwieśmy weszli na bagna, zaraz uczuliśmy zapach siarki. nad nami latały stada kruków i gawronów i tak blisko czasem około nas krążyły, że czułem wiatr robiony ich skrzydłami; gadziiny różne przesuwały się nam po drodze i sycząc chowały się w bagna, a kiedyśmy się zbliżali do chaty Michałowej, to ona siedziała

na ławie, grzejąc się na słońcu, a ogromny czarny kot leżał jej na kolanach, a na dachu siedziała sowa, i swemi żółtymi ślepiami wpatrywała się w nas.

Strach mnie wielki przejął, przeżegnałem się i zacząłem odmawiać modlitwę. Sowa zaraz zfrunęła z dachu, a kot zeskoczył z kolan, chciałem się napowrót wrócić, ale ludzie złożyli mnie już na ziemi, i sami się spieszenie oddalili.

Michałowa się do mnie zbliżyła, ciągle coś szwargocąc do siebie i do kota, obejrzała mnie na wszystkie strony, znowu zaczęła mruczeć i nie wiele myśląc, przyniosła mi w garnuszku czarnym coś do picia; co było robić, przybliżyłem garnczek do ust, ale taki mnie zaleciał zapach siarki i jakby zgniłych jaj, że cofnąłem rękę ze wstrętem, ale Michałowa strasznie się rozgniewała i o mało mnie garczkiem w łeb nie uderzyła.

— Pij szubrawcze — zawołała — ja ci daję życie, każda kropelka tego napoju warta dukata, pij! bo cię tu temi pazurami uduszę! — drżałem cały, jak nieprzymierzając osika, ale wypilem. Wtedy ona rozebrać mi się dopomogła i podpierając, zaprowadziła mnie do kałuży błota; węże i jaszczurki latały po brzegu, ale przed nami uciekały, kazała mi się położyć w tem ciepłym błocie, znowu uczulem zapach siarki, znowu mnie zaleciały zgnile jaja, ale już raz zdecydowałem się na wszystko. Niech się dzieje wola Boża, mówiłem sobie, życie takie, gorsze od śmierci, a Michałowa ciągle stała nademną i coś z kotem gadała, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. I tak ze mną codzien też samą sztukę powtarzała, poila mnie śmierdzącą wodą i kąpała w śmierdzącej kałuży. W kilkanaście dni byłem już tak zdrów, że sam się rozbierałem i chodzić zacząłem do kąpieli a i do picia wody się przyzwyczaiłem. Czułem, jak siły mi coraz więcej przybywało i po kilku tygodniach, łamania zupełnie mi z kości ustąpiły i czułem się taki zdrów, jak przed laty, a kiedy się już zaczynały przy-mrozki i kąpać się już było za zimno, wybierałem się do domu, chciałem jej czem zapłacić za jej starunek około mnie. Kiedym się już wybrał do drogi, zapytałem się Michałowej, jakbym jej

mógł podziękować; ona siedziała wtedy na przyzbie i swojego kota trzymała na kolanach, coś bermotała do siebie, ale raptem zwróciła się do mnie i powiedziała: »pocałuj tego kota w nos, bo inaczej nie zajdziesz do domu szczęśliwie«; na drugą wiosnę kazała mi przyjść jeszcze, uczynilem tak i zupełnie zdrowie mi powróciło.

— Co masz jeszcze więcej do powiedzenia?

— A cóżbym miał mieć prześwietny sądzie, niech jej tak Bóg da wszystko dobre i ta Matka Najświętsza.

— Dosyć! na bok... drugi świadek.

Wystąpił chłop już nie młody, w burej sukmanie, pokłonił się do ziemi i mówił:

— Jestem Skowronek, prześwietny sądzie, z Owczar, wszyscy mnie znają na okolicę. Raz ta baba szła przez naszą wieś, poszczulem ją psem, żeby złego nam jakiego nie niosła; i upłynęło od tego czasu dwa lata, kupilem w Pińczowie na jarmarku krowę, bydlę było ładne i spokojne, zapłaciłem za nią cztery skojce. Przyprowadziłem do domu, kobieta wydoiła, chwala Bogu, dała cały skopek mleka, wypuściłem ją na pastwisko, aż tu moja krowa jak nie zadrze ogona, jak się nie puści co ma tylko sił; gdzie to kto słyszał, żeby to tak zwierzę leciało bez upamiętania, lecę za nią, że mi duch omało nie wyskoczy, a ona coraz dalej i widzę, że prosto pędzi na bagna Buskie. Przypomniała mi się zaraz Michałowa i myślę sobie, będzie źle; doganiam krowy, ale ta zobaczywszy mnie, jak nie bryknie, jak nie skoczy, prosto w największe bagno; aż tu patrzę, a na ścieszcze stoi wiedźma i śmieje się. Krowa zanurzyła się po głowę, chciałem ratować, nie mogłem dać rady, zaczęm sprowadziłem chłopów ze wsi, moja krowa zalała się zupełnie błotem, tylko sterczały rogi, a w koło czuć było siarkę haniebnie.

Chcieliśmy zaraz utopić czarownicę, i udaliśmy się do jej chaty, ale złe ją ostrzegło, już jej tam nie było.

To kiedyśmy powrócili do wsi i opowiedziałem ludziom to wszystko, od małego do dużego każdy mówił, że to

sprawka tej czarownicy, a ja teraz proszę wielmożnego sądu, żeby mi ona zapłaciła za moją krowę.

Teraz wystąpiła Jędrzejowa, gospodyni z pobliskiej wioski; Jędrzejowa niekoniecznie miała dobre oko pomiędzy ludźmi, posądzano ją, że i ona ma stosunki ze złym, ale dotąd nie jeszcze złego nikomu nie uczyniła; te ludzkie jednak gadania, przerażały ją i musiała być bardzo ostrożną w swoich zeznaniach, żeby sobie nie nawarzyć biedy. Lud pomawiał ją o występki nie lada jaki, bo kiedy u wszystkich innych gospodyń krowy przestawały dawać mleka, jej dawały pełne skopki; to bez przyczyny być nie mogło.

Wezwana więc przed sąd Jędrzejowa zeznała, iż raz zaniosła garnuszek miodu wiedźmie i prosiła ją, żeby ją nauczyła sposobu, żeby jej krowy dawały dużo mleka; ta kazała jej przed wschodem słońca przywiązać kawał soli na jałowcowym kiju i odmawiając trzy Zdrowaś Marya, chodzić z kijem tym po pastwisku, gdzie rośnie bujna trawa i po rosie ciągnąć sól po ziołach tak długo, aż się słońce pokaże i rosa zacznie obсыhać, wtedy dopiero puszczać krowy na pastwisko; usłuchałam ją biedna kobieta — mówiła Jędrzejowa — robiłam, jak mi kazała ta czarownica, ale co ja winna jestem, proszę wielmożnego sądu, krowy żarły trawy, że mało się nie podławiły, dawały mi, bo czegoż ja grzeszna dusza mam się zapierać, dwa razy tyle mleka co innym, alem się z tego spowiadała i co niedziela dawałam lampkę masła do kościoła. Niech ją tam morowe powietrze zamorduje tę sekutnicę, ja tam już więcej z nią się łączyć nie będę.

Przez cały czas tego długiego oskarżenia, stara Michalowa stała, a raczej wisiała zawieszona na rękach dwóch pomocników kata. Była to kobieta już zupełnie zdziecinniała, liczyła lat przeszło 80, a zbrodnie, które jej zarzucano, dzieć się miały przed dawnymi czasy. — Teraz sędzia obrócił się do niej i zapytał:

— Co masz na swoją obronę, czarownico?

Kobieta musiała nie słyszeć zapytania, lub go nie zrozumiała wcale, bo nie odpowiedziała.

Wówczas jeden z podtrzymujących ją oprawców, szturchnąwszy ją potężnie łokciem w bok, powiedział:

— Mówże wiédźmo!

— He! — odezwała się kobieta.

— Mówże, co masz na swoją obronę?

— He! a gdzie mój czarny kot, bure prosię i zielony wiatér?

— Szatan opętał ją i nie pozwala jej przyjść do słowa — powiedział z cicha komtur, nachylając się do ucha opata.

Opat powstał, przeżegnał ją wodą święconą i dobrotliwie przemówił:

— Mów moja kobieto, czy winna jesteś zbrodni, które ci zarzucają?

— He! — zapytała nawzajem — pietruszka rośnie pod gruszką, a mój kot wychlipał mi mleko i śmietanę.

— Czy miałaś stosunki z czartem, nieprzyjacielem rodu ludzkiego?

— A jużćić miałam, cztery lata chodziłam po ziemi, a cztery siedziałam w suchej wierzbie; dajcie-nb mi się napić, bo tak mi zaschło w gardle, a dach mi się już na chałupinie obalił, jak kot wlażł na niego taki ciężki.

— Sztuczki szatana ciągle się ponawiają i jak może, stara się ratować swoją kumę.

— Więc przyznajesz się do wszystkiego?

— A jużćić, spać mi się chce — aj zimno! zimno!

Dalsze badanie było już nie potrzebne, obwiniona przyznała się do zarzuconych jej zbrodni czarów. Narada pomiędzy sędziami trwała bardzo krótko, wszyscy jednogłośnie zgodzili się, że Michałowa wiédźma, winna jest zbrodni oddawania się praktykom czarodziejstwa i zasługuje na karę, bez rozlewu krwi.

Wówczas starą podprowadzono do ułożonego stosu drzewa, podpalono go smolnemi szczypami. Stara, którą ciągle trzęsła

febra, z lubością wyciągnęła ręce do ognia, który miał stać się jej grobem i grzała się szczęśliwie ciepłem, które ją przejmowało, obracając się na wszystkie strony.

— To dopiero wesele, to dopiero bal będzie — powtarzała — już się ogień pali, napieką pieczeni i beczkę miodu wytoczą! ho! ho! ho! — i śmiała się stara, głosem idiotki, chrapliwym, śmiesznym.

Niewiadomo, jakim sposobem kot czarny znalazł się u nóg swojej gospodyni.

— To djabeł! to djabeł! — odezwało się wiele głosów.

Tymczasem Michałowa stała już na stosie, łańcuchem przykuta do pala, kajdany z rąk i nóg pozdejmowano jej; głaskała swojego kota i zdawała się lubować coraz powiększającym się ciepłem.

— Odbierzcie jej tego kota!

Nikt się jednak nie odważył dotknąć złego ducha, który mszcząc się, mógł wejść w swojego prześladowcę.

Tymczasem kłęby dymu wznoszące się ze stosu, otoczyły jakby obłokiem czarownicę i przez chwilę zakryły ją przed oczami patrzących. Ogień podsycony smolnemi szczypami, buchnął płomieniem, dym odwinął się na stronę i wówczas ujrzano starą, jak wszelkimi siłami przytrzymywała i przyciskała do piersi kota, który duszony dymem, wściekle się rzucał, rozdierał swojemi pazurami jej piersi — czarne strugi krwi pokazały się na białej sukmance, a ta śmiejąc się, chuśtała, jakby ukochane dziecko do snu i ani na chwilę nie myślała go popuścić.

Wściekłość rozdrażnionego kota przysła do ostatnich granic, pazurami wpil się w twarz nieszczęśliwej, zębami uchwycił za policzek i wśród chrapliwego śmiechu kobiety, przeraźliwego miauczenia kota, dzieło zniszczenia postępowało coraz dalej. Nareszcie stos cały został otoczony płomieniami, miotania się nieszczęśliwych ustały, kobieta zwiesiła głowę na piersi, sierść kota tliła się i uczyniła z niego jakby złoty posąg, zawieszony na szyi kościotrupa.

W milczeniu przypatrywali się obecni temu wymiarowi sprawiedliwości. Wielu się zdawało, iż widzieli szatana z ognistym płomieniem na czole, unoszącego ciało starej Michałowej.

I stos rozżarzony, gorzał coraz większym ogniskiem, coraz większe roztaczał kłęby dymu i ciepła, a przytomni drżąc wpatrywali się w ponury widok. — Ani jedna łza nie zabłysła na niczyjem oku, tylko jeden stary rybak pobożnie złożył ręce ku niebu i szeptał: Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie!

Nastąpiła przerwa w wykonaniu sprawiedliwości. — Sędziowie zawiesili posiedzenie i udali się dla wzmocnienia sił na nowe trudy i ofiary dla dobra ludzkości. Tymczasem stos palił się coraz wolniej — pozostali więźniowie w milczeniu siedzieli na swoich ławach drewnianych. Estera przyciskała do piersi dziecko, które ze wstrętem odwracało oczy od tego barbaczyńskiego widoku — jeden z łuczników zbliżył się do więźni z dzbanem jakiegoś napoju i milcząc, podał go nieszcześliwym. Cyganka najpierwej wyciągnęła ręce, pochwyciła dzbanek i przyłożywszy do ust dotąd piła, aż w dzbanku nie pozostało ani kropelki.

Łucznik w milczeniu przypatrywał się tej scenie i wyraz współczucia widocznie malował się na jego twarzy.

— Dziecięciu! dziecięciu mojemu! Dajcie się napić, czyż nie widzicie że ono upada od znużenia i upału.

Rzeczywiście miejsce, gdzie siedziały niewolnice, nie zabezpieczone było niczem od promieni słonecznych, które w tej chwili prostopadle padały na podwórzec zamkowy.

Łucznik spieszenie oddalił się — wkrótce jednakże powrócił niosąc ożywczy płyn. Dziecina była upadająca od znużenia, mały Niemira pochylił główkę na kolana matki i zdawał się zasypiać, było to jednakże prawdziwe omdlenie.

Kobieta wyjęła chustkę z kieszeni, zwilżyła ją wodą i zmoczyła skronie i głowę chłopca — sama nie wzięła w usta jednej kropelki napoju. Spieczone jej usta i czerwone wypieki

na twarzy, powiadały o męczarniach, jakie przechodzi ta druga Agara z umierającym Ismailem.

Dziwna jest natura ludzka w swoich objawach. Lud, który przed paru godzinami rzucał kamieniami i z ochotą byłby rozszarpał czarownice, teraz po zaspokojeniu pierwszego popędu zwierzęcej wściekłości przy tym dymiącym się stosie, owładnięty został uczuciem politowania.

Pomału z tłumu skradając się, wynurzyła się jakaś kobieta; lucznicy nie odpychali jej i pozwolili się przybliżyć — kobieta wyciągnęła z pod fartucha dzbanek malin i podając go Esterze rzekła:

— Daj to malemu, to go otrzeźwi. — Czyj to chłopczyzna? mówią, żeś go jakimś księciu ukradła i chciałaś z nim jakieś robić czary.

Estera podniosła oczy na pytającą kobietę, i smutnie odpowiedziała przyciskając chłopca do piersi. — To mój syn ukochany — to dziecię moich boleści i nadziei.

— A mówią, żeś ty czarownica, że zatruwasz ludziom studnie, sprowadzasz grady na ziemię, pomór na bydło i ludzi; daj swojemu synowi te maliny, niech je, niech mu będą na zdrowie.

Niemira z początku z niechęcią przypatrywał się prostej kobiecie i glinianemu naczyniu, ale kiedy kilka jagód rozplynęło się w jego ustach i miły zapach rozszedł się na okolo, chłopczyzna wysypał maliny na swoją małą rączkę i podnosząc ją do ust matki mówił:

— A ty matko, czy jeść nie będziesz? — spróbuj tylko jakie to dobre — jedz moja mamó, jedz koniecznie, bo jak nie będziesz grzeczna, to się poskarżę przed królem Kazimierzem na ciebie. A daleko jeszcze do króla Kazimierza?

O daleko, moje dziecko kochane, tak daleko, że nie wiem czy go kiedy jeszcze będę widziała... i łzy obfite strugą popłynęły z oczów nieszczęśliwej matki. — Kobieta wiejska z uwagą przysłuchiwała się tej mowie, słuchała ją również pilnie cyganka siedząca obok.

»To dziecko królewskie« szepnęła cicho cyganka.

— Królewska krew — powtórzyła ze zdziwieniem gospodyni.

I wkrótce pomiędzy tłumem zaczęła krążyć wieść, że krew królewską chcą przelać Templariusze.

Trąby odezwały się, sędziowie wyszli i zajęli swoje siedzenia — oskarżyciel stanął znowu przed nimi a złożywszy głęboki pokłon mówił:

»Świętobliwi sędziowie — wyrok sprawiedliwości nad jedną ze zbrodniarek został spełniony, ale tu nie koniec naszej pracy, nasienie złego rozkrzewiło się szeroko po kraju, chwasty bujnie się rozpleniły — zostawić jedną z nich łodygę, to znaczy zostawić ziarno do nowych plonów, obowiązek więc jeszcze niespełniony — w Imię Boga Najwyższego wzywam was jeszcze, nie miejcie litości, wypleńcie złe do ostatniej łatorośli i niech szatan nie tryumfuje, tam gdzie sięga władza waszego miecza.

— Obowiązki nasze znamy, odpowiedział dumnie komtur, ani na chwilę nie zawachamy się w ich spełnieniu, nie zawachamy się chociażby przed nami stała nasza matka rodzona. Niech stanie przed nami druga czarownica cyganka.

Cyganka nie czekała aż ją zawłoką pacholkiwie przed trybunę sędziów, skokiem dzikiego zwierza zerwała się z siedzenia i śmiało postąpiła przed nieomylny areopag; jej chustka czerwona zawiązana na kształt turbanu, rozwiązała się, długie sploty czarnych włosów wyswobodzone z pod uwięzi rozsypały się swobodnie po plecach i ramionach, błysk sznurów bursztynowych na szyi dziwnie harmonizował z połyskiem dzikiego wzroku dziewczęcia, które śmiałym krokiem brzęcząc kajdanami zbliżyło się do samej trybuny i tu utkwivszy śmiało wzrok w sędziów, zatrzymało się.

— Co macie do wypowiedzenia przeciwko tej wiedźmie? rzekł komtur obracając się do oskarżyciela.

— Niechaj świadkowie zostaną przesłuchani, ich zeznania

dostatecznie udowodnią zbrodnię czarów, odpowiedział oskarżyciel.

— Kobieto przeżegnaj się, jeżeli ci na to szatan pozwoli.

Dziewczyna jakby nie rozumiała wypowiedzianego jej rozkazu, roześmiała się głośno i nie uczyniła żadnego znaku.

Wystąpiła stara kobieta i w długim rozwlekłym opowiadaniu twierdziła, iż cyganka ta nie tylko umiała odbierać mleko krowom, zażegnawać rany, ale widziano ją, jak w niedzielę w czasie samego nabożeństwa, chodziła po polu, zbierała jakieś zioła a niektóre ciskała do góry i zaraz na drugi dzień wywały się chmury i grad wybił do szczytu wszystkie zboża; druga zeznała, że widziała ją, kiedy wyszła w nocy na dwór a księżyc w całej pełni świecił, lecącą na łopacie ku Łysej Górze. Tam odbywały się tańce z szatanem do wspólki, który zamieniwszy się w karła, razem z nimi pisał. Rozdawała napoje miłosne, przepowiadała ludziom przyszłość, a nawet razu jednego widziano ją, jak sobie pod pachami smarowała jakąś maścią i powiadała, że jej skrzydła wyrosną i będzie na nich latać jak jaskółka; inna zeznała jeszcze gorsze czyny obwinionej — kiedy do niej przyszła w jesieni, a mąż jej właśnie leżał chory, to jak ona tylko weszła do izby i nie przeżegnała się, to chłop zaczął wołać w niebogłosy, że czarownica chce go udusić, że wilki czarne latają po chałupie, że zły z czerwonymi ślepiami i zakrzywionymi rogami porywa go do piekła — wołał, żeby dyablicę wyprowadzono z chałupy, a ona się tylko roześmiała, trzasnęła drzwiami, a mąż mój, mówiła kobieta, w parę pacierzy już nie żył.

Inna kobieta zeznała znowu, że przez długi czas chorowała na piersi, straszna duszność dusiła ją po nocach, aż dopiero jedna dobra kuma objaśniła ją, że to pewnikiem zmora ją nawiedza. Jednej więc nocy udała, że zasypia, dech w sobie zatrzymała i czekała cierpliwie co się stanie — aż tu około północy drzwi się uchyliły i do chaty weszła cyganka; zaraz narobiła krzyku, cyganka uciekła, ale doskonale ją poznała,

choć nie jest pewna, czy to była ona — odtąd piersi przestały ją boleć, bo zawsze kładła płatek święconej wody na nie.

— Czyż potrzeba więcej dowodów, przeświatli sędziowie — odezwał się prokurator, czyż nie dosyć spojrzeć na tego potwora w ludzkim ciele, żeby nabrać przekonania o nieczystych siłach, któremi włada. Czyż pozwolicie na to, żeby zgorszenie szerzyło się po świecie, wy opiekunowie nieszczęśliwych, wy ojcowie swoich poddanych, czyż pozwolicie na wyrządzanie im szkód nie tylko materialnych ale i duchowych — wzywam was więc, żebyście surowo ukarali tę zbrodniarkę dla wielkiego przykładu innym, a czyn wasz w późne wieki świecić będzie jako gwiazda na niebie.

Słyszałaś tutaj opowiadania tych pocziwych ludzi, cyganko, czyny, które ci zarzucają, wołają o pomstę do nieba, zeznaj się sprawiedliwie ze wszystkiego, przyjmij chrzest święty, a jakkolwiek kara ziemską osiągnąć cię musi, ale w życiu przyszedłem spotka cię miłosierdzie.

Dziewczyna przez cały czas zeznań świadków, mowy oskarżyciela i przemowy sędziego, stała z podniesionymi oczami ku niebiosom i bacznie przypatrywała się obłokom ciągnącym się po niebie.

— Czyż nie słyszysz co do ciebie mówią — zawołał komtur z gniewem — czemu nie odpowiadasz, za parę godzin garstka popiołu tylko będzie z ciebie, stos już przygotowany! spłoniesz na nim.

Dziewczyna opuściła wzrok, śmiało spojrzała w oczy sędziom i śmiejąc się odpowiedziała beczelnie:

— Albo ja to stara Michałowa, żebym zgorzała na stosie, nie mi nie będzie, wielmożni panowie, nie mi nie będzie.

— Ufasz, że ci dyabeł pomoże do wyzwolenia?

— W co ufam to ufam, ale dziś na stosie waszym nie będę się paliła.

— Wkrótce zobaczysz ty nierozsądna — przyprowadzić przed nasz sąd ostatnią czarownicę — wyrok razem na obydwie zostanie wykonany.

Masz jeszcze czas do nawrócenia się, dopokąd nie wydamy wyroku na ostatnią czarownicę, pamiętaj, że tylko parę godzin pozostaje ci życia.

Dziewczyna już odchodząca odwróciła się, roześmiała się na całe gardło — pokazała język wielebnym sędziom i odpowiedziała:

— Co wy wiecie!?

Teraz dumnym krokiem zbliżyła się Estera, trzymając za rękę synka. Postawa to nie była kobiety obwinionej, stojącej przed swoimi sędziami, ale królowej, która idzie wymierzać sprawiedliwość i nie czekając na zapytanie, odezwała się:

— Kto wy jesteście, że śmiecie zajmować miejsce sędziów i wydawać wyroki, które tylko są zbrodniami większymi od zbrodni zarzucanych tym nieszczęśliwym. Czyż w tej miejscowości władza króla już nie istnieje, czyż tu już nie sięga miecz jego prawa?

— Kto ty sama jesteś, nędzna awanturnico, co śmiesz się tak odzywać do poważnych mężów tutaj obecnych — zawołał komtur.

— Ja jestem podróżna, napadnięta na publicznym gościńcu, w czasie zupełnego pokoju, przez opryszków, mieniających się rycerzami — wymordowano moją służbę, a mnie z dziećciem porwano przemocą — co wy za jedni jesteście — co odemnie chcecie?

— Kto my jesteśmy? jak śmiesz się o to zapytywać szalona kobieto, czy nie widzisz, że stoisz przed kapłanem świątobliwym wysokiego dostojęństwa, w którego rękach spoczywają twoje losy, czy nie widzisz, że stoisz jako obwiniona przed sądem komtura świątobliwego zakonu Templaryuszów, że dość mi skinać palcem, żeby z tego pięknego ciała, którem się tak pysznisz, pozostała garstka popiołu — zawołał komtur.

— Żądam, żebym natychmiast została wypuszczona z tej jaskini opryszków wraz z moim dzieckiem, żądam, żeby prawa wydane w Wiślicy przez Wielkiego króla były uszanowane przez jego poddanych; bo jeżeli go nie poszanujecie, biada wam!

— My nie jesteśmy niczyi poddani, nawet Rzym nie śmiał tego nigdy powiedzieć, mamy swoje prawa i do nich się stosujemy, i ty stoisz przed sądami duchownymi, które każdy biskup w swojej dycezyi ma prawo odbywać, pomimo wszystkich statutów wiślickich i tym podobnych zabawek.

Estera zwróciła się wtedy do opata Gwilina i powiedziała:

— Cóż więc zarzucacie mi za występki? niech się narzecie dowiem, do czego prowadzi ta komedia, która jeżeli dla mnie może się skończyć tragicznie, niemniej i dla was nie zostanie bez odpowiedzialności.

— A więc słuchaj kobieto bez czoła i drżij przed obliczem naszej sprawiedliwości — zawołał komtur.

— Wiadomo ci, że w Koźminie zostało porwane chrześcijańskie dziecko przez żydów, nmęczone, wytoczono z niego krew i rozesłano ją na wszystkie strony świata dla waszych wyznawców — tyś w tej zbrodni miała swój udział — słuchaj co do nas pisze starosta opoczyński Bobrzycki.

To mówiąc Templaryusz, rozwinął pergamin leżący przed nim na stole i głośno przeczytał następujące słowa:

»W dniu 3 maja b. r. znalezione zostało ciało dziecięcia, lat⁴ mieć mogącego, płci męskiej, haniebnie pokaleczone przez dzikie zwierzęta, po za murami naszego zamku, tu w Opocznie, zajmowanego przez tak zwaną Estere, kochanicę królewską, a gdy doszła nas wiadomość od najmiłościwszego wojewody poznańskiego Maćka Borkowicza, iż właśnie w majątku jego Koźminie, pochwycone zostało przez żydów dziecię płci męskiej nazwane Piotruś, które zła piastunka sprzedała żydom, jak to sama zeznała wzięta na tortury, i dziecię to sromotnie umęczone zostało, jak zeznała to wyżej wymieniona piastunka, w zamku Estery, kochanicy królewskiej w Opocznie, dokąd zostało przewiezione tajemnymi drogami, i gdy ciało dziecięcia tego zostało wynalezione po za murami zamku tejże Estery, nie ulega więc wątpliwości, iż Estera ta i jej wspólnicy jest winna przestępstw wytoczenia krwi chrześcijańskiej — a że takowa wyjechała w towarzystwie kilku sług tylko do Kra-

kowa, gdzie czarami swemi, nie ulegającemi wątpliwości, oczarowała serce królewskie, zadawszy mu zaczarowane napoje, tak, że tenże król pod wpływami czarów tej niegodziwej kobiety, zapomniał o świętych związkach łączących go Sakramentem świętym z żoną, nie tylko takową opuścił, wypędził od siebie na hańbę całego świata chrześcijańskiego, ale ją uwięził i trzyma zamkniętą jak niewolnicę w zamku swoim królewskim Żarnowcu, pozbawioną wszelkich wygod, oddaną na pośmiechowisko i pogardę; gdy tymczasem kochanica ta Estera opływa w wszelkiego rodzaju zbytki, mieszka w wspańiałym zamku własnym, trzyma liczną służbę i uraga się Bogu, i gdy, jak mówią ludzie poważni, tu zamieszkali, dla podniesienia piękności swojej, codzień używa krwi chrześcijańskiej, wpuszczając ją do wanny w której się kąpie.

My więc, starosta opoczyński, nie mogąc jej aresztować dla wielu bardzo przyczyn, prosimy was przeacny komturze świątobliwego zakonu Templaryuszów, żebyście też Estere, w czasie, gdy będzie przejeżdżał przez wasze posiadłości, ujęli i oddali sądom duchownym, przed którymi odpowiadać powinna za wszystkie zbrodnie popełnione, a my wam w każdym wypadku swoją pomoc i przyjaźń przyniesiemy, bo działamy w chęci wyzwolenia naszego miłościwego króla z więzów czarownicy, trucicielki i zbrodniarki.

— Co masz do przytoczenia na swoją obronę? — zapytał komtur — dlaczego dziecko zamordowano i znaleziono pod murami twojego zamku, dlaczego zadawałaś napoje miłosne naszemu miłościwemu królowi i czarami swojemi potrafiłaś go sprowadzić z drogi małżeńskiej wierności, że podeptawszy święte związki, żyje z tobą w cudzołóstwie — mów — broń się — bo inaczej ręka sprawiedliwości zaciąży nad tobą.

— Tu nie sąd odbywa się nad oskarżonemi, ale zbrodnia bierze na siebie postać sądu i pierwszej skazuje niewinnych na śmierć, zaczem ci mają czas otworzyć usta dla swojej obrony. Postawiliście trzy stosy, zaczem sprawdziliście winę — pierwszej skazaliście na śmierć, nim wysłuchali — i to wy nazywacie

sądem? sądem Bożym? Żaden szatan podobnego sądu nie potrafilby wymyśleć, ale wy działacie w Imieniu Wielkiego Boga, w Jego Imieniu wydajecie wyroki. Hańba wam i przekleństwo! Ten sam Bóg mściciel niewinnych, osiągnie wasze dumne karki i zetrze was jak proch ziemi!

— Zamiast się bronić, bluźnisz członkom świątobliwego sądu, nie przytaczasz na swoją obronę, a zatem przyznajesz wszystkie tak licznie zarzucane ci zbrodnie.

— Bronić się przeciw wam, którzy potrzebujecie mojej śmierci, którzyście ją postanowili, byłoby zarówno bezpożytecznie, jak gdyby jagnię napotkane w lesie przez wilka, chciało zanosić swoje protesty, jak gdyby gołębicą pochwycona w szpony jastrzębia, potrafiła mu donieść, iż jest niewinna. Zarzuty wasze są głupie i śmieszne, godność moja, godność kobiety, godność królewskiej żony, nie pozwala mi na to odpowiadać — róbcie co chcecie, ale miecz sprawiedliwości króla was osiągnie; ja tylko bezsilna kobieta, ale po za mną stoi Jowisz i grom jego was rozmiażdzy.

— Obelgi i postrachy nie są tłumaczeniem, daliśmy ci czas do obrony, nie skorzystałaś z niego — biada ci.

Narada pomiędzy sędziami trwała bardzo krótko, oskarżyciel nawet zapomnił wnieść oskarżenie, a tym sposobem sami sędziowie skarżyli i sami wydawali wyroki. Kobieta stała ze skrzyżowanymi, obciążonymi łańcuchami rękami na piersiach i smutno wpatrywała się w twarzyczkę dzieciны, która podniósłszy swoje łzami zaszle oczy ku niebu, zdawała się ztamtąd, od Ojca wszystkich uciśnionych, wyglądać pomocy.

Nareszcie komtur powstał i głosem potężnym, rozlegającym się jak dźwięki dzwonu, wygłosił wyrok:

»Eстера żydówka, czarownica, winna jest przelewu krwi chrześcijańskiej i używania czarów, stosunków z djabłem, zaśluguje na śmierć bez wylewu krwi«.

— Poprowadzić obydwie czarownice do miejsca kaźni i podpalić stosy.

— A z dziecięciem mojem co zrobicie? czy i ono również skazane zostało na śmierć — to krew królewska, pomnijcie na to i drżycie!

— To nie do ciebie należy, co się stanie z twojem nieprawym płodem, ale możemy cię uspokoić co do jego życia, nie myślimy mu takowego odbierać — dziecko to zostanie wychowane w zdrowych zasadach moralności, pod opieką świętego zakonu Templaryuszów i może z czasem, jeżeli zbyt w nim złe nałogi nie wezmą góry a światło wiary trafi do jego serca, może z czasem zostanie knechtem którego z rycerzy zakonu, lub nawet być może, przywdzieje święte szaty kapłańskie — a teraz oddaj go w ręce straży kobieto i idź na miejsce swojego potępienia.

Pacholkowie zbliżyli się chcąc oderwać małego Niemirę od matki, ale pomiędzy ludem zgromadzonym tymczasem rozległy się jakieś głosy złowrogie i łucznicy znówu gotowali się wypuścić strzały.

Przez cały czas indagacyi Estery, cyganka siedząc na ławie oskarżonych, z największą bacznością śledziła bieg obłoków — długi, przeciągły grzmot, już parę razy dał się słyszeć w powietrzu, teraz chmury raptem zapełniły widnokrąg, kilka kropel grubego deszczu upadło na głowy zgromadzonych — teraz grzmot zahuczał w całej potęgę, błyskawica gonila błyskawicę, zawiasy niebieskie otwarły się i grabe strugi deszczu opuściły się na ziemię. — W jednej chwili pozapalane już stosy zagasły — wichur niósł tumany liści, gwał wierzchołki drzew do samej ziemi i zdawał się grozić murom zamku, które drżały w swoich podstawach.

Ani podobieństwo było myśleć w tej chwili o wykonaniu wyroku, krater wulkanu mógł być zalany potokami wody spadającej z obłoków; stosy rozwalily się zagasłe.

Sędziowie, damy i rycerze spiesźnie powstali i schronili się pod dachy. — Komtur zaledwie miał czas wyrzec, że wykonanie wyroku odkłada się do dnia następnego i wydać polecenie, żeby skazane odprowadzić do więzienia.

Lud tłumami spiesząc się, zapelnił bramy, ustały wszelkie mowy, wszelkie uwagi, każdemu zdawało się, że Bóg w gniewie swoim sam wydał wyrok przeciwny wyrokowi ziemskich sędziów.

Przy murach zamkowych była fosa, w niej stara piwnica zrobiona z niegdyś gipsowej groty, drzwi były mocne i okucia przybite do nich silne — wśród tej nawalnej ulewy, lucznikom nie chciało się już prowadzić więźniów przez długi dziedziniec do dawnego więzienia; po kilku słowach porozumienia, spiesźnie wpakowali Esterę z synem i cyganką do piwnicy, drzwi zatrzasnęli i sami się pośpiesznie oddalili. — Z framugi wykutej w murze, wybornie było widać wejście do piwnicy, lucznik więc postawiony na straży, chroniąc się przed deszczem, zajął w niej swoje stanowisko.

Obiedwie kobiety z dziećciem znalazły się raptem w ciemności, sklepienie było dosyć wysokie, a piwnica ciągnęła się wzdłuż, jakby nie miała końca.

— A co, czy nie mówiłam — odezwała się wesóło dziewczyna — że dziś Krzyżacy nie będą oglądali naszego zgonu — a co czy nie mówiłam?

— A tak, prawda — odpowiedziała Estera — ale to zwłoka tylko jednego dnia, jutro słońce na nowo się pokaże, a z nim i drzewo na stosach zapłonie.

Cyganka nie mówiąc, roześmiała się i z uwagą rozpatrywała ściany piwnicy.

— Połóż malego, niech wypocznie dobrze, bo długą dziś będzie musiał odbyć podróż — to mówiąc zdjęła swoją chustkę z głowy, rozpostarła na ziemi, Estera naśladowała ją, zdejmując z siebie część ubrania i schylając się, słała ją dziećci.

Niemira był tak umęczony wzruszeniami dnia, że zaledwie znalazł się na tem twardem posłaniu, oparłszy głowę na kolanach matki, która usiadła, zasnął snem niewinnego anioła.

Cyganka przez chwilę przypatrywała się temu widokowi, nareszcie podnosząc głowę zapytała:

— To syn królewski?

— Tak — odpowiedziała Estera.

— Naszego króla, dobrego Kazimierza?

— Tak.

— Tego samego, co się opiekuje chłopami, żydami i cyganami?

— Tego, który kocha wszystkich biednych.

— Szczęśliwa ty jesteś kobieta — powiedziała zamyślona cyganka — jabym chciała być na twojem miejscu — a czy król bardzo kocha ciebie?

— Zdaje mi się, że bardzo...

— A syna swego kocha?

— Tak, kocha, że gdyby go stracił, byłby niepokieszony całe życie.

— A jeżeliby ciebie spalili, to Krzyżacy by mu go nie oddali, zamordowaliby go?

— Bardzo być może i to właśnie najwięcej mnie martwi.

— Król dużo by zapłacił za wasze ocalenie?

— Myślę, że dałby tyle złota, iżbyś go udźwignąć nie potrafiła.

— Czy tak? zawołała ożywiając się cyganka — czy tak, złoto jest dobre, wzięłabym, ale jabym chciała innej nagrody, czy mi ją przyrzeczesz w imieniu króla, jak ciebie i syna twojego ocalę?

— Powiedz co żądasz, a będę wiedziała, czy to jest możliwe i odpowiem ci szczerze.

Dziewczyna na chwilę się zamyśliła — potem rozśmiała się i rzekła:

— Jabym chciała, żeby mnie król pocałował w oczy i w usta.

Estera pomimo smutnego swojego położenia, nie mogła wstrzymać się od śmiechu.

— Myślę, że się król na to nie trudno zgodzi — ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim — pod jakim — mów prędko! — zawołała cyganka.

— Żebyś się pierwszej umyła.

Czarna Zośka znowu się roześmiała na całe gardło i odpowiedziała:

— Zobaczysz mnie przybraną tak bogato jak królowa się nie stroi, najdroższe balsamy Indyi namaszczą moje ciało, a usta moje zioną takie żary miłości na ukochanego króla, że stopi się w moich objęciach jak lód! — ale pomówmy teraz o czem innem, o naszym uwolnieniu.

— Czyż to jest możebne? — zapytała niedowierzająco Estera.

— Zobaczysz sama — posłuchaj mnie z uwagą — ale nadewszystko rób to co ci każe — to mówiąc sięgnęła w zanadrze i wyjęła owiniętą w szmatę dużą monetę miedzianą, nierównie większą i grubszą jak ruskie pięcio-kopiejki.

— To nas zbawi.

Estera spojrzawszy na monetę malej wartości, straciła wszelką nadzieję i odpowiedziała smutnie:

— Zabrano mi kosztowności jakie miałam, ta jednak szpilka brylantowa warta jest krocie takich miedziaków, czy myślisz, że strażę dadzą się przekupić, że poznają się na jej wartości i za twoją miedzianą blaszkę nas wypuszczą.

Dziewczyna znowu się roześmiała i podnosząc monetę do góry rzekła:

— Mówisz, że twoja brylantowa szpilka warta jest tysiące skojców — nie przeczę temu, ale ja mojej miedzianej blaszki nie oddałabym za tysiące takich szpilek.

— Więc to jest amulet? — zapytała Estera.

— Więcej jak amulet, to zbawienie nasze — ale słyszysz, otwierają drzwi, zapewne nam niosą kolację, żeby nas tylko nie chcieli z tej jaskini przeprowadzić.

Rzeczywiście drzwi się otworzyły — na progu stało dwóch łuczników — zapalili przyniesioną pochodnię i spuścili się do piwnicy.

Jeden z nich niósł pochodnię i postępował naprzód, drugi trzymał koszyk łubowy, z niego wyglądały kawały chleba owsianego i dzbanek z wodą.

Ogień pochodni oświecał sklepienie piwnicy — łucznicy zbliżali się z pewną obawą do czarownic, myśl, że one mają na swoje rozkazy złego, przejmowała ich strachem i jak najprędzej chcieli wykończyć swój obowiązek.

Zobaczyli obydwie kobiety siedzące na ziemi obok siebie, głowa chłopczyka spoczywała na kolanach matki.

— No macie tutaj wiedźmy kolaczą — pokażcie swoje bransolety na rękach i nogach, czy wam ich djabeł nie porozkuwał — burza przeszła, suche drzewo jutro się znajdzie, a djabeł was nie ocali, ale zabierze jak swoje do piekła.

Czarna Zośka podniosła głowę i roześmiała się na cały głos:

— Pierwej ci rogi na głowie wyrosną, zaczem nas będziesz widział na stosie, ciemiego!

Łucznik rozgniewany podniósł rękę i chciał potężnym uderzeniem w twarz zmusić cygankę do milczenia, ale w tejże samej chwili ogromny nietoperz, zbudzony światłem ze snu, tak blisko przeleciał około jego głowy, że skrzydłami swemi musnął go po twarzy i piszcząc zaczął krążyć nad zapaloną pochodnią; — piski te powtórzyły się w całej jaskini i zbudziły innych lokatorów, które teraz całą chmurą zaczęły krążyć tak natarczywie, że łucznicy żegnając się z trwogą zaczęli się cofać ku drzwiom. Czy prąd wiatru z otworzonych drzwi, czy skrzydła ptaków zagasiły pochodnię, wówczas rozległ się w jaskini tak potężny śmiech, że odbity od sklepień piwnicy zdawał się jakby grzmot chmury, połączony z piskiem tysiąca gadzin.

Łucznicy spieszenie wyskoczyli z piwnicy i drzwi za sobą z loskotem zatrzasknęli.

Czarna Zośka spieszenie powstała, przez chwilę przysłuchiwała się krokom oddalających łuczników, nareszcie znowu wyjęła swoją monetę, i podając ją Esterze zapytała ze śmiechem :

— Cobyś z tem teraz zrobiła, gdybym ci dała?

— Cisnęłabym — odpowiedziała kobieta bez wahania.

Cyganka znowu się roześmiała, położyła na lewej dłoni pieniądz, prawą go przykryła i zakreśliła w kółko — gwinty, które spajały dwie połówki monety, ustąpiły pod naciśnieniem ręki, jedna połowa się podniosła i pieniądz pokazał się wydrążoną skarbonką, ale nie pustą — wewnątrz tej skrytki mieściła się mała stalowa pilka wielkości sprężynki zegarkowej, zwiniętej w okrąg. Dziewczyna wyjęła ją, a pilka siłą sprężystości stali zabrzękała i wyprostowała się.

— A teraz rozumiesz? zapytała cyganka.

Estera kiwnęła potakująco głową.

— Weź tę pilkę za obydwa końce obydwoma rękami i przepiłuj mi kajdany na rękach.

Estera wzięła pilkę, ale nie umiała się z nią obchodzić. Nie tak — nie tak — wołała niecierpliwie dziewczyna, nareszcie zniecierpliwiona odebrała pilkę — jeden jej koniec pochwyciła silnie zębami, drugi kazała mocno trzymać Esterze i sama podniosła swoje ręce do wysokości pilki i zaczęła w jednym miejscu trzeć żelazo; to niewinne i tak delikatne narzędzie, swojemi ostremi zębami, z taką łatwością chrupało ogniwa kajdan, jak sucharki chrupią ząbki dziecka — żelazne opilki leciały na bok, pilka ledwie słaby zgrzyt wydawała, można więc było być pewnym, że straż z zewnątrz go nie usłyszy. Wkrótce ogniwo łańcucha zostało przepiłowane i kajdany upadły na kolana — dziewczyna podniosła ręce do góry, wyprostowała je, przeciągnęła się i nie zważając na to, że krew jej płynie z warg poranionych, natychmiast wzięła się do pilowania kajdan na swoich nogach — teraz robota poszła już łatwiej i nie długo została ukończona.

— Wolna jestem! — zawołała dziewczyna na całe gardło się śmiejąc — wolna jestem!

— A teraz siadaj ty, muszę ci dopomóc do zrzucenia tych pięknych kółców.

Estera wyciągnęła ręce, pilka z szaloną szybkością pożerała okowy, rozpalila się tak, że parzyła ręce Zośki i na chwilę musiała przestać roboty, ale nie tracąc czasu ani jednej minuty, na nowo zabrała się do pracy; ręce Estery zostały wolne, nogi wkrótce również zostały oswobodzone. — Kobięcie stanęły lży w oczach.

Cyganka zebrała wszystkie cztery kajdany, położyła je na widocznem miejscu i śmiejąc się powiedziała:

— Jutro przyjdą i ze zdziwieniem zobaczą, że djabeł nas uwolnił, będą się żegnać a na stosach dla nas przygotowanych mogą sobie upiec swojego komtura i jego towarzyszy.

Następnie zwinęła napowrót pilkę, ukryła ją w monecie miedzianej, szczelnie zaśrubowała i schowała.

— Ale — odezwała się nieśmiało Estera — mamy ręce i nogi wolne, lecz któż nam otworzy drzwi i kto nas przeprowadzi pośród straży?

— Kto ma ręce i nogi wolne, to ma wszystko co człowiekowi potrzeba — pieczary te znane mi są dobrze, w nich przed laty, przed bardzo dawnymi laty, nasza banda miała swoje schronienie i schowanie, kiedy Krzyżacy wystawili tutaj zamek i myśmy musieli opuścić te siedliska, ale lochy dobrze nam są znane i ciągną się pod ziemią na pare mil. Zaczawszy od groty gipsowej w Siesławicach, ciągną się nieprzerwane lochy aż do Wiślicy i tam znowu pod samym wiatrakiem wydobywają się na wierzch. — Krzyżacy nie znają ich, bo ktoby tam im kazał na brzuchu pełzać się po błocie, ale ja nie raz tędy przechodziłam, nieraz tutaj chowaliśmy nasze dobro i teraz cię wyprowadzę, ale najtrudnijszem będzie z dzieckiem, czy nie ustanie nam w drodze ¹⁾ — weź dziecko za rękę i postępuj za mną.

¹⁾ Wzgórza gipsowe poczynawszy od wsi Siesławic pod Buskiem, nieprzerwanie ciągną się aż do Wiślicy, w nich znajdują się liczne

Estera w milczeniu rozbudziła synka, ten okrzyknął jej szyję obydwojma rękami i zawisł na jej piersiach.

— Gdzie mamó jesteście? — zapytała dziecina.

— Cicho mój drogi chłopcze, nie mów nic, uciekniemy z tych miejsc obrzydliwych, ale nie bój się i nie mów.

— Ja się nie boję mamó — odpowiedział chłopiec — ale czy ci ludzie źli nie dogonią nas już?

— Nie dogonią kochanie, nie dogonią, tylko już bądź cicho.

Cyganka postępowała naprzód w ciemnościach, Estera trzymając się jej chustki szła za nią, prowadząc Niemirę.

Piwnica ta ciągnęła się długim, prawie bez końca korytarzem, sklepienia były tak wysokie, że nieuchylając się, kobiety mogły postępować — w czasie wielkich zjazdów wprowadzano tu konie i trzymano psiarnie — teraz była zupełnie pusta.

Obiedwie kobiety doszły nareszcie do końca piwnicy, tu nagromadzony był stos kamieni od dawnego czasu nie ruszany. — Zośka nie tracąc ani chwili, zaczęła je odrzucać na bok i wezwała Estere, żeby jej pomagała.

Miejsce wkrótce zostało odprzątnięte, — pokazała się gipsowej groty nierówna ściana, u samego dołu leżała ogromna bryła gipsu. Zośka ani na chwilę się nie wahała, wskoczyła na nią obydwojma nogami, bryła pod naciskiem ciężaru zaczęła się pogłębiać w ziemię, ale Zośka zeskoczyła z niej napowrót, a bryła powróciła do pierwotnego swojego położenia.

— Wybornie wszystko idzie! bałam się, czy dębowe sprężyny nie pobutwiały; kamienia tego i dziesięciu ludzi nie odsunie na bok, i tylko z wierzchu nastąpiwszy na niego ot w tem miejscu, zagłębi się jak winda i spuści do lochów.

groty, które, jak podanie ludu utrzymuje, łączą się z sobą; autor tej pracy, będąc właścicielem dóbr Siesławic, przed laty znał dziewczynę, która, jak mówili ludzie ze Siesławic, podziemnymi korytarzami chodziła do Wiślicy, i ona się tego nie zapierała.

Nie traćmy czasu, ja najpierwej się spuszczę, ty weź dziecko i tak samo jak ja, nastąp na kamień w tem miejscu, ale skurcz się dobrze, i dziecko przyciśnij mocno do siebie, żeby wam nie było za ciasno.

To mówiąc, cyganka jeszcze raz pokazała miejsce na środku kamienia, na którym trzeba było stąpić i nie mówiąc więcej ani słowa, stanęła na kamieniu; bryła pomalu zaczęła się opuszczać jak wiadro do studni, jeszcze było widać jej piersi i głowę, już sama tylko głowa, jakby leżąca na talerzu, nareszcie i głowa się zanurzyła, a w miejscu, gdzie leżał kamień, pokazała się przepaść czarna. Dreszcze od stóp do głowy przebiegły biedną matkę, ale nie długo przerażała ją ta bezdeń; słaby znowu szelest dal się słyszeć w studni i kamień pomalu wynurzył się przy jej stopach.

Estera nie namyślała się dłużej, porwała Niemirę na ręce, przycisnęła do piersi i śmiało skoczyła na środek kamienia, ale kamień ani drgnął i bezwładna masa leżała obojętna; kobieta zbladła od strachu, miałażby sama pozostać w tej ciemności, miałażby ją Zośka Czarna zdradzić? Przypomniła jednak sobie, że cyganka pokazywała jej jakby małą narośl na środku kamienia, i kazała na nią stąpić, zaczęła macać rękami naokoło i przekonała się, że rzeczywiście punktu tego nie przyciska jej noga, posunęła się więc na wskazane miejsce i mocno nadepnęła wystającą brylkę. Natychmiast uczuła pod swojemi stopami ruch i kamień wraz nią i Niemirą zaczął się zagłębiać w ziemię. Jak długo trwała ta podróż, nie mogłaby oznaczyć, w wielu miejscach plecami dotykała się ściany, aż raptem podstawa, na której stała, zatrzymała się i w tejże chwili uczuła ręce cyganki wyciągnięte do niej i usłyszała słowa:

— Daj dziecko i sama zeskocz z bryły.

Estera zawahała się, lecz w tejże chwili uczuła, że Niemirę pochwyciono jej, a kamień zdawało się, iż napowrót podnosi się do góry; nie namyślając się więc, z zamkniętymi oczami skoczyła naprzód.

Skok był nie wysoki, zaledwie parę stóp wynoszący, lecz i tak byłaby upadła, gdyby ją w tej chwili nie była złapała i podtrzymała cyganka. Zaledwie zdążyła się obejrzyć, gdy kamień na nowo zaczął się podnosić na swoim miejscu.

— Teraz jesteście zupełnie bezpieczne — zawołała Zośka, podając jej Niemirę — cały zakon krzyżackich zbójców już nam nic zrobić nie może, ale musimy jeszcze zatknąć tę zasuwę z dołu, która nie pozwoli już, chociażby wleźli na niego wszyscy Krzyżacy, żeby kamień opuścił, i zdradził naszą ucieczkę.

To mówiąc, pochwyliła suchy kawał dębiny i wetknęła go tak, iż cały kamień na nim spoczywał.

— A teraz możemy sobie odpocząć, jeśli jesteś zmęczona, zabrałam chleb, może będziesz jadła.

— Nie chce mi się jeść, wychodźmy stąd jak najprędzej.

— Masz rację, niedługo na niczem nam zbywać nie będzie, chodź!

I zagłębiły się w wąskie przejście, w niektórych miejscach tak niskie, że trzeba się było schylać do połowy, a nawet niekiedy czołgać się na czworakach, lecz tu i owdzie szczeliny skały gipsowej dopuszczały światło, w niektórych miejscach woda była po kostki i błoto przylegało do obuwia. Niemira znaczną część drogi szedł piechotą, w niektórych jednak miejscach kobiety brały go na ręce i niosły.

Po kilku godzinach męczącej tej podróży, droga stała się już wygodniejsza, podłoga była jakby wysypana białym mialkim piaskiem, Estera jednak nie przywykła do takich dróg, upadała od zmęczenia.

— Jeszcze trochę, niedaleko już — zachęcała cyganka.

Jakoż niedługo korytarz zaczął się podnosić do góry i Estera zobaczyła ze zdziwieniem, że stoją przed drewnianymi drzwiami.

Cyganka wiadomym sobie sposobem otworzyła je i obie dwie kobiety, znalazły się w obszernej izbie, przez okno której ujrzały niebo.

Przez otwarte okno widać było śmigi wiatraka, to podnoszące się, to spadające kolejno ku ziemi. Chata była widocznie mieszkaniem młynarza, z trzech stron wykuta była w gipsowej skale, czwarta tylko część drewniana, stanowiła front, drzwi jednak, przez które weszły kobiety tak szczerlnie w skale ukryte i całe narzucone na rozrobiony gips kawałkami skryształizowanego gipsu, że najprawniejsze oko, nie dostrzegłoby ich, gdyby nawet ściśle chata została przepatrywana.

— Teraz nikogo się już nie potrzebujemy obawiać — zawołała wesolo Zośka — już tutaj władza Templaryuszów nie sięga, jesteśmy w Wiślicy.

— W Wiślicy! — zawołała z uniesieniem Estera — w Wiślicy więc, tak niedaleko już Krakowa. Chwalaż Ci wielki Boże!

W tej chwili drzwi chaty otwarły się, i na progu ich stanął stary chłop, cały obsypany mąką, pomimo tego jednakże, czarne jego kręcone włosy, pleć więcej jak śniada, nos garbaty, jasno pokazywały, iż należy do tego samego rodu, co wybawicielka Estery.

Cygan nie zdawał się wcale zdziwiony, widząc kobiety w swojej chacie.

— Nie spalono cię to wczoraj w Zagościu? — zapytał zupełnie naturalnym głosem.

— Widzicie, że nie — odpowiedziała dziewczyna.

— A kogożeś mi to tam przyprowadziła z sobą?

— Przyprowadziłam ci worek złota, taki duży, jak ty sam i łaskę królewską.

Cygan z uwagą zaczął się przypatrywać Esterze; — znam ją — wybąknął mrużąc.

— Gdzieś mnie widział człowieku, — zapytała Estera.

— Na twoim zamku w Opocznie, byłem tam w czasie pobytu króla.

Estera złożyła chłopczykę na łóżku, które nadspodziewanie pokryte było czystą pościelą.

— No zajmij się Zośka obiadem, — powiedział stary — ta pani musi być dobrze głodna po tych psów kuchni, a i ty pewniebyś zjadła wołu z kośćcami.

Dziewczyna nie nie mówiąc, schyliła się do szafy, wzięła kilkanaście jaj, rozbiła na glinianej dużej rynce, wpakowała potężną łyżkę masła, z ogródka przyniosła szczypiórku, drobno go usiekała, i wysypała do rynki — stary tymczasem postawił na stole dzbanek mleka, plastry miodu i chleb pszenny.

— No używajcie teraz darów Bożych.

Niezawodnie żadna uczta na królewskim dworze, ani na zamku w Opocznie, nie była spożywana z takim łakomstwem, żaden zapach najkosztowniejszych kadzidel wschodu, nie lechtał tak miło powonienia, jak ten zapach szczypiórku w glinianej misce.

Drewniane bukowe łyżki, nie raziły wypieszczonego ko-biety podniebienia.

Obiedwie kobiety zasiadły do glinianej miski, a i mały Niemira, który się przed chwilą obudził, szczerze im do-pomagał.

— Gdzie matka? — zapytała Zośka starego.

— Jeżeli wiesz, gdzie wiatr wieje wczorajszy, to i wie-dzieć będziesz, gdzie się obraca cyganka.

— Potrzeba nam będzie dać znać do Krakowa o przy-byciu do nas królewskiego dziecięcia.

— Już to wszystko zrobione — odpowiedział poważnie cygan.

— Zkąd wiedziałeś, że my tu do ciebie trafimy?

— Czarna Zośko, czyż nie wiedziałem, że jesteście razem i że albo was razem spalą lub razem uciekniecie.

— Jak tylko przed kilku dniami Templaryusze napadli na oddział tej pani i uwięzili ją wraz z synem naszego króla, natychmiast wysłałem Matrunę do Krakowa, żeby powiado-miła o tem kogo należy.

— I na cóżby nam się to przydało — odpowiedziała dziewczyna — gdyby wczorajsza burza nie była zalalał stósów

dla nas przygotowanych, już w tej chwili to piękne słońko spoglądałoby na nasze niedopalone kości, a wiatr, który obraca skrzydła twojego wiatraka, roznosiłby nasze popioły po białym świecie.

— Ocaloneby było dziecko królewskie, a wy zaś, pomśczone.

— Prawda — zawołała Estera — to więcej znaczy, jak wszystko.

— Nie koniecznie więcej — odparła Zośka niedokończając myśli.

Młynarz wyszedł przez sień, bystry jego słuch już od pewnego czasu donosił do jego ucha jakieś dźwięki jakby oddalonego grzmotu, teraz okiem przekonał się, że się nie myli w swoich domysłach.

Stary szybko powrócił przed drzwi chaty.

— Chodźcie — zawołał — chodźcie obiedwie prędko

Kobiety zdziwione wyszły przed sień, stary nie nie mówiąc, zaczął iść coraz spieszniej ku wiatrakowi, kobiety zatrzymały się przed schodami, lecz młynarz postępując naprzód, dał im znak, żeby za nim szły na wierzchołek wiatraka.

Zaledwie wszyscy znaleźli się przy otwartem oknie mieszczącym się w dachu, gdy jednocześnie ze wszystkich pierśi wydał się okrzyk zadziwienia i wspaniałą widok roztoczył się przed ich oczami.

Z wiatraka widać było daleką okolicę, srebrna wstęga Nidy wila się, błyszcząc od promieni słońca, wśród najpiękniejszej okolicy, jaką wyobraźnia poety stworzyć może, po bokach jej, zielone olszowe lasy, stanowiły jakby szmaragdowe ramy, dalej rozciągały się wzgórza, pokryte bujnemi kłosami pszenicy, zdaleka widać było wsie rozrzucone gromadami, jak lanszafty: Jurków, Złotą, Kolosy, Kuchary i wiele innych — ale nie ten widok zajmował teraz patrzących.

Nida przepasana była olbrzymim mostem, który jak kosztowna klamra, błyszczał teraz od tysięcy połyskującej zbroi, na czele widać było igrającą z wiatrem chorągiew królewską,

za nią postępował oddział husarzy; skrzydła ich furczały w powietrzu, kity piór kołysały się na hełmach, a ostrza lanc przyjmowały w siebie iskry słoneczne.

Dalej ciągnęły się pulki licznej jazdy, której jaskrawe kolory mieniły się tysiącami barw, a dalej jeszcze zbite tłumy piechoty uzbrojonej w łuki, przewieszzone przez plecy. Armia zdawała się nie mieć końca, za nią ciągnęły się wozy, na których wieziono jakieś olbrzymie maszyny.

— Wojsko królewskie! — zawołała z zapalem Estera, klaszcząc w ręce.

— Wojsko, które idzie ciebie oswobodzić! — odpowiedział cygan.

Tymczasem pierwsze oddziały przeszły most, weszły na rynek Wiślicy, bramy się przed nimi natychmiast otworzyły, i nie zatrzymując się ani na chwilę, ciągnęły dalej i zbliżyły się pod same ściany wiatraka.

Nawój z Przegini prowadził te piękne oddziały, szlachetny ten magnat, wielki zarówno wzrostem jak przymiotami serca i duszy, wezwany został przez króla, żeby zajął zamek Zagość w posiadanie królewskie.

Templaryusze we Francyi i innych krajach europejskich zostali już bullą papieżką skasowani, dobra ich przeszły na skarb. W Polsce tylko jedyna komandorya w Zagościu utrzymywała się, jakby zapomniana — na sprawy polityczne nie wpływali zupełnie, w czasie nawet wojen Władysława Łokietka z Krzyżakami zachowywali się biernie. O obronie pielgrzymów w Palestynie nie myśleli, ale za to oddani zbieraniu pieniędzy, wzrastali w bogactwa, i nie zaniedbywali ściągać obfitych dziesięcin z wiosek, należących do ich komandoryi.

W sporach, jakie właśnie w tym czasie powstały pomiędzy królem a biskupem krakowskim o dziesięciny, na swoje nieszczęście przyjęli czynny udział, widząc zagrożone i swoje dochody.

Komtur Zagoścki, rodzony brat wielkiego mistrza Krzyżaków, charakteru dumnego i niespokojnego, sądził, że opie-

rając się na plecach, jakie mu tak potężna przyjaźń zapewniła, zdoła utrzymać niezawisłość swoich posiadłości. Kiedy jednakże zamek Strafczyn należący do komandoryi został zabrany i zamieniony w królewszczyznę, szalona myśl owładnęła tę dumną głowę — zdawało mu się, że przy pomocy Krzyżaków, Maćka Borkowicza, wojewody poznańskiego, i innych panów niechętnych królowi, potrafi wzniecić burzę zamieszek, z której korzystając, utrzyma się przy posiadłościach zakonu.

Kazimierz jednak, jakkolwiek był nieprzyjacielem wszelkich wojen, oburzony zuchwalstwem tej garstki zbrojnych zakonników, postanowił położyć koniec ich egzystencji.

Uwięzienie Estery z jego synem, przyspieszyło tylko katastrofę i teraz Nawój z licznym oddziałem wojska, siedł pod Zagość.

Nie będziemy towarzyszyć wojskom Nawoja do Zagościa, nadmieniamy tylko, że Templariusze widząc poważne siły królewskie występujące przeciw sobie, a gdy znikąd nie przybywały im spodziewane posiłki, zażądali wolnego wyjścia ze wszystkimi swojemi skarbami, nagromadzonemi przez 200 przeszło lat swojego w Polsce pobytu.

Czy złość to sprawiła, czy też to było dziełem prostego wypadku? — zamek Zagość w dniu opuszczenia go przez Templariuszów nawiedził pożar i Templariusze przy łunie, rozlewającej się wokoło, widzieli, jak liczne zabudowania komandoryi zamieniły się w kupy popiołów.

Kłęby dymu towarzyszyły ich wyjściu, a przekleństwa ludu uciśnionego, stanowiły pieśń pożegnálną.

ROZDZIAŁ VI.

Iskierka i Czarna Zośka. — Śmierć Baryczki w Wiśle. — Kochan.

Wieże Krakowa daleko błyszczały swojemi blaszanemi wierzchołkami, gwar wielkiego miasta słyszać już było w powietrzu; wszystkie drogi, prowadzące do grodu, roily się tłumami ludu, co jak gromady mrówek uwijały się na wszystkie strony, gdy na wózku krakowskim, który wierny konserwatywizmowi do dnia dzisiejszego nie zmienił swojego kształtu, zaprzężonym w parę niewielkich ale dziarskich koników, które półchomąta z białej skóry, okryte mnóstwem czerwonych sukiennych naszyć, wyciętych w gwiazdkę i mosiężnych kółek różnej wielkości pięknie stroiły — jechała Estera z synem i Czarną Zośką — stary cygan, ojciec Zośki, młynarz z Wiślicy, w niebieskim wyszywanym kaftanie, opasany czerwonym pasem, w dużym z wielkimi rondami kapeluszu, z szeroką zieloną wstęgą na wierzchu powoził.

Im bliżej wózek zbliżał się do Krakowa, tem większy ruch na gościńcach się objawiał, ale podróżnych naszych dziełiły jeszcze od Krakowa ogromne bagna, rozciągające się od wsi Bawół i ciągnące się pod same mury starego grodu.

Miejscowość ta, ulubione schronienie przemieszkujących tutaj niegdyś bawołów i wówczas jeszcze bardzo mało była zamieszkaną; gościńce jednak szerokie były już przez bagna przeprowadzone, mosty pobudowane — mała wioseczka, sterząca na pagórku nazywała się »Bawół«.

Na jednym z zakrętów gościńca, wózek nasz musiał się pomimowolnie zatrzymać — pokazały się tłumy ciągnące od Krakowa niezliczonego ludu, poprzedzone setkami chorągwi — zdaleka wolano, żeby zjechał na bok; trudna to dosyć była sprawa, bo bagna głębokie z obydwóch stron łątowały wolność ruchów — powożący wiedział jednak, że lekceważyć

sobie niebezpiecznie rozkazy tłumów, a tembardziej, gdy tłum ten postępuje pod przewodnictwem sztandarów.

Z wielką trudnością cygan potrafił wynaleźć miejsce dostatecznie suche, na boku, w którem mogły się nie potopić konie i przepuścić gościńcem idące tłumy. Najpierwej postępowały cechy, każdy pod swoją chorągwią, a cechy to były liczne, samych krawców cech składał się z przeszło 4000 ludzi, szewców liczył dwa razy tyle, dalej rzeźnicy, mularze, stolarze, blacharze, ale zbyt długo by tu potrzeba wyliczać, żeby wspomnieć wszystkie cechy, korporacye świeckie i duchowne, a każdy nie tylko miał oddzielną chorągiew ze swojemi godłami i z wizerunkiem patrona, ale i ubiory członków jednego cechu lub korporacyi były nie tylko jednakowego kroju, ale nawet kolorów; dalej postępowały tłumy wszelkiego rodzaju zakonów i duchowieństwa świeckiego, każda gromadka poprzedzana swojemi chorągwiami i palącemi się dużemi woskowemi świecami. Wszystkie te chorągwie, cechy, zakony, duchowni świeccy, po trzechdniowym surowym poście, dążyli na wezwanie biskupa krakowskiego Bodzanty, na bagna wsi Bawół, do tak nazwanego Matecznika (Mate) gdzie od kilkunastu dni pokazywało się wśród bagna światło niebieskie, w miejscu prawie niedostępnem dla ludzi, gdzie tylko wodne ptactwo i gady się przechowywały; niezwykle to zjawisko za cud powszechnie uznane zostało — biskup nakazał uroczystą procesyę na miejsce, dla zbadania i uczczenia cudu.

Za duchowieństwem postępowały masy, setki, tysiące szlachty, rycerzy, mieszczaństwa i ludu wiejskiego, za nimi, na samym końcu postępował cech żebraków: kulawi, starcy, ślepi, prowadzeni przez niewielkie pacholeta, opierając się na długich kijach, na końcu których znajdowała się zawsze skóra jeża — dalej baby rozmaitego fasonu, pokazując z umiejętnością publiczności swoje prawdziwe i udane kalectwa. Cały ten tłum postępował poważnie, nucąc nabożne pieśni, zdawało się, że mu nie będzie końca. Nareszcie wózek wjechał napowrót na

gościniec i zręcznie wymijał gromadki maruderów, zbliżając się do Krakowa.

Cud się sprawdził — wśród niedostępnych tych bagien, znaleziono nareszcie monstrancyą, którą przed kilkunastu dniami jakiś złodziej, zakradłszy się do kościoła Wszystkich Świętych w Krakowie, pomiędzy innemi kosztownościami przyswoił sobie. Monstrancya była wysokiej artystycznej roboty, grubo pozłacana, ale rzeczywiście miedziana; złodziej, dla którego poczucie artysty było obce, przekonawszy się, że zamiast złota, ma tylko do swojej dyspozycji miedź, obawiając się kary, rzucił ją w bagna i tam to właśnie to światło niebieskie od tej chwili zaczęło się objawiać. — Król Kazimierz na tem miejscu potem kazał wybudować kościół pod nazwiskiem »Bożego Ciała« i licznemi uposażył go dochodami i przyozdobił w bogate sprzęty.

Po przejściu procesyi, podróżne napotykały znowu tyśiące robotników pilnie pracujących nad wzniesieniem ogromnych gmachów, przeznaczonych przez mądrego króla na pomieszczenie Akademii. — Wieś Bawół już zakupił król i zabudowywał ją spiesźnie okazałymi gmachami, przyłączywszy do Krakowa i nazwawszy na pamiątkę swoich trudów przedmieściem »Kazimierz«.

Jakże wspaniale przedstawiał się wówczas Kraków, ten stary gród Bolesławów, zdawało się, że dopiero co się narodził; nowe, wspaniałe świątynie lub poodnawiane gmachy, setki kamienie nowo wybudowanych, przyozdobionych rzeźbami, filarami, łukami, nadawały mu postać wielkiego miasta i był nim w samej istocie. Paryż wówczas nie imponował mu w niczem i nie śmiał walczyć nawet o pierwszeństwo; na ulicach jego przedmieść podług relacji kronikarzy, często można było napotkać włóczące się wilki, ulice niebrukowane, na których topiły się konie przejeżdżających — jakże inaczej przedstawiał się gród Kazimierza? — Wspaniałe gmachy, dobrze wybrukowane ulice, przepiękne świątynie, ruch handlu i przemysłu, bogate sklepy cudzoziemców i swoich — wszystko to po-

kazywało gospodarza niezrównanego, potężnego, zarówno umysłem jak skarbami, któremi rozporządzał — a Wawel, to serce Krakowa, iluż potężnemi nie rozrósł się naówczas budowlami, roztoczył się, imponująco zdaleka uderzając wzrok zdziwionego podróżnika swoją okazałością, jedna Korduba, ówczesna w całej Europie, pod światłem swoich arabskich władców, mogła rywalizować z nadwiślańskim magnatem miast?

Przepych wewnętrzny, zdumiewające swoją pięknością malowidła i dzieła rzeźbiarstwa, godnie odpowiadały powierzchowności.

Wózek wiozący nasze podróżne nie udał się jednak ku zamkowi królewskiemu, ale skierował się w jedną z bocznych ulic i wjechał w bramę pięknej kamienicy, która się natychmiast za nią zamknęła.

Kamienica ta była własnością Estery, wystawiła ją za własne swoje pieniądze, na żądanie króla, wewnętrzne jednak urządzenie król wziął na siebie i sam skreśliwszy plan ozdób, osobiście dopilnował ich wykończenia.

Nie tu nie raziło jak w Opocznie. Wschodnim przepychem, złote i srebrne sprzęty nie wpadały co chwila w oko, ale za to błyszczał kunszt artystów rzeźbiarskich; wyrzynań w drzewie dębowem i ozdób z kości słoniowej nie brakowało.

Nie widać było licznej służby przewijającej się po komnatach, kilka zaledwie kobiet stanowiło cały dwór pięknej Chazarki, ale w oczach tych kilku kobiet widać było przywiązanie — zwłaszcza stara Ewa nieposiadała się z radości, ujrzawszy swoją panią, rzuciła jej się do kolan, obejmowała ramionami, głaskała po twarzy jak dziecko, a łzy dwoma strugami spływały obficie po zmarszczonem, żółtem obliczu kobiety.

— Więc ty żyjesz, pieściotko moja, żyjesz na prawdę, ja ciebie widzę przed sobą żywą i zawsze piękną, myśmy cię już oplakali — a Niemira! jakże on zmizerowany, biedneńki, jakie blade i bez krwi jego policzki. — O Boże! więc ja was jeszcze widzę żywych — więc ja was jeszcze widzę! — i stara

na nowo ścisnęła Estere i małego chłopczyka, przypatrywała im się, odsuwała ich od siebie i na nowo przyciągała.

— Zkąd wy wiedzieliście, że mi grozi niebezpieczeństwo, żem popadła w szpony tych rozbójników?

— O wiedzieliśmy, wiedzieli, moja różo Sionu — koczujący cyganie widzieli napad na twój orszak, widzieli jak wymordowano twoich pacholków, jak ciebie uprowadzono do Zagościa, potem rozeszła się wieść, że was będą palić na stosie jak czarownice — ciebie i tę drugą starą kobiecinę, która leczyła ludzi. Donieśliśmy o tem królowi, wpadł w gniew niesłychany, ryczał jak lew ranny w pustyni, miotał się podobno tak strasznie, że wszyscy drżeli przed nim, jego głosem i wzrokiem — natychmiast kazał szykować wojska, ale małą mieliśmy nadzieję, żeby jeszcze na czas zdążyły. Przyszedł do nas wójt cygański, ojciec tej oto dziewczyny, i spodziewając się wielkiej nagrody powiedział nam, że jego córka Zośka, naumyślnie dała się pochwycić i uwięzić, żeby być przy tobie, żeby cię ratować znanymi sobie sposobami — małośmy do tego przywiązywali wiary, ale zawsze jakaś iskierka nadziei wstąpiła do naszego serca.

Aż tu wczoraj rozeszła się wieść, że w Zagościu sąd się już odbywa. — Sąd! wiedzieliśmy wszyscy co to znaczy! Sąd Templaryuszów, to z góry obmyślana niegodziwość, to zbrodnia ubrana w pozory prawa. Zniknęła wszelka nadzieja i oplakaliśmy już ciebie, biedna synogarlico. — Widzieliśmy dzisiaj, jak się pospiesznie szykowały wojska, jak wychodziły oddziały jedne za drugimi, słyszeliśmy ich trąby, słyszeli pieśni które śpiewali, widzieli pospiech — ale ja w duszy sobie mówiłam: »wszystko to zapóźno — pomsta! pomsta tylko jedna została do wypełnienia, ale Bóg Wielki, Bóg Abrahama i Izaaka wziął was w swoją opiekę i ocalił niewinnych«.

— A Kazimierz! a król, czyś go widziała, czy rozmawiałaś z nim?

— Widziałam go, ale rozmówić się z nim nie mogłam, zresztą i cóżbym mu mogła była powiedzieć. — Widziałam

go, kiedy wojska się już zgromadziły, widziałam go na jego czarnym koniu, wszystkich przewyższał głową, szybko przejechał przed szeregami, twarz jego zawsze wesola, teraz była pokryta chmurą smutku; kilkanaście słów powiedział tylko do pana z Przegini i natychmiast szeregi ruszyły, a on stał długo jeszcze, patrząc się za odciągającymi wojskami.

Widzę jednak biedaczko po twojej bladej twarzy i po drżeniu ciała, że jesteś zmordowana nad siły, spocznij swobodnie zdala już od wszelkiego niebezpieczeństwa, a chłopczyna zaledwie się trzyma na nogach.

— Dobrze, pocziwa moja Ewo, dobrze, ale przede wszystkim proszę cię, posłać do zamku i powiadomić króla o naszym przybyciu, masz ten pierścień, on mi go sam dał, on otworzy wszelkie drzwi na Wawelu.

— Natychmiast mój robaczku, natychmiast, ale połóż się w łóżko, napij się przyrządzonych ci ziół przezemnie, a ja spełnię twoje rozkazy.

Przez cały czas tego długiego powitania, Czarna Zośka stała milcząca, przypatrując się zdziwionem okiem wszystkiemu.

Estera spostrzegła jej zamyślenie, obracając się więc do niej rzekła:

— I ty moje dziecko, wypocznij także po tylu trudach, które przeżyłaś — i zwracając się do Ewy, rzekła:

— Proszę cię dobra Ewo, weź w swoją opieką tę dziewczynę, ona była towarzyszką mojej niewoli, ona stała się moją wybawicielką, niech jej na niczem nie zbywa.

— Ewa teraz dopiero zwróciła swój wzrok przenikliwy na stojącą u drzwi cygankę, bacznie się wpatrując w jej smagłe lica, parę razy potrząsała głową, kilka słów powiedziała po cichu sama do siebie i skinęła na cygankę, dając jej do zrozumienia, żeby szła za nią.

W poprzedniej komnacie siedział już jej ojciec przed dębowym stołem, na którym stał ogromny dzban miodu i smacznie zjadał zastawione potrawy, składające się z mięsa wędzonego, słoniny, sera i białego chleba.

Estera jakkolwiek zachowała wiarę ojców swoich, nie zbyt ściśle wykonywała jej przepisy, tembardziej, że służba jej w znacznej części składała się z katolików; nie powinno więc zadziwiać naszych czytelników, że pomiędzy pokarmami zastawionemi staremu cyganowi, wymieniliśmy słoninę — bez tej potrawy wędzonej i mocno posypanej papryką, nie byłoby uczty dla cygana, jak bez ostryg dla dzisiejszego smakosza, bez befsztyka dla Anglika, bez knajpy i bawarskiego piwa dla Niemca.

Wkrótce brama kamienicy znowu się otworzyła, a jeden z jej dworzan wyjechał spiesźnie na Wawel, ściskając mocno powierzony sobie pierścień Estery.

Tymczasem król wyprawivszy Nawoja z oddziałami wojska, nie odebrał dotąd żadnej jeszcze wiadomości z Zagościa; rano wprowadzie powiadomiono go, że w dniu wczorajszym odbywał się tam sąd duchowny na czarownice, ale wiadomości były bardzo sprzeczne, jedne mówiły, iż na stosie spalono kilka czarownic, inne mówiły, że żadnej, ale wszystkie zgadzały się w tem, że mały chłopczyk żydowski został także spalony, opowiadano jak płakał, kiedy go prowadzili, jak wyciągał rączki do góry i wołał wielkim głosem ratunku. Kazimierz chodził po obszernej komnacie głęboko zamyślony, czoło jego marszczyło się gniewnie, a wyraz twarzy był tak straszny, że dworzanie znający go bliżej, z drżeniem usuwali się na bok, bojąc się lwa rozdrażnionego — w takich chwilach wszystko druzgotało, a biada temu, ktoby się odważył przerwać jego milezenie.

— Więc na to zwołałem szlachtę i duchowieństwo do Wiślicy, na to użylem tyle trudów, tyle pracy, na to musiałem zwalczyć tyle intryg, pokonać tyle nieprzyjaciół, ażeby ustanowiwszy prawa, zamieniwszy je w statut państwa, pod boki moim zostały tak lekceważone; po prostu jakby dla naigrawania się nademną odbywa się ta cała tragedia — sądy duchowne! nie mogłem ich podciągnąć pod ogólne prawa, wrzód ten zanedto zaraźliwy niszczy soki mojego ludu, paraliżuje moje zamiary i staje naprzeciw mnie złowrogo. Niestety

na to dzisiaj niema jeszcze sposobu, jeszcze godzina nie uderzyła, w której jedno prawo oceni wszystkich, da opiekę biednym i schyli do ziemi karki wyniosłych. Kiedyś któryś z moich następców dopiero doczeka się tej godziny, ale niestety czy to nie będzie za późno?!

Król posłyszał jakiś szmer niewyraźny w poprzedzającej komnacie, gdzie byli zgromadzeni dworzanie. Klasnął w ręce i natychmiast na progu pokazał się Plichta.

— Czy niema żadnych wiadomości z Zagościa? — zapytał król niecierpliwie.

— Do tej pory nie jeszcze, ostatni goniec doniósł, że wojska królewskie już się rozłożyły pod Zagościem, ale rozprawa jeszcze nie nastąpiła.

— Nie o to idzie — zawołał król gwałtownie — nie o to idzie, kiedy ta klatka lampartów zostanie zdobyta, kilka dni wcześniej czy później, zupełnie mi to obojętne, ale tam życie niewinnych wisi na włosku, tam syn mój, krew moja książęca, krew starych Piastów, wystawiona na uraganie czerni. O! — zawołał król, podnosząc pięści do góry — strasznego zażądam zadośćuczynienia, zmiażdżę to całe gniazdo padalców, zmiażdżę na proch; idź wypraw natychmiast na najlotniejszych koniach gońców, chcę wiadomości pewnej, co się stało z moim dziecięciem, rozumiesz mnie natychmiast, to ostatnia latrość Piastów.

Plichta wyszedł, zostawiając króla samotnie chodzącego po komnacie, w przedpokojach uciszyło się, zmrok zaczął zapadać.

Niedługo jednak król mógł pozostawać w tej spokojności, w przedpokoju dały się słyszeć szybkie kroki, coś jakby spór zaszmerło za drzwiami; ale te raptem otworzyły się gwałtownie i na progu ich stanął człowiek w długiej czarnej aż do samej ziemi szacie, na wierzchu jej jednak odrzynała się swoją białością z szerokimi rozpuszczonymi rękawami komża, a na niej z obydwóch stron szyi spływała szeroka stula.

Człowiek ten mógł mieć lat około czterdziestu lub więcej, rysy zawiedłe, pomarszczone i żółknięte jak pargamin, ocieniały czarne włosy, na wierzchu szeroko wygolone — w oczach jednak tego człowieka, palających jakimś niezwykłym ogniem, w zaciśniętych gniewnie wąskich ustach, widać było siłę woli i ten upór nieprzelamany, który odznacza zwykle wszystkich fanatyków, ludzi, którzy poślubiwszy życie jakiejś idei, nie umieją ustąpić na krok jeden z drogi, na którą wstąpili i chociaż widzą przed sobą przepaść, ta nietylko nie przestrasza ich, ale ciągnie ku sobie nieprzepartym urokiem.

Był to Marcin Baryczko, wikaryusz krakowski.

Przez chwilę stał we drzwiach, rozpatrując się w przyćmionej komnacie, ale raptem nerwowym ruchem zbliżył się do króla, wyciągnął do niego rękę, w której trzymał pargamin i glosem donośnym, ale urywanym zawołał:

— Królu Kazimierzu! ja Marcin Baryczko, wikaryusz krakowski, stoję przed tobą w imieniu i na rozkaz najprzewielebniejszego biskupa Bodzanty, i wzywam ciebie królu, żebyś natychmiast nietylko dobra Złotnickie, należące do biskupów krakowskich od wszelkich kwater wojskowych, podwód, podatków nieprawnie nałożonych przez ciebie i wybieranych na rzecz skarbu, uwolnił, ale i nadal nie ważył się nigdy podciągać jakiegokolwiek dobra duchowne pod opłaty skarbowe; żebyś przestał tolerować żydów i wypędził ich jako heretyków z granic swojego państwa, żebyś rozpedził kochanice swoje i kobiety wiodące cię na zatracenie, daleko od siebie — żebyś upokorzył się przed władzą biskupią, bo inaczej, biada ci!

— A jeżeli tego wszystkiego nie zrobię? — zapytał dosyć na pozór spokojnie król.

— Wtedy wszystkie gromy nieba spadną na twoją głowę, wtedy w imię Najwyższego przeklęty będziesz!

I nie czekając dłużej ani chwili, podniósł pargamin do góry i zawołał głośno:

— Tu masz królu Kazimierzu zawiadomienie biskupa, rozkaz święty, który ja ci ogłaszam, że do czasu, w którym

się nie stanie zadość żądaniom kościoła wyrażonym ci przezemnie, jesteś wyłączony od społeczeństwa kościoła, pozbawiony wszelkich usług duchownych, przeklęty ty i twoje dzieci jakie mieć będziesz, odjęta ci zostaje władza nad twoimi poddanymi, ciało twoje nie dozna pokoju, a duszę oddaję djabłu na wieczne potępienie.

Głos, którym mówił Baryczko, drżał w powietrzu, ale im dłużej mówił, tem widoczniej było, że strach hamuje mu słowa i głos cichnie; ostatnie wyrazy wygłosił już cicho, tak że prawie szeptem doszły do uszów królewskich, szybko położył na stole pergamin zaopatrzony pieczęciami, i jeszcze szybciej, zaczęł Kazimierz miał czas słowo przemówić, opuścił komnatę.

Król długo zachowywał milczenie, gwałtowność gniewu zatamowała mu słowa, krew uderzyła do twarzy, oczy się zaczerwieniły, straszny był — ktokolwiekby go zobaczył w tej chwili, musiałby zadrzeć z przerażenia.

— Do mnie służba! — zawołał nareszcie potężnym głosem i tak silnie uderzył nogą we drzwi, że te z łoskotem na poły się otworzyły; kilku paziów zerwało się na równe nogi i stanęło czekając na rozkazy, były to wszystko chłopięta kilkunoletnie, król spojrział po nich i zawołał niezadowolony:

— Gdzie starsi? Plichta, Kochan? — wołać mi ich tu natychmiast — natychmiast!

Chłopcy jak stado wróbli rzucili się we drzwi. Niedługo potrzeba było czekać, jednocześnie wpadli do pokoju Plichta i Kochan.

Kazimierz spojrział na nich tak groźnie, że obydwaj stanęli jak kamienne słupy.

— Gdzie on jest? za uszy go tu do mnie natychmiast przyciągnąć, na sforze jak wściekłego ogara przywlec, prędzej, jeżeli wam mile życie.

— Kogo Najmiłościwszy Panie? powiedz kogo, a woli twojej stanie się zadość natychmiast — zawołał Plichta.

— Tego czarnego kruka, czy nie widzieliście go, tego puszczyka z twarzą człowieka a ze szponami djabła, tego... tego... i król nie mogąc nic więcej mówić, pokazał na par-gamin leżący na stole... tego księdza! — wykrztusił nareszcie z trudnością.

— Przyprowadzę go, chociażby pod ziemię się ukrył — zawołał Kochan i w tejże chwili rzucił się we drzwi, za nim szybko podążył Plichta.

Przelecieli schody z szybkością, wydobyli się na podwórzec zamkowy, nigdzie jednak księdza nie napotkali; tu jednak od straży dowiedzieli się, że ksiądz szybko zbiegłszy od króla, wskoczył na wózek przygotowany za bramą, a zaprzężony w parę dzielnych huculskich kuców i ile w nich siły było, uciekał ku brzegom Wisły.

— Koni! koni! — zawołali obydwaj jednocześnie — na koń dziesięciu jeźdźców i za nami w pogoń za zbiegiem.

W kilka minut konie osiodlane, unosiły szalonym biegiem dwóch jeźdźców pędzących na czele małego oddziału jazdy. Noc tymczasem ciemna; powiększona mgłą ponadrzeczną, roz-toczyła naokoło swoje cienie. Kilku przechodniów, których oddział jadący spotkał na swojej drodze, zapytanych o prze-jeżdżający wózek, rękami wskazywało kierunek ku rzece, do-dając, że pędził nadzwyczaj szybko.

— W konie! — zawołał Kochan — chociażbyśmy wszy-scy mieli karki pokręcić.

Iskry sypały się pod kopytami, w oddali już słychać było warczenie kół wózka po kamienistej drodze, wózek dą-żył do przewozu na Wisłę; naraz turkot wózka ucichnął, wi-docznie przybył do przeprawy. Kochan na czele swego od-działu, w kilka minut także się znalazł nad brzegiem Wisły. Wózek i siedzący na nim woźnica stał spokojnie na brzegu, ale w oddali kilkudziesięciu kroków, na srebrnej powierzchni rzeki czernił się prom, a raczej duża łódź, unoszona szybko prądem wody.

Kochan w jednej chwili objął całe położenie, widział, że zbieg, którego tak zapalczywie gonił, wymyka mu się, że jeżeli tylko nogę postawi na prawym brzegu Wisły, będzie ocalony, bo gąszcze rokitnicy pokrywającej zabrzeża i ciągnące się całemi milami, mogą użyczyć wybornego schronienia, tem bardziej, jeżeli ma przy sobie przewodnika miejscowego.

Oddział Kochana zatrzymał się na chwilę, ale na jedną tylko małą, krótką chwilę, tyle ile potrzeba było, żeby przykrócić koniom cugli.

— Za mną dzieci! — zawołał dowódca, rzucając się pierwszy w nurty Wisły. Koń jego silnym szczupakiem rzucił się z urwistego brzegu i w jednej chwili odsadził się na kilka sążni, cały oddział naśladował przykład wodza; konie pływały jak kaczki, kierowane umiejętną ręką jeźdźców, którym w owych czasach pełnych walk, nie pierwszozną było przebywać wpraw rzeki — łódź i konie prąd unosił w jedną stronę. Teraz widać było już dokładnie, iż na łodzi znajduje się tylko jeden przewoźnik usilnie robiący wiosłem, druga zaś postać czarna w białej jeszcze komży na wierzchu ubrania, stoi w łodzi i bacznie śledzi ruchy pogoni.

Prąd wody niósł wartko łódź, ale ten sam prąd pomagał i koniom, niektóre z nich wysuwały się naprzód, inne pozostawały w tyle i rozciągały się długim szeregiem przez środek Wisły; sam jednak Kochan, siedzący na dzielnym rumaku, który jak szczupak rozpierał nurty wody, wkrótce się znalazł tuż obok łodzi; koń dostawał już chrapami burtów, ale nie było jednak sposobu dostać jeńca. Ksiądz rzucił się na przód statku, widać było, jak ze wzruszenia i zimna drżał cały, nie spokojnie znowu przerzucił się ku tyłowi tak, że łódź tracąc równowagę, chwiała się i przechylała na boki.

Kochan jednym rzutem oka objął całe położenie, do przeciwnego brzegu było już niedaleko, ale w tem miejscu właśnie był nurt najsilniejszej wody i koń musiał użyć wszelkich sił, zaczęł się wydobyć na brzeg, łódź potrzebowała jeszcze zrobić kilkanaście rzutów, żeby się dostać do lądu, inni

jeźdźcy otoczyli ją już w około, na lądzie na koniu stał Kochan. Przeciwnik stracił głowę zupełnie; gdyby się był puścił z nurtem wody, nie ulega wątpliwości, że zmordowane konie nie odważyłyby się płynąć za nią, i pogoń musiałaby się skończyć bardzo prędko, ale głosy jeźdźców odzywające się, groziły strzałami, co nie tak łatwo jednak, płynąc na koniu, można było uskutečnić; przewoźnik jednak stanął i Łódź skierował do łądu, o który jej przód uderzył.

— Ha, mam cię! — zawołał Kochan, zeskakując z konia i zastępując od brzegu.

Ksiądz jednak tak był przerażony, tak roznerwowany całym biegiem tych wypadków, że nie namyślając się ani na chwilę, rzucił się w nurty Wisły, chcąc się ratować.

Woda zakotłowała się na chwilę, następnie wynurzyła się biała postać, kilka razy znowu zanurzyła, jeszcze raz pokazała się w znacznem oddaleniu, i nurty Wisły zaczęły znowu płynąć spokojnie, uderzając o brzegi.

Księżyc, który w tej chwili się pokazał, oświecił całe koryto rzeki, ale koryto to było tak czyste, na pozór spokojne, że najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby żadnego najdrobniejszego punktu odbijającego się od koloru wody. Cisza pełna grozy zalegała na około.

Jeźdźcy, pomału jeden za drugim, zaczęli się wydobywać na brzeg, jednego jednakże brakło pomiędzy nimi; uniesiony prądem wody, jakiś czas, jak czarny kłoc drzewa pokazywał się, to zagłębiał i nareszcie zniknął wraz ze swoim jeźdźcem.

— Niestety — powiedział cicho Plichta, zbliżając się do Kochana — prawdziwe nieszczęście — nie tegośmy chcieli.

Kochan stał zadumany, nie nie odpowiadając, inni jeźdźcy posiadali z koni, woda strumieniami sączyła się z ich ubiorów; ale wszyscy tak przejęci byli ważnością chwili, że nikt nie śmiał nawet ust otworzyć.

— I powrócimy do króla bez więźnia — odezwał się nareszcie Kochan — może to i lepiej, sam Bóg w tej sprawie wydał swój wyrok, kto wie, co by czekało nieszczęśliwego, gdy-

byśmy go dostawili królowi; nie byłby mu przebaczył nigdy, widziałem to po jego wzroku, śmierć czekała go zawsze, może pełna męczenia, a król zmazałby się czynem niegodnym.

— Zapewne, może to i lepiej — odpowiedział Plichta — ale czy myślisz, że ktokolwiek uwierzy prawdzie naszego opowiadania.

— Przecież nas nie posądzą o to, żeśmy go naumyślnie utopili.

— Dlaczegożby nie, nie takie rzeczy działy się już na świecie.

— Na szczęście mamy świadka bezstronnego, przewoźnika, który go wiozł łodzią.

Teraz dopiero wszystkich oczy zwróciły się ku ugrzęzłej na mieliźnie łodzi — ale łódź była próżna, przewoźnik zniknął, korzystając z zamieszania wyskoczył na brzeg i zaszył się jak waż w rokitiny nadbrzeżne; Kochan machnął ręką, dając tem do poznania, że mniejsza o to.

— Nie tu nie wystoimy, zadanie nasze spełnione, na koń panowie!

Cały oddział, oprócz jednego, który podzielił losy Baryczki, dosiadł koni i nie namyślając się ani chwili wjechał napowrót w nurty Wisły; konie, które już raz przebyły tę przestrzeń, i ludzie znając już miejsca niebezpieczniejsze, przepływali rzekę bez żadnego wypadku — wózka księdza już nie było, w milczeniu więc wolnym stępem, głęboko zadumani, powracali do Krakowa.

Księżyc wybił się zupełnie po nad chmury i oświeślał kopuły zamku na Wawelu i odbijając się w lśniących blaskach kościołów, jak zawieszona olbrzymia latarnia, wspaniale się unosił nad starym grodem.

Wkrótce oddział spostrzegł jeźdźcę, w całym pędzie konia zbliżającego się ku niemu; jeździec spostrzegłszy ich, jeszcze więcej przynaglił konia i zatrzymawszy go na kilka kroków przed oddziałem, zawołał:

— Stójcie!

Cały oddział natychmiast poznał Pamiana po jego wzroście i sposobie trzymania się na koniu.

— Stójcie! — a gdzie więzień?

— Uszedł — odpowiedział lakonicznie Kochan.

— To i lepiej, król odebrał wiadomości z Zagościa, że ani Estera, ani jej syn nie zostali spaleni, jak to poprzednie wieści głosiły, pod wpływem tego wyprawił mnie za wami, żebyście wstrzymali pogoń, a nawet jeżeliście klechę złapali, byście mu pozwolili uciec.

— Za późne rozkazy — powiedział ponuro Plichta.

— Nie zapóźno, kiedy się wszystko tak dobrze złożyło, ale się z was wszystkich woda leje strumieniami, czyście się kapali w Wiśle?

— Dwa razy my ją przepływali.

— Więc klecha przepłynął na tamtą stronę.

— Nie.

— Więc został na tym brzegu.

— Nie.

— A! więc łódką się puścił z biegiem wody.

— Nie.

— Co to wszystko znaczy? — zawołał Pomian zatrzymując konia i bacznie się wpatrując w dowódców.

— To znaczy, że Baryczka nie żyje, utopił się.

— Pomian załamał ręce po nad głową.

— Nieszczęście! — zawołał przerażony.

— I bardzo wielkie! — odpowiedział Plichta.

— Jak śmieliście coś podobnego uczynić? przekroczylście rozkazy króla, czeka was straszna odpowiedzialność.

— Waryacie! — zawołał Kochan — czyliż możesz przypuszczać coś podobnego, myśmy temu zupełnie nie winni.

— Kto wam uwierzy, nieszczęśliwi. Kto wam uwierzy?

— Bóg i król, to nam dosyć.

— Nie, król nie będzie wam wierzył, kiedym odjeżdżał rzekł do mnie: »spiesz się Pomianie, nie żałuj konia, obawiam się, żeby ta szalona pałka Kochan, nie posunął się za daleko.

— Co za wstrzemięźliwy człowiek — odpowiedział, uśmiechając się ironicznie Kochan — gdyby ksiądz trzy minuty dłużej był się zatrzymał w jego komnacie, niema wątpliwości, że rozplątałby mu sam czekaniem głowę.

— Sądzę, że masz rację — odpowiedział poważnie Pomian.

Tymczasem oddział zbliżył się do bramy miejskiej, zastał ją już zamkniętą, ale strażnicy poznawszy poczet królewskiej jazdy, przepuścili go w milczeniu.

Na podwórcach zamkniętych ruch panował większy jak zwykle, w różnych miejscach stały gromadki ludzi i coś po cichu między sobą rozmawiali; rycerze zsiadli z koni i zapowiedzieli żołnierzom, żeby pary nawet z ust nie puścili o wypadku, który się rozegrał przed ich oczami.

— Teraz udamy się prosto do króla, żeby mu zdać raport z naszej wyprawy — rzekł Kochan.

— Możecie iść i swobodnie położyć się spać! króla nie ma w zamku, a im później odbierze złe wieści, tem lepiej — powiedział Pomian.

— Gdzież więc jest? — zapytał Plichta.

— Czyż nie mówiłem wam, że Estera z Niemirą przybyli do Krakowa.

— Nie mówiłeś, ha teraz rozumiemy wszystko, i rycerze smutni udali się do swych komnat, przechodząc jednak przez podwórzec, usłyszeli jak jakiś człowiek mówił do kilku stojących obok:

— Utopili go!

— A utopili, król tak kazał.

— Kłamstwo! — zawołał Plichta — kto z was rozsiewa takie wieści.

Żołnierze rozpięchli się, i połączyli z innymi, ale wieść nie ucichła ani na chwilę, przekroczyła bramy zamku, i zaczęło słońce pokazywać się na niebie, cały Kraków był nią tylko zajęty.

Król pozostawszy sam po ucieczce Baryczki i wyprawieniu za nim pogoni, przechadzał się głęboko poruszony po komnacie; jakie uczucia grały w tem dumnem sercu, co za myśli wirowały w tej potężnej głowie? On, który umiał stawić czoło tak potężnym, zewnętrznym nieprzyjaciolom jak Krzyżacy, Czesi i książęta Litewscy; on, który mądrością swoją raczej, niż siłą miecza potrafił przyłączyć do swego państwa tę perłę ziem polskich: Czerwoną Ruś; on, który żywił tak rozległe plany na Litwie, deptany jest we własnem państwie — nie przez potężnych magnatów, na których już potrafił nałożyć uzdeczkę, ale przez duchowieństwo, i o co? żem się śmiał dotknąć jego przywilei, Bóg wie kiedy i przez kogo nadanych; żem śmiał wejrzeć w jego spory z ludem i szlachtą, skarżącymi się na przeciążenie dziesięcinami; żem śmiał zażądać od niego ofiar dla dobra kraju, równając go z ludem w ciężarach, jakie cały kraj ponosi, nakładając podatki, podciągając dobra duchowne pod obowiązek dostarczenia podwód i ograniczając szlachcie samowolnie narzucone ludowi pańszczyzny, daremszczyzny, czynsze, czopowe i setki innych ciężarów, pod rozmaitemi nazwami, przyciskające lud. — Więc wypowiadają mu wojnę na śmierć i życie, dzisiaj ich herold cisnął mu rękawice. Herolda każe powiesić, jeżeli go przyprowadzą, a sam czyż nie ma wyjść z tego zawilego położenia.

— Niech co chce się dzieje — zawołał gniewnie — ja nie ugnę się przed Awinionem. Czerwona Ruś da mi punkt oporu, wiara Rusinów więcej ciąży do Konstantynopola, do tej drugiej stolicy świata, i Bizancyum ma swoich papieży, dość mi do nich wyciągnąć rękę, dość pokazać najlżejszą chęć zbliżenia i Wschód wyciągnie do mnie ramiona.

Do komnaty królewskiej wszedł jeden z paziów, król tryskając ogniem, wzrok swój obrócił na chłopczyka i czekał co mu powie.

— Goniec przybył, najmiłościwszy królu.

— Zkąd?

— Niewiem, ale oddał mi ten pierścień i prosił, żeby go doręczyć tobie najmiłościwszy panie.

Król zaledwie okiem rzucił na znajomy sobie pierścień, zawolał:

— Wprowadź go natychmiast do mnie.

— Kto cię przysłał? — zapytał król wchodzącego posłańca — z kąd przybyłeś, z Zagościa?

— Nie, najmiłościwszy panie — odrzekł posłaniec, padając na kolana — przybywam z kamienicy pani mojej Estery.

— Kto ci dał ten pierścień?

— Ona sama, najmiłościwszy królu.

— Co? więc ona tu jest w Krakowie, a dziecko, a syn jej?

— Ona i syn jej oboje przybyli zdrowi i czekają rozkazów twoich, potężny panie.

Burza, która przed chwilą tak groźnie malowała się na licu królewskim, w jednej chwili zamieniła się w łagodny, pełen czułości wyraz, i twarz ta teraz była tak piękna, że zdawała się jakieś blaski słoneczne roztaczać w około siebie.

Król zbliżył się do wazy srebrnej, stojącej na jednym ze stołów, zanurzył w nią rękę i nabrawszy garść złota, wysypał ją na podstawioną czapkę posłańca.

— Weź to dla siebie i jedź do domu, powiedz, że zaczęliśmy klepsydra się raz jeden przetoczy, będę tam, niech mnie czekają, ale nie robić żadnych przygotowań, nie oświecać nawet silniej okien jak zwykle, cichość i spokój zupełny, rozumiesz mnie?

Posłaniec przyklęknął na jedno kolano, schylił nisko głowę na piersi.

— Wszystko się stanie podług woli twojej, najmiłościwszy panie — i wyszedł.

Król w tej chwili, jakby sobie co przypomniał, spiesźnie sam otworzył drzwi przedpokoju i zapytał siedzących tam paziów:

— Kto z dworzan znajduje się w antykamerze?

— Jest Pelka, Tomasz z Lipy, jest Pomian.

— Wołajcie mi natychmiast Pomiana.

Za kilka chwil rycerz potężnej ręki wszedł do królewskiej komnaty.

Wtenczas to król, pod wpływem pomyślnej wiadomości ocalenia drogich mu osób, gdy impet pierwszy gniewu już przeminał, wysłał Pomiana dla powstrzymania rozkazów niebacznie wydanych Kochanowi.

— Spiesz się — mówił król do odchodzącego już rycerza — spiesz się, bo ta szalona palka Kochan, może dalej zajść, niżelibym sobie życzył.

Po odejściu rycerza potężnej ręki, król przyzwał szatnego swojego, kazał sobie podać ubiór najskromniejszy, jaki się znajdował w jego szatni, przypasał jednak miecz potężny do boku i na to zawiesiwszy obszerną opończę, skinął na jednego z paziów, którym właśnie był młody Firlej, żeby szedł za nim — udał się przez długi szereg komnat i wązkich korytarzy w oddzielną zupełnie część zamku, tu jeszcze przeszedł kilka dziedzińców, obszerny ogród, roztaczający się u spodu zamku, i nareszcie zbliżywszy się do małej, zaledwie widocznej furtki w murze, bez użycia klucza, za naciśnięciem tylko sprężyny, wyszedł za mury zamkowe, zatrzasnąwszy za sobą furtkę.

Noc była jasna, jak to już pierwej powiedzieliśmy, chociaż godzina była dość późna, na ulicach jednak starego grodu życie wrzało w całej pełni, setki narodu spacerowało środkiem ulic, wiele okien było oświetlonych, w warsztatach płatnerzy rozlegał się stuk młotów reperujących zbroje; bogate sklepy były już wprawdzie pozamykane, ale zato w krzągankach licznych klasztorów paliły się setki świec, i znać było, że pomiędzy tymi tłumami ludu zalegającego ulice, jest coś niezwykłego, coś silnie nań działającego.

Nie uszło to baczного oka Kazimierza; przechodząc koło jednej gromady, usłyszał jak stary jakiś mieszczanin mówił: Że się opiekuje ludem, za to mu grożą kłátwami, chcieliby, żeby

im ustąpił we wszystkim, ale nasz Kazimierz nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać, o nie pozwoli, niedoczekanie ich.

Słowa te mile pogłaskaly ucho królewskie, one wtórowały niejako jego wewnętrznemu nastrojowi. Przecisnął się więc przez tłumy w towarzystwie tylko Firleja, i nareszcie zbliżył się do kamienicy Estery.

Nie zdążył jeszcze wziąć za młotek, żeby zapukać, gdy mała furtka w bramie otworzyła się i zaledwie nogą próg przestąpił, wyniosła kobieca postać rzuciła mu się na szyję wśród łkania.

Podwórzec był zupełnie pusty, furtka natychmiast się zatrzasnęła i dwoje tych ludzi, związanych z sobą potęgą miłości, trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy, zagłębili się w wąskiej sieni słabo oświetlonej lampą.

W pierwszej komnacie król kazał zatrzymać się Firlejowi i oczekiwać jego powrotu.

Estera wprowadziła swojego króla ubóstwianego do komnaty, którąśmy już opisali.

Król ujął ją za obydwie ręce i wpatrując się pilnie w jej twarz mówił:

— Jakże zmizerowana moja Iskierka, co się z tobą działo kobieto, przeszedł już ogień piekielny i powracasz z tamtego świata, ale stój, nie mów mi nic pierwej aż zobaczę Niemirę, prowadź mnie do niego.

Estera otworzyła drzwi przed królem od sąsiedniej komnaty, przeszli ją, jak również jeszcze kilka po za nią się ciągnących i znaleźli się nakoniec w niewielkiej salce, w łuki z zaciągniętem sklepieniem, srebrna lampa stała na stole, rozszczepiając w około przyćmione światło, ściany salki wybite były niebieskim aksamitem w srebrne gwiazdy rozrzucone po nim; przy jednej ze ścian na podwyższeniu wznosiły się białe jedwabne firanki, zebrane u góry w fałdy, przeciągnięte niebieską szeroką szarfą, tworzyły coś jakby mały pokoik.

Kazimierz położył palec na ustach i na palcach zbliżył się do tego rozkosznego gniazdka. Estera pocichu odsunęła

frankę i oczom przybyłych pokazało się z różanego drzewa łóžeczko, a na niem, zrzućiwszy do połowy kolderkę z siebie, spoczywał mały cherubinek z jedną rączką wyciągniętą po nad głowę, z drugą opuszczoną na koldrze; długie sploty włosów opadały po obydwóch stronach poduszki, uśmiech aniolka błądził po ustach dziecięcia.

Król przez chwilę przypatrywał mu się z lubością, zachowując głębokie milczenie, uczucie wzięło jednak górę, pomalu nachylił się i przytknął swoje gorące usta do czoła dziecięcia.

Chłopiec podniósł rączyny do góry, otoczył niemi szyję króla, przez sen udzielił mu pocałunek i rączyny opadły bezwładnie na pościel, a mały śpioch znowu się uśmiechał rozkosznie.

Król równie cicho jak wszedł, opuścił sypialnię małego pieśczocho. Estera przed wyjściem, lekko uderzyła palcem po jednej ze ścian, malutkie drzwiczki otworzyły się i cicho wsunęła się Ewa, dla czuwania nad snem chłopięcia.

Kazimierz z Esterą powrócił do sali jadalnej, a król nie był nigdy na to obojętny, co spożywa; stół już był zastawiony na dwie osoby, kryształ i srebra lśniły się na białych hollenderskich serwetach; w srebrnych dzbanach stało parę gatunków wina, a dwa misternie wyrobione puhary, zachęcały do spróbowania tego napoju bogów.

Król zasiadł na szerokiem wężglowiu, wybitem aksamiem i posadził około siebie gospodynię.

— No, moja Iskierka czekała mnie widzę z kolacją, dzień dzisiejszy przyniósł mi dużo wzruszeń i pozbawił apetytu, lecz widok was obojga ożywił mnie na nowo. Każ podawać, jeść czarodziejko moja.

Estera nie podnosząc się nacisnęła sprężynę stołu, za ścianą powstał jakiś cichy szmer, szeroka okiennica otworzyła się i olbrzymia taca, pełna wyszukanych potraw, roznosząc rozkoszny zapach na około, jakby po relsach dzisiejszych kolei żelaznych, po dwóch wysuniętych baryerkach bez hałasu wtoczyła się na stół.

— Mechanizm dobry — powiedział król — spodziewam się, że i potrawy nie będą od niego gorsze.

Estera sama obsługiwała królowi, podawała mu ulubione potrawy, nalewała puławy i najmniejszy ruch jego twarzy nie uszedł jej bystrego oka, zaczęł król miał czas objawić swoje życzenie, ono już spełnione zostało.

Przez jakiś czas panowała cichość, prawdziwi smakosze bezwzględnie milczenie zachowują przy tej czynności; a Kazimierz, mamyż to zaliczyć do jego odjemnych stron charakteru, należał do prawdziwych czcicieli kulinarniej sztuki.

Estera znając jego nawyki, nieczem nie przerywała poważnej ciszy.

Kiedy uczta miała się ku końcowi, król nalał dwa puławy cypryjskiego wina, podał z nich jeden pięknej gospodyni i rzekł:

— Teraz wypiję za zdrowie mojej Iskierki, za szczęśliwe jej ocalenie, i na podziękowanie za wspaniałą ucztę, jaką mi zastawiła niespodziewanie.

— A ja piję, mój królu, za powodzenie twoich wielkich zamiarów, za twoje wielkie cele, któremi brzemienista jest twoja głowa, za szczęście ludu, który ma ciebie za swojego opiekuna, za łaskę twoją królewską okazaną twojej niewolnicy.

— No teraz opowiedz mi Iskierko, cały ten smutny dramat, który mi tyle sprawił zmartwienia, a który tak szczęśliwie się zakończył.

— Rozkazałeś mi, królu mój i panie, żebym przyjechała do Krakowa, nie tracąc jednej chwili, wybrałam się w drogę w towarzystwie tylko kilku sług, zostawiając mój dom pod opieką Scibora.

Trzeciego dnia podróży, kiedyśmy właśnie mijali mury Strafczyna, na których królewska chorągiew wesolo z wiatrem igrała, wśród lasu zostaliśmy napadnięci przez oddział Templaryszów; sądziłam z początku, że to jest jakieś nieporozumienie, ale ci nie dając mi nawet czasu na odezwanie się, w je-

dnej chwili konwój mój wyrabali, wozy moje zrabowali, a mnie wraz z synem, nie mówiąc do mnie ani słowa, uprowadzili.

Napróżnom zapytywała co to znaczy? — nie odpowiadano mi.

Ujrzałam mury Zagościa, wprowadzono mnie do nich i wtrącono do podziemnych lochów, drżałam tylko o zdrowie i życie dziecięcia, dawano nam najędzniejsze pokarmy, a wiązka słomy była całem naszym posłaniem; w parę dni wepchnięto do lochów jakąś starą kobiecień, zdzienniałą prawie, ta ustawicznie tylko drżała jak we febrze i mruczała pod nosem słowa bez sensu i znaczenia, widocznie umysł jej był zupełnie zniedołężniały. — Znowu parę dni upłynęło, a ja nie wiedziałam o losie, jaki mnie czeka, aż razu jednego wepchnięto do nas młodą dziewczynę cygańską, jakby promień światła przedarł się z nią do naszego więzienia, to dziecko natury, bez żadnego wykształcenia, wesolością swoją, obojętnością na wszystko, co nas otaczało, gadatliwością, wreszcie pełną oryginalności, potrafiło wyrwać mnie ze stanu upadku na duchu, któremu mimowolnie zaczęłam się poddawać, a Niemira znalazł w niej towarzyszkę do zabaw, która jak wieiórka wesolo skakała po naszej piwnicy.

Od niej dopiero dowiedziałam się, że wszystkie trzy staniemy przed sądem, obwinione o czary, że sąd ten za parę dni się odbędzie, że czekają tylko na jakiegoś dostojnika kościoła, którego spodziewają się co dzień — cyganka dalej powiedziała nam, śmiejąc się, że wszystkie trzy niezawodnie zostaniemy spalone — ale dodała cicho, obracając się do mnie — ja ciebie i twojego syna ocale, to krew królewska, jej się nie imie płomień. Tegoż samego dnia okuto nas na ręce i nogi w kajdany, chciano mi odebrać Niemirę, ale złotem, które się jeszcze przy mnie znalazło, potrafiłam zmiękczyć kamienne serca dozorców, zostawiono mi go.

Staruszka ciągle drżała od zimna, dziewczyna skakała śmiejąc się, były chwile, że sądziłam, że jest szalona, a ja trzymając na kolanach moją dziecineń, oblewałam głowę jego łzami.

— Nie płacz — mówiła, śmiejąc się dziewczyna — nie nam nie będzie.

Małom jednak przykładała wiary do słów tego pustaka, trapiła mnie tylko jedna myśl, jedna troska, co się stanie z moim synem?

— Och! gdyby tylko król mógł wiedzieć, gdzie jesteśmy — zawołałam raz w uniesieniu — on by nie pozwolił zgnieć w tych lochach, on by nas wyrwał z tego piekła.

— Król wie już o wszystkim — odpowiedziała dziewczyna.

— Wie? ko mu mógł donieść te wieści?

— Wiatr co wieje, nasi mu donieśli, ale do króla i do Boga daleko, zaczem przybędą obrońcy, kruki mogą rozności nasze mięso, albo wiatr nasze popioły, ja tu jestem, żeby was ocalić.

Pomimo wszystkich moich pytań, nie mi nie chciała powiedzieć, ale wesołość ani na chwilę ją nie opuszczała.

Następnie Estera opowiedziała wszystkie wiadome nam już wypadki, śmierć wśród płomieni staruszki, podziemną drogę, cudowne ocalenie i przybycie do Krakowa.

— Gdzie jest ta pocziwa dziewczyna? — zapytał król — która nam oddała takie nieocenione usługi? chciałbym ją zobaczyć, nagrodzić.

— Ona tu jest, miłościwy panie i właśnie niecierpliwie czeka twojej nagrody.

Nawet i tu chęć tylko zysku jest pobudką do dobrego czynu — powiedział król, smutnie się uśmiechając — chciwość przewodniczy wszystkim czynom człowieka, a jednak sumienie zasłużyła na worek złota, i takowy jej nie minie.

— Niewiem — odpowiedziała Estera, uśmiechając się czy na tem poprzestanie.

— Czyżby chciała wielkiego rubina, zdobiącego moją koronę?

— Zdaje się, że coś jeszcze więcej, miłościwy królu.

— Może udzielnego księstwa Mazowsza?

— Jeszcze więcej żąda, mój królu, a ja jej w imieniu twojem przyrzekłam, ale ona sama ci to wypowie — każe ją wezwać.

Estera klasnęła w dłonie, drzwi po cichu się otworzyły i stanęła w nich służebnica.

— Wprowadź tutaj cygankę, Czarną Zośkę.

Służebnica oddaliła się.

— Szkaradne masz otoczenie około siebie moja Iskierko, ta twoja Ewa mogłaby być użyta wybornie na wyrób pargaminu, bez wyprawiania jej skóry.

— Nie wszyscy tacy — odpowiedziała Estera, uśmiechając się.

Wkrótce za drzwiami dało się słyszeć lekkie klasnięcie — to zapewne Czarna Zośka oczekuje pozwolenia.

— Niech wejdzie — odezwał się Kazimierz, nie odwracając się. Zaszleściła zasłona zawieszona u drzwi, i w ramach ich stanęło widziadło, na którego widok, tak król jak i Estera wydali pomimowolny okrzyk zadziwienia.

Różowe światło lampy padało na stojącą postać w ramach bogatej, tkanej złotem portyery.

To nie była kobieta uderzająca potęgą swoich wdzięków, ale Sylf powietrzny, szatan w całej pysze swojego majestatu piękności. Postać ta wyniosła, jak palma zwrotnikowa, gibka jak antylopa w swoich ruchach, twarz miała niezrównanych kształtów, ciało z tym odcieniem złota, które słońce Indyi ukryło w licach swoich ulubieńców, różowe usta lubieżnie rozchylone, oczy wielkie, czarne, łzawe, pełne ognia, zdające się sypać iskrami, krucze długie włosy, ubrane w setki srebrnych i złotych pieniędzy, ściśnięte były na czole szeroką złotą obręczą. Na szyi tej czarownicy sznury koralu dużych, sprawiały za każdym poruszeniem głowy szmer, jaki wydaje strumyk toczący się po żwirowem łożu; na białej jak śnieg koszuli, zarzucony był rodzaj kaftana z zielonego aksamitu, wyszywanego złotem, bez rękawów, czerwona jedwabna spodnica z szeroką złotą listwą u dołu, nie dochodziła nawet do kostek; ręce

i nogi gołe, ozdobione błyszczącymi bransoletami, stopy jej ozute w lekkie sandały, uderzały nie tyle bogactwem ozdób, ile pięknoscią swoich kształtów.

Z piersi Estery wyrwał się okrzyk podziwu, bo nie poznała swojej tak przekształconej towarzyszki; z piersi Kazimierza okrzyk artysty, któremu niespodzianie zjawia się ucieleśnione piękno.

Czarna Zośka przez chwilę tylko stała wyprostowana, jak gdyby chciała dać czas widzom do podziwiania jej kształtów, postąpiła parę kroków naprzód i upadła na kolana przed królem.

Król był zachwycony. Kto wie, czy Estera nie żałowała teraz, iż mu pokazała ten obraz.

— Więc jestem twoim dłużnikiem, piękna Najado leśna — rzekł Kazimierz, zbliżając się do niej i zatrzymując swój wzrok na jej postaci.

— Jesteś królem moim i panem, a ja niewolnicą twoją, potężny monarcho.

— Wstań dziewczę — powiedział król, dotykając zlekka jej ramienia i jednocześnie uczul, jak cała jej postać zadrżała pod prądem elektrycznym jego dłoni.

— Wstań i odpowiedz nam na niektóre pytania.

— To ty ocaliłaś tę panią i jej syna?

— Ja, najmiłościwszy królu.

— Co powodowało tobą, że nie znając ich, ryzykowałaś swoje życie i narażałaś się na męczarnie?

Dziewczyzna wcale niezakłopotana odpowiedziała:

— Pragnienie ogromnej nagrody od ciebie królu.

Po królewskiej twarzy przebiegł wyraz niezadowolenia, nie mówiąc, odwrócił się i wyszedł do drugiego pokoju, przywoławszy za sobą Estere.

— Muszę zostać twoim dłużnikiem Iskierko, zawołaj tego nieznośnego djablika, trzeba zapłacić, otwórz swoją skrzynię ze złotem.

Estera wzięła kluczyk zawieszony na srebrnym łańcuszku u pasa i zbliżyła się do ogromnej dębowej, silnie okutej żelazami skrzyni, stojącej w rogu pokoju, ale pierwszej, zaczęła ją otworzyć, wróciła się do sali jadalnej i skinęła na stojącą dziewczynę, żeby się zbliżyła.

Cyganka cichym krokiem lasicy, nie dotykając prawie posadzki, prześlizgnęła się przez długą komnatę i stanęła o parę kroków od króla, teraz w nowym zupełnie pokazała się stylu. Komnata oświetlona jedną tylko lampą, ciemne rzucała cienie, a znajdujące się w niej przedmioty długimi smugami odbijały się, i figura stojącej cyganki odrysowała się od białej ściany i przedstawiała sobą coś demonicznego, tajemniczego, niemal groźnego, ale to właśnie nowych jej dodawało uroków, pokazując nową stronę piękności; Kazimierz dziwnym wzrokiem wpatrywał się w twarz dziewczyny.

— Światła więcej, Estero — powiedział król — i otwórz swój skarbiec.

Estera w jednej chwili spełniła wolę króla, podniosła zasłonę, która stanowiła ścianę pokoju, a snopy światła zaalały komnatę i jednocześnie otworzywszy skrzynię i podniósłszy ciężkie jej wieko, oczom patrzącym okazały się całe stopy złota, pereł i innych kosztowności.

Kazimierz przez chwilę przypatrywał się tym dostatom, ale przez jedną chwilę tylko.

Skarbiec ten znany mu był dobrze, w znacznej części napelniony jego hojnością.

— No zbliż się dziewczyno — powiedział nareszcie, obracając się do pięknej cyganki — przysługa, którąś nam oddała, jest rzeczywiście tak ważna, że nie może być dość duża nagroda, zbliż się do tej skrzyni i nabierz z niej tyle złota, ile tylko będziesz mogła unieść.

Dziewczyna obojętne rzuciła spojrzenie na kupy złota i nie postąpiła ani kroku.

— A rozumiem — powiedział król — nie masz w co brać pieniędzy, nie przyniosłaś worków z sobą, więc weź tę

chińską wazę, stojącą tam na tej framudze, napelnij ją, a sądże że więcej nie potrafisz udźwignąć.

Rzeczywiście wazon był ogromny, mógł mieścić w sobie kilka garncey.

Dziewczyna nawet nie odwróciła głowy i stała wciąż ze spuszczonei oczami.

— No, czemuż nie bierzesz — zawołał król niecierpliwie — czyż i to jeszcze twojej chciwości nie nasyci?

— Tak, najmiłościwszy królu, tego złota za mało dla mnie, pragnę i nie śmiem się spodziewać innej droższej nagrody.

Król zdziwionem okiem spojrzal na Estere, jakby ją prosił o wytłomaczenie tego.

— Najjaśniejszy panie, powiedziałam ci, że dziewczyna ta innej domaga się nagrody, i że ja w imieniu twojem ją przyrzekłam.

— Mówcież nareszcie — zawołał niecierpliwie król — co to wszystko znaczy, przecież szaleństwa swego nie posunie tak daleko, żeby zażądała mojej korony.

— Nie, najmiłościwszy panie, ona tylko pragnie ust twoich dotknięcia, ona pragnie, żebyś ją królu pocałował.

— Czy tak?! — zawołał król, a lice jego przed chwilą zachmurzone rozjaśniło się nagle, jak gdyby je promień słońca rozświetlił — o to tylko idzie? ależ tym sposobem ja znowu stanę się nowym dłużnikiem i w końcu mogę być dłużnikiem niewypłacalnym.

To mówiąc zbliżył się do cyganki; dziewczyna stała milcząca, atmosfera koło niej napelniona była jakąś nieznana, upajającą wonią, tych zapachów nieporównanych, których sekret przyrządzania Wschód tylko posiada.

Kazimierz znalazł się w promieniach tych czarów piękności i woni, oczy jego zapalały, na lica wybił się rumieniec, usta zadrgały namiętnością i pochwyciwszy dziewczynę w swoje objęcia, wycisnął na jej ustach pocałunek. Dziewczyna najprzód zadrżała, jakby ją paroksyzm febry napadał, oczy, które

przed chwilą rzuciły płomienie, przysłoniły się, zamknęły, bladeść rozlała się na całym licu i upadła nieruchoma w objęcia króla.

Kazimierz sam mocno wzruszony, uniósł ją w swoich rękach i delikatnie położył na sofie.

Dziewczyna teraz przedstawiała posąg wyrobiony ręką artysty z marmuru, jej długie sploty włosów spadały na ziemię, jedna ręka bezwładnie opuszczona zwisała ku podłodze, druga spoczywała na piersi, kaftan w upadku rozchylił się i widać było marmurowych kształtów piersi lekko falujące pod cienkiem płótnem. Król szybko pospieszył do stołu zastawionego napojami, nalał puchar wody i zaczął zwilżać nią skronie dziewczęcia — wkrótce oddech stał się przyspieszony, serce silniej bić zaczęło, zsiniałe usta zaczerwieniły się, król wlał w nie kilka kropli wina, ale kiedy obrócił się, żeby przyzwać pomocy Estery, już jej nie było w komnacie; zlekka więc uniósł głowę dziewczęcia, oparł ją na swojej ręce i w milczeniu przyglądał się tej pięknej marmurowej statuy, w której jednak żyłach krążyła krew gorąca, której teraz pulsa były przyspieszonym tętnem.

Dziewczyna otworzyła oczy, wzrok jej zapalał tymże samym blaskiem co pierwszej, ale zawstydzona spuściła rzęsy i oczy znowu się zamknęły.

Po jakimś dosyć długim przeciągu czasu, król na pozór spokojny, wyszedł do sali na teraz pustej, udał się do komnaty Niemiry; tu siedziała Estera przy łóżku dziecka, wachlarzem z pawich piór chłodząc synka.

— No, czas mi pożegnać cię, moja piękna Iskierko, przyslij mi jutro wiadomość o waszem zdrowiu.

Kobieta wstała i bacznie się wpatrywała się w oblicze króla, ten wyciągnął do niej ręce, przycisnął ją do piersi i postąpił kilka kroków ku drzwiom i jakby sobie dopiero coś przypomniał odwracając się rzekł:

— Pamiętaj o tem biednem dziewczęciu, niech ona tu zostanie pod twoją opieką, musimy obmyśleć dla niej jakie

wynagrodzenie, a co najważniejsze to to, że ona jest jeszcze poganką, wyznała mi to nie ukrywając, ale zarazem i pragnienie przejścia na katolicyzm — musimy czuwać nad nią, żeby ją ukrzepić w dobrem postanowieniu — ty nie możesz się podjąć tego, bo sama jesteś tylko Deistką, ale wiem, że mi dopomożesz — zostawiam każdemu wolność w pojęciach religijnych, ale tam, gdzie widzę szczere pragnienie, dopomódz jest moim obowiązkiem.

Król jeszcze raz ucałował Estere milczącą i wyszedłszy do przedpokoju musiał rozbudzić Firleja i narzuciwszy na siebie swoją ciemną opończę, przyczepiwszy poprzecznie miecz do boku, wyszedł — furtkę otworzyła mu sama Estera i po cichu zamknęła za nim. Król przechodząc przez ulice Krakowa, ze zdziwieniem zaobserwował, że ruch ludności, jakkolwiek mniejszy jak poprzednio, był jednak niezwykle, chociaż to już było około 3-ej godziny, w wielu oknach jeszcze paliły się światła, tu i owdzie po ulicach przechodziły się czarne postacie.

— Jednak coś w tem jest niezwykłego — pomyślał król.

Również tajemniczo dostawszy się na zamek jak z niego wyszedł, odprawił Firleja, i niewołając nikogo do pomocy rozebrał się, nie zapomniawszy jednak pierwaj paść na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem i w gorącej modlitwie pograżyć się na długo.

Światło zagasło w królewskiej sypialni — pozorny spokój zapanował wszędzie, słyhać tylko było od czasu do czasu głosy straży stojącej po murach, dających znać okrzykiem, że czuwają na swoim stanowisku.

*

*

*

Na drugi dzień król dość długo zasypiał po nocy spędzonej bezsennie, słońce wysoko już świeciło na firmamencie, kiedy zasłony okien królewskiej sypialni podniosły się i promienie słońca napelnily ją swoim blaskiem.

— Czy jest kto z czekających na audyencyą? — zapytał król szatnego, który na kłaśnięcie jego wszedł do sypialni, niosąc na srebrnej tacy potężną porcelanową salaterkę, napelnioną grzanem piwem ze śmietaną, sérem i pływającymi po wierzchu grzankami chleba, silny zapach gwoździków i innych mocnych korzeni napelnil komnatę.

Król miał zwyczaj, od którego nigdy nie odstępował, nie wstając jeszcze z łóżka, zawsze posilić się piwem grzanem, przyrządzonem podług przepisu jakiegoś lekarza, w którym zawsze dukat złoty musiał się gotować wraz z korzeniami.

— Ksiądz Albert już dawno oczekuje chwili, w której będzie mógł przedstawić się tobie miłościwy panie.

Król uśmiechnął się gorzko i nie odpowiedziawszy wziął się do swego posiłku.

Drzwi znowu otworzyły się i wszedł Firlej bladym i zaraz od progu przemówił:

— Ksiądz Albert czeka pozwolenia wejścia waszej królewskiej mości.

— Czyż mu tak pilno — zawołał zniecierpliwiony król — niech poczeka.

— Powiada, że interes bardzo ważny i pilny i prosi żeby mógł wejść zaraz.

— Domyślam się ja tego interesu, nawarzyli piwa a teraz nie wiedzą jak go wypić — jak tylko wstanę z łóżka, wprowadzisz go.

— Czy niema Kochana albo Plichty?

— Są obydwaj, miłościwy panie, i czekają również na pozwolenie wejścia.

— Wezwę ich niebawem, niech zaczekają.

Firlej oddalił się.

Król pomalu dokończył swojej z piwa polewki, i odsuwawszy wagę, kazał sobie podawać szaty.

Zwykle przy tej czynności szatny opowiadał królowi wiadomości dnia lub nowiny, które krążyły po mieście; był to

swojego rodzaju, jeżeli się tak można wyrazić, »Kuryer poranny« owych czasów.

Dziś jednak Kazimierz zaobserwował, że szatny jest milczący jak kamień.

Zniecierpliwiony nareszcie król, kiedy mu już pas zawiązał, zapytał gniewnie:

— Co jesteś tak milczący Pawle, jakiś niezwykle ruch podobno dzisiejszej nocy był w mieście, czyżby były jakie złe wiadomości?

— Niema dobrych, najmiłościwszy królu.

— A złe?

— Tych jest aż nadto.

W tej jednak chwili drzwi otworzyły się i do komnaty wszedł ksiądz Albert — lice jego zwykle wesołe, teraz miało ponury wyraz, a bladość rozpostarta na niem, zaciśnięte usta, jasno pokazywały, że ze złemi przychodzi wiadomościami.

Król spojrzawszy na oblicze księdza, sam także zachmu-rzył się i czekał w milczeniu co mu powie; ksiądz jednak nie spieszył się z raportem, stał milczący.

— Więc nareszcie coś tam takiego pilnego macie mi donieść, że nawet przerywacie mi mój posiłek ranny. Czy chcesz księżu Albercie jeszcze raz przeczytać mi ten pargamin, nie trudź się, już tego dopełnił Baryczka, ale drogo on mi za to odpokutuje.

Ksiądz podniósł zdziwiony wzrok na twarz króla.

— Jakto, najmiłościwszy królu, więc nie nie wiesz?

— O czym mam niewiedzieć.

— O tem, że Baryczka już nie żyje, że został nikiem-nie utopiony w Wiśle.

Król zbladł.

— To być nie może -- zawołał wielkim głosem — to kłamstwo!

— Bogdajby tak było — powiedział poważnie ksiądz.

— Wolać mi tu Kochana, Plichtę natychmiast — rozległ się potężny głos króla.

Prawie w tejże chwili drzwi komnaty się otworzyły i obydwaj dworzanie weszli.

Na twarzach ich widać było smutek głęboki.

— Czy to prawda? — zawołał król zająkując się — że Baryczka nie żyje?

— Prawda, miłościwy królu — odpowiedział Plichta.

Król oniemiał ze zdziwienia, nareszcie przewyciężając się zawołał.

— Jesteście oskarżeni o zbrodnię zabójstwa przez tego księdza — czy czujecie się winni? Kto z was odważył się na czyn podobny?

— Nie jesteśmy oprawcami, miłościwy panie, żebyśmy mordowali bezbronnych — żaden z nas nie dopuścił się tej zbrodni, przypadek wszystko zrządził.

Król odetchnął swobodniej — ksiądz Albert z uwagą utkwil wzrok w mówiących i cicho wyszeptał:

— Daj Boże, żeby tak było.

— Opowiedzcie wszystko, nie ukrywając żadnych szczegółów, wszystko jak było do najdrobniejszych okoliczności.

— A więc, miłościwy panie — rzekł Kochan, podnosząc rękę do góry — na honor rycerski przysięgam ci, że nic nie ukryjemy przed tobą, bo zresztą nic do ukrywania nie mamy i opowiemy ci wszystko tak, jak kiedyś na ostatniej spowiedzi księdzu opowiadać będziemy.

I Kochan głosem pełnym powagi, opowiedział jak nie znalazłszy już księdza na podwórcach zamkowych, puścili się za nim w pogoń, jak go dopędzili nad samym brzegiem Wisły i jaki koniec wzięła ta nieszczęśliwa wyprawa.

— Nie powiedzialesz ważnej okoliczności — przerwał król — nie powiedzialesz, że ja kazałem wam żywcem lub umarłego przystawić go do mnie.

— Rozkaz ten nie wpłynął nic na nieszczęśliwy wypadek, który się odegrał przed naszymi oczami — nigdyśmy nie mieli zamiaru podniesienia ręki na bezbronnego kapłana, chcieliśmy

go tylko dostawić do ciebie panie podług rozkazu. Wola Boska inny nadała temu kierunek.

— Zawsze ja jestem winien — powiedział król, poważnie się zamyślając — zawsze ja jestem winien, wydając nieokreślony wyraźnie rozkaz, kto wie, czy gdybym go miał wówczas w mojej garści, nie byłbym go zgniótł na miazgę. Bóg ochronił mnie od tego, pomimo tego czuję się winnym, bo czemuż wreszcie był ten Baryczka, narzędziem tylko w rękę potężnego nieprzyjaciela, który prowadząc wojnę z władzą monarchiczną, sam spokojnie siedzi wobec swojej nietykalności.

Wystąpił teraz ksiądz Albert i rzekł:

— Przypuszczać kłamstwo w słowach tak godnych rycerzy, byłoby to wyrządzić im największą obelgę i stanowi rycerskiemu, do którego należą — ale najmiłościwszy panie, ogół inaczej to zrozumie — już teraz krążą wieści po całym grodzie fatalne.

— Kto je rozprasza, jak nie wasi stronnicy?

— Ja do tego nie przykładam ręki — powiedział z godnością ksiądz Albert — ja zawsze dążę do zgody i sama obecność moja teraz w twojej komnacie panie, dowodzi mego przywiązania i miłości zgody.

— Tak, ciebie znam, poczciwy, zacny księże Albercie i wyłączam od wszelkiej intrygi — ale powiedz mi, jaki dalek obrót przybierze ta sprawa?

— Biskup krakowski ma zamiar wydać polecenie zamknięcia wszystkich kościołów w całym kraju, powstrzymać dopełnianie wszystkich sakramentów, wyszukać ciało Baryczki i sprowadzić do Krakowa i odbyć uroczysty pogrzeb kapłana.

— A więc — zawołał król — dążycie do pozbawienia mnie władzy, wtenczas nawet, kiedyście nie sprawdzili jeszcze czynu, chcecie powtórzyć czasy Bolesława Śmiałego, chcecie wymówić mi posłuszeństwo i cały naród postawić przeciwko mnie — strzeżcie się, inne to czasy już dzisiaj, chmury, które na mnie naprowadzacie, mogą się oberwać nad waszemi głowami, strzeżcie się! jeszcze raz was ostrzegam.

— Najmiłościwszy królu, dlaczego mnie łączysz z nieprzychylnymi sobie, ja oddany tobie duszą i ciałem — w tej chwili idę do najprzewielebniejszego naszego biskupa, to mąż pełen zacności, chociaż popędliwy niekiedy — opowiem mu całe zdarzenie i będę go błagał na klęczkach, żeby się powstrzymał od wszelkich czynów gwałtownych — niech ze mną pójda ci obadwa zacni rycerze, którzy byli świadkami zgonu Baryczki, niech opowiedzą wszystko osobiście, a gniew biskupa uspokoi się.

— Zgadzam się na to — odpowiedział król po chwili namysłu — powiedz mu jednakże odemnie, że raz wydawszy prawa, nad którymi się głęboko zastanawiałem, raz zniósłszy niektóre przywileje duchowieństwa, które uważałem za uciążliwe, nigdy do nich powrócić nie pozwolę, że jeżeli poważą się zamknąć kościoły i pozbawić lud obrządków religijnych, to bliżej z Polski do Konstantynopola jak do Awinionu — patriarcha bizantyński otworzy je swoim kluczem. Powiedz dalej, że wolą naszą jest, żeby ciało Baryczki, które sam każę odzyskać, zostało pochowane z wszelką czcią w najbliższym kościółku wiejskim nad Wisłą od miejsca, w którym zostanie znalezione, że obecnie nie pozwalam go sprowadzać do Krakowa, i że ktokolwiek poważy się przestąpić moje rozkazy, biada mu!

— Królu mój i panie — odezwał się łagodnie ksiądz Albert — wiem, że jesteś człowiekiem sprawiedliwym, ale zanadto dajesz się unosić swoim gwałtownym namiętnościami; pohamuj się w słowach twoich, a Bóg da, że ten spór pomiędzy ojcem i dziećmi jednej ziemi ustanie.

— No idź, księżu Albercie — odpowiedział król wzruszony — zabierz z sobą tych rycerzy, ale nie zapominaj głównie moich poleceń — chwila jest ważniejsza jak sądzisz, ani wiesz jak daleko mogę się posunąć — żadnych manifestacyj! żadnych.

Po wyjściu zacnego księdza Alberta z Plichtą i Kochanem, król jakiś czas w milczeniu chodził po obszernej komnacie, na ten raz nie kazał nikogo do siebie puszczać.

ROZDZIAŁ VII.

Zjazd magnatów i biskupów w Chęcinach. — Topór i Odrowąż.

Król kazał sobie podać konia i w asystencyi kilkunastu tylko dworzan, postanowił przejechać po ulicach Krakowa, dla przekonania się, jaki duch panuje pomiędzy ludem. Ulice były wprawdzie więcej zatłumione jak zwykle, tu i owdzie stały grupy rozmawiających, ale na widok zbliżającego się orszaku królewskiego, wszystkie głowy z pokorą się odkrywały i okrzyki na cześć króla rozlegały się w powietrzu — król zbliżył się do kościoła Panny Maryi właśnie w chwili, gdy furtyan miał zamykać podwoje.

Pomian widząc to, spiesźnie zeskoczył z konia i kładąc rękę na ramieniu furtyana, szepnął mu do ucha:

— Ani się waż, jeżeli ci miłe życie.

Przelekły furtyan ze drżeniem oddalił się, a król wraz z całym orszakiem wszedł do świątyni.

O tej porze zwykle odbywały się msze jedna za drugą, teraz było cicho zupełnie — gromada ludu wtoczyła się za królem i wszyscy z ciekawością zdawali się oczekiwać jakiegoś niezwykłego zajścia.

Król przeszedł całą długość kościoła i ukląkł przed wielkim ołtarzem, cały orszak go naśladował, oprócz jednego Pomiana. Ten opuściwszy króla, cichym krokiem przez zakrystyę udał się do mieszkania jednego ze starych znajomych a nawet pokrewieństwem herbowem połączonego z nim kanonika księdza Macieja.

— Król w kościele — rzekł wchodząc Pomian — nikt nie wyszedł na jego przyjęcie — nikt nie odprawia mszy w kościele.

— Biskup takie wydał polecenie.

— I wy do niego stosować się będziecie? czy zastanowiliście się nad skutkami, jakie z tego wypłyną dla całego kraju? Król się nie cofnie, nieszczęście zwalicie na kraj.

Kaplan to był wysokiej nauki i miłości chrześcijańskiej, jakich nigdy nie brakowało Polsce, głęboko się zamyślił, narreszcie rzekł powstając nagle.

— Król się modli, znać skrucha wstąpiła w jego serce, przeszkadzać mu iść po tej drodze nie godzi się — ściagnę na siebie straszny gniew biskupa, ale niech się dzieje wola Boża, idę odprawiać mszę świętą dla króla.

— A mnie pozwólcie sobie służyć do mszy — odpowiedział Pomian, całując kanonika w rękę.

Król już miał wychodzić z kościoła, gdy rozległ się głos dzwonka przy zakrystyi i kapłan wyszedł ze mszą.

Rozjaśniło się chmurne oblicze króla, uklęknął napowrót na stopniach ołtarza i z największem skupieniem w sobie wysłuchał świętej ofiary.

Kościół napelniał się wkrótce cały ludem.

Król powrócił w wesołym usposobieniu na Wawel — wiedział, że była to chwila, w której ważyły się losy jego życia, kraju, a może losy katolicyzmu w Polsce.

Tymczasem ksiądz Albert udawszy się do pałacu Bodzanty, znalazł biskupa strasznie przygnębionego, ale zarazem i oburzonego katastrofą, jaka się wydarzyła. Dumny dostojnik kościoła czuł, że sprawa stoi na samym brzegu przepaści, że jeszcze jeden krok, a brzeg się może załamać i zasypać swemi gruzami kraj cały.

Kiedy jednakże ksiądz Albert wprowadziwszy obydwóch rycerzy zapewnił go królewskim imieniem i ich zeznaniem pod przysięgą, że przypadek ten, jakkolwiek nie bez winy króla, stał się jednak mimowolnie, biskup ułagodził swój gniew, a może nawet kontent był z takiego obrotu rzeczy, który mu oszczędzał wiele przykrości i uwalniał od strasznej odpowiedzialności.

Przyrzekł więc, że nie każe zamykać kościołów i sakramenta wszystkim wiernym udzielać jak zwykle aż do chwili, w której rozpatrzy się w całej sprawie.

Groźne, natychmiastowe niebezpieczeństwo było usunięte.

Kłątwa jednak z króla nie została zdjęta, sam Awinion miał dopiero potwierdzić ją lub skasować.

Ksiądz Albert powrócił uradowany na zamek królewski i zdał królowi szczegółowe sprawozdanie ze swojego poselstwa. Kraków był spokojny, lud, przywiązany do króla, uradowany; ale wieści na prowincyi przybrały potworne bardzo rozmiary. W dalszych stronach mówiono, że król wymordował księży, zabił biskupa, to znowu, że króla pozbawiono tronu, wypędzono z Krakowa, że tuła się z jednym tylko rycerzem.

Szlachta po większej części powstawała przeciw królowi i gotowa była popierać wszelki zamach przeciw jego osobie i władzy, groźne jednakże symptomata oporu pokazały się między ludem wiejskim; miasta i mieszczenie stanowczo się oświadczyły za królem i dwa te obozy, na pozór jeszcze spokojne, gotowe były za najmniejszą iskrą zapłonąć wojną domową.

W tym samym czasie na zamku Chęcińskim siedział znakomity pan, rycerz nieustraszony, Grzegorz Nekanda, herbu Topór, który jeszcze w r. 1331 miał straż nad osobistym bezpieczeństwem królewicza Kazimierza w bitwie pod Płowcami, w której duma Krzyżaków została starta na miazgę; łączyły go z królem nie tylko wspomnienia świetnej przeszłości, ale ojcowskie przywiązanie, jakie mu przekazał jeszcze król Władysław, powierzając mu opiekę swojego jedynaka, przyszłą nadzieję i chwałę Polski.

Rycerz to był podeszły już w latach, ale twardy jak stal, nieugięty jak topór, którym się pieczętował, głęboko religijny, a jednak w czasach poprzedniego panowania stał przeciw Nankierowi biskupowi, z którym król ciąglą prowadził wojnę.

Kiedy te groźne wieści o ruchach w kraju doszły na zamek chęciński, stary Toporezyk został niemi silnie wzruszony; on

patrzal na straszne skutki wojny domowej za czasów poprzedniego panowania, widzial rozburzone wsie, popalone miasta, cale lany nieuprawione, porastajace krzakami i zamieniajace piekny kraj w pustynie; widzial dzisiejszy rozrost bogactwa, nowe osady, wyrosle na zgliszczach, podniesione miasta, otoczone poteznymi murami; widzial na okolo wznoszące sie dworce pańskie, widzial zamożność spływającą drogą handlu do kraju, widzial ze wszystkich kątów Europy spieszących tłumnie rzemieślników i przemyslowców, niosących swoje kapitały i naukę; wzrastający dobrobyt ludu, i co chwila podnoszącą się potęgę kraju.

I to wszystko miało być znowu wystawione na hazard, choragwie wojny bratniej miały się znowu rozwinać, miały znowu zaświecić luno, polać się potoki krwi rodnej; ta piękna praca króla budowniczego, rolnika, bohatera, miała być w jednym roku zniszczona, lud pogrążony znowu w jarzmo niewoli, samowola magnatów i duchowieństwa rozwinać się?

Nie, on na to obojętnie patrzeć nie może, a chociaż dzisiaj liczy sobie lat 90, jeżeli potrzeba będzie, jeszcze dosiędzie konia i przykładem swoim pociągnie za sobą tysiące szlachty — czyliż ma przyjść aż do zbrojnego starcia, czyż niema innego sposobu zażegnania burzy? — niedlugo się namyślał, wezwał swojego kapelana i kazal mu rozpisać listy do znakomitych biskupów i magnatów, zapraszając ich na zjazd do zamku Chęcińskiego na dzień świętego Jana.

Zamek Chęciński położony na pięknym wzgórzu, olbrzymi swojemi rozmiarami, potężny swojemi murami, mógł pomieścić w sobie i mieścić już nie jednokrotnie tysiące gości.

Już za poprzedniego króla Władysława, w czasie wyprawy na Krzyżaków w roku 1331, szlachta zjechała się na zamek Chęciński i jednogłośnie uchwaliła iść z królem i pomagać mu mieczem swoim i pieniędzmi — dziś zamek ten rozrosły na wszystkie strony góry, w wzorowym utrzymaniu porządku, wspaniale, imponująco przedstawiał się na kilka mil, błyszcząc swojemi wieżycami.

Przyjacielem od serca i towarzyszem bojów Nekandy, był mało co młodszy Prędota Galka z Niedźwiedzia, herbu Odrowąż, sława jego czynów nie tylko w niczem nie ustępowała panu na Chęcinach, ale trochę go nawet przewyższała.

Nekanda sam pierwszy oddawał mu sprawiedliwość i nie nigdy nie przedsięwziął bez zasięgnięcia rady sędziwego męża, który w roku 1345 odniósł znakomite zwycięstwo nad Janem Ślepym, królem czeskim, pod wsiami Pogonią i Białą.

Król Kazimierz wspaniale go wynagrodził, nadawszy mu wiele królewszczyzn i pasem rycerskim ozdobił.

Pierwszym więc magnatem, do którego listy wyprawił Nekanda, był Prędota, którego starzec jako młodszego wiekiem, co w owych czasach miało wielkie znaczenie, najpokorniej prosił, żeby raczył przybyć na zamek Chęciński, dla narady *pro publico bono* i tłómacząc się, że trochę niedomagając, sam nie może dosiąść konia, dla złożenia mu swojej estymy i pod jego gościnnym dachem zasiąść do wspólnej narady. W owych wiekach jeszcze, na podobne wezwanie nikt nie odważyłby się odpowiedzieć odmową.

Na oznaczony dzień, zaczęły się zewsząd zjeżdżać orszaki panów i duchowieństwa, te ostatnie w niczem nie ustępowały świetności pierwszym, rzadko można było zabaczyć kolasę, zaprzęzoną końmi, w którejby siedział jaki dostojnik, wszyscy na koniach i prawie wszyscy zakuci w mniej lub więcej ciężką zbroję. Każdy orszak prowadził chorągwy, piastując sztandar z herbowemi godłami rodu, na lśniących tarczach też same herby się odbijały.

Na najwyższej wieży zamkowej, wiatr rozwijał wspaniale chorągiew z godłem Toporów. Sam zamek wzniesiony na potężnem wzgórzu, po nad miastem, u stóp jego się rozciągającym, pyszny przedstawiał widok — ze wszystkich stron, na wszystkich drogach, widać było jezdnych zbliżających się wśród kłębow kurzu.

Tu zaślniła w słonecznych promieniach zbroja rycerza, tu odezwała się trąba, dająca sygnał swoim, tu na dzielnym

rumaku wysunął się rycerz, przeleciał przed szeregi i znowu utonął w tem morzu głów ludzkich.

Orszaki wjeżdżały jeden za drugim w bramy zamkowe po zwodzonych mostkach; marszałek dworu w towarzystwie kilku pomocników, wskazywał kwatery dla ludzi i koni, a nie łatwe to było zadanie wśród tego scisku, tej fali bez przerwy napływającej w mury zamkowe.

Dla biskupów, opatów i innej duchownej starszyny, przeznaczone były najokazalsze komnaty, stan duchowny, zawsze i wszędzie miał pierwszeństwo. Szlachtę z jej orszakami mieszczono w obszernych oddzielnych pawilonach, a damy, które z bliższych okolic towarzyszyły mężom, ojcom i braciom, również znalazły wygodne pomieszczenie w oddzielnych częściach palacu. Podanie mówi, iż zamek Chęciński miał przeszło sześćset gościnnych komnat, szczątki, jakie się dziś jeszcze po pół tysiąca lat zachowały się, nie zdają zaprzeczać temu twierdzeniu.

Wkrótce jednak komnaty zamkowe i dziedzińce napelniły się gośćmi, i ich służbą, stajnie zapchały się końmi, a tymczasem fala nie przestawała przybierać ciągle.

Przewidziany jednak był ten wypadek, i przygotowane były mieszkania w mieście Chęcinach, i te jednak pokazały się niewystarczające, a więc wydobyto z lamusów liczne namioty i porozpinano na stokach gór. Wielu z przybyłych przywieźli z sobą także swoje i wkrótce całe podnóże zamku okryło się białymi namiotami szlachty, a nad każdym z nich powiewała herbowa chorągiew; gwar ludzi, rżenie koni, tumany kurzu wznoszące się do góry — liczne muzyki rozlegające się, przedstawiały cały ten obóz, jakby jakiś olbrzymi jarmark, różnorodne stroje służby, przybranej w rozmaite barwy, to z węgierska, to po maurytańsku, to w ubiorach Czerwono-Rusinów, to wreszcie z tatarska, z łukami na plecach, przedstawiały widok, którego dziś wiernie żaden malarz nie potrafiłby odtworzyć.

Setki wołów pędzono, setki wozów ze zwierzyną i beczkami miodu i wina ciągnęło się długim sznurem pod górę,

wtłaczało się w wąskie bramy i nikło w gardzieli zamczyska.

Kłęby dymu, które się unosiły po nad kuchniami, liczne ogniska, które się już paliły na stokach góry, pokazywały, że cały ten liczny tłum gości, służby, żołnierzy, koni, psów, bo niektórzy panowie przyprowadzili z sobą psiarnie i przywieźli sokoly, potrzeba nakarmić, napoić, dać wygody i zadowolnić.

O oznaczonej godzinie, drzwi olbrzymich sali, rozłożonych na parterze zamku, wspartych na setkach kolumn, marszałek dworu na rozcież otworzył, w nich stał wspierając się na ramionach dwóch wnuków stary Nekanda, ale nie aksamit, ani jedwabie okrywały jego postać, lekki wenecki pancerz pokrywał piersi, dolna część zbroi świeciła łuszczkami pozłacanej miedzi, ręce pokryte także drucianą koszulą po łokcie, chude ale żylaste pokazywały, że dzielnie musiały władać mieczem, bogato wysadzaną szablę trzymał jeden z giermków stojących za nim, drugi tarczę herbową Toporów.

Starzec stojąc na progu, sam przyjmował swoich gości i każdemu umiał, podług jego godności, wymierzyć ściśle dozę przynależnego mu honoru, rycerzy uprzejmie ścisnął za rękę i wspaniałym gestem dziękował za zaszczyt odwiedzin. Kiedy zbliżył się który z biskupów lub innych dostojników kościoła, starzec pochylał głowę, ręce krzyżował na piersi, i w tej postawie pełnej skruchy, czekał błogosławieństwa kapłana; jeżeli jednakże pokazała się we drzwiach która z żon dygnitarzy w asystencyi paziów, starzec prostował się, składał głęboki ukłon i damę odprowadzał do przeznaczonego jej miejsca.

Wszystkie sale wkrótce napelniły się, pootwierane okna zmniejszały upał dnia, wniesiono orzeźwiające napoje, mrożone sorbety, wówczas starzec podniósł się z przygotowanego dla siebie stolka i głosem donośnym, w którym wcale nie znać było utrudzenia, odezwał się:

— Mili i przezacni ojcowie duchowni, jaśnie wielmożni biskupi, opiekunowie i dobrodzieje nasi, i wy najdostojniejsi rycerze, towarzysze bojów moich, mistrze i uczniowie — pod

moją strzechą witam was i proszę rozgościć się, uważajcie dom mój za swoją własność, i przyjmijcie podziękowanie za zaszczyt, jaki mnie wyrządziliście, przybywając na moje zaproszenie; nie ośmieliłbym się trudzić was we własnych moich interesach, ale tam, gdzie idzie o dobro kraju, o spokój chrześcijański, o ulagodzenie waśni, o sławę tego ukochanego kraju i również ukochanego monarchy — tam gdzie idzie o przygaszenie waśni narodowych i zalanie iskierki, z której może powstać pożar, ogarniający wszystkie ziemie, tej drogiej nam krainy — tam sądziłem, że mam prawo wezwać was *pro publico bono*, dla zasiągnięcia waszej rady i uzyskania pomocy waszego rozumu. Czy źle postąpiłem, moi najmilsi?

Wówczas, po całym zgromadzeniu przeszedł szept, i setki głosów zawołały:

— Niech żyje Nekanda, patriarchy nasz! — niech żyje rycerz bez skazy!

— A więc akceptujecie moje wezwanie, dziękuję wam z serca za ten dowód zaufania, i mam nadzieję, że narady nasze wydadzą owoc zdrowy i pożyteczny dla kraju.

Teraz dał się słyszeć dzwon na kościelnej wieży, zwołujący wiernych na mszę, którą miał odprawić Janisław, arcybiskup poznański.

Zamkowa kaplica nie była w stanie pomieścić wszystkich pobożnych w swoich murach, ustawiono więc ołtarz na wzniesieniu po za murami zamku, ażeby dać sposobność wszystkim być uczestnikami świętej ofiary. Arcybiskup wyszedł w asystencyi innych biskupów i liczного zebrania duchowieństwa; wszystkie karki tych dumnych panów natychmiast pochyliły się ku ziemi, wszyscy upadli na kolana z odkrytymi głowami, zachrzeszczały broje i czoła uderzyły o ziemię w pokorze.

Na całym podnóżu góry był tenże sam widok, wszędzie schylone ciała, odkryte głowy, bez względu na dojmujące promienie słońca, prostopadłe spadające na tłumy; w czasie podniesienia Najświętszego Sakramentu wszyscy rycerze powstałi

jak jeden, wszystkich prawa ręka spoczęła na rękojeści miecza i ze szczękiem do połowy go wydobyła.

Do mszy służyło czterech rycerzy, na ciężkich swoich zbrojach, mających białe komże z szerokimi purpurowymi kolnierzami. Arcybiskup w połowie nabożeństwa zatrzymał się i zasiadł wraz z asystującym mu duchowieństwem na przygotowanych dla nich krzesłach. Wówczas na zaimprovizowanej kazalnicy pokazał się Jan, opat mogiński i w gorących słowach jał powstawać przeciw zepsuciu szerzącemu się wszędzie, przeciw zbytkom ubiorów, niewstrzeźliwości w picciu, w lubieżności, a nadewszystko w lekceważeniu danin kościelnych, w niewypełnianiu ucziwem dziesięciny kapłanom i denarze świętego Piotra od każdej głowy, w nieszanowaniu dóbr kościelnych i wybieraniu z nich podatków.

Szlachta, która była winna tych wszystkich gwałtów, z uszanowaniem słuchała mowy opata, biła się w piersi i przyrzekała w milczeniu poprawę, ale skrucha jak prędko obudzila się w sercach, tak zapewne i prędko się skończyła, zadawnione były spory i nie tak łatwo dały się to przyprowadzić do porządku.

Po skończeniu nabożeństwa, gościnne sale zamku znowu przyjęły pod swoje chłodne sklepienia uznojone czoła gości. Na długich stołach w salach, krużgankach i w cieniu drzew ogrodowych, zastawiono potrawy i napoje; nie była to uczta pełna przepychu, jakimi się odznaczały uroczystości wieków owych, ale obfitość potraw, win i miodów, świadczyła nie tylko o gościnności gospodarza, ale i o zamożności domu.

Stan duchowny, licznie tutaj reprezentowany, zajmował jedną z głównych sali, tu także zasiedli magnaci i mężowie dostojni wiekiem i zasługami; damy nie brały udziału w ogólnej uczcie, dla nich zastawione były stoły w jednym z pawilonów ogrodowych, przygrywała im cicha muzyka, ukryta w szpalerach liści.

Po za murami zamku zgromadzona szlachta, która się już nie mogła pomieścić we wnętrzu, zajmowała obszerne na-

mioty zawczasu przygotowane do uczty, a gwar nie przymusowy, jaki tutaj panował, pokazywał, że gościnność gospodarsza o nikim nie zapomniała.

W dniu tym postanowiono nie rozpoczynać wcale obrad, dzień ten miał przeznaczenie zbliżyć stronnictwa, dać poznać położenie i usposobienie każdego.

Nekanda odbył już naradę z Prędotą, biskupem Janisławem i opatem mogińskim, wszyscy uznali za właściwe wstrzymać się z obradami do dnia jutrzejszego, tem bardziej, że przybyły goniec z Krakowa doniósł, że potężny pan Nawój z Przegini w imieniu króla jest już w drodze i przybędzie dziś, lub rannym bardzo świtem, że prosi, żeby panowie bracia wstrzymali się aż do jego przybycia z wszelkimi postanowieniami.

Wkrótce rzeczywiście nad samym zachodem słońca pokazał się oddział zbliżających się jeźdźców, sztandar z Toporem wspaniale wznosił się w powintry, piastował go rycerz cały lśniący od promieni słońca, był to oddział Nawoja z Przegini Tenczyńskiego, krewnego pana zamku.

Nazwisko to otoczone sławą, szeroko brzmiało nie tylko w granicach Rzeczypospolitej, ale i w okolicznych krajach; mąż to był jeszcze w sile wieku, mąż nieustraszonego serca i rozległego rozumu, namiętnie przywiązany do króla, z którym łączyła go prawdziwa przyjaźń i braterstwo rycerskie, zawarte jeszcze na polu bitwy pod Płowcami.

Oddział Nawoja składał się z pięćdziesięciu koni, wielu biskupów, jak np. Jarosław Skotnicki, herbu Bogorya przybył w sto pięćdziesiąt koni, lśniących od złota i srebra, gdy tymczasem sam Tenczyński, jakkolwiek lubił okazałość i pospolicie chodził w złoconej zbroi, na ten raz, tak on sam, jak i cały jego oddział, skromnie był przybrany w żelazne druczane koszule; ale za to, jeżeli rycerze ci podnieśliby szyszaki i pokazali swoje lica, nie znalazłby się odważny, któryby śmiało odważył się spojrzeć im w oczy, lub uderzyć kopią na którego. Byli to ludzie zahartowani w bojach, niejednokrotnie przelewający krew na polu bitew, po większej części Toporezyków

rodu; całym jednak przepychem, którym imponował wszystkim innym oddział Nawoja, były nieporównanej piękności rumaki. Stada Tenczyńskich sławne były na całą Europę, andaluzyjskie ogiery sprowadzane wprost od Maurów z Hiszpanii, połączone z krajową polską rasą, wytworzyły ród koni olśniewający swoją pięknnością, zadziwiający wytrzymałością, i mogący ścigać się z jaskółkami.

Prawie wszyscy goście wyszli na mury zamkowe przypatrywać się wjazdowi tego przepysznego pocztu, nie lśniącego złotem, ale imponującego swoją postawą bohaterów.

Nekanda czekał już na tarasie dla przyjęcia dostojnego krewniaka. Tenczyński rażno zeskoczył z rumaka, którego natychmiast pochwylił giermek i z odkrytą głową zbliżył się do patriarchy rodu Toporów, z pokorą ucałował jego ręce drżące od starości i przyjął błogosławieństwo nad schylonem czołem; ogólnym niskim pokłonem uczył zgromadzonych biskupów i rozdzielał przywitania między znajomych.

Pomimo ścisku w zamku, osobne komnaty były zachowane dla Nawoja i jego orszaku, wyróżnienie to jakkolwiek ściśle sprawiedliwe, ubodło jednak wielu, którzy w ciasnych komnatkach mieścić się musieli.

Nawój i jego rycerstwo udali się do przeznaczonych im komnat, dziś odbyli dziesięć mil drogi wśród skwaru słońca, mogli się więc czuć trochę utrudzeni; ale rycerze owych czasów nie szukali odpoczynku, nie to więc było przyczyną ich oddalenia, potrzebowali tylko oczyścić z pyłu i kurzu swoje zbroje, ażeby przyzwoicie zasiąść pomiędzy damami, biskupami i szlachtą.

Na kwatere jednak Nawoja, pospieszył natychmiast Prędota, niecierpliwy dowiedzieć się co słyhać u dworu i zaraz udzielić przybyłemu rycerzowi wiadomości o usposobieniu zgromadzonych mężów; młodzieniec ten 85-letni wysłany był przez samego gospodarza, który go nazywał dzieciakiem, bo sam już skończył 90 lat, pięć lat różnicy w tym wieku, to nie bagatela.

— Wasza miłość zawstydzia mnie swoją uprzejmością — mówił Nawój — obowiązkiem moim było uderzyć czołem waszej miłości, i natychmiast byłbym tego dopełnił, gdybym był miał tylko czas otrząsnąć się z podróznego kurzu.

— Ale widzisz wasze — mówił Galka prostując się — ja tu zastępuję samego tylko gospodarza, ta stara dziadowina niedomaga już czasami, wyręcza się więc mną i pędzi mnie wszędzie i jeszcze burczy, jeżeli nie zbyt prędko wypełnię jego zlecenia; a to powiada, ta terażniejsza młodzież, to babom tylko służyć umie, babskimi zajmować się sprawami i do podwigu smalić cholewki; on to wszystko mówi do tego, żem przed pół rokiem wstąpił w związki małżeńskie z panną Orszulą z Gryfów rodu, siedmnastoletnią dziewoją, to i teraz jak tylko zobaczył, żeś się waszmość już rozkwaterował, powiada mi: idź ino Galka do Nawoja, odczep się od tej spodnicy na chwilę i wywiedz się, co tam miłościwy król myśli, i opowiedz mu, jakie tutaj chmury pomiędzy szlachtą. — A ja mu na to:

Nie głupi Prędota, waszeć mnie wysyłasz z interesami a tymczasem do mojej Orszulki się myślisz komodować i może przyprawić mi rogi pragniesz, ale cóż było robić, tu rzecz idzie *pro publico bono*, zostawiłem więc moją Orszulką temu wilkowi i przybyłem do jegomości.

Nawój szczerze rozśmiał się, Prędota mu wtórował grubym, szlacheckim śmiechem.

— No więc muszę Waszej Miłości powiedzieć, i proszę to powtórzyć szlachetnemu memu gospodarzowi, że król bardzo wdzięczny jest mu, iż zadał sobie tyle trudów i zajął się zwołaniem tego zjazdu magnatów, szlachty i duchowieństwa; wdzięczny jest za to, bo jest przekonany, że go ożywia najszlachetniejsze dobro ojczyzny. Król spokojny jest o wynik obrad, kiedy one się odbywają pod przewodnictwem takich mężów jak Nekanda i Galka.

— Ba, ba, ba — przerwał, śmiejąc się Prędota. — Kazio teraz bardzo grzecznym chłopczykiem się pokazuje, a na-

swywolił się pierwiej, naswywolił, przyrzadził nam z kwaśnego piwa polewkę i teraz aż nam zęby cierpną, kiedy ją wypić przychodzi. Ale co nareszcie król myśli i z czem was tu przysła? — a z tym Baryczką nie taka to będzie łatwa sprawa.

— Król przedewszystkiem kazał wam oświadczyć zacni mężowie, że postanowień swoich co do dziesięcin i podatków z dóbr duchownych raz postanowionych nie odmieni, i najmniejszych w tym względzie nie zrobi ustępstw.

— Kazio, twarda to sztuka, znam go dobrze, całe duchowieństwo będzie miał przeciwko sobie, no aleć my tam rzucimy kilka słów naszych i mamy nadzieję, że coś zaważą na szali obrad. Ale opowiedz mi waszeć o tej strasznej tragedyi utopienia Baryczki, tu wszyscy mówią, że król uniesiony gniewem poprostu kazał go udusić i potem rzucić w bagno.

— Tak nie jest — zawołał Nawój — na honor rycerski wam przysięgam; traf, nieszczęśliwy wypadek odegrał tu całą rolę. Król do zabójstwa nie przyłożył ręki, ręczę za to.

— Chwała niech będzie Najwyższemu Bogu — zawołał Galka, wznosząc ręce do góry — wszystko resztę furda, kiedy tylko krew nie ciąży na ręce naszego Kazimierza — gorączka to był zawsze, ho! ho! i jaka gorączka! ale Bóg miłosierny...

Dalej król żąda, żeby biskup krakowski Bodzanta zniósł nałożoną na niego klątwę i na Ottona z Pilicy.

— Otóż to sęk, mój mościwy panie, uparty to dziad ten Bodzanta, nie przyjechał tu, chociaż my go prosili, ale ma on tu swoich stronników, zwłaszcza opata Sulejowskiego Gwilina, no, jak będziemy mogli, tak będziemy i z tem ładzić — a teraz ja waszmości powiedzieć muszę, że o ileśmy dotąd wymiarkowali, to większa część szlachty stoi po stronie króla, bo i oni się skarżą na ucisk wymagań duchowieństwa; mamy tu tylko Borkowicza, braciszka tego zbójca wojewody poznańskiego Maćka, on przyprowadził z sobą silną partyę Wielkopolanów, no aleć i my Małopolanie nie bardzo jesteśmy strachliwi; przybyli tu nawet panowie z ziemi pomorskiej, będącej teraz jeszcze pod panowaniem Krzyżaków, jest tu Szwanc, wo-

jewoda gdański; Wojsław, kasztelan pucki; Jaśko ze Sławy i wojewoda malborski Raba, herbu Kos, wszyscy oni, a szczególnie ten ostatni, są szczerze przywiązani do naszego Kazimierza, wszyscyby jak najprędzej chcieli się wyzwolić z pod jarzma Krzyżaków, znajdziemy więc w nich silne poparcie. Ale, ale, ja się tu zagadałem z waszmością, a tam około mojej Orszulki uwija się ten Nekanda i pali koperczaki, żegnam waszmości, na kolacyi się już nie obaczymy, bo i ja dziś odbyłem kawał drogi konno, więc jestem trochę fatigatis, ale jutro da Bóg doczekać, kiedy się zbierzemy wszyscy w koło radne, to i z pomocą Bożą, znajdziemy furtkę do wyjścia spokojnego, a jak furtka nie da się otworzyć dobrem i rozsądnem słowem, toć ją jeszcze wyrąbać potrafimy naszymi szablami — żegnam waszmości, bo moja babina zapewne się tam już bezemnie zatęskniła.

I wyszedł Galka Prędota, odprowadzony przez Nawoja do samej sieni.

Na drugi dzień, w uroczystość świętego Jana, od samego wschodu słońca, ruch już był na zamku Chęcińskim — rozległ się głos dzwonka wzywającego na mszę, którą dziś odprawić miał Jan opat mogiński, całe podgórze zamkowe zaroilo się ludem i wszystkie te tłumy padłszy na kolana skruszone, gorące zanosili modły do Wielkiego Boga. Tymczasem zgromadzona szlachta odbywała spowiedź przy licznych konfesyjonałach, do których zasiedli zakonnicy różnych zakonów i niektórzy nawet z biskupów; nabożeństwo nie ciągnęło się zbyt długo, upał słoneczny zaczął już dokuczać i silnie przypiekać odkryte głowy — lekki posiłek poranny każdy spożył w swojej kwaterze i kwapił się jak najprędzej na obrady.

W olbrzymiej wielkości sali, zastawione były ławy, pokryte karmazynowem suknem i ustawione w amfiteatr, naprzeciw nich osobno wzniesiona była balustrada okryta kosztownymi kobiercami, a na niej ustawione dwa siedzenia dla przewodniczącego obradom, którym jednogłośnie obrano Ne-

kandę i dla areybiskupa gnieźnieńskiego Janisława, jako najstarszego godnością.

Wtótce wszystkie siedzenia zapelnily się, dla wielu brakło miejsca w sali, ci więc stali już to w obszernych sieniach, już na dworze przy otwartych oknach.

Areybiskup Janisław powstał i odmówił krótką modlitwę do Ducha świętego głośno, którą wszyscy pocichu popowtarzali, następnie przeżegnał wszystkich święconą wodą i zasiadłszy na swojej stolicy, zaprosił Nekandę, żeby raczył objawić powód zebrania, które na dzień dzisiejszy wezwał.

Starzec przez chwilę milczał, mając spuszczone czoło na rękę, następnie powstał przy pomocy dwóch swoich wnuków, którzy go podtrzymywali i głosem nadspodziewanie silnym odezwał się w te słowa :

— Najprzewielebniejsi ojcowie duchowni, najdostojniejsi panowie, najszlachetniejsi rycerze, pozwólcie mi wytłómaczyć, co mnie ośmieliło do rozpisania do was listów z prośbą o przybycie tu na dzień dzisiejszy. Nie pozwoliłbym, abym was fatygował jakim prywatnym interesem, gdyby chodziło o majątek, o moją głowę, o honor mój nawet; ale od dawnych to wieków przekazali już nasi przodkowie, że tam, gdzie idzie o dobro naszej ukochanej ziemi, o cześć i sławę naszego najmiłościwszego króla, o prawa nasze, tam każdy z najdrobniejszych nawet obywateli, ma nie tylko prawo ale i obowiązek nie żałować ani swoich sił, ani krwi swojej, ani nawet życia, i chętnie je nieść winien na ołtarz ojezyny. Otóż najmilsi współobywatele moi, coś się zaczyna psuć w tej świętej naszej Rzeczypospolitej, ja który już dziesiąty krzyżyk wieku mojego zakarbowalem na moim brewiarzu, miałem czas wielu rzeczom się przypatrzeć, byłem świadkiem rozdrobnienia na księstwa naszej ziemi, widziałem ją objętą pożogami nieprzyjaciół, walczyłem z Tatarami, Czechami, Krzyżakami i Litwinami i zdawało mi się nieraz, że już ostateczny dzień przychodzi na nas, a jednak nigdy nie byłem tak głęboko przyciśnięty, nigdy duch mój nie był tak ugnieciony jak dzisiaj. Na granice nasze na-

padli zewnętrzni nieprzyjaciele, szarpali je jak kruki, puszczała pożogi, a myśmy je ich krwią gasili.

I kiedy nareszcie wywalczyliśmy spokój, i tę najdroższą latorośl Piastów, starych naszych panów, osadziliśmy na tronie; gdy kraj zaczął się rozwijać w potęgę, gdy sławą jego brzmi cała Europa, gdy jak grzyby po deszczu wyrastają zamki, wsie i miasta; gdy cudzoziemcy zewsząd spieszą, żeby nam nieść swój rozum i bogactwo, gdyśmy postanowili prawa w Wiślicy — nadechodzi niespodziewanie czarna chmura, brzezienna piorunami i uderza w nas grom. Czyliż ten ciężki dorobek naszej krwi i potu, ma być w jednej chwili zniszczony, a my znowu pogrążeni na długie lata w wojny domowe?

Wezwaliśmy was tu więc zacni mężowie, ażeby uczciwie rozpatrzyć skargi duchowieństwa, uczynić zadość słusznym żądaniom i położyć tamę nieuczciwym zachciankom, z którejkolwiekby one wypływały strony.

Nad krajem zawisła klątwa biskupia, to gorzej jak gdyby przyszła morowa zaraza, gorzej jak gdyby szarańcza poniszczyła wszystkie plony, gorzej jak gdyby napady Tatarów lub Jadzwingów przeszły przez kraj — prosimy więc pokornie najprzewielebniejszego księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, jako piastującego najwyższą godność wśród tego zgromadzenia o objaśnienie nam wszelkich nieporozumień z biskupem krakowskim najprzewielebniejszym Bodzantą, o przebaczenie — jeżeli są jakie z naszej strony — przewinień i o wyciągnięcie ręki błogosławieństwa nad nami.

I starzec utrudzony zbyt długą mową i stojącą postawą, upadł prawie na krzesło, obcierając chustką pot obficie ciekący po jego twarzy.

Arcybiskup Janisław nie powstając z miejsca, obwiodł wzrokiem po zgromadzeniu, jakby rachował sprzymierzeńców i przeciwników, głosem cichym, zaledwie dochodzącym do uszów słuchaczy, odrzekł:

— W odebranym liście od brata mojego w Chrystusie najprzewielebniejszego biskupa krakowskiego, ten powiadamia

nnie, że nie mogąc dla choroby oczów sam przybyć na zgromadzenie, które ma radzić o najważniejszych kwestyach, religię świętą katolicką obchodzących, upoważnił, przytomnego tu między nami najmilszego nam opata sulejowskiego Gwilina, do wypowiedzenia w jego imieniu wszystkich krzywđ, jakich kościół katolicki doznaje i nadużyć, jakich się dopuszcza król i magnaci. — Wzywamy cię więc najmilszy nam ojcze opacie Gwilinie powstań i powiedz wszystko co ci jest wiadome.

Opat podniósł się ze swojego siedzenia, obok niego stali panowie będący w opozycyi do tronu, pomiędzy którymi najwięcej odznaczał się Borkowicz, brat wojewody poznańskiego, tak swoją dumną postawą, bogatym ubiorem, a przede wszystkim tą bezczelnością wzroku, który zdawał się ciskać wyzwanie każdemu, kto na nim swoje zatrzymał oko.

Z panów pomorskich Szwanec tylko należał do grona ich przyjaciół.

— Ja niegodny sługa Kościoła, czemże jestem pośród tego prześwietnego zgromadzenia, żebym śmiał swoje zdanie wygłaszać? — ale posłuszny wezwaniu najprzewielebniejszego biskupa krakowskiego, działającego jedynie dla dobra kościoła naszego świętego katolickiego, powtórzę tutaj wszystko, czem jego świętobliwość jest dotknięty i co mi wypowiedzieć polecił:

— Król prowadzi życie niemoralne, otoczony nalożnicami, zaniedbuje żonę świętobliwą Adelajdę i trzyma ją uwięzioną w zamku Żarnowcu; król gwałci przywileje stanu duchownego, ograniczając dziesięciny, znosząc zsyby, nakładając podatki na dobra duchowne pod pozorem potrzeb na sprawy państwa, pozwala na postój wojska w dobrach duchowieństwa, nakazuje podwody, a nawet ośmiela się sam sądzić poddanych włościan ze wsi należących do duchowieństwa, odbierając tym sposobem władzę prawodawczą od wieków przysługującą kościołowi. Po skasowanych Templaryuszach majątki ich i dobra samowolnie przyłączył do królewszczyzn, kiedy podług wszelkiego prawa Boskiego i ludzkiego, takowe przejść winny na

własność kościoła krakowskiego, jako leżące w obrębie jego dyecezyi.

Gdy król pomimo licznych napomnień najprzewielebniejszego biskupa krakowskiego, nie tylko życia niemoralnego nie ukrócił, gdy nie tylko nie przestał prześladować kościół, uciśkając sługi jego, pobierając podatki z dóbr duchownych, najprzewielebniejszy biskup krakowski, zalewając się łzami żalu nad marnotrawnym synem kościoła, zmuszony był z wielkiem swoim utrapieniem, z boleścią w sercu, zagrozić królowi klątwą kościelną — to jednak nie miało żadnego wpływu na hardą duszę grzesznika, a kiedy o! najzacniejsi mężowie! mówić nie mogę od wzruszenia i oburzenia! kiedy nareszcie świętobliwy mąż zmuszony był wysłać doń osobiście wikaryusza krakowskiego doktora filozofii Marcina Baryczkę, męża pełnego świętobliwości, ten zapamiętały grzesznik, nie zważając na stan kapłański, rozkazał go porwać, udusić i barbarzyńsko ciało utopić w stawie.

Zbrodnia taka woła o pomstę do nieba! czyż nie jesteście równie jak ja przejęci oburzeniem, czyż nie widzicie, że sprawiedliwość domaga się zadośćuczynienia? że wszelka litość tutaj jest niemożliwa! że co uczynił biskup, dobrze uczynił, a wy powinniście tylko pomódz świecką swoją władzą, ażeby wyrok został spełnionym.

Zaledwie miał czas usiąść opat, gdy Borkowicz powstał, potrząsnął głową jak lew gotujący się do napadu i rzekł:

— Któż się ośmieli przyganić słusznemu wyrokowi pasterza? kto będzie tyle obojętny, żeby nie przyłożył ręki do wykonania wyroku? Król gnębi nie tylko duchowieństwo, ale i szlachtę, depece nasze przywileje, otacza się gromadami żydów i chłopów, wypowiedzmy mu posłuszeństwo!

Słowa te jak grom z pogodnego nieba niespodzianie spadły na zgromadzenie i na chwilę zapanowało milczenie grobowe.

— Rozsiekać zuchwalca! — zawołał, zrywając się Mści-gniew, kasztelan radomski — te wielkopolskie wilki już tutaj przeniosły swoją knieję, i wyc nam zaczynają!

— Wykurzyć ich! a hu! a do jamy! — odezwały się inne głosy i hałas zaczął się zwiększać wśród zgromadzonych.

Stary Nekanda wyciągnął rękę do góry, podtrzymywany przez jednego z wnuków na znak, że przyzywa do spokojności.

— Pax! pax! pokój! — wołało duchowieństwo, przerażone przedwczesnym wybuchem bomby.

Wtenczas powstał Nawoj z Przegini, i głosem, któryby był w stanie zagłuszyć sto trąb brzęących, zawołał:

— Spokojność, panowie miłościwi! pozwólcie mi kilka słów powiedzieć w imieniu i obronie króla, upoważniony jestem do tego od niego, a wy macie obowiązek wysłuchać mnie.

Ludzie widzą żdźbło pospolicie w oczach bliźnich swoich, a w swoich nie dostrzegają belki nawet; zarzucacie królowi niemoralność, a czyż sami czyści jesteście od zmazy, kto jest bez grzechu, niech uderzy w niego kamieniem.

Jeżeli nie żyje razem z królową jejmością Adelajdą, to w sprawy domowe nikt mieszać się nie ma prawa — jeżeli król nałożył podatki na dobra duchowne, to tego wymagają potrzeby kraju, bo słusne jest, ażeby każdy obywatel, który doznaje opieki praw, ponosił ciężary ich utrzymania — czyż wszystko tylko będziemy składać na barki tego biednego ludu? czyż on tylko jeden ma się ugiąć pod brzemieniem podatków? Król nie bierze jednego denara na swoje potrzeby z nałożonych na was podatków, przeciwnie dochody ze swoich królewskich wklada w budowę miast, zamków, w rolnictwo i co raz postanowił, dobrze postanowił i od tego się nie cofnie i żadna władza na ziemi nie zmusi go do tego.

Ale rzucacie tutaj zarzut ważniejszy, obwiniacie króla o śmierć umyślną Baryczki. Król nie czuje się w tem winny, przypadek tu odegrał tylko rolę, jak to zeznali rycerze wiarogodni, ale król w sprawiedliwości swojej i tę winę przyjmuje na siebie, bo wydał pospieszny rozkaz przyprowadzenia buntownika, a ten przerażony własnym czynem, uciekając znalazł śmierć w nurtach Wisły.

Król żąda, żeby skutki klątwy były natychmiast unieważnione, żeby nie ważono się nigdzie zamykać kościołów, a jeżeli biskup krakowski tego nie uczyni, wówczas król apelacją zakłada do Awinionu.

Proszę was przeznaczeni ojcowie Kościoła, ciebie Arcypasterzu Janisławie i was czcigodni biskupi, żebyście radami swojemi wpłynęli na postanowienie biskupa krakowskiego, my zaś, dopokąd Stolica Apostolska nie wyrzeczy ostatniego wyroku, staniemy jak jeden mąż przy boku naszego króla i będziemy bronić praw jego a zarazem naszych, a potem zobaczymy co nam wypadnie zrobić.

Śmiała ta mowa zrobiła wielkie wrażenie na zgromadzonych — biskupi nie chcieli posuwać rzeczy do ostateczności, a kilku z panów, którzy w mętnej wodzie ryby chcieli łowić, zobaczyli się nagle osamotnieni.

Teraz powstał panowie Pomorscy w osobie Raby, wojewody malborskiego i gorzko się użalali, iż król Kazimierz bez wojny, nawet nie wyjąwszy miecza z pochwy, ziemię Pomorską oddał dobrowolnie Krzyżakom, opowiadali ucisk, jaki ponosić muszą od zakonu i błagali ze łzami w oczach, żeby zgromadzenie za nimi się wstawiło do króla i wszelkimi siłami starało się, tę piękną część ziemi polskiej powrócić na powrót do ojczyznan.

Sprawa ta jednak uznana została przez zgromadzonych panów i biskupów jako niewłaściwie wniesiona, bo odstąpienie ziem Pomorskich stało się na podstawie traktatu, przyrzekli jednak, przy przyjaznych okolicznościach, sprawę tę jednomyślnie podnieść i pracować nad pomyślnem jej rozwiązaniem.

Długo jeszcze z jednej i drugiej strony podnosiły się głosy, ale widoczne było, że pojęcia zdrowe i wzgląd na dobro kraju w bardzo znacznej większości przeważa.

Uchwalono więc, że poselstwo jedno zostanie wysłane do Bodzanty, które go powiadomi o zdaniu zjazdu, drugie zaś poselstwo do Awinionu z prośbą o zdjęcie skutków klątwy.

Borkowicz widząc, że stronnictwo jego jest bardzo słabe, trzymał się na boku i nieczekając końca narad opuścił zgromadzenie i zamek chęciński.

Opat Gwilin, jakkolwiek uprzejmie zapraszany przez gospodarza, kazał się szykować do drogi swojemu orszakowi i razem z Borkowiczem wyjechał.

Pomiędzy szlachtą odezwały się głosy szydercze za odjeżdżającymi orszakami wrogów króla.

Arcybiskup Janisław na zakończenie pomyślne obrad, zanucił śpiew dziękczynny do Boga i pobłogosławiwszy przytomnych, rozwiązał zgromadzenie.

Nekanda utrudzony obradami, uprosił Galkę, żeby zobowiązał w jego imieniu gości i uprosił ich zostać jeszcze na zamku dni parę dla wypoczynku — nie wszyscy jednak mogli korzystać z tego zaproszenia.

Ci zwłaszcza, którzy odzywali się przeciw królowi, chowając w sercach żal, oddalali się ze swoimi stronnikami.

— Teraz panowie! kiedy mamy głowy swobodne, i sumienie zadowolnione z wypełnionych obowiązków, mamy prawo poweselić się — zawołał Galka — i proszę wszystkich miłościwych mi panów na ucztę, która nas czeka zastawiona.

— Niech żyje król Kazimierz! niech żyje duchowieństwo! — odezwały się zewsząd głosy.

Duchowieństwo rade było z takiego obrotu rzeczy, wszyscy dziękowali i winszowali Janisławowi.

— Zrobiłem tylko to, co mi nakazywało sumienie, czyliż miałem podkładać smolne szczepy do tlejącego już ognia niezgód domowych? — odpowiedział zacny mąż.

— Och! — zawołał Mścigniew, kasztelan radomski — co za szkoda, że te wilki wielkopolskie się wyniosły, miałem ochotę temu Borkowiczowi obrąbać uszy.

— Ale z ogonami pospuszczanemi wynosili się — mówiła śmiejąc się szlachta — a na Borkowiczów przyjdzie pora, że za wszystko co nabroili zapłacą.

— Gniazdo wilcze zniszczyć trzeba — odzywała się szlachta.

Tymczasem przy zapadającym zmroku na wszystkich górach, otaczających zamek chęciński, zajaśniały światła — jak okiem można było dojrzeć po za Białogon, po za Kielce, aż ku świętemu Krzyżowi jednocześnie zapłonęły smolne sosny i kłęby iskier połączone z tumanami dymu wznosiły się pod obłoki.

Czy to są sygnały o napadzie Tatarów? czy Jadźwingi zapuścili swoje zagony? Nie — goście zgromadzeni na zamku chęcińskim spokojnie się przypatrywali temu widokowi — były to ognie sobótek, obrzędu sięgającego jeszcze pogańskich czasów. Jak daleko sięgały granice Rzeczypospolitej i na całych tych rozległych przestrzeniach od źródeł Wisły po jej ujście od Warty do Niemna, wszędzie w tej chwili palily się ognie święteczne, a lud zgromadzony około nich wesolemi tańcami i śpiewami obchodził uroczystość Kupaily opiekuna płodów ziemi.

Głosy kobzy i ligawek pastuszych przynosiły powiewy wiatru, spłoszone ptactwo nocne przeciągało ponad głowami patrzących, a stada czarnych kawek, które zajęły w swoje posiadanie wieże kościelne, przeraźliwym krzykiem rozdierały powietrze unosząc się, falując ponad głowami.

Najwspanialej jednak przedstawiał się widok kopalni marmurów chęcińskich, który jak na dłoni można było oglądać z wież zamkowych. Na urwiskach skał, roily się setki postaci ludzkich oświeconych płomieniami ognia, wydobyte płyty marmuru odbijały jak lustra płomienie — na wszystkich drogach snuły się gromady jeźdźców, powracających z chęcińskiego zjazdu. Ci, co pozostali w zamku, kończyli teraz ucztę pożegnalną.

Nekanda ufatygowany całodniowymi trudami, spoczywał na łożu, wysłanem skórami niedźwiedziemi, znakomitsi goście przychodzili aż do jego sypialni dla pożegnania się. We wszystkim go wyręczał przyjaciel, druh młodości, 85-letni Galka, który jakkolwiek sam magnat potężny, odgrywał przy nim

rolę jakby adjutanta — taka była w owych wiekach siła przyjaźni i cześć dla wieku.

Na drugi dzień rano, pomimo najsilniejszych zaklęć gospodarza, goście rozjeżdżali się na wszystkie strony, nie chcąc zbytecznie utrudzać starca.

Dwa ostatnie orszaki stały już gotowe do drogi: Prędoty Galki Odrowąża z Niedźwiedzia i orszak Nawoja z Przegini Tenczyńskiego.

Sześciokonna karoca, cała pozłocista, zaprzężona w taranty przystrojone w strusie pióra na łbach, czekała już na piękną Orszulę, która w towarzystwie panien respektowych w tej chwili żegnała się z Nekandą — dla samego jednak Prędoty, giermek bogato ubrany trzymał konia. Nowy małżonek uważałby sobie za uchybienie, żeby zasiadł do karocy, a nie odbywał podróży, jak wszyscy rycerze konno.

Orszak Nawoja, imponujący swoją postawą, gotowy był także do drogi. Rycerze już pożegnali sędziwego gospodarza, ale jakież zdziwienie ogarnęło wszystkich, gdy niespodziewanie ze stajen zamkowych wysunął się oddział jazdy świetnie przybranej, ze strusiami piórami u ramion, z rozwiniętą chorągwią Toporczyków, przy dźwiękach muzyki, dwóch giermków prowadziło pysznego Andaluzyjskiego białego jak śnieg konia, okrytego purpurowym czaprakiem i siodłem wykładanem drogiemi kamieniami.

Tuż za oddziałem pokazała się także sześciokonna karetka z forysiami, w pyszne złote kasztany zaprzężona. Drzwi główne zamku otwarły się na rozcież i Nekanda lekko ubrany stanął w ich ramach.

— Przyjaciele moi — powiedział starzec — trudno mi się z wami rozstać bardzo, może to ostatni raz was oglądam, dziesiąty krzyżyk ciąży to już człowiekowi na barkach, postanowiłem jeszcze parę godzin przepędzić z wami, odprowadzić was kawałek drogi i przy tej sposobności odwiedzić moje stado w Morawicy, którego już dawno nie widziałem.

— Wasza miłość — powiedział podchodząc Nawój — wyrządza nam nieocenioną nigdy łaskę i zaszczyt, pozwoli więc wasza miłość podprowadzić się do karety i ulokować w niej.

Starzec dumnie się wyprostował, pogladził białego jak mleko wasa i rzekł, wskazując ku stojącemu Prędocie.

— W karocy mam jechać, jak ten zakochany młodzieniec Galka, co mu podwika już zupełnie odebrała energią czynu — nie mościwy mój krewniak, Nekanda jeszcze dosiędzie swojego Bucyfała, a ten młokos niech się tam rozbija w karocach.

— Ho! ho! jegomość zawsze dworujesz, a jak się przetrzęsiesz parę mil na szkapie, to Zajączkowska będzie musiała gotować rumianek babi, a ja tam tego ziela jeszcze nie znam — odparł Galka.

— No, ale może lubczyk potrzebny jegomości, stary druhu, zgoda; na koń panowie, i skinał na swoich giermków trzymających konia.

W jednej chwili podprowadzono pod ganek białego rumaka. Koń wyciągnął do starca chrapy, obwąchiwał go przez chwilę i stał jak wmurowany w ziemię.

Starzec krzepko ujął lewą ręką cugle, poklepał po szyi szlachetne zwierzę, koń wyciągnął się w całej długości, i jeździec przy pomocy giermków wspaniale zasiadł na jego grzbiecie.

Pyszna to była para, ten biały koń i ten biały jeździec na nim — popuścił cugle, lekką ljdką dotknął boku rumaka i koń dał takiego szczupaka, że gorąco przeszło wszystkich od stóp do głowy — jeździec był jak przyrośnięty do konia.

Prędota sam bez pomocy giermków dosiadł swojego biega, ale raptem okno karety otworzyło się i prześliczna twarzyczka wychylając się zawołała:

— Co Jegomość robi, tu miejsce przygotowane obok mnie, proszę do karety.

— Nie można teraz, moja paniusiu, nie można.

— To i ja nie pojedę kareta — otwórzcie drzwi — i kiedy hajduk wypełnił rozkaz, młoda kobietka wyskoczyła i obracając się do służby zapytała:

— Gdzie mój koń?

Niewielki, arabskiej rasy konik, został natychmiast doprowadzony, Galka chciał zeskoczyć ze swojego, ażeby żonie pomódz do wsiadania, ale Nawój już go wyprzedził, przykleknął i kobieta lekko opierając stopę na jego kolanie, dosiadła konia.

O półtorej mili od Chęcin, ponad brzegami rzeczki Czarnej Nidzicy, rozciągają się prześliczne błonia nazwane Morawicą. Zdawało się, że natura rozpostarła tutaj zielony aksamitny kołnierzyk, poprzetykany czerwoną smółką i złotymi jaskrami, w rzadkich odstępach porozrzucane gromadki dębów i cała ta pyszna zielona dolina, przepasana srebrną wstęgą rzeki z setkami pasących się koni, przedstawiała nieporównanej piękności widok.

Morawica, własność Nekandy, sławna była w owych wiekach z pysznego stada koni, które na jej rozległych łąkach swobodnie się hodowały.

Do tego to miejsca starzec postanowił odprowadzić swoich gości.

Konie stapały z krocza, posłuszne najlżejszemu dotknięciu ręki, tylko konik pięknej Orszuli, swobodnie wypaszczony, pisał na przodzie, dwóch wnuków Nekandy towarzyszyło pięknej kobiecie.

Dozorcy stadnin już byli znać powiadomieni, bo wszystkie pięć stad koni zgromadzone były nad brzegami rzeczki, gdy się przybliżyli do nich rycerze.

Było się czemu przypatrzyć i czem polubować oczy, były to konie rasy dzisiaj już prawie nie istniejącej — strzały Tatarów, kule Szwedów i Turków prawie do szczytu wytepiły ją, a późniejszy nieład i brak miłości do konia szlachty, uczyniły ją dzisiaj tak rzadką, że jeżeli teraz w której stajni znajduje się rumak czystej krwi polskiej, równie jest drogi, jak te w Arabii skrzydło-nogie, które pochodzą od pięciu kłaczycy Mahometa.

Koniuszy na przepięknym cisowym rumaku zaraportował, że matek rozplodowych jest 600, a wszystkich w pięciu stadach 1815; wszystkie te pięć stad były jednej krwi i rasy — oddzielne dwa stada o parę mil oddalone w Śladkowie, były łączone z Berberyjskimi ogierami, sprowadzonymi wprost z Grenady od Maurów.

Starzec z wolna jeździł pomiędzy spokojnie pasącymi się stadami wraz ze swoimi gośćmi, długo nasyczał oczy tym pięknym widokiem — konie zupełnie się nie strachały; dozorecy na rozkaz Nekandy łowili które wskazał, wprost podjeżdżając do nich i najłagodniej zakładając uzdzenie bez użycia arkanów.

Sześć tarantów podarował Nawojowi, swojego przyjaciela Galkę obdarzył takąż ilością złoto-gniadych, a piękną klaczkę, czarną jak krucze pióra, która na wezwanie jego sama przyszła do ręki i jadła chleb z solą, prosił, żeby przyjęła na pamiątkę odwiedzin Chęcin piękna Orszula, zapewniając, że tak łagodnego stworzenia, tak rozumnego, lotnego i wytrwałego, sam nawet sultan jegomość nie posiada.

Pod cieniem dębów, na piaszczystym wzgórku, pokrytym macierzanką, pozasiadali wszyscy z koni, tu już dywanami zasłana była murawa i rozłożone poduszki dla odpoczynku — stary antał wina, cały obrośnięty pleśnią, spoczywał na dwóch klockach sosnowych — srebrne puchary napelnione zostały kosztownym płynem i nastąpiło ostateczne pożegnanie.

Dwóch starców, towarzyszy bojów, przyjaciół od serca, rzuciło się w ramiona i długi, serdeczny uścisk, jak gdyby wiecznego pożegnania, rozrywał piersi.

Kiedy już i Nawój z Przegini miał dosiadać konia, odezwał się stary Nekanda:

— Proszę, złóż waszmość moją czołobitność królowi Kaziowi, zanieś mu odemnie ostatnie pożegnanie i powiedz, że jak byłem całe życie wierny ojcu jego, tak i umrę wierny krwi Piastów — żeśmy burzę zażegnali szczęśliwie i proszę cię, oddaj mu tego białego rumaka, równego mu nie posiada świat cały — mnie on już służyć nie będzie, święty Piotr

przyszle po mnie swoją podwodę — a niech go król Kazio przyjmie tem sercem, jakim zostaje ofiarowany.

Teraz wsadzono Nekandę do karety — Nawój ze czcią ucałował ręce patriarchy rodu Toporów, a ten błogosławił mu podniósłszy nad jego głową drżące dłonie — rycerze dosiedli koni i orszaki rozdzieliły się, a stara pieśń zabrzmiała wśród szeregów:

Czas do domu, czas!
Ugościli nas!

ROZDZIAŁ VIII.

Morderca. — Królowa cyganów. — Przepowiednia.

Na jednej z wązkich ulic Krakowa, biegnącej pochyło a kręto od Wawelu, stał niewielki domek świeżo wymurowany z kamienia, w tym czasie setki takich domów wznosiło się wszędzie — nietylko zapelniał się niemi Kraków, ale wyrastały jak grzyby po deszczu, po wszystkich miasteczkach, wsiach i grodach — urodzajna to była chwila dla kraju całego. Ten kto przed kilkunastu, a nawet przed kilku laty, przejeżdżał przez wsie opuszczone, zniszczone, brudne, drewniane miasteczka, a teraz zobaczył kraj wesoły, falujący łanami zboża, błyszczący dachami świątyń, czerwieniący dachówkami domów, bielący się ścianami murów, niezawodnie musiał pomyśleć, że potężny to jest czarownik, który na skinienie swojej laski, wyprowadza z niczego te wspaniałe bazyliki, te potężne zamki, te wesołe dwory, te pełne handlu i przemysłu miasta, te wsie uroczne, rozrzucone w nieładzie po stokach gór, po jarach parowów, po wyciętych zaroślach lasów.

Kraj był ten sam co dawniej, też same wrzały w nim namiętności, też same błyszczały enoty, też same mroczyły się występkę, a jednak tak raptem się odmienił — ustroił się

w świąteczne szaty, przybrał nowe kierunki i śmiało szedł pod sztandar cywilizacyi, jak w dzisiejszych czasach Japonia.

Cóż spowodowało taką zmianę?

Nie, bo jeden człowiek jako jednostka jest niczem, a jednak zjawił się tylko jeden człowiek — ten człowiek wziął w ręce swoje, surowe materyały gliny i lepił z nich, snując ze swojej fantazyi, zdumiewające widoki potężnego kraju.

Domek, o którym wspomnieliśmy poprzednio, zjawił się także niespodziewanie, przed miesiącem jeszcze w tem miejscu były rudery spróchniałe jakiejś zawałonej chaty, aż dnia jednego zjawili się robotnicy, w jeden dzień uprzątnęli stare gruzu, drugiego dnia już murarze zakładali fundamenta, cieśle jednocześnie obrabiali drzewo na dachy i zaczęm upłynął miesiąc, domek już był kompletnie gotowy. Był to domek tylko parterowy, składający się zaledwie z kilku pokoi, ale mur wysoki otaczał go naokoło, tak, że przejeżdżający na koniu ulicą obok, nie mógł nic dojrzeć co się wewnątrz dzieje, a gdyby nawet wzrok swój przerzucił na podwórze przez mur, to zobaczyłby ze zdziwieniem, że dom ten wcale nie ma okien frontowych, te zaś, które wychodziły na tyły, zaopatrzone były potężnemi okiennicami.

Brama tej malej fortecy otwierała się raz tylko na dzień, wjeżdżała fura, napelniona różnego rodzaju żywnością — woźnica milcząc składał ją przy drzwiach domu i oddalał się — niemłoda jakaś kobieta bramę za nim zamykała i spokojnie znosiła przywiezione produkta do wnętrza domku.

Na pozór zdawało się, że nikt go nie zamieszkuje, tak był cichy, milczący — w jednym jednakże z pokoi, przy świetle woskowych świec, na miękkiej sofie, okrytej dywanem tureckim, spoczywa znajoma nam Czarna Zośka; mieniąca się złotego koloru suknia jedwabna, szeroka, spada na podłogę — głowę opiera na jednej ręce okrytej błyszczącemi bransoletami, włosy jej czarne, rozpuszczone spadają po blade-różowej atlasowej poduszce, jedna tylko złota szpilka z ogromną perłą zdobi je, w drugiej ręce trzyma wachlarz z piór pawia i chłodzi nim

pałające żarem oblicze. Dziewczyna marzy. O czemże innem mogłaby marzyć dziewczyna, jak nie o miłości? ale to nie miłość naszych wypłowiałych czasów, co gdzieś w wystygłej piersi kryje się jak iskierka ognia pod pokrywą śniegu, to nie miłość ta chorobliwa, rozsądna, wypieszczona, ważąca słowa, zamknięta w urobione formy, rachująca się z sobą; to namiętność salamandry igrającej w płomieniach, to potok czerwonej lawy, która roztopia kamienie, zapala krew ogniami pożądań i nienasycona nigdy niczem, gaśnie razem z życiem demona, którego wypieściła w sobie.

Dwóch ludzi jednocześnie zbliżało się do małego domku, jeden z nich znany nam już stary cygan z Wiślicy, ojciec Zośki, szedł spokojnie ulicą i lubo nikt go nie śledził, ani miał potrzebę ukrywania się, ślaniał się jednak przez przyzwyczajenie pod murami parkanów, jak gdyby nie chciał zwracać na siebie niczyjego wzroku, — podstąpiwszy jednak do bramy podwórzowej, podniósł leżący kamień i śmiało zakolał nim we drzwi.

Drugi tajemniczy przechodeń zdaleka śledził jego kroki, przeskoczył przez płot ciągnący się koło ulicy i ukrył się w gęstych krzakach białego bzu.

Stara kobieta wyszła i zbliżyła się do bramy. Cygan przemówił do niej słów parę, drzwi otworzyły się i przychodzień znalazł się na podwórzu.

— Sama? — zapytał kobietę.

— Sama — odpowiedziała służąca.

— Zaprowadź mnie do niej.

Stara nie mówiąc, poszła naprzód.

Cygan w sieni zatrzymał ją za ramię.

— To tu? — rzekł, wskazując drzwi przed sobą.

— Tu.

— Zostań, sam trafię — i stary cygan tym krokiem kota, który posuwa się, a nie usłyszy go najdelikatniejsze ucho, zbliżył się do drzwi i pocichu je otworzył.

Czuje jednak ucho tego dziecięcia natury posłyszało, lub pewniej przeczuło obecność kogoś obcego.

Zośka raptem zwróciła głowę ku drzwiom i zobaczyła stojącego ojca.

— To ty stary! przyszedłeś?

— Tak przyszedłem — odpowiedział cygan i nie używając wcale stolka, siadł na dywanie, rozciągniętym na ziemi na sposób wschodni, nogi podkładając pod siebie.

Stary żuł w ustach prymkę jakiegoś ziela, wydającego mocny zapach.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Będiesz co jeść? każe ci podać — powiedziała córka.

— Mam z sobą moją kolację — odpowiedział stary, to mówiąc, zdjął z pleców kobiałkę łubową, wydobył z niej kawał chleba, natarł go mocno czosnkiem, ukrajał kawał wędzonej słoniny, mocno posypyany papryką i zaczął zajadać z apetytem.

Zapach czosnku i wędzonej słoniny, mile polechtał powonienie dziewczyny, przeciągnęła leniwie rękę do ojca.

— Daj i mnie.

— Albo ci to tu brakuje jedzenia? i nie takiego ho! ho!

— Nie brakuje, ale takiego, naszego cygańskiego niema, ja chcę dziś jeść cygańską kolację, daj mi czosnku.

Stary jednak nie spieszył się zadość uczynić jej żądaniu, lecz zapytał:

— A on dziś z tobą nie będzie się widział?

— Będzie.

— To nie jedz czosnku, panowie się na tem nie znają i mówią, że czosnek śmierdzi ha! ha! ha!

— Prawda — rzekła Zośka — król nie lubi czosnku i nawet poczuł go raz, chociaż leżał w kuchni, i kazał go za drzwi wyrzucić.

— A widzisz, żem dobrze mówił.

Dziewczyna rozdaśała się na chwilę.

— Nie długo ja tu u ciebie będę gościł, bo daleka przedemną leży droga, a jak stary wychodzi w daleką drogę, to niekoniecznie z niej i powraca, chciałem się tylko ciebie zapytać, czy król pamięta, kto mu ocalił od śmierci syna i kochankę?

— Jakżeby o tem mógł zapomnieć, kiedy ja tu jestem?

— No, a jednak zapomniał, kiedy nie myśli o wynagrodzeniu.

— Mówił król, że poszle ci worek złota.

— Co mi po złocie, ty wiesz, że ja go nie potrzebuję, kiedy na lato wyjdę z moją bandą w Beskidy, to zaczawszy od źródeł Wisły, aż do Popradu, wszędzie znamy żyły tego żółtego piasku, i możemy go zbierać i płukać, i sprzedawać ile nam się podoba. Cyganowi złoto niepotrzebne, ono przykuwa do miejsca, robi niewolnikiem człowieka wolnego i zamienia w robocze bydle, innej ja od niego chcę nagrody.

— To powiedz jakiej, poproszę go, a on mi niczego nie odmówi.

— Chcę, żebyś ty była królową!

Dziewczyna roześmiała się na całe gardło.

— Przecież wiesz, że król ma swoją żonę.

— Głupia jesteś, albo mnie masz za głupca, ja nie o takiej myślę dla ciebie koronie, tyś nie stworzona na to, żebyś siedziała na jednym miejscu, jak drzewo wrosnięte w ziemię, dla cygana cały świat stoi otworem; być królem cygańskim, to znaczy mieć poddanych swoich od źródeł Gangesu po Tag i Gwadalkwiwir, bujać swobodnie po świecie jak ptak, nie znać żadnego pana nad sobą; nie siał, nie orać, nie hodować stad, a jednak wszędzie być jak u siebie — być cyganem, to znaczy być wolnym człowiekiem.

Chcę, żebyś była królową cyganów, państwo twoje będzie wielkie, jak cała Azja i Europa, czy to rozumiesz?

— Ale musiałabym opuścić tego, który mi jest droższy nad wszystkie skarby ziemi, a ja bez niego uszłabym jak powój pozbawiony swojej podpory.

— A jednak przyjdzie chwila, kiedy nastąpić to musi, czy nie wiesz, że Hamir jest twoim narzeczonym, że nareszcie zostać potrzeba jego żoną.

Na te słowa dziewczyna porwała się z siedzenia, dumnie wyprostowała i podnosząc głowę do góry, zawołała, a wzrok jej iskry sypał dokoła.

— Kto odważy się pożądać kobiety, która jest umiłowaną przez króla? Kto jest godzien teraz dotknąć ust moich, gdy na nich czuję jeszcze żar tchnienia mego królewskiego pól Boga. Hamir! ja nienawidzę go, nigdy z nim się nie połączę! nigdy jego nie będę!

— A jednak on jest twoim narzeczonym, on będzie twoim mężem, bo on jeden mógłby ci stanąć na drodze do osiągnięcia korony, on jeden ma do tego prawa równie ważne jak nasze.

— Psem będę u wrót króla ubóstwianego, będę leżeć u wrót jego głodna i drętwiąca od zimna, ale nigdy tych wrót nie opuszczę; a jeśli kiedy on mnie porzuci, jeśli zapomni o mnie, to przynajmniej będę go widziała przejeżdżającego, będę słyszała tentent kopyt jego konia, i to mi wystarczy, i nie pomieniam tego za wszystkie korony, jakie mi dać możecie.

— Słuchaj nierozsądna dziewczyno, opowiem ci przeszłość twojego ludu, przeszłość twojego rodu, a jeżeli w sercu twojem nie zrodzi się miłość dla niego, nie jesteś cyganką, ale podłą niewolnicą.

Był lud potężny i wolny, w krainie wiecznego słońca, posiadał swoje ziemie nad brzegami Malabaru, wielkie miasto Kalikut, było stolicą jego państwa, a złoty piasek, którym miał wysypane swoje drogi, kosztowne kamienie spoczywające na dnie jego strumieni, były pożądlivością sąsiadów. Król jego zasiadł na stolcu ze słoniowej kości, wysadzanej brylantami; sto białych słoni stało na jego stajniach, a tysiące niewolników, kornie zginało czoło, jeżeli wzrok swój obrócił w tę stronę.

On jeden ze wszystkich ludów ziemi przechował najstarszy język, którym mówił Noe po wyjściu z korabia, i lud ten był potężny, szczęśliwy i wesoly; mówią, że duchy niebieskie, które zbuntowały się w niebie, spływały na ziemię zakochane, ażeby dotknąć ust córek Deranagary. Aż zaciężyla straszna chmura nad krajami tego pięknego raj; lud dziki, barbarzyński, pod wodzem Tymurhanem, zalał jak balwany morskie wszystkie drobne narody nad brzegami Indu i Malabaru, sława, bogactwa naszego kraju Deranagari, jego pokłady złota i brylantów jak ómy do światła przyciągały Tymurhana i jego tłumy.

Wówczas królem tej pięknej krainy, był jeden z twoich przodków Hamaja Wielki. Widząc, że nie podoła napływowi wrogów, spalić kazał swój wspaniały i kosztowny pałac, wybić białe słonie, zasypać ścieżki złote i strumienie toczące brylanty, a niechcąc zostać niewolnikiem wrogów, opuścił wraz z całym swoim ludem ten kraj ziemski, w którym zapanowały; lud cały rozdzielił na dwanaście pokoleń, pod osobnymi dowódcami i kazał im udać się w dwanaście stron świata, ale pierwaj wszyscy złożyli przysięgę, że żaden z nich nigdy, nie osiedli się w ziemiach obcych, że żaden z nich nie przyjmie nigdy innej ziemi za swoją ojczyznę, że żaden z nich nie podda się dobrowolnie w niewolę, nie stanie się poddanym żadnego pana.

I lud ten prawie od pół tysiąca już lat (300) prowadzi życie koczujące, cierpi nędzę, zimno, głód, ale nie łączy się z żadnym ludem, nędzą swoją natrzasa się zwycięzcom, a jakkolwiek rozprószony, wie o sobie i kiedyś wszystkie te dwanaście pokoleń, pod swoimi naczelnikami łączą się i wejda do ziemi swojej. Nad nimi wszystkiemi jest jeden król, potomek książąt Deranagary — ale słuchaj dalej.

Król to równie biedny jak oni, stolicą jego jest ziemia cała, baldachimem niebo gwiazdziste tylko, ale jeżeli zechce, może być bogatszy jak wszyscy królowie ziemi, bo posiada tajemnicę i sposoby odkrywania żył złota, gdziekolwiekby się

znajdował, dlatego równie nam znane pokłady tego kruszczu w Tatrach, w Hiszpanii jak i nad brzegami Malabaru, w sekrecie jednak tylko dobywamy po odrobinie tego kruszczu, ażeby nie zwrócić baczości na siebie krajowych władców, bo w takim razie oni zadrapią je; nazwano nas Cyganami, bo znajdując się w rozsypce wśród nieprzyjaznych ludów, kłamstwami musimy okupować nasze istnienie, chytrością zdobywać środki do życia.

W walce z przemocą, wszystko jest dozwolone, patrz — mówił dalej stary — wydobywając z pod sukmany dużą puszkę metalową, emaliowaną na czarno, która jednakże była szczerozłota, na wierzchu jej nakreślone były jakieś hieroglify nieznanego języka — patrz — mówił, zwolna ją otwierając i wydobywając z niej zwój papirusowy, cały zapelniony podobnym pismem — to jest ostatnia wola króla i kapłana ludu Dera-nagari; ostatnie przekleństwo, jakie rzuca na każdego z nas, kto będzie odstępca sprawy narodu. Dyplom ten starożytnością swoją, a nadewszystko swoją pieczęcią, zawieszoną na złotym łańcuszku, a którą stanowił duży rubin, cały pokryty pismem tak drobnem, że tylko za pomocą szkła powiększającego można było odczytać napisy, stanowił skarb nieoceniony, ten jedyny skarb potrafiłszy unieść z sobą, i on nam otworzy kiegoś wrota naszego raju, jeżeli ściśle wypełnimy jego polecenia — przemoc zabrała nam wszystkie inne dokumenta, ale wiemy gdzie one się znajdują, znamy zamek w Samarkandzie¹⁾, gdzie bogactwa te zgromadzone są i gniją w piwnicach ludu ciemnego.

¹⁾ O skarbach tych piśmiennych opowiada obszernie pan Khatkader w *Nouvelles annales des voyages et des sciences géographiques. Cinquieme Serie* t. XV fol. 364—368 a. 1848. Skarb ten był nieprzystępny dla żadnego Europejczyka, nie wiem jednak, czy w czasie zajęcia Samarkandy przez Rosyan skarby te jeszcze znaleziono — składał on się z tysięcy papirusowych zwoi, odwiecznych pargaminów i niesłychanej wartości rękopismów, nagromadzonych i gnijących w piwnicach Samarkandy.

Kto jednak posiada ten święty dokument, ten ma prawo zażądać korony Deranagari, ale podobny, lubo fałszywy, posiada i Hamir, znajdzie się więc wielu, którzy staną po jego stronie, kiedy z nim wystąpi — a gdy teraz umarł w górach Sierra Moreny ostatni władca nasz bezdzietny, i gdy ciało jego owinięte zwojami płócien nabalsamowanych, złożono w pieczarze nieprzystępnej, do mnie należeć powinno teraz berło Deranagari.

Wszystkie dwanaście pokoleń z całego świata wyszła swoich posłów na oznaczony dzień w Tatry, dla obrania nowego króla i Hamir tam będzie ze swojemi i ja tam będę, ale przeczuwam wielką niezgodę i boję się rozdzielenia ludu na dwie połowy, dlatego więc chciałbym, żebyś ty została żoną Hamira, i on to wszystko także rozumie i dlatego zgadza się na to, by cię uczynić królową razem z nim; ale ja nie dowierzam chytremu Hamirowi i nikt nie odgadnie, co on na prawdę myśli, bo on się kocha w jednej z cór swego pokolenia — postanowiłem więc jeszcze inaczej tę sprawę rozstrzygnąć.

Sejm nasz zbierze się w posiadłościach wielkiego króla Kazimierza w Tatrach, on który umie wzrokiem swoim zarówno rozświećlać przeszłość, jak i widzieć przyszłość; on, który przygarnia cudzoziemców do ziem swoich, i który nam zapewnił swobodę przebywania u siebie, on to pojmie, że jeżeli król cygański będzie posiadał oprócz praw przekazanych mu od przodków, patent jeszcze zaopatrzony jego podpisem i stwierdzony pieczęciami, stanie się rzeczywistym władcą ludu rozprószonego po dwóch połowach świata, on lud ten potrafi spożytkować dla swoich celów.

Potrzeba więc, żebyś królowi Kazimierzowi przedstawiła te dokumenta, które ci zostawiam i uprosiła go, żeby je nie tylko potwierdził, ale wydał nowe swoje dyplomy; ja stary jestem, zrzekam się więc tej godności na ciebie.

Gdy takie papiery zobaczą posłowie pokoleń, nie będą się wahać i wybiorą cię na królowę, a ty wówczas tylko mo-

żesz się uwolnić tym sposobem od nienawistnego ci Hamira, inaczej musisz zostać jego żoną.

Teraz, kiedym ci opowiedział wszystko, wiesz jakiego wynagrodzenia żądam od króla Kazimierza, on ci tego nie powinien odmówić, on ci nie odmówi.

Teraz bądź zdrowa, ja idę w świat, ażeby wszystkich przygotować, a dokumenta te, które ci powierzam, strzeż pilnie, pokaż je jednemu tylko królowi, niech nikt nie wie o tem, że u ciebie się znajdują, a biada ci, gdybyś nie poszła za moimi radami, lub utraciła je.

Stary, przez cały czas tego opowiadania, nie przestawał spożywać smacznego swego pożywienia, teraz powstał, zawinął resztę pozostałych zapasów w chustkę, włożył do kobiałki, przeciągnął się i skierował ku drzwiom, ale stojąc już na progu, jeszcze raz obrócił się i powiedział:

— A czosnku nie jedz, bo to i na drugi dzień jeszcze pachnie, a kiedy król nie lubi tego, to trudno, trzeba się wyrzec przysmaku i zrobić ofiarę.

Drzwi za starym zamknęły się i wkrótce słychać było otwierającą się furtkę podwórzową, którą wydostał się na ulicę.

Zośka ciągle w postawie na pół leżącej, spoczywając na sofie, spozjrzała na klepsydrę, stojącą w rogu i przesypującą piasek, znać spodziewała się odwiedzin, bo niecierpliwość odbijała się na jej twarzy; złota puszka z dokumentami leżała obok niej na małym stoliku, rubinowa pieczęć zwiesiła się ze stołu, a koncentrując w sobie i odbijając jednocześnie płomień świecy, zamieniła się w świetną gwiazdę, dziwnie wspaniałym blaskiem promieniejącą dookoła.

Ileż wieków przetrwały te dokumenta w jej rodzinie? ileżby one mogły powiedzieć o przeszłości tego tajemniczego ludu, co było napisane na tym papirusie? co na tym rubinowym talizmanie? ani ona, ani jej ojciec nie rozumieli nic, bo nie umieli czytać, a jednak napisy były w języku, którym co dzień między sobą mówili, języku starszym jak Sanskryt, w języku, którym mówił Noe z żoną i swemi synami w arce.

Dziewczyna wzięła w zamyśleniu puszkę i z wielką uwagą zaczęła się przypatrywać jej ozdobom, cała puszka tak zewnątrz jak i w środku, pokryta była czarną emalią, tak doskonałą, że pomimo setek lat, jakie przetrwała, tysiąca podróży, jakie odbyć musiała, nigdzie na niej nie było znać śladów zniszczenia; rysunki i napisy wyryte na czarnem tle, nigdzie nie były zatarte, tyle tylko potrafiła zrozumieć, że wyryte postacie Waruny, Indry, Agni, Surja, Jama, Siwatri, są to bogowie jej przodków, że kiedyś, bardzo dawno temu, w ich pięknym kraju po nad Gangesem, mieli swoje świątynie, swoich kapłanów, swoje uroczystości.

I dlaczegoż dziś stali się tak bezsilni, że nikt ich nie zna, nikt im nie oddaje czci? Miałoby to być wszystko baśnią, jak inne, które opowiadają przy ogniskach? a jednak oni dawniej opiekowali się jej praojcami, błogosławili im, ale teraz ich opuścili, zwyciężeni zapewne przez tego Boga białych ludzi. A więc On jest najpotężniejszy! na Jego cześć widzi tyle tu wystawionych świątyń, na Jego cześć biją dzwony, rozlegają się śpiewy, palą się lampy i wznoszą się ku niebu kadzidła. To jest ten Bóg wielki, o którym jej opowiadał zakonnik, który codzień ją odwiedza z rozkazu króla.

Dziewczyna tak się zamyśliła nad temi wszystkimi pytaniami, że nie usłyszała wcale, iż okno się pocichu otworzyło, jakaś postać wysoka prześlizgnęła się przez nie i do pokoju wkroczyła.

Raptem podniosła wzrok zamyślony, przed nią stał młody, do 30 lat mieć mogący, wysoki cygan; ściśnięty był szerokim, nabijanym mosiądzami pasem, niebieski kaftan, naszyty świecącymi guzikami, kapelusz góralski, twarz wywiedła, sucha, oko błyszczące, wąs czarny i długie także włosy stanowiły jego portret.

Dziewczyna na chwilę oniemiała ze zdziwieniem.

— To ty, Hamiro?! — zapytała nareszcie — jakim sposobem tu wszedłeś?

— Dziurką od klucza — odpowiedział cygan ironicznie się uśmiechając — przyszedłem odwiedzić naszą królową.

— Nie jestem nią jeszcze.

— I nigdy nie będziesz — zawołał gwałtownie, a po rysach jego przebiegł jakiś złowrogi wyraz.

Dziewczyna zaniepokoiła się, ale nie ruszając się z miejsca, na pozór spokojnie zapytała:

— Więc oknem wszedłeś, pomimo mojej woli, a czy wiesz, że to jest dom królewski, że gdybym o tem powiedziała, jutrobyś wisiał.

Ale ty tego nie powiesz, moja królowo, ty tego nie powiesz, moja Czarna Zosiu.

— Jeżeli mnie natychmiast nie opuścisz, zawołam ludzi i nieszczęście spadnie na twoją głowę.

— Ty grozisz mi Czarna Zośko, ty czarna gadzino, byłem tu pod oknem przez cały czas twojej rozmowy z tym starym oszustem, słyszałem każde wasze słowo — zrozumiałem cały plan, jakiście ułożyli, ażeby mnie pozbawić berła. — Dwie furtki zostawiliście sobie, ale ja obydwie zamknę — raz ze mną miałaś władać, drugi raz sama bezemnie. Czy myślisz, że mi ty koniecznie potrzebna jesteś? że ja zadurzony jestem w twoich wdziękach? Sto piękniejszych od ciebie na jedno moje skinienie pospieszy w moje ramiona — ja tylko chcę władzy należnej mi i dojdę do niej, pomimo ciebie, twojego ojca, a nawet pomimo twojego króla — i kiedy to mówił, usta mu drżały, a wzrok oblakany biegał naokoło po pokoju.

Dziewczyna bacznie mu się przypatrywała, znać wyraz twarzy jego zrobił na niej przykre wrażenie — odpowiedziała więc:

— Rób co ci się tylko podoba, a mnie opuść, bo zawołam na ludzi.

— Ha! ha! ha! — roześmiał się Hamir — czy dwór twój liczny? widziałem go, składa się cały z jednej starej baby — oddaj moje święte papiery a pójdę sobie!

Na te słowa dziewczyna skoczyła jak tygrysica, pochwyciła puszkę leżącą dotąd na stoliku i silnie ją przycisnęła do piersi.

— Z życiem tylko mi ją odbierzesz.

— Tego nie chciałem, dość mi było na puszcze, ale zresztą wszystko mi to jedno.

Dziewczyna nachyliła się do okna i chciała niem wyskoczyć, ale cygan szybki jak błyskawica, jednym skokiem dognał ją, porwał z tyłu za warkocz i ściągnął napowrót do pokoju; dziewczyna wydała krzyk przeraźliwy, ale był to ostatni krzyk, jaki wydaje pierś człowieka — długi, cienki nóż błysnął w rękę Hamira i zagłębił się w piersi dziewczyny, nie wydała nawet jęku, nawet westchnienia.

W tejże samej chwili dało się słyszeć pukanie do zewnętrznych drzwi od ulicy i jednocześnie skrzypnęła otwierająca się brama. Hamir nie miał czasu do namysłu, pochwycił leżącą puszkę na stolku, którą upadając upuściła z rąk Zośka, ale łańcuszek, na którym była przyczepiona pieczęć rubinowa, zawadził się o wystającą balustradę stołu — zniecierpliwiony cygan szarpnął z całej siły, puszka została w jego ręku z łańcuszkiem, ale rubin potoczył się gdzieś po podłodze, nie czas było schylać się, żeby go szukać, już słyhać było kroki w sieni.

Hamir wyskoczył przez okno, mignął się przez mur i zniknął w ciemnościach.

Człowiek, który wszedł do pokoju, stanął jak wryty na widok, który się przedstawił jego oczom. Spieszenie zrzucił czarny płaszcz, jakich pospolicie używali kupcy do podróży i schylił się ku leżącej na podłodze dziewczynie, nóż tkwił jeszcze w jej piersi. Pierwszym czynem przybyłego było wyrwać z rany złowrogie narzędzie śmierci, rana oswobodzona buchnęła nowym krwi potokiem.

Król Kazimierz, gdyż to był on we własnej osobie, z troskliwością podniósł dziewczynę i zwolna ułożył ją na sofie.

W owych wiekach do obowiązków rycerskich, należało znać chociaż o tyle sztukę lekarską, żeby zadaną ranę umieć opatrzyć i zatamować pierwsze krwi upływy, i Kazimierz więc, jakkolwiek nie był to człowiek wojowniczego usposobienia, ale znał wszystkie obowiązki należące do rycerza. Pierwszą jego myślą było poszukać pajęczyny, był to środek wówczas powszechnie nżywany, ale w domku świeżo wystawionym, jeszcze pajaki nie miały czasu się rozgospodarować. Wyjął więc czempredziej z kieszeni chustkę z holenderskiego, cienkiego jak pajęczyna płótna i takową zatamował na chwilę krwiotok.

Oglądając się po pokoju, dojrzał w dużym wazonie stojący aloes. Cudowne skutki na całym Wschodzie przypisują tej roślinie; jest przysłowie pomiędzy Arabami: »Jeżeli ranny dosięgnął aloesu, drugi raz się na świat narodził.« Czempredziej uciał jeden z liści i wycisnął jego sok w ranę dziewczyny, wkrótce krew przestała zupełnie płynąć — ale teraz dopiero mógł się przekonać, czy życie jeszcze nie uleciało, oddech ustał zupełnie, przyłożył rękę do serca, ale nie mógł się doczuć jego ruchu. Wyszedł do drugiego pokoju i zawołał na służącą.

Ta wszedłszy oniemiała na widok spełnionej zbrodni.

— Kto tu był u tej nieszczęśliwej?

— Przed godziną przepuściłam przez bramę jej ojca.

— A po wyjściu jego widziałas ją?

— Widziałam i rozmawiałam.

Król na chwilę zamyślił się, i teraz dopiero spostrzegł otwarte okno.

— A domyślałem się, że tędy tylko mógł się dostać złoczyńca — zbliżył się do okna, ale ciemna już noc, nie nie pozwalała widzieć, odwrócił się więc zniechęcony; jedną razą coś błysnęło na podłodze, król schylił się i podniósł rubin, przy którym tkwił jeszcze kawałek złotego łańcuszka.

— To cuda — powiedział do siebie Kazimierz — kamień ten ma wysoką wartość, nie posiadam podobnego w moim skarbcu, napisy jakieś na nim, a więc to amulet! — z kąd się tu podobny brylant może znajdować?

Rozkazał zamknąć okno, i kiedy zbliżył się do chorej, zdawało mu się, że uczuł lekkie bicie serca.

— Zostań tu i ani na chwilę mi się od niej nie oddalaj, ja powrócę natychmiast, lub przyszlę doktora i wszelką pomoc lekarską.

Kazimierz rozumiał to, że o ściganiu teraz złoczyńcy nie mogło być mowy, noc zrobiła się ciemna, a nikogo nie miał pod ręką, komu by mógł powierzyć tę czynność.

Zarzucił płaszcz na ramiona, spróbował czy miecz dobrze wychodzi z pochwy i oddalił się sam.

Czarna Zośka nie dawała najmniejszego znaku życia, krew wprawdzie zatrzymała się pod zbawczem działaniem soku aloesowego, ale i śmierć, kiedy już zapanuje nad człowiekiem, nie przepuszcza także czerwonych strumieni.

Służąca drżała na całym ciele, odmawiając jedne po drugiej koronki do Wszystkich Świętych, jacy jej tylko na myśl przyszli.

Król powracając spiesźnie do zamku, głęboko się zadumał. Kto mógł być sprawcą tej zbrodni? Co znaczy ten wysokiej wartości kamień, znaleziony na podłodze? Czyżby miała go posiadać Zośka? czy też zbrodniarz przyniósł go z sobą i przypadkiem uronił? nie umiał na razie odpowiedzieć na te pytania.

Jedna mu tylko myśl utkwiała w głowie i ta jak natrętna osa, ciągle wirowała w jego mózgu.

— Czy nie zazdrość kobieca jest powodem tej zbrodni? Estera widziała, że nowa gwiazda wschodzi na widnokrąg królewski, sama mu jednak ułatwiła z nią znajomość, sama niejako popchnęła do bliższych stosunków, miałażby się rozmyśleć, miałażby się obawiać następstw tej nowej znajomości? ale ona wiedziała, że króla łączą z nią wcale inne stosunki, że jest przywiązany szczerze nie tylko do niej, ale nadewszystko do dzieci. Wiedziała, że stanowisko jej jest niezachwiane, że setki już różnorodnych intryg rozbiły się o żelazną wolę króla. Kto jednak odgadnie, co się dzieje w sercu kobiety?

Kazimierz więc powracając do zamku, postanowił natychmiast zawiadomić o tem Esterę i przekonać się, jakie na niej zrobi wrażenie ta wiadomość — zaledwie więc przebył znaną nam już tajną furtkę i znalazł się w swojej komnacie, natychmiast zaklaskał w dłonie przyzywając służbę.

Pierwszy, który się pojawił, był Firlej.

— Idź natychmiast do mistrza Mojżesza, on zapewne teraz oddaje się badaniu planet niebieskich na wieży zamkowej i powiedz mu, żeby nie tracąc ani jednej chwili natychmiast do mnie przyszedł. Kto tam jest więcej w przedpokoju?

— Jest młody Pelka i Plichta.

— Niech Plichta natychmiast się u mnie stawi.

Król siadł, wziął kawałek pergaminu i nakreślił na nim kilkanaście słów.

Firlej oddalił się, wszedł Plichta.

Król powstał, zbliżył się do niego i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Weź konia i jedź duchem do palacu Estery, oddaj jej to moje pisanie, i bacznie uważaj na wszystkie okoliczności najdrobniejsze. Jeżeli już zastaniesz ją śpiącą, każ ją zbudzić i opowiedz jej o zbrodni, która się tu pod moim bokiem stała, śledź wyraz jej twarzy jak inkwizytor, ubiór, w którym do ciebie wyjdzie; straszne podejrzenie zaciężyło nad jej głową, zbrodnia ta może być tylko dziełem kobiety, tu tylko zazdrość może odgrywać rolę, ja czekać będę twego powrotu.

— Mylisz się najmiłościwszy panie — powiedział śmiało Plichta. — Estera do tego nie zdolna, przekonasz się, że coś innego się tu w tem kryje.

— Dalby Bóg — powiedział król poważnie — bo trudno kazać mieczem ścinać głowę matce swoich dzieci.

Król siadł teraz w obszernem krześle i wyjąwszy znaleziony klejnot, zaczął mu się bacznie przypatrywać.

— Tak — mówił sam do siebie — stanowczo nie podobnego nie posiadam w moim skarbcu, ale cały kamień poryty jakimiś nieznanymi literami — bezwątpienia jest to amu-

let, wyrazy nie są ani arabskie, ani chaldejskie nawet, nie są to także hieroglify Egiptu — czyją on był własnością, co to wszystko znaczy?

W tej chwili dały się słyszeć kroki w sąsiedniej komnacie, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mąż w sędziwym wieku.

Szata jego czarna, aksamitna, spadająca aż do samego dołu, była ściśnięta jedwabnym szerokim pasem, poważna biała broda, spadała mu na piersi, na głowie miał małą czarną aksamitną czapeczkę, której nie zdjął, stojąc przed majestatem królewskim.

Król zobaczywszy go, spiesźnie powstał.

W owej epoce medycyna w Europie stała na bardzo niskim poziomie, jedynie Maury w Hiszpanii i uczeni żydzi z Korduby, oddawali się poważnym studjom nad naukami, oni jedni przechowywali światło ubiegłych wieków, na które wieki średnie roztoczyły swoje chmury ciemnoty.

Mistrz Mojżesz, żyd hiszpański, mąż wysokiej nauki przebywał na dworze króla Kazimierza, zajmując stanowisko jego przybocznego lekarza i astronoma.

Znakomity mąż nie wdawał się w tworzenie horoskopów, z góry spoglądał na astrologów i oddany badaniom nauk przyrodzonych i obrotów ciał niebieskich, żył na dworze Wawelu, mało znany od kogo, bo wszystkie godziny jego życia pochłaniała praca.

Doktor złożył głęboki ukłon królowi i stał czekając rozkazów.

— Mistrzu, potrzebuje twojej pomocy, ciężko została ranna w piersi młoda dziewczyna, zdaje się, że życie w niej się jeszcze kołata, spiesz i jeżeli możesz, ocal ją.

— Gdzie się mam udać?

— O kilkaset kroków za mury zamkowe, kolasa już stoi zaprzężona, która cię dowiezie, pierwszy domek na lewej ręce jadąc do miasta.

— Ten, który świeżo został wymurowany?

— Ten sam, zapukaj a otworzą ci, ale spiesz się, bo życie ulecieć może każdej chwili.

Doktor już miał się oddalić, ale wzrok jego padł na leżący brylant, i ze zdziwieniem zatrzymał się na nim.

— Czy znasz ten język? — zapytał król, pokazując mu klejnot.

— Znam, to starszy brat Sanskrytu, to tajemnicze słowa Indry, ale później ci to wytłómaczę, mój królu, teraz spieszę odpędzać śmierć.

*

*

*

Kiedy Plichta przybył do dworca Estery i zażądał w imieniu króla zobaczyć się z gospodynią, wszystkie drzwi dla niego zostały natychmiast otwarte, wprowadzono go do pokoju, w którym się bawiło na dywanie dwoje prześlicznych dzieci, sama Estera siedziała na niskim taburecie i trzymając arfę, przygrywała jakąś tęskną melodyę, tak zapewne córy Syonu nuciły pod wierzbami Babilonu.

Kobieta zobaczywszy Plichtę, odsunęła czempredzej arfę i podnosząc się zapytała.

— Czy złe jakie wieści niesiecie, szlachetny panie, o tej godzinie nie spodziewałam się od króla posła?

Plichta, którego ten widok rodzinnego kółka mocno wzruszył, odpowiedział nie namyślając się.

— Bardzo złe, szlachetna pani, przed godziną spełnione zostało zabójstwo na Czarnej Zośce, która, jak wam wiadomo, przygotowywa się do zostania neofitką.

— Zabójstwo na Czarnej Zośce! — zawołała kobieta, zrywając się — na mojej i mego syna wybawicielce, kto się tego dopuścił?

— Daruj szlachetna pani! być może, że przesadziłem fakt, być może, że śmierć jeszcze nie nastąpiła, to tylko pewne, że rana jest niebezpieczna, i że tam już król posłał mistrza Mojżesza.

— Ależ i ja jadę natychmiast — klasnęła w ręce, wszedł dworzanin — niech kolasa moja natychmiast zajędzie, natychmiast! — Mistrz Mojżesz cuda prawie robić może, ale i ręka kobiety będzie tam nie zbyteczna.

— Więc jadę do króla i opowiem mu postanowienie pani.

— Zatrzymajcie się panie, zechcecie pojechać ze mną razem, ja nie wiem gdzie mieszka ta nieszczęśliwa, a rozpytywać się po nocy jest dosyć trudno.

Niemira tymczasem przystąpił do Plichty i bawił się rękojeścią jego szabli.

Król niecierpliwie oczekiwał wiadomości od doktora, po upływie jakiej godziny, zatętniała kareta na dziedzińcu i prawie w tejże chwili wszedł Mojżesz w towarzystwie Plichty.

— Jakie wiadomości mistrzu, czy jest jaka nadzieja?

— Dopokąd iskierka życia tleje jeszcze w ciele człowieka, dopotąd i nadzieja opuszczać nas nie powinna, rana jest bardzo ciężka, ale zdaje się, że płuca nienaruszone, chora przyszła do przytomności, ale nastąpiła gorączka i febra, co było do przewidzenia, ranę napoiłem odpowiednimi balsamami i od gorączki dałem zabezpieczające mikstury, teraz zostawiłem ją pod troskliwą opieką aż do jutra, rana pozostanie w tym stanie niezdecydowania.

— Pod opieką; powiadasz mistrzu, kogoż tam zostawiłeś na swoim miejscu?

— Dobrą kobietę, której znam serce i umiejętność, zostawiłem tam Estere.

— Estere! — zawołał król zdziwiony — zkąd ona się tam wzięła?

Teraz wystąpił Plichta i odpowiedział za doktora.

— Gdym tylko powiadomił tę dzielną kobietę o nieszczęściu, jakie się wydarzyło, porzuciła arfę, przy której ją zastałem, porzuciła mile kółko dzieci, z którymi się bawiła i natychmiast kazała mi się zawieźć do ranionnej.

— Kobieta, która gra na arfie i bawi się z dziećmi, nie mogła przed godziną popełnić zbrodni — pomyślał król — czoło się jego rozjaśniło i rzekł, obracając się do Plichty.

— Idź mój pocziwy chłopcze, spocznij, niedługo już i słońce się pokaże, my jeszcze trochę pogadamy tutaj z mistrzem Mojżeszem.

— Czy chora jest w stanie dawać obecnie na pytania odpowiedzi?

— Na teraz nie, gorączka zawładnęła całym jej organizmem, a kiedy puls powróci do zwykłego uderzenia, potrzebować będzie jeszcze spokoju zupełnego, przez kilka dni musimy się wstrzymać od wszelkich badań.

— Ale czy ten pocieszający stan nastąpi, czy choroba przybierze dobry kierunek, jesteśże pewny tego mistrzu?

— Cóż jest pewnego na świecie, mój królu? nie jestem pewny nawet, czy ja tu stoję przed tobą, czy rozmawiam z tobą; ale jeżeli mnie nie mylą moje rachuby, miejmy nadzieję, że młody organizm i boskie balsamy, którymi ją namaściłem, odpędzą Anioła śmierci od łoża dziewczyny.

— To dobrze, mój mistrzu, a teraz co mi możesz powiedzieć o tym kamieniu, czy potrafisz wyczytać napisy na nim położone.

— Tego, twój sługa, mój królu, dopełnić nie potrafi, widzę tylko dwie rzeczy, najpierwej, że to jest kamień wartości, jakiego nie posiada żaden z najmożliwszych królów świata; stare pisma nasze mówią, że taki znajdował się w skarbcu Salomona, ale tu nie widzę na nim hebrajskich napisów, nie ten to więc być musi; widzę na nim wyryte postacie starych bogów, najstarszych ludów Azyi, tej kolebki narodu ludzkiego, widzę na nim postać Indry; wytlómaczyć ci jednak tego znaczenia nie potrafię, to tylko pewno, że posiadacz tego klejnotu posiada olbrzymią, niograniczoną władzę, że jest to talizman zarówno kosztowny swoją wartością kamienia, jak z tajemniczą potęgą przywiązaną do jego pochodzenia. Geniusze musiały go wyrobić w swoich warstatach, bo czyż człowiek, przypatrz się

i powiedz królu, jest w stanie dopełnić podobne rzeźby, podobne napisy, gdzie oko i ręka, któreby temu sprostaly? — ale czy wolno mi zapytać ciebie mój królu, zkąd przyszedłeś do posiadania tego klejnotu?

— Znalazłem go u nóg zranionej dziewczyny.

— Niepojęta dla mnie sprawa — rzekł mistrz, i złożyłszy głęboki ukłon oddalił się.

* * *

Upłynęło dwa miesiące od wypadków, któreśmy opowiedzieli, król któremu spory z duchowieństwem zatruwały życie, szukał różnego rodzaju rozrywek; jedną z najulubieńszych jego było polowanie.

Znajdujemy się na Beskidach, król poluje na niedźwiedzia — wspaniała to i przejmująca grozą okolica, jeżeli stojąc na wierzchołku jednej ze skał, których tysiące jakby powyrastało z ziemi, rzucisz okiem po tych niezmierzonych obszarach, zobaczysz u stóp swoich, na okolo siebie, morze zieleni pierwotnych lasów, których siekiera człowieka nie dotknęła jeszcze, ciemny płaszcz świerków, buków i dębów pokrywa stoki gór, tam dalej na południe ku słońcu na stokach Siedmiogrodu rozpościerają się kasztany, orzechy wspaniałych rozmiarów; w dali, gdzieś jeszcze dalej ku południowi, błyszczą srebrne nici rzek górskich i majaczeję Iszek-Bödö i Folso Banyja, to już Siedmiogrodzkiego pana dziedziny.

Jeżeli kiedy znajdziesz się na tych wierszynach szczęśliwy podróżniku, szukając wrażeń, to ani w Alpach, ani w Pireneach nie napotkasz tak wspaniałych widoków, takiego majestatu natury, takiej potęgi Boga, objawiającego się w tych niezrozumiałych literach, tego drogocennego talizmanu — tu śmiało, jak mówi poeta, jedna góra do drugiej może powiedzieć:

Tyś jeszcze bardzo młoda siostro moja droga
A jam widziała Boga! tworzącego Boga.

To pierwotny świat, który wówczas jeszcze ręka człowieka nie zeszpeciła swoim gospodarstwem, tam nad wierzchami tych skał okrytych lodem, orły unoszą się tylko w powietrzu, tam dzika tylko kozica stojąc nad przepaścią urwistej skały, spogląda zdumionem okiem po tem państwie, gdzie się tylko rozlega głos gromu, lub łoskot lawiny toczącej się ze skały.

Dwóch królów zajrzało sobie tam w oczy: król rozległej ziemi Lechickiej i król nieobjętych przestrzeni, orzeł, co ze zdziwieniem ogląda zuchwałego człowieka, wdzierającego się w jego dziedziny.

— Ty zuchwały — mówi do niego król skrzydlatych przestrzeni — odważasz się przekroczyć granice mojego władztwa, tu tylko ja odpowiadam na głos piorunu, tu tylko gzygzakowata dolata błyskawica, a chmury krążą niżej od mego tronu — i ty! ty! zuchwały człowieku! odważasz się stawiać stopę swoją tam, gdzie ze drżeniem przesuwa się pierzchliwa gemza.

— Ja tu pan! — odpowiada dumne spojrzenie człowieka — ja pioruny zaprzęgnę do swoich wozów i będę mnie nosić po niedostępnych wierzchołkach gór, z szybkością, przy której twój lot będzie żółwim lotem; ja iskrom błyskawic wskażę drogi, i posłuszne będą powtarzać za mną moje wyrazy i o tysiące mil, ja poszlę za tobą kulę, która cię dosięgnie w obłokach, i zrzuci do nóg moich; dla mnie otworzą się łona tych gór i oddadzą mi skarby wewnątrz siebie zawarte, bo ja tu pan! pan jedyny całej ziemi, a drugi tylko potężniejszy odemnie jest w niebie.

I zdumiony orzeł zakreśliwszy wspaniale w powietrzu koło, oddala się zamyślony nad zarozumiałością człowieka, który śmie tak marzyć szalenie. Ale nadejdzie chwila, że marzenia te zamienią się w czyn, że czyn ten będzie tylko jednym stopniem zbliżającym do świątyni nauki, że otworzy się dotąd niezrozumiała księga natury, i człowiek odgadnie nie tylko to co było, nie tylko zrozumie to co jest, ale wyrecze nie jako prorok, ale jako wiedza o wypadkach, które

się staną w oddalonej przyszłości, jak już dziś astronom powiada, kiedy i w którym punkcie widnokregu pokaże się ta lub owa planeta.

Bo ten, który ma w sobie iskrę wiedzy Boga, może ją rozdzielić do nieskończoności.

Na spadzistym wierzchołku skały, spoczywa król Kazimierz na mchu, podparłszy rękę pod głowę, zbyt się utrudził, goniąc niedźwiedzia, który tutaj się właśnie dostawszy, zginał mu z oczów; przy nim jedyny tylko giermek z łukiem na plecach i krótkim mieczem u boku, góralski kapelusz z czaplemi piórami zdobi mu głowę, a z pod niego wysuwają się długie sploty czarnych, jak krucze pióra włosów, i spadających na ramiona, zielony kaftan aksamitny, haftowany złotem i szerokie szarawary czerwone, dopełniają stroju, na nogach ma lekkie góralskie trzewiki.

Giermek ułamał gałązkę kosodrzewiny i chłodzi nią uznożone czoło króla.

Kazimierz wyciągnął rękę i objął ją za szyję swojego giermka.

— Djabelska to droga, jakąśmy przebyli, wdzierając się tutaj, za tym nędznym niedźwiedziem, jestem już tak umęczony, że z ochotą zasnąłbym i noc tutaj przepędził, ale ty moja Zochno, po takiej ciężkiej chorobie, jak ty miałaś siłę wdrzeć się tutaj?

— Rana moja jest już zupełnie zagojona, a kiedy oddycham tem górskim powietrzem, przy boku mojego ukochanego króla, zdaje mi się, że nowe życie we mnie wstępuje, nie tylko nie czuję utrudzenia, ale zdaje mi się, że u ramion wyrastają mi skrzydła, że na nich mogłabym lecieć za tym orłem, co tak wspaniale krąży po nad wierzchołkiem tych gór.

— Cygańska natura zawsze przemawia w tobie dziewczyno, ale gdyby nie było głodu i chłodu w waszej kompanii, to przyznaję, że ta włóczęga po świecie, wolna, niczem nie skrzepowana, ma swoje uroki.

Dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, gdy tuż za skałą rozległ się śpiew donośny, który echo podawało z góry na górę:

»Czy wójt gminy! czy starosta

Każdy bije, każdy chłosta.

Ej! chłodno i głodno

Ale żyjem swobodno.«

— To nasi! cygany! — zawołała nagle Zośka — to głos mojego ojca!

I nie namyślając cię, wydała okrzyk przeciągły. Podobnym okrzykiem odpowiedziano jej z dołu, i wkrótce z po za skały, pokazała się postać człowieka; był to stary, znajomy nam cygan z wiślickiego wiatraka.

Stary poznał natychmiast króla, gdyż nie zbliżając się na kilkanaście kroków, padł na ziemię czołem, potem powstał, skrzyżował ręce na piersiach i znowu postąpiwszy kilka kroków, przyklasnął i w tej kornej postawie oczekiwał zapytania króla.

— Ty jesteś ojcem tej dziewczyny? — zapytał król, wskazując ręką na swojego giermka.

— Słowa potężnego króla zawsze są prawdą — odpowiedział stary, schylając czoło.

— Czy wiesz, że córka twoja ciężko była raniona, że o mało życiem nie przypłaciła chęci zachowania dokumentu, który jej zostawiłeś?

— Tysiące już ludzi umarło w jego obronie, ona byłaby tylko jedną więcej ofiarą.

— Czy wiesz, że lubo dokument został zrabowany, jednak pieczęć wisząca przy nim, a raczej kosztowny kamień ocalał.

Wielki Indra okazał tutaj moc swoją, słowa na papieru są tylko słowami Indry, słowa na amulecie, jego technieniem, dzisiaj słowa jego i technienie, połączą się znowu napowrót.

— Przysiękłeś najjaśniejszy królu córce mojej swoją opiekę, dziś przychodzę prosić cię potężny królu o dotrzy-

manie słowa, dziś nastąpi wybór króla cyganów, a jeżeli ty go uświetnisz swoją obecnością, i raczysz objawić swoją wolę, wówczas piękne czoło tego dziewczęcia, ozdobi korona Deranagary.

— Słowa mojego nigdy nie cofam, ale gdzież to i kiedy nastąpi wybór?

— Jeżeli raczysz najjaśniejszy panie, przejść tylko po za cypel tej skały, a zobaczysz widok, godny oczów monarszych.

— Król skinął głową na znak, że się zgadza.

— A ty święty amulet masz z sobą? — zapytał stary, obracając się do dziewczęcia.

— Nigdy się z nim nie rozstaję — to mówiąc, odkryła piersi i pokazała wiszący na złotym łańcuszku woreczek skórzany z wyszyciami na wierzchu.

Stary pochylił głowę na znak uszanowania przed pamiętką narodową.

— Dlaczego tutaj wybraliście miejsce wyboru swojego króla?

— W całej Europie, najjaśniejszy panie, niema spokojnego kąta, gdzieby krew naszego biednego ludu się nie lała, gdzieby nie gnął w więzieniach, lub nie płonął na stosach. Ty jeden nie zamknąłeś granic swojego kraju, jak i serca na niedole biedaków, udzieliłeś schronienia nieszczęśliwym ludom wszędzie prześladowanym, na które polują, jak na dzikie zwierzęta, tępią jak gadziny.

Tu tylko mogliśmy się zgromadzić i pod płaszczem twojej opieki odbyć nasze wybory, a oprócz tego, bo czegoż przed tobą mam to ukrywać najmiłościwszy panie nasz, żadne góry w całej Europie nie przechowują w łonie swoim tyle skarbów co te Tatry, ten Krępak, te Beskidy, nasz biedny lud corocznie z wiosną rozkłada tutaj swoje namioty i zbiera złoty piasek, który strumienie górskie niosą w doliny¹⁾ ja ci je

¹⁾ W roku 1854 autor tego opowiadania miał sposobność spotkać na ulicach Konstantynopola polskich cyganów, którzy w małych

wskażę najmiłościwszy królu, wystarczy na potrzeby twoje i nasze.

— Czy nie mógłbym zobaczyć próby tego kruszcu, o którym tyle opowiadacie.

Stary nie mówiąc odpiął kaftan i z pod niego wystawił skórzaną z borsuka torbę, odpiął ją i podał królowi.

Król zanurzył rękę i wyjął z niej garść złotego piasku, pomiędzy którym zawadzały się brylki wielkości orzecha.

— Gdzie to wylawiacie? — zapytał król.

— Na północnych stokach tych gór — wskażę ci te miejsca, miłościwy panie, ale w wielkim sekrecie, bo musiałbym życiem swoim okupić zdradzenie tajemnicy.

Stary postępował naprzód, król szedł tuż za nim, opierając się na kutym kij, na ostatku postępował giermek królewski.

Przedostanie się jednak po za wskazaną skalę, nie było rzeczą taką łatwą, jak się na pierwszy rzut oka zdawało — ponad urwiskiem, ścieszynką wąską w niektórych miejscach zaledwie na pół łokcia, jakby gzymsem na około wieży potrzeba było okrążyć skalę, ażeby się dostać na jej drugi bok — Kazimierz bez zmrużenia oka, jakby urodzony góral, śmiało przebył tę przeprawę niebezpieczną. Nareszcie znaleźli się wszyscy na przeciwległej stronie skały — przed oczami króla odkryła się obszerna zielona polana, pokryta nie stadami owiec lub kóz górskich, ale setkami namiotów z płótna lub wprost z gałęzi zbudowanych, cała dolina roiała się mnóstwem ludzkich postaci, tu i owdzie wznosiły się dymy do góry, a zapach ich wiatr przynosił aż do stojących na urwisku skały.

Pomiędzy namiotami odznaczał się jeden wielkością swoją, cały siwem okryty płótnem, przed nim to najwięcej było skupionych postaci, widać nawet było, jak gestykulują rękami, rozprawiają, czy sprzeczą się.

z kozłej skóry woreczkach wielkości palca, sprzedawali złoty piasek zebrany w Karpatach. Miejscowość ta obecnie znana jest tylko jednej bandzie.

Z daleka dochodziły tony cichej, jakby z pod ziemi wydobywającej się muzyki, a górskie powietrze w tysiącnych echach ją powtarzało.

Zejsście z góry na polanę było nadzwyczaj spadziste — stary obrócił się do króla i zdejmując kapelusz rzekł:

— Pozwól, najmiłościwszy królu, że dam sygnał i przywołam tu ludzi, którzy bez trudu zniosą cię na polanę — i nie czekając odpowiedzi króla, wydał okrzyk podobny do krzyku lecącego żurawia, który przedarł się aż na polanę.

Na to hasło, jakby na skinienie władcy, wszelki ruch ustał na dolinie, każdy pozostał jak wryty w miejscu, w którym się znajdował. Stary wówczas wyszedł na sam cypel skały zawieszony nad przepaścią i głosem potężnym, rozlegającym się jak grzmot wśród gór, który sprężystość górskiego powietrza potęgowała, powiedział kilkanaście słów — słowa widać zostały dobrze zrozumiane, bo ruch zrobił się na nowo, kapelusze wyleciały w górę i rozległy się okrzyki. Wkrótce oddzieliło się sześciu ludzi, wynieśli z ciemnego namiotu lektykę i spiesznie o ile pozwalała spadzistość góry, zaczęli się z nią wdzierać na skały.

Odległość dzieląca miejsce, w którym się znajdował król od obozu, w prostym kierunku zdawała się niedaleką, dokładnie można było rozpoznać nawet kolory ubiorów, dobra jednakże godzina musiała upłynąć, zanim ludzie z lektyką potrafili się wdrzeć na wystającą płytę skały.

Król bezwątpienia byłby nie czekał na nich, ale ojezrawszy się dookoła, spostrzegł, że znajduje się w miejscu, z którego niema zejścia na dolinę, był to jakby olbrzymi balkon, przyczepiony do ściany skały.

— Dyabel nas chyba tutaj znieść potrafi na dolinę — powiedział król uśmiechając się — toć ci ludzie nie mają skrzydeł, żeby się tu dostać mogli.

— A jednak tu będą, miłościwy panie, cygan dojdzie tam, gdzie latają tylko ptaki powietrzne, przeciśnie się szparą, którą wąż się zaledwie przecisnąć zdoła — otóż i oni.

Król obejrzał się i ujrzał nagle za sobą sześciu ludzi klęczących w pokornej postawie; teraz dopiero spostrzegł, że ściana miała rozpadlinę, przez którą zaledwie człowiek mógł się przecisnąć i tą to właśnie wąską szczeliną ludzie dostali się z równiny i tak niespodzianie zjawili się u nóg jego. Potrzeba było wydostać się przez rozpadlinę skały na szersze miejsce. Król, który przy swoich poważnych rozmiarach ciała łączył i odpowiednią tuszę, zaledwie się przecisnąć zdołał za swoimi przewodnikami — tu już odkrywała się ścieżka, po której przedstawiało się prawdopodobieństwo spuszczenia się na dół — tu także stała lektyka zrobiona z jakiegoś nadzwyczaj lekkiego nie tutejszego drzewa, na dwóch długich, elastycznych drążkach, ustawione było siedzenie z prątków trzciny bambusowej, okryte niewidzianych deseni i kolorów dywanem miękkim jak puch łabędzi, strzyżone nici jedwabiu kołysały się za najmniejszym podmuchem wiatru; na czterech, półtorametrowej wysokości słupkach, misternie rzeźbiony unosił się daszek, złożony z piór pawich i strusich, było sprzęt tak lekki, że go dziecko unieść mogło, sprężystość jednak drążków nie ustępowała elastyczności najlepszej stali angielskiej.

Król spojrzawszy na to misterne cacko, przez chwilę wahał się powierzyć swoich okazałych członków jego wytrzymałości, kiedy nareszcie zdecydował się usiąść i gdy czterech lektykarzy uchwyciło za drążki i podnieśli lektykę, król chcąc wypróbować moc tego sprzętu, zaczął się bujać, drążki wyprężyły się, gięły, ale właśnie tem dowodziły swojej wytrzymałości.

Stary cygan postępował na przodzie, za nim czterech niosło króla, a dwóch szło po bokach, gdzie to było możebne, lub przeskakiwało na jedną stronę i wspierało lektykę w niebezpieczniejszych miejscach — na końcu tego orszaku postępował giermek królewski.

Podróż była bardzo utrudzająca, spadziństwo w niektórych miejscach prawie prostopadła — w takich lektykarze jedną ręką trzymali drążek, drugą zaopatrzoną w długie okuty kij podpierali się silnie, co stanowiło dla nich jakby trzecią nogę oporu — znajdowały się na drodze i przerwy wyrobione

woda, potrzeba było się w nie spuszczać, lub przeskakiwać je, co czynili z zwinnością dzikich kóz, nie tracąc tępa kroku.

Kiedy nareszcie wyszli na mniej już spadzistą drogę, tłum najrozmaiciej odzianego ludu wysypał się na przyjęcie króla. Były tu ubiory tureckie, serbskie, hiszpańskie, staroniemieckie i węgierskie; nie brakowało także postaci w kostymach bardzo pierwotnej natury, bosych, okrytych tylko płachtami — na czele całego tego tłumu siedł skrzypek i wygrywał na skrzypcach jakiś nieznany, tryumfalny marsz.

Może to był poprzednik Paganiniego, bo gra jego była równie demonicznej potęgi, tony skrzypców zdawały się przemawiać językiem ludzkim, głosiły wielką radość, tryumf niesłychany, pochód zwycięzki.

Być może, że Paganini, który sam pochodził z rodu cyganów, znał tę melodię i z niej stworzył swój nieśmiertelny »Karnawał wenecki«. Potem melodia przybrała tony błagania, brzmienie pokornej modlitwy i z ostatnimi jej dźwiękami, cały tłum towarzyszący artyście upadł na kolana, czołem uderzył o ziemię i pozostał w tej pokornej postawie, dopokąd król nie dał znaku, że może powstać.

Wtedy na nowo odezwała się muzyka, ale już nie solowe skrzypce, ale huczna, bachancka, złożona z fletów, trąb i cymbałów.

Król znalazł się u wejścia do namiotu.

Na progu pokazał się starzec z długą białą brodą, ubrany w bogate suknie chaldejskiego kapłana, opasany szerokim pasem z jedwabnej materii, w drżących rękach swoich trzymał bogatą tacę złotą, misternie rzeźbioną, a na niej leżał placek upieczony w popiele i sól biała jak kryształ — za nim stało czterech mężów również ubranych po chaldejsku.

Starzec przyklęknął przed królem i podał mu na tacy chleb i sól.

— Na ziemi twojej, dobroczyńco ludów nieszczęśliwych, bądź nam pozdrowiony. Niech wielki Indra zleje na ciebie strumienie łask swoich — żyj i panuj długo! bo imię twoje

świecić będzie w przyszłych wiekach jak słońce ponad światem, i przyjmij od pokornych sług twoich te dary ziemi, sól i chleb.

Król z politowaniem spoglądał na ten lud biedny, nigdzie nie mający ojczyzny, pogardzony, zdemoralizowany jarzmem ciężkiej niewoli i wzięwszy kasek placka, posypał go solą i spożył.

— Przyjmij wielki królu na pamiątkę, przez dobroć swoją i tę tacę, ona godno jest służyć wielkiemu monarsze tak kruszcem swoim jak i robotą, a nadewszystko swoim pochodzeniem. Niegdyś była ona ozdobą ostatniego króla Deranagari Hamai Wielkiego, kiedy barbarzyńcy zalali nasze piękne Malabarskie krainy, pomiędzy innemi kosztownemi pamiątkami, ocalić zdołano i tę piękną czaszę — mówią, że geniusze posłuszne królom Deranagari, wyrzeźbiły na rozkaz Wielkiego Hamai, te czarne perły, któremi ozdobione są brzegi jej, każdej zdobycie z oceanu kosztowało życie wielu niewolników. Do uroczystych tylko obrzędów była ona używana, dziś, kiedy nas spotyka zaszczyt, że ty, o słońce północy, jesteś pośród nas, przyjmij ten sprzęt na pamiątkę, zachowaj go w swoim skarbcu, niech potomkowie twoi oglądając go pamiętają, żeby byli jak ty, równie dobrzy i szlachetni i jak ty, zasłużyli kiedyś na imię »króla chłopów, króla biedaków, opiekuna i ojca nieszczęśliwych.

Była to mowa niezwykła w ustach prostego człowieka, król więc mocno nią był zdziwiony.

Przyjął ciężką tacę, na której z obydwóch stron wryte były postacie bóstw i różne sceny, przedstawiające utraconą ojczyznę — rylec był godny ręki Celiniego, a dwanaście czarnych pereł, nadawały podarunkowi wartość bajeczną.

Zasłona namiotu się odchyliła i król zobaczył całe wnętrze wysłane dywanami, w środku wznosił się tron z czarnego hebanu, wysadzany kością słoniową i srebrem.

Uproszono króla, żeby zajął na nim miejsce.

Na małym stoliku, również okrytym jedwabnym dywanem, stojącym obok, spoczywała złota korona i berło ze słoniowej kości, nabijane złotem i turkusami.

Król zdumionem okiem potoczył po całym tem otoczeniu, było to coś z czarodziejskich bajek, była to jedna ze scen romansu rycerskiego, które naówczas opowiadali wędrujący minstrele, zamieniona w rzeczywistość.

Wówczas starzec pokłoniwszy się aż do ziemi, odezwał się:

— Widzisz tu, miłościwy panie i królu nasz, resztki świetności skarbów, jakie nagromadzone były w pałacu Wielkiego Hamai, kiedy tłumy barbarzyńców północy zalały jego państwo; szczątki te, jako świętą pamiątkę, przechowujemy — i dziś one przybyły z dalekich, z bardzo dalekich stron na obrzęd wyboru naszego króla, który tylko będzie podnóżkiem twoim.

Teraz odstąpił starzec i jego czterech towarzyszy, a przed tronem królewskim stanął stary Nicolo, prowadząc za rękę swoją córkę Zośkę, przebraną po kobiecemu w bogaty strój wschodni.

Nicolo uklęknął z córką u stóp króla i odezwał się temi słowy:

— Królu nasz i panie miłościwy, ty który jesteś słońcem naszym, obrońcą uciśnionych, wagą sprawiedliwości, stawiamy przed tobą ja i ta moja jedyna córka, mająca wyłączne prawo do berła Wielkiego Hamai, prosząc cię o spowiedliwość.

— Mówcie czego żądacie.

Ta ostatnia gałązka wielkiego szczepu, której powierzyłem niezrównanej wartości dokumenta, została napadniętą, zrabowaną i ciężko zranioną, w celu przywłaszczenia sobie przez zbrodniarza dokumentów udowadniających jej prawa do korony ludu Deranagari.

— Znam tę historję — odpowiedział król — ale gdzie jest obwiniony o tę zbrodnię, kto nim jest?

Wówczas przecisnął się przez tłum, znajomy nam już Hamir, bogaty hiszpański ubiór okrywał go, kapelusz jego ze strusiem białym piórem, zdobiła duża złota klamra — przecisnąwszy się aż do stóp króla, przyklęknął i rzekł:

— Jestem Hamiro, wódz sześciu pokoleń, jedyny, prawy następca i spadkobierca praw Wielkiego Hamai, ja to jestem oskarżony o tę zbrodnię.

— Opowiedz, co masz na swoje usprawiedliwienie.

— Kiedy w dwanaście stron świata, rozeszło się naszych dwanaście pokoleń, wówczas jeden z przodków tej kobiety, przywłaszczył sobie dokumenta, na których wyryte są prawa i imię wielkiego Indry, setki lat ubiegły od tej pory, ale czyliż nieprawość uświęcona wiekami przestaje być nieprawością? — nie wiem jak wasze prawa o tem, mówią panie, ale wielki Indra mówi: »Jeżeliś raz coś przywłaszczył sobie, chociażby tyście lat ubiegło od tego czasu, zawsze będziesz złodziejem.«

I przodkowie tej kobiety opanowali władzę nad ludem i sprawiając ją przez setki lat, przyprowadzili naród do ostatniego ubóstwa, do ostatniego upodlenia, że jest wyrzutkiem ludów i pogardą całego świata; wówczas ja, wódz sześciu pokoleń, postanowiłem wziąć w moje ręce losy mojego ludu i wyprowadzić go ze stron niegościennych i zawieść nad brzegi świętego Gangesu, i gdy teraz umarł przywłaszczyciel, postanowiłem upomnieć się o należne mi prawa, i zostać królem ludu bez ziemi.

Kochałem tę dziewczynę, a poeta mówi:

»Cóż miłszego dla oka, jak kochanki lica
Jakiż powiew wonniejszy, od ust jej oddechu?
Jakiż blask świeci jaśniej, niż lubej źrenica
Jakiż widok cenniejszy, od lubej uśmiechu?
Jakiż głos od jej głosu milej brzmi dla duszy,
Jakież ognie gorętsze, jak gdy okiem ruszy?
Gdy jej nie widzisz, pragnąłbyś jedynie
Patrzeć; — gdy ujrzysz, pragniesz uściśnienia;
Kiedyś uściśnął, czekasz jak zbawienia
Rychło na zawsze z tobą w jedno spłynie.

i sądziłem, że łącząc się z nią, osiągnę mój cel — ona mnie odtrąciła, zrujnowała moje plany, przekleństwo jej — uderzy-

łem i żaluję, że nie zabiłem, bo z nią byłbym zabił nędzę mojego ludu.

— Oddaj dokumenta, które zabrałeś przemocą.

Hamir milcząc, sięgnął ręką w zanadrze, wyjął czarną puszkę i położył ją przed królem.

Król milczał przez chwilę, potem zwracając się do starca rzekł:

— Osądźcie go sami podług waszych praw.

— Kto przelał krew brata swego, krew jego również przelaną będzie — mówi księga praw.

— Ale — zawołał Hamir — ja nie przelałem krwi brata mego, ja uderzyłem tylko w pierś kobiety, a kobieta jest niższa istota.

— Prawda — odezwały się głosy wśród tłumu — on nie przelał krwi brata!

— Wyroki śmierci — mówił dalej starzec — sam tylko król wydawać może, on jest rozdawcą życia i zniszczenia, on tylko może wiedzieć, gdzie unoszący się duch z ciała obierze sobie mieszkanie, w jakie przemieni się stworzenie, ażeby odpokutować swoje zbrodnie, lub czekać nagrody za dobre czyny.

Pomiędzy cyganami już wówczas panował chaos religijnych pojęć, każde ich pokolenie prawie wyznawało inny kult. Byli pomiędzy niemi stronnicy Buddy, drudzy trzymali się starożytnych podań Indry, inni wierzyli w matampsychozę dusz, ten właśnie rozkład pojęć czynił ich już XIV wieku bezwyznaniowcami.

— Więc — powiedział król Kazimierz — obierajcie swego króla, ja zatwierdzę wasz wybór, i on niech wyda wyrok nad swoim poddanym.

Starzec wyszedł po przed namiot, wstąpił na przygotowane wzniesienie i odezwał się kilkanaście słów w języku niezrozumiałym dla króla, wówczas pomiędzy zgromadzonymi zaczęły się odbywać narady ożywione gestykulacją.

— Teraz, miłościwy królu, prawa nasze każą zostawić ludowi na narady tyle czasu, ile potrzeba na wyschnięcie zmo-

czonej chusty na słońcu — to mówiąc, zanurzył w stojącym naczyniu jedwabną czerwoną chustkę i rozwiesił ją przed namiotem.

Król tymczasem wziął puszkę z kosztownym papirusem, obejrzał ją z uwagą i ciekawością, a nadewszystko żółkły od starości papirus, zapelniony nieznanem pismem.

— Czy nie mógłbyś mi objaśnić znaczenia tych rysunków i brzmienia tego pisma.

— Starzec zbliżył się do stolika, na którym spoczywał dokument i raptem załamując ręce, zawołał:

— Dokument ten nie ma żadnego znaczenia, tak jak człowiek, któremu brakuje głowy — brak mu pieczęci.

— Ona ci ją dostarczy — rzekł Nicolo, pokazując na córkę — wielki Indra okazał moc swoją, zostawiając talizman w rękach prawej właścicielki, kiedy zbrodniarz gwałtownie wydzierając puszkę, uniósł tylko ciało, nie mogąc się dotknąć ducha.

Starzec oddając głęboki pokłon, przyjął podany sobie talizman, ucałował go, jeszcze raz pochylił głowę i rzekł:

— Duch niech ożywi napowrót ciało, z którego uszedł, niech mu nada napowrót moc, którą utracił — to mówiąc, kamień bardzo zręcznie połączył napowrót złotym łańcuszkiem z papirusem, i obracając się do króla, rzekł:

— Nietylko mogę, najmiłościwszy panie, ale obowiązkiem moim jest odczytać głośno temu ludowi słowa wielkiego Indry i wytłumaczyć mu ich prawdziwe znaczenie; czy zechcesz najmiłościwszy panie poczekać na tę uroczystą chwilę, czy też każesz sobie samemu tylko teraz uczynić tłómaczenie; to nastąpi natychmiast, jak tylko wygłoszą wybór nowego króla.

— Poczekał na tę chwilę — odpowiedział król — czy większość głosów tu stanowić będzie o wyborze?

— Nie, miłościwy panie, każdy najędźniejszy nawet żebrak, ponieważ przysięga posłuszeństwo na życie i śmierć swemu władcy, ponieważ ulegać musi jego prawom i los swój

składa w jego ręce, ma prawo głosować na niego, lub oprzeć się jego wyborowi.

— Piękne to — powiedział król — ale na wypadek, jeżeli głosy się nie zgadzają, co wtenczas?

— Dziś od wschodu słońca, aż do chwili, w której nastąpi wybór, nikomu nie wolno wziąć do ust kropli wody, poziomki z pod nóg podnieść, nie wolno zamknąć powieki do snu, ani opatrzyć rany bolącej, aż wybór nastąpi jednozgodnie — lud zna to prawo i do niego się stosując, przedłużać wyborów nie będzie.

— Dobry sposób — rzekł król — głodny żołądek najprędzej potrafi zmusić do zgody.

Tymczasem chustka powieszona przed namiotem, była już sucha, kapłan podniósł ją do góry i zaczął nią powiewać, jednocześnie nucąc jakąś pieśń.

Na ten znak wrzawa pomiędzy tłumami uspokoiła się, zapanowało ogólne milczenie, następnie zbliżyło się dwunastu mężczyzn po jednemu od każdego pokolenia, i jeden z nich rzekł:

— Pokolenie moje za wolą wielkiego Indry i za zgodą wszystkich mężów, obrało sobie na króla córkę Nicola, zrodzoną z Zebedy, w której płynie krew Hamaja wielkiego.

Pięć jeszcze innych pokoleń oświadczyło zgodę bez żadnych zastrzeżeń.

Następne jednak sześć pokoleń, na których władał Hamir, zgadzało się również na wybór, lecz zastrzegło, żeby Hamir był i nadal ich wodzem.

— Hamir jest pod sądem, co król o jego losie postanowi, to się spełni — odpowiedział kapłan — żadnych warunków przy obiorze króla być nie może, jedno tylko słowo ma być wymówione tak, lub nie.

Dowódcy zamienili pomiędzy sobą milczące spojrzenie, jedną małą chwilę namyślali się, nareszcie jeden z nich rzekł:

— Niech się spełni wola naszych braci, i my przystajemy na wybór Czarnej Zośki, córki Nicola i Zebedy.

Wówczas kapłan podeszedł do stojącej niedaleko dziewczyny, uderzył przed nią czołem i doprowadził ją pod otwarte drzwi namiotu; jeden z jego towarzyszy wyniósł płaszcz z piór ptasich, kunsztownej bardzo roboty i okrył jej ramiona, drugi podał jej berło do ręki, sam zaś najstarszy kapłan wziął złotą koronę i pokłoniwszy się przed królem Kazimierzem, podał mu ją. Wówczas dwóch Chaldejczyków wzięło dziewczynę za ręce i doprowadziło ją przed oblicze króla. Włosy jej rozpuszczone, poprzetykane perlami, spadały na ramiona, dziewczyna przyklękła u nóg królewskich, swoje wielkie, łzawe oczy gazeli podniosła na jego oblicze i czekała aż Kazimierz podniósł koronę i włożył na jej głowę.

Okrzyk z tysiąca piersi rozległ się w powietrzu, gdy król Kazimierz śmiejąc się powstał ze swojego tronu i wzięwszy za rękę nowo obraną królową, posadził ją na nim i obracając się do zgromadzonych, rzekł:

— Ja, król polski, nadaję te oznaki królewskie i potwierdzam wybór na króla ludu Deranagari, zwanego u nas cyganami, tu obecną Zośkę, córkę Nicola i Zebedy — dyplom z mojej kancelaryi każę wygotować i doręczyć jej; następcy moi potwierdzać go będą, a dopokąd lud wasz zasługiwać będzie na opiekę naszą, tej mu nigdy nie odmówimy, rozkazy nasze przez waszego króla do was dochodzić będą, a wy macie je wypełniać tak, jakbym ja sam wydawał, gdziekolwiek znajdować się będziecie, czy to nad brzegami Eufratu, czy nad Wisłą albo Duero.

Wszystek lud padł na kolana i uderzył czołem na znak zgody.

— A teraz — zawołał kapłan — ludu Deranagari posłuchaj, co mówi wielki Indra.

To mówiąc, wziął papirus, rozwinął go i zaczął czytać, ale nie czytał go w języku, w którym był napisany, znajomość jego zaginęła już od dawna między ludem, przechowywali ją tylko kapłani — tłumaczył tylko.

— Słuchajcie, co mówi wielki Indra: »Będziesz rozpędzony ludu Deranagari na wszystkie strony świata, boś nie zachowywał przykazań moich, boś zapomniał o ojczyźnie swojej wśród dostatków, o sprawiedliwości wśród potęgi, boś się unosił pychą i deptałeś biednych braci swoich i ciemniżyłeś ich i zamieniłeś ich w niewolników; i odjęte ci będą piękne ziemie twoje, gdzie rosną wonne lotosy, gdzie drzewa wydają kosztowne kadzidła, a słonie białe noszą twoje trony, gdzie ziemia, po której stąpasz, posypana jest złotym piaskiem, a w strumieniach wód twoich, kąpią się kosztowne dyamenty; i w rozproszeniu swoim, doznasz wszelkiego rodzaju nędzy, zimno mrozić będzie twoje członki, straszliwy głód targać twoje wnętrzności, a dzieci narodu, pośród których błąkać się będziesz, ciskać ci będą kości, o które razem z psami walczyć będziesz. Ale ty o ludzie Deranagari, przyjmij w pokorze karę wielkiego Indry, nie zakładaj nigdzie swoich domów, nie bierz się do uprawy roli, ani hodowli trzód, nie mieszkać w miastach, ale niech sklepienie niebieskie będzie twoim dachem, niech dym twoich ognisk wolny wznosi się do nieba i przypomina Wielkiemu Bogu o tobie; używaj wszystkich płodów ziemi jako swoich, bo ten, kto nie posiada, wyłącznie wszystko należy do niego; powietrze jest twojem, którem oddychasz, wody, przez które przechodzisz, dla ciebie płyną, plony, wśród której koczujesz, tobie się kłaniają, stada, które widzisz pasące się na stokach gór i w zielonych równinach, dla ciebie mają wełnę i mięso, a kiedy nieprzyjaciele wśród których żyć będziesz, bronić ci tego będą, ty nie mogąc wiać siłą, weź chytrą swoją, weź rozumem, podstępem, i kiedy długie wieki upłyną twojej niedoli, zjawi się na ziemi Franków mędrzec, równie jak ty ubogi Prudhon, który stanie po twojej stronie i wyrzeczy głośno na cały świat:

»Własność jest kradzieżą.«

»Wszystcy bracia twoi to hasło powtarzać będą, a lud wasz w stokroć się wtedy rozmnoży i przyłącza się do was

wówczas ludy wszelkiego koloru twarzy, mieszkające pod najrozmaitszem niebem i będą śpiewać wszelkimi językami ziemi:

»Własność jest kradzieżą.«

»Będziecie wtenczas bardzo już potężni, bo spółwyznawców będziecie mieli, pośród wszystkich ludów; kult wasz rozprzestrzeni się od bieguna do bieguna i przebrani bracia wasi, zaprowadzą Gieldy wam do pomocy, na nich kupeczyć będą cnotą, majątkiem, honorem, rozślawiać was mową i pismem, a okrzyk na cześć waszą rozlegać się będzie:

»Górá cygany! górá cygany!«

»Aż po upływie krótkiego znowu czasu, zrodzi się na ziemi Lechickiej z waszej krwi nowy mistrz z niczego powstały, Nithske też nazywać się będzie, ten zawoła z wysokości swojego rozumu w niemieckiej mowie: ludy są trzodami bydła, winny służyć tylko do użytku jednego *Nadczłowieka*, a on tylko ma prawo żyć i używać, a jego apostoł wyrzeczce bezczelnie:

»Siła przed prawem.«

»I ludy ziemi rozdziela się na dwie nierówne połowy i zawsze walka śmiertelna pomiędzy obydwoma obozami, wynależą wówczas i robią do tępienia ludzi maszyny ze stali, jakimi nie rozporządzają dzisiaj bogowie i mordować się będą niemi, ziemia zaleje się potokami łez i krwi.

»Zburzą te miasta, z których są teraz tak pyszni, tracą wiedzę swoich nauk i jeden tylko okrzyk z wszystkich piersi rozlegać się będzie:

»Górá cygany! górá cygany!«

»Siła przed prawem!«

»I będzie to chwila waszej najwyższej potęgi, miliony z wami się połączą i wówczas wy zawładniecie ziemią, tak mówi wielki Indra.

»I tak się dzieć będzie, aż zabłyszczą dwudziesty krzyżyk świata, w którym nowy nastanie porządek i w którym już nie będzie się rozlegał okrzyk:

»Górami cygany! Siła przed prawem! ale cześć Ukrzyżowanemu i pokój ludziom dobrej woli!«

— Tak mówi Indra.

Gdy starzec przestał mówić, ucałował pieczęć i rękopism papirusowy i złożył go w ręce Czarnej Zośki.

Wtenczas przyprowadzono przed oblicze władczyni więźnia, ten upadł na twarz i w tej pokornej postawie oczekiwał wyroku.

Nowa królowa nie zdawała się zupełnie zakłopotaną swym nagłym wyniesieniem; przez chwilę spoglądała milcząc na mordercę, nareszcie odezwała się:

— Pierwsze słowa monarchy do swego ludu, winny być zawsze głosem miłosierdzia i przebaczenia. Przebaczam ci więc Hamiro twoją zbrodnię, wstań i idź z moich oczów.

Teraz nastąpiła uczta ludowa; rozpoczęły się tańce przy dźwiękach muzyki cygańskiej.

Królowa Zośka nie zasiadła jednak do wspólnego stołu, lecz przebrawszy się znowu za giermka, udała się wraz z swoim władcą do obozu królewskiego rozpostartego po za górą.

Korona, berło, płaszcz królewski, powierzone zostały na powrót pod straż cyganów.

ROZDZIAŁ IX.

Czerwona Ruś. — Spisek Tatarsko-Ruski. — Jaśko Kmita Sobański.

Czerwona Ruś, ta ziemia mlekiem i miodem płynąca, niedawno przyłączona do Polski, obarczała króla nieskończonymi trudami i kłopotami. Niepokojące wieści ciągle z tamtąd nadchodziły. Król postanowił swoją obecnością zagasić zarzewie buntu, tlejące jeszcze pod popiołami.

Wielu z panów ruskich przeszło na katolicyzm i ci hojnie obdarzeni dobrami godnościami, wiernie stali przy boku królewskim, na czele ich stał jeden z najpotężniejszych rodów ruskich, dom Kmitów Sobańskich, który nawet przyjął herb polski »Szreniawa« — ale i panowie, wierni obrządkowi wschodniemu, byli także potęgą. Daszko, starosta ziemi przemyskiej i Daniel z Ostrowa, nie wahali się już w r. 1344 sprzymierzyć z tatarskim hanem, wystawić potężne wojsko i zmierzyć się z siłami króla Kazimierza, woleli raczej jak dawniej pozostawać w jarzmie tatarskiem, płacić im daniny, a sami panować samowładnie nad ludem i wyciskać z niego jasyr, niżeli w łagodnem poddaństwie Polsce, ulegać prawom i narażać na szwank wyznanie wschodnie, które zdawało im się, że jest zagrożone przez katolicyzm. W owym czasie przybywszy nad Wisłę wraz z Tatarami, nie mieli jednak odwagi przepłynąć rzeki, widząc poważne siły królewskie zgromadzone na lewym jej brzegu, rozpuścili więc tylko z Tatarami zagony, niszcząc własny kraj i swoich współwyznawców.

Tu zginął jeden z najdzielniejszych rycerzy czasów Kazimierza W., Wojciech Czelej z Wrzawy i Sepnicy, wojewoda sandomirski herbu »habdank«.

Wówczas król niedobycwszy prawie oręża, zwyciężył bunt i wspaniałomyślnie sprawcom jego przebaczył. Może właśnie ta łagodność króla była przyczyną, iż magnaci ci nie ustawali w swoich knowaniach; inaczej rzecz się zupełnie miała z ludem, łagodne prawa polskie wzięły go w opiekę od przemocy panów, wytworzył się więc stosunek wcale przyjazny pomiędzy rządem a ludem.

Krół teraz postanowił nawiedzić Czerwoną Ruś z okazałym poczem rycerzy i wojska; nie była to jednak wyprawa wojenna, ale groźna manifestacya. Orszak królewski złożony wprawdzie był tylko z 200 koni, ale 2000 wojska ciągnęło za nim w ślady.

Cudne to były ziemie, na które wstąpiły oddziały polskie; pyszne równiny falowały teraz kłosami zboża, słoma gięła się

pod ciężarem ziarna, a pola te oprawne naokoło w ciemne ramy lasów, w których zanurzały się wojska, zachwycaly oko.

Tu dąb odwieczny roztacza wspaniale konary, a na gałęziach jego połyskuje złota żołądź, a wewnątrz pełne plastrów miodu.

Gdy wojska przebyły tylko brzegi krętego Sanu, rozpostarły się przed nimi lasy, po których błędzą trzody rok cały, na zimę tylko spędzane do obory, a wody Sanu kotłują się od gromad niepoliczonych ryb. W lasach tych niema ścieżek, dziki zwierz chyba, albo zabłąkane bydle, zostawia ślad swojego przejścia. Dęby pokrywają pagórki, olszyna brzegi strumieni, przy krynicy nuci słowik, setki ptaków unoszą się w powietrzu, szpak, szczygieł, makolągwa, dziki gołąb grucha na wierzchołku sosny, a na wiotkiej leszczynie jęczy trukawka; wszędzie radość i swoboda, a jeżeli rozlegnie się pieśń pasterza, las odpowiada mu echem i odśpiewuje. Bór, ta wspaniała świątynia natury, potężna swoim majestatem, poważna swoją starością, a nie przechodząca nigdy w zgrzybiałość, chociaż pierwaj Bóg stworzył ją jak człowieka.

Bór żyje tu, oddycha milionami liści, życie kipi wszędzie w jego tajemniczych przybytkach.

Lasy te nieprzebyte łączą się dalej z borami litewskich już ksiąząt i idą precz! hen! po za Busk, Horodel, Sokal, i jego bagna pełne żurawi, aż po Drohobuz i Chełm; puszcze to były wówczas bezdenne, a bogate niesłychanie rozmaitością rodów — tu rosną modrzewie, jawory, jesiony, klony, topole, jeżowniki, tarnie, derenie twarde, powiewna leszczyna, buki i lipy, więzy i brzezina ¹⁾).

Tutaj wieśniak nie używa żelaza do okucia wozu, idzie do lasu i prowadzi za sobą konia na uzdeczce z lipowego drzewa, puszcza go na bujne trawy, z których mu zaledwie uszy widać, zdejmuje torbę z pleców, wyjmuje topór i świder za pasa i bierze się do roboty wozu.

¹⁾ Opis Czerwonej Rusi odtworzony jest podług Roxolanii-Klonowicza i obyczaje tamtejsze.

Z dębu robi obody do kół, z brzozy dyszel, z jesiona inne części wozu, oprócz osi, które szykuje z dębu hartowniejszego jak stal.

Przez czas roboty swojej ma pieczony placek, plastry miodu pod ręką, derenie, poziomki, grzyby.

Na konia sporządza uprząż z lyka lipowego, kręci młode dębeczaki na postronki i po tygodniu pracy jedzie do domu wozem, który go nie nie kosztuje, zaprzężonym w tego samego konia, którego bez jednego rzemienia lub postronka zaprowadził do boru. W całym tym wozie niema ani jednego gwoźdźcia z żelaza; nie smarowany on niczem, to też osi skrzypią, jęczą rozdzierającym głosem, o milę już slychać, gdy powraca do domu, z wozem własnej roboty, naładowanym czem się przygodzi.

Tym samym sposobem robi i sochę do orania ziemi, w lipowe jarzma zakłada sześć par wołów, wyhodowanych w lasach i kraje ciężkie ziemie Podola, które mu stokrotnie oddają plony.

Stada kóz brodzą po lesistych trawach, a jeżeli wilk napaść się na nie odważy, to rogi ich nauczą śmiałka na drugi raz być ostrożniejszym.

Tu lud żył wówczas prawie w pierwotnym stanie natury; tu grzech zabijać cielka od krowy, którą ssie; pasterze doją krowy w lasach, wlewają mleko w koźle skóry, zaszywają i kiedy w mleku zalegną się robaki i roją się jak w mrowisku mrówki, zajądają z apetytem żywą potrawę, którą nazywają bryndzą.

Człowiekowi oszczędza pracy w udoju wąż leśny, po mału po nodze czolga się aż do wymienia krowy, splotami swojemi opasuje jej nogę i wzięwszy delikatnie w pyszeczek wymię, wysysa słodki nektar; krowa z początku rzuca się, ale nie jest w stanie pozbyć się nieproszonego stołownika; wkrótce przywyka do niego, tęskni za nim, kiedy go nie widzi i pędzi w to miejsce, gdzie ją czeka ulżenie ciężaru, i dopotąd się to powtarza, aż właściciel dostrzeże te nieprawie

związki i nie rozmiażdży lba gadzinie. Tu w lesie, pod cieniami drzew tańczą z nożem w ręku pastusi i w tejże samej chwili dzieciaki jak wiewiórki przeskakują z gałęzi na gałęź, dla swywoli lub narwania jemioly, z której wyrabiają lep na ptaki.

A cóż tu dopiero mówić o państwie zwierzęcem, tu włóczy się czarny niedźwiedź, żarłoczny wilk, tu puszysty lis goni pierzchłego zająca szarego lub białego, tu sobole się przemyskają, po drzewach skaczą kuny i wiewiórki, a w jamie zakopany leży tłusty borsuk, z którego zarówno pożyteczne sadło jak i skórka.

Długo, długo trzebaby mi wyliczać bogactwa tej bogatej ziemi, a gdyby mi przyszło wspomnieć o kamieńcu zawieszonym na skale — o starym Kijowie z jego pieczarami, z jego ziemią krwią tysiąc razy zboczoną najrozmaitszych ludów, to przeciagnąłbym moją opowieść w grube bardzo wolumina.

Kiedy oddziały polskie zbliżyły się już pod wspaniałe mury Lwowa, kiedy już chorągiew królewska, niesiona jak zwykle przez Ligięzę, pokazała się na wzgórzu, od bram miasta wyłonił się drugi równie wspaniały orszak panów ruskich, bogato ze wschodnim przepychem ustrojonych — na czele ich jechał Jaśko Sobański Kmita, najpotężniejszy wówczas magnat na całej Rusi Czerwonej; obok niego jechał również na koniu Mikołaj z Krosna, rusin, przeor Dominikanów z Sandomierza, który następnie został przemyskim biskupem, dalej liczny poczet panów, a każdego orszak oddzielnie się rysował na pięknem tle urodzajnej ziemi. Stroje tu przeważały wschodnie, przejęte od Turków i Tatarów, z którymi blizkie sąsiedztwo i ciągle stosunki handlowe, ułatwiały zamianę towarów jak i obyczai.

Obydwa orszaki zatrzymały się; panowie posiadali z koni i szli piechotą złożyć cześć swojemu panu. Nie jednakową jednak miarę zachowali w oddaniu tej cześci. Sobański Kmita zatrzymał się na koniu i tylko po wojskowemu oddał honory. Przeor Dominikanów wzniosł krzyż do góry, a następnie nie

zsiadając z konia przeżegnał króla i cały jego orszak; inni jednak panowie na sposób ruski uderzyli o ziemię czołami i w tej pokornej postawie, podali mu chleb, sól i klucze od bram miasta.

Król przyjął łaskawie podane sobie dary, przemówił kilka słów, na długą mowę, którą miał do niego Daniel z Ostrowa. Orszaki Rusinów rozstąpiły się na boki, a król wjechał w bramę miasta i pomalu przejechawszy obok budującej się dopiero najokazalszej z świątyń ruskich, cerkwi świętego Jura na górze, wjechał na zamek.

Zamek lwowski jakkolwiek w r. 1340 doznał silnego spustoszenia, a skarby w nim znalezione, nagromadzone przez starożytnych książąt Rusi zostały zabrane do Krakowa, nie był jednak ubogim, chociaż zeń wywożono furami złoto, srebro, perły, drogie kamienie; wówczas także wywieziono dwa krzyże złote, z częstką drzewa Chrystusa, dwie korony złote, nabijane brylantami wysokiej wartości, berło wysadzone perłami i turkusami z kości słoniowej, złota i klejnotów.

Wtenczas także dostały się Polsce, jeszcze kosztowniejsze perły: Przemyśl, Halicz, Łuck, Sanok, Lubaczew, Trębowla i Tustań,

Jakkolwiek tak огоłocony, zamek jednak Włodzimierza Wielkiego nie świecił pustkami, było się tu jeszcze gdzie pomieścić, było się tu czemu przypatrzyć, król więc i jego orszak znaleźli wygodne pomieszczenie.

Panowie ruscy sadzili się na okazale przyjęcia, wszystkich jednakże przewyższał tak swojemi bogactwami, jak i rozrzutnem ich szafowaniem Jaśko Kmita, pan na Sobaniu, zwany już podówczas Sobańskim, z młodziutkim synem swoim także Jaśkiem, który był potem starostą Sieradzkim i wslawił się pokonaniem Władysława Białego, mnicha.

Król ochoczy był i do kielicha i do uczty, przyjmował więc w zabawach szczerzy udział, nie zapominał jednakże o sprawach kraju i drobiazgowo badał usposobienie ludu i szlachty ruskiej.

Spory z biskupem krakowskim nie były dotąd załatwione, klątwa wyrzeczona przez Bodzantę ciążyła nań i paraliżowała niejedną z jego prac dla dobra kraju. Król ani na jeden krok nie chciał ustąpić — Bodzanta równie był uparty; Awinion miał dopiero wszystko rozstrzygnąć, do którego szycowało się poselstwo, a rozstrzygnięcie to ważyło o losach może całej Słowiańszczyzny.

Król z uwagą śledził obrządek wschodni na Rusi, nie tylko bywał na nabożeństwie w katedrze ruskiej, założonej przez Włodzimierza Wgo, ale i w ormiańskiej istniejącej tu już od r. 1200 i nawet hojnie je uposażał. Ormianie wówczas na Podolu mieli już 16 kościołów — tolerancja jego religijna rozpościerała się nawet na synagogę żydowską.

Król wspierając obrządek wschodni, chciał pokazać całej Czerwonej Rusi, że nie myśli bynajmniej przymuszać ją do przyjęcia katolicyzmu. Wieści te krążyły uporeczywie rozsiewane przez nieprzyjazne stronnictwo panów, na czele których stało dwóch magnatów Danił z Ostroga i Daszko.

Wprawdzie jeszcze w XIII wieku, kanclerz Iwo Odrowąż z Końskich, wysłany był przez Innocentego III na koronację Kolomana węgierskiego jako króla Czerwonej Rusi, która uznała się do Unii z Kościołem rzymskim, a lubo następnie Daniel Romanowicz wypędził Kolomana z Czerwonej Rusi i sam koronował się w Drohiczynie, uznając Papieża za głowę Kościoła, katolicyzm jednak nie upowszechnił się pomiędzy Rusinami, fanatycznie przywiązanymi do swoich obrządków wschodnich.

Z tego zawsze korzystali ludzie złej woli i starali się osłabić związki przyjazne pomiędzy Koroną a Rusią.

Zbrojny ruch w r. 1344 szlachty, wspierany potężnymi siłami Tatarów, nie udał się i nie znalazł sympatyj u ludu, bo tysiące Rusinów uprowadzili wtedy pohanicy w jasyr, ale zarzewie buntu nie wygasło dotąd.

Król okazując tyle sympatyj wyznaniu wschodniemu, pragnął pokazać Bodzancie, że ma materyalny punkt oporu na Rusi, bo niejednokrotnie dawał się słyszeć, że jeżeli Awinion

nie przychyli się do jego prośby, to o drogę do Konstantynopola nie będzie pytał, a sympatye, jakie posiadał u ludu wiejskiego, nadawały znaczenie tym brawurom i kazały się z niemi rachować.

Jakie były prawdziwe myśli króla, nikt tego nie wiedział, to tylko pewno, że mniej dbał o swoje posiadłości na zachodzie, czego dowodem tak łatwe ustąpienie bez walki ziemi Pomorskiej Krzyżakom i łaskawe stosunki z książętami szlaskimi. Całe parcie swojej polityki kierował na Wschód, idąc śladami Bolesławów, a przyłączając Czerwoną Ruś i Wołyń, rozpościerał dalekie wpływy na Słowiańszczyznę.

* * *

Na zamku Daniła z Ostrowa, w jednej ze starożytnych komnat sklepionych, siedziało trzech mężów zajętych ważną naradą.

Komnata miała okna zakratowane potężnymi sztabami żelaza; wychodziły one na ogród, a kępy bzu rozrastały się tuż za niemi i zasłaniały widok. Noc już była późna i ciemna, deszcz lał strumieniami i wiatr uginał wierzchołki drzew.

Na stole stały dzbany srebrne pełne miodu, a trzy puhary, również z tego samego metalu, napelnione po brzegi, stały nietknięte.

Gospodarz domu Danił, mąż potężnej prawicy, rozrosły jak tur z posrebrzanemi już włosami, siedział na dębowem krześle — głowa jego była zupełnie wygolona, na samym tylko czubku zostawiony był promień włosów, w długim warkoczu spadający mu na ramiona — twarz również była wygolona, potężne tylko wąsy żółte, tak długie, że końce ich możnaby pozakładać po za uszy, zwisłe jednak na dół, nadawały ponury wyraz tej twarzy wyschniętej, na której liczne zmarszczki się fałdowały — jedno tylko siwe oko było w ruchu, drugie utraczone w jakiejś utarczce, zakrywał czarny plaster.

Drugi siedzący Daszko, przyjaciel i towarzysz wszystkich czynów Danila, pan potężny swemi bogactwy, stanowił zupełny kontrast z poprzedzającym.

Był to człowiek w sile wieku, bo jeszcze nie dosięgnął pięćdziesiątki, wzrostu był prawie mniej jak miernego, ale tak potężnej tuszy, że krzesło, na którem siedział, trzeszczało za każdym jego poruszeniem — na bawolim karku spoczywała równie ogromna głowa, pokryta długimi gęstymi włosami, a czerwona broda szeroko rozpostarta na piersiach, nadawała mu wyraz dobroduszny, gdyby nie oczy migotliwe w ciągłym ruchu, przeskakujące z przedmiotu na przedmiot, przytem garb potężny sterczał na jego plecach — szeroka, krzywa szabla turecka zawieszona była u boku.

Ubiór jego był poważny czarnej barwy, sięgający do kostek, ściśnięty tylko bogatym pasem, przy czerwonych butach z długimi zagiętymi w górę nosami, sterczały srebrne ostrogi, któremi niecierpliwie krajał kobierzec rozciągnięty na podłodze.

Na boku na rozciągniętych poduszkach, pokrytych bogatym dywanem, z nogami skrzyżowanymi pod siebie, siedział młody Tatar, śniady, zawiędły — twarz jego prawie była bez zarostu, wąskie usta prawie zaciśnięte i czarne jak smoła małe oczy, przymknięte, zamglone zdawały się pokazywać człowieka oddanego leniwej drzemce — zdawało się, że nie zważa na to co mówią obok niego, cały zajęty gryzieniem rodzynków i popijaniem z swojego kufła miodu; obok niego leżał miecz krzywy w prostej oprawie i luk z sajdakiem napelnionym strzałami — ubiór jego był zaniedbany, znać na nim było zarówno deszcze które go plukaly, jak i promienie słońca, które je wysuszyły.

— Pociście mnie wezwali? — zapytał podnosząc leniwo głowę tatar.

— Chcemy rozstrzygnąć sprawę zarówno ciebie jak i nas obchodzącą.

— Słucham więc — mówcie.

— Czyż potężny Chan ścierpi tak spokojnie, że król Lachów zabrał krainę należącą do niego, która mu dotąd haracz płaciła.

Chan uśmiechnął się nieznacznie, lecz nie odpowiedział.

— Wypędzili was z Czerwonej Rusi — odezwał się gburowato Daszko — wasz książę zachodzi za chmury czarne, a was razem z nim Lachy przepędzą za granice Europy.

— Nie prawda — powiedział Chan — nasz książę i wiara proroka posuwa się jak zalewające brzegi morze, już zdobyliśmy Adryanopol, a niedługo chorągiew proroka zatknjemy na murach Konstantynopola.

— To Turcy zrobili, i może dokonają reszty, o której mówisz, ale wy Tatarzy jak psy gończe tylko im pomagacie, a oni polują wami dla swoich zdobyczy — znowu złośliwie, widocznie chcąc podrażnić Tatara, odezwał się Daszko.

Chan na te słowa, jakby go tarantula ukąsiła, zerwał się i rękę położył na rękojeści szabli:

— A wy co chcecie? wy także pragniecie nami jak psami gończymi polować Lachów.

— Nie gniewaj się Chanie — rzekł, przystępując do niego Danił — my chcemy napowrót Ruś oddać pod twoje władztwo, powrócić ci daniny, które pobierałeś, a sami być twoimi lennikami, bo pod twojem władztwem nie grozi naszej religii zatrać; wy dobrzy jesteście panowie, wam dosyć zapłacić daninę i dać jasyr do waszych haremów, a w sprawy religijne nie mieszacie się i pozwalacie żyć każdemu jak mu się podoba.

— My wojny teraz nie podniesiemy przeciw Lachom, padyszach wezwał nas do pomocy w imię Proroka; cośmy zyskali na wojnie, do której namówiliście nas? z Kazimierzem my teraz poładzimy, nie chcemy teraz wojny.

— I my wojny nie chcemy — odezwał się Danił — i my wiemy, że teraz nie pora na nich uderzyć, długi pokój zapewnił im dostatki, i rozrośli się potężnie, my wojny z nimi nie chcemy teraz, ale cała ich potęga, to jeden człowiek, który nad nimi panuje, którego oni kochają i który ci wydarł daniny — usunąć jego, a z Lachami damy sobie radę.

— Przecież go macie pomiędzy sobą, czemuż go nie usuniecie? ile on ma wojska z sobą?

— Nie całe trzy tysiące.

Chan szepnął z pogardą.

— Trzy tysiące — rzekł — a was jest tysiąc razy tyle, nędzne zające.

Daszko chciał znowu odezwać się i drażnić Tatara swym szyderstwem, ale Danil nie dopuścił go do głosu.

— Powiedzieliśmy ci Chanie, że my teraz nie chcemy wojny, oddział króla moglibyśmy zgnieść w przeciągu dnia jednego, ale cóżby z tego wyszło? wojna z Lachami, a my jej teraz nie podolamy jeszcze.

— Więc czegoż chcecie? — zapytał Tatar zdziwiony.

— Chcemy twojej pomocy do usunięcia Kazimierza, bez narażenia się na wojnę.

— Mojami rękami, chcecie grzebać w rozżarzonych węglach?!

— Tak, ale ci za to dobrze zapłacimy, a ty nie narazisz się na żadne niebezpieczeństwo.

W tej chwili po za oknem komnaty, pokazała się jakaś twarz na chwilę i znikła w bżowym krzaku, deszcz i wiatr stłumiły wszelki szelest.

Tatar jednak obejrzał się, ale w tej chwili gałąź bzu poruszona wiatrem uderzyła po szybach.

— Mówcie więc — powiedział, biorąc garść rodzyneków i pakując je w usta.

— Słuchaj więc Chanie uważnie, bo każde nasze słowo warte jest sto dukatów, za pięć dni król polować będzie w puszczy około Kozłowca nad brzegami Dniestru, na zabawę tę wyjedzie najwyżej w sto koni, drugie tyle będzie miał zapewne Kmita; zasadź w bagnach Dniestrowych swoich dwa tysiące ludzi, oni wybornie ukrywać się umieją, orszaki będą rozsypane w puszczy. Król, który namiętym jest myśliwcem, pójdzie za moim głosem, kiedy mu powiem niespodzianie, iż wiem ostep, gdzie ma swój barłóg ogromny czarny niedźwiedź,

a wówczas dam sygnał na trąbce, a dwa tysiące strzał skierowane w pierś jednego człowieka naszpikuje go tak, że nie potrzeba będzie nawet użyć szabli.

Ty dostaniesz jasyru dwa tysiące dziewcząt, a postaram się, żeby owoc był godny ust twoich, potężny Chanie, nadto wypłacę ci ze skarbca mojego trzydzieści tysięcy talarów, i wszelkimi siłami dopomogę ci do odebrania zaległych nawet danin, jak tylko Lachy ustąpią, a ustąpić muszą, gdyż jak odebrałem pismo od Maćka, wojewody poznańskiego i on tam z Krzyżakami gotuje odwiedziny, czekają tylko, żebyśmy się tu załatwili z królem.

Chan nie nie odpowiedział, milczał, oczy miał zamknięte, usta przestały się poruszać, zdawało się, że najspokojniej zasypia.

Obadwa Rusini nie przerywali milczenia, wiedzieli oni dobrze, że pod tą wschodnią ospałością, wiruje chytry potok myśli, że potrzeba mu zostawić pewien czas, żeby się wyfermentował; nareszcie Chan podniósł ociężałe powieki, wyciągnął rękę do pułara z miodem, i przyłożywszy go do ust wysączył do dna.

— Wyście rzekli, że król ma być wzięty w jasyr?

— Nie, myśmy mówili, że ma być zabity.

Chan uśmiechnął się nieznacznie, wiedział on, że jasyr obiecuje mu więcej zysków, i postanowił już, że gdy odbierze od Rusinów umówioną cenę zbrodni, nie mu nie będzie przeszkadzać, wzięwszy króla w niewolę, zażądać od niego bogatego okupu.

— Więc mówicie, że za pięć dni, nad Dniestrem, w puszczy Kozłowieckiej?

— Ty rzekłeś możny Chanie.

— Będę tam z moimi ludźmi, a teraz odrachujcie pieniądze.

— Jak sprawa będzie skończona i pomyślnie uda się przedsięwzięcie.

— A jak się nie uda! — zawołał Chan gniewnie, zrywając się — jak się nie uda, to ja mam stracić moich ludzi, ryzykować moje życie, a wy spokojnie dopijać będziecie swoich puharów, na taką ugodę nie przystaję!

— Dobrze, Chanie potężny, damy ci połowę zaliczenia, ażebyś miał czem obetrzeć oczy na wypadek niepowodzenia, drugą połowę przy skutku.

Chan usiadł napowrót na poduszkach i odpowiedział:

— Połowę jasyru z dziewcząt dać mi teraz nie możecie, o zaległych daninach ani o bieżących mowy teraz być nie może, a to stanowi więcej jak połowę obiecanego wynagrodzenia; pieniądze więc natychmiast dać mi musicie, a że srebra tyle unieść nie potrafiłbym, więc dajcie mi odpowiedni zastaw w klejnotach i perłach, to jest moje ostatnie słowo.

Rusini z podelba na siebie spojrzeli, Daszko kiwnął nieznacznie głową na znak zgody i Danil nie mówiąc wyszedł. Wkrótce powrócił niosąc pod pachą szkatułkę, otworzył ją i wysypał na stół brylanty. Oczy Tatara zapalały niezwykłym blaskiem na widok tylu skarbów.

— Wybieraj Chanie potężny, ażebyś miał dowód naszej dobrej wiary.

Pomiędzy rozsypanemi klejnotami na stole, błyszczał ogromny dyament, który rzucił tak silne promienie na środek komnaty, że zdawał się rozżarzonym węglem.

Chan nie mówiąc, wziął drogocenny kamień do ręki i bacznie mu się przypatrywał.

W tym samym czasie, człowiek będący za oknem, podniósł się i tak przyłożył twarz do szyby, że gdyby którykolwiek z obecnych obejrzał się, niezawodnie byłby go spostrzegł.

— Ten kamień pochodzi ze Wschodu — powiedział Chan — widzę to po jego oprawie i wystarczy mi do zawarcia z wami przymierza — to mówiąc, wydobyl z bocznej kieszeni mały woreczek, kamień w niego schował, przypasał szablę i skierował się do wyjścia.

— Więc za pięć dni pod Kozłowem, nad brzegami Dniestru?

— Moje Tatary tam będą — odpowiedział Chan — pamiętajcie tylko w sieci naganiać mi zwierzynę — i nie żegnając się opuścił komnatę.

Danił wyszedł z nim razem, otworzył drzwi do ogrodu, przeszli około człowieka ukrytego w zaroślach i zbliżywszy się do furtki w murze, wyszli na pole.

Chan świsnął zeicha, natychmiast rozległ się tentent i oddział kilkudziesięciu jeźdźców zjawił się, jakby wyrosły z pod ziemi.

Tu dopiero Chan podał rękę dumnemu panu i dosiadłszy konia, nie zważając na ulewę, zwolna oddalił się na czele swego oddziału.

— Czy ten chytry Tatar nie wyprowadzi nas w pole? — zapytał Daszko uchodzącego Daniła.

— Za dużo jeszcze ma do zyskania, a za mało ryzykuje, a zresztą ludy wschodnie zawsze są wierne raz danemu słowu.

— Teraz i nam się rozstać trzeba — powiedział Daszko. — Jutro ja wydaję wieczerzę na uczenie króla, pojutrze ciebie czeka ten zaszczyt; ale przyszła mi nowa myśl do głowy, czy nie pewniejby było zadać mu truciznę w której z potraw?

— To niepodobna — odpowiedział Danił — któż go wie, którą on potrawę jeść będzie, a zresztą samemu gospodarzowi potrzeba pierwszej kosztować, uważałem zaś, że na uczcie nawet u tego zdrajcy Kmity, podczaszy jego przed każdym nalaniem wina, puhar mocno wyciera serwetą, więc jeżeli tam, gdzie nie może być najmniejsze nawet podejrzenie, zachowują takie ostrożności, to czegoż się dopiero spodziewać u nas, których jakkolwiek głaskają, ale nam nie wierzą.

— Więc lepiej będzie tak, jak my już z Chanem ułożyli.

Daszko powstał, podał rękę gospodarzowi, a ten zgarbawszy klejnoty do szkatulki, razem z nim opuścili komnatę.

Człowiek stojący w ogrodzie, podniósł się teraz, z sukni jego lała się woda strumieniami, zdawał się jednak nie zważać na to zupełnie — cichaczem ponad murami zamku prześlizgnął się, w końcu muru wdarł się jak wiewiórka na rosnące drzewo, z niego przeskoczył na mur i ztamtąd słychać było skok na ziemię.

Danił powróciwszy do swojej sypialni i zamknąwszy puszkę z klejnotami w skrzyni, szerokimi krokami zaczął się przechadzać po komnacie.

Grę rozpoczynał bardzo niebezpieczną — już raz porwał się na potęgę królewską i haniebnie uciekać musiał z pola bitwy i tylko wspaniałomyślności królewskiej, winien był życia i majątek — teraz wprawdzie nie występuje jawnie, wszystko mądrze jest ukartowane, w razie powodzenia tryumf zupełny, w razie klęski, któż mu udowodnić potrafi, że on brał udział w tych intrygach. Chan przecież nie da się złowić i zapewne nawet sam osobiście nie będzie się narażał, a jeżeliby wymordowano Tatarów, chociaż ich będzie dziesięciu na jednego, to żaden z nich nie na niego powiedzieć nie potrafi, bo nie wie, a jeżeli podejrzenie będą mieli na niego, to pojmanie jeszcze nie dowód, za podejrzenie nie idzie się na szubienicę.

Uspokojony zupełnie, rozebrał się, nie wołając szatnego; upadł na kolana przed starym, w srebrnych ramach obrazem Chrystusa w Ogroju i bił pokłony z taką siłą, że marmurowa posadzka zdawała się jęczyć z nim razem.

Po stu pokłonach powstał z ziemi, z pokorą ucałował obraz i mówił:

— Ty widzisz Chryste! że ja w obronie wiary Twojej powstaję! — Hospody pomiluj! Chryste pomiluj!

*

*

*

— Cóż tam moja królowa — mówił Kazimierz, wyciągając się na sofie, założonej na sposób wschodni poduszkami — coż tam Wasza Królewska Mość ma za raporta z ziem jej podległych?

Zośka Czarua, do której były obrócone te słowa, w tym samym ubiorze giermka, w którym my ją widzieli, stała obok wezglowia i pilnie wpatrywała się w oblicze króla.

— Siadaj tu — powiedział Kazimierz, wyciągając do niej rękę — tak mnie ten cały dzień przyjąć, załatwień rozmaitych interesów umęczyl, że z przyjemnością posłucham twojej gwary; umiesz bajki, opowiedz mi z nich którą.

— Dobrze, miłościwy panie, ale daj mi swoją rękę lewą od serca, będę ci z niej wróżyć.

— A ja cię potem każę za to spalić jako czarownicę, jeżeli się sprawdzi, albo jako wiedźmę, żartującą z króla, gdy inaczej wypadnie.

— Mnie się ogień nie imie mój panie miłościwy, i stos Templaryuszów zagasiłam, gdy mnie już miały pożreć płomienie, i teraz wiem dobrze, że w tych dniach stanie się coś ważnego dla ciebie panie, dlatego proszę cię o rękę.

Król śmiejąc się, wyciągnął do niej prawicę.

— Nie tę, miłościwy królu, ta należy do twego ludu, tą wynagradzasz i karzesz, w niej trzymasz nagrodę i miecz, ja proszę cię o rękę od serca.

— No masz ją czarodziejko, a pamiętaj, że czy tak, czy owak, czekają cię płomienie.

— Twoich pocałunków — odpowiedziała kobieta, biorąc dłoń króla i pilnie jej się przypatrując.

— Za pięć dni nastąpi stanowcza chwila w twojem życiu, zagrożony jesteś mieczami i zdradą, widzę tłumy, nacierające na jednego, on dzielnie się broni, we krwi stoi po kolana, trupy leżą obok niego, ale to darmo, ulegnie liczbie, na miejsce jednego, dziesięciu przybywa. Królu wielkiego ludu, nie jedź do Kozłowskiej puszczy na polowanie.

Na te słowa, król zdziwiony, na pół podniósł się z sofy i bacznie wpatrując się w oczy mówiącej, zapytał:

— Do Kozłowskiej puszczy powiadasz! z kąd ty wiesz, że nad Dniestrem mam zamiar polować, czy na lewej mojej ręce napisane Kozłowiec, Dniestr?

— Więcej jak napisane, wyryte, że tam czeka na ciebie zdrada.

— Nie straszna zdrada, kiedy się o niej wie pierwej; mów wszystko co wiesz dziewczyno, ale najpierwej mi powiedz, z kąd wiesz o zamiarze moim odbycia łowów w tej miejscowości, o tem mówiłem zaledwie z kilkoma panami, a służba jeszcze nie ma wydanych rozkazów do przygotowań.

— A pomiędzy nimi znalazł się zdrajca, który czeka na twoją zgubę.

— Tam tylko było, o ile sobie przypominam dwóch panów na Sobaniu, a ci nieposzlakowanego są honoru i dworzanie z mojego otoczenia.

— Był jeszcze ktoś trzeci z ruskich wielmoży, co chociaż ma tylko jedno oko, widzi niem jednak tyle, że starczy za dziesięciu ostrowidzów.

— Danil z Ostrowa! — zawołał król — ależ on zdaje mi się oddany z duszą i ciałem.

— A jednak, nie ufaj mu miłościwy panie, on knuje zdradę.

— Mów więc wszystko, co wiesz.

— A więc posłuchaj mnie panie, twojej niewolnicy oddanej ci na życie i śmierć, a jednak pani życia i śmierci ty sięcy — moja to królewska władza, z której sobie żartujesz, dała mi sposobność odkrycia spisku, uknowanego na twoje życie.

— Czy tak daleko już szzło? znać, że nie jestem w Polsce, tam otwarcie porywają się do szabli i walczą, tu zaś przyzwyczajają chytry pomysł i knują zdradę, obwijając ją w jedwabne słowa.

— Na dworze Danila z Ostrowa, jak również prawie na wszystkich dworach tutejszych panów, utrzymywaną jest kapela, złożona z moich rodaków cyganów — cygan małą rzeczczą się zadowolni, karmią ich jak psów, i każą im być wiernymi, jak psom.

Muzyka jest naszą tajemniczą sztuką, którąśmy przynieśli z krainy wiecznego słońca, z nad brzegów złotego Gan-

gesu, cygan w niej wypowiada wszystko co go boli, co go cieszy, czego się spodziewa, czem się smuci. W niej wyraża swoją miłość i swoją zemstę, w niej prosi o litość i ciska pogardę w oczy tym, którzy ją słuchają i nie rozumieją znaczenia, to nasza jedyna broń, którą nam jeszcze waleczyć wolno i w której nas nigdy, nikt nie zwycięży — na dworze więc Daniła, jak mówiłam, znajduje się cygańska muzyka, dla zabawy gości i rozweselenia pana. Jeden z muzykantów, włączając się wczoraj wieczorem po sadybie zamkowym, jak to jest w naturze cygańskiej, usłyszał czujnem swoim uchem głuchy tentent zbliżającego się oddziału jeźdźców, oddział posuwał się bardzo pocichu, ale co zdziwiło cygana, to to, że tamtędy droga wcale nie idzie, a ciągną się błonia, łączące się z lasami — noc się robiła już ciemna, ale cygan ma kocie oczy, zarówno widzi przy blasku słońca, jak i kiedy księżyc zakryją chmury.

Cygan wdarł się na mur ogrodowy, położył się na nim, zdaleka spostrzegł, że zbliżający się byli to Tatarzy, miał się już zsunąć z muru i dać znać o zbliżającym się nieprzyjacielu, gdy z największem swoim zdziwieniem, poznał w jadącym na przodzie jeźdźcu ruskiego wielmożę Daszka, obok niego jechał jakiś starszy tatarski i swobodnie z nim rozmawiał.

Cały oddział zatrzymał się za murami ogrodu, dwóch tylko jeźdźców zsiadło z koni, reszta pozostała nieruchoma na siodłach.

Daszko z Tatarem zbliżyli się do furtki ogrodu. Ruski wielmoża wyjął klucz z kieszeni i otworzywszy nim furtkę, wprowadził Tatara do ogrodu. Noc nastąpiła burzliwa, deszcz zaczął lać potokami, cygan więc swobodnie posuwał się za idącymi, niespostrzeżony od nich, ale ci wkrótce weszli do sieni i zniknęli we wnętrzu — postanowił więc napowrót wleźć na mur i ztamtąd śledzić, co się robi z oddziałem tatarskim, ale zaledwie zdążył się tam ulokować, że zdziwieniem spostrzegł, że jedna z dolnych komnat zamku, które w ważnych tylko

chwilach zostają otwierane, nagle została oświetloną, on znalazł zwyczajnie domu, wiedział, że do niej wstęp ma tylko sam pan zamku, i że komnata ta dotyka skarbcza — ześlizgnął się więc czempredziej z muru i podpełzł pod okratowane okno komnaty, krzaki w tem miejscu rosnące, wybornie go zakrywały, mógł więc bezpiecznie widzieć co się dzieje we wnętrzu. Zobaczył więc najprzód hajduka przynoszącego dzbany z miodem i pułhary do picia, potem przyniesiono jedwabne poduszki i ułożono je pod ścianę, służący oddalił się, a do komnaty weszło trzech ludzi, był to pan zamku Danił, Daszko i świeżo przybyły Tatar, a musiał to być znaczny jakiś człowiek, bo obydwaj panowie, bardzo nisko mu się kłaniali; wówczas cygan, ryzykując nawet swoje życie, przysunął się do samego okna i zamieniwszy się cały w ucho, wysłuchiwał naradę zdrady i widział jak Danił przyniósł klejnoty, jak Tatar wybrał sobie z nich jeden na zadatek, słyszał, jak się umówili o jasyr z kobiet, o haracz, a nadewszystko o śmierć twoją panie.

Teraz wiesz wszystko, mój królu miłościwy, com ci miała wywróżyć, teraz każ spalić czarownicę, ale nie daj się, ty lwie wspaniały, zaplądać w sieci pajaków.

Król wysłuchiwał całego tego opowiadania z uwagą, ale bez zadziwienia; zdrada taka w owych czasach nie była rzeczą nadzwyczajną, w Polsce jednej, może najmniej jednak we wszystkich krajów Europy, była praktykowana.

Tu jednak była ziemia ruskich książąt, przywykłych pomiędzy sobą do mordów; ziemia, na której wpływy Litwy, Węgrów i Tatarów o ścianę już graniczą z dziecią, inne więc tu były obyczaje. Wpływy wyobrażeń Polski jeszcze nie weszły w krew ludu i nie ulagodziły jego dzikich popędów.

— A więc drugi raz wyrządzasz mi wielką przysługę, moja piękna, raz ocaliłaś dziecku mojemu życie, teraz swemu królowi, nie zapomnę ci tego nigdy.

Król przycisnął dziewczynę do piersi, a ona obwila się rękami około jego szyi i wyszeptwała cicho:

— Nagrodę! cóż ty mi za nagrodę dać możesz, królu? nie oddalaj mnie tylko od siebie nigdy, pozwól mi jak wierzemu psu służyć ci zawsze, a innej nie chcę nagrody; a kiedy ci się już sprzykrzę i stanę ci się obojętną, powiedz mi o tem, znam ziele, którego jedna szczypta uwolni ducha mojego z ciała, a ja i wtenczas krążyć będę około ciebie, bo ja cię nigdy! nigdy już nie opuszczę.

* * *

Na drugi dzień, kiedy król Kazimierz skończył już jeść swoje piwo grzane, wszedł Plichta i oznajmił, że panowie ruscy czekają i proszą o audyencyę.

Król niebawem wyszedł do poczekalni, zastał tam już starego Jaśka Kmity z synem Jaśkiem, Daniła z Ostrowa, Daszka i kilku innych.

— Witam was miłościwi panowie, zajmijcie stoły przygotowane, pogadamy trochę o nastąpić mających łowach na grubą zwierzynę — rzekł król z dziwnym uśmiechem — nie długo tu już pomiędzy wami mogę bawić, a dwa miesiące tu już oddycham tem pięknem czerwono-ruskim powietrzem; przed wyjazdem jednak moim, chciałbym jeszcze raz powalić niedźwiedzia, lub spotkać się oko w oko z groźnym nieprzyjacielem, panem tych puszczy, turem kudlatym. Które knieje u was najbardziej są obfite tym zwierzem?

— Miłościwy panie — odpowiedział pan na Sobaniu — tu wszystkie knieje pełne zwierzyny i nieprędko jej zapewne jeszcze zabraknie; gdziekolwiek zapuścisz niewód, wszędzie wydobędziesz obfity polów, ale jeżeli raczysz przybyć do Sobańskich moich lasów, na zwierzynie ci nie zabraknie.

— Znamy już te knieje i waszą gościnność Jaśku, używaliśmy jej niejednokrotnie i nigdy o niej nie zapomnimy.

— Najmiłoświtszy panie — odezwał się stary Danił z głębokim pokłonem — Jaśko Sobański już miał nieraz zaszczyt przyjmować cię w swoim dworcu, a mnie niegodnemu

śludze twemu obiecałeś już, że nawiedzisz mój dach i raczysz zapolować nad brzegami Dniestru w Kozłowieckich lasach — na zwierzynie tam wszelkiego rodzaju ci nie zabraknie.

— Tak prawda — odpowiedział król zwracając się do Kmity, pana na Ostrowiu — jużśmy przyrzekli dawniej ubić w jego kniejach niedźwiedzia i poznać brzegi Dniestrowe, pojutrze więc udamy się w Kozłowieckie lasy.

— Służba moja, miłościwy królu, z sieciami tam już będzie — mówił Danil — dlatego niema potrzeby, żeby twoje myśliwstwo trudziło się.

— Zapewne, bo wszystko to już przez tyle dni łowów zamęczone, nie weźmiemy więc z sobą więcej jak 50 koni, a wy Danile postarajcie się, żebyśmy nie powracali bez zdobyczy.

— Tam już niedaleko koczują ordy tatarskie, wypadaloby, miłościwy królu, udając się w tamte strony, większym otoczyć się orszakiem — odezwał się Kmita.

— Wcale nie — spiesźnie przerwał król — Danil w swoich posiadłościach potrafi nam przyprowadzić dostateczną eskortę — czy nie prawda panie na Ostrowiu?

— Za bezpieczeństwo Waszej osoby, dostojny panie, odpowiadamy naszym życiem — odezwał się Daszko.

Kiedy panowie już się rozjeżdżali, król zatrzymał Jaśka Kmitę starego u siebie, mówiąc, iż chce mu pokazać świeżo kupionego od Ormian dżaneta tarantowatego za wysokie pieniądze, bo i krew to ma być niepospolicie pańska.

Kiedy jednakże już zostali sami, król opowiedział mu o spisku i o sposobie, jakim się ma wykonać.

Kmita schwycił się za głowę z oburzenia.

— Oto masz skutki ~~mojego~~ miłosierdzia, dobry panie, raz rozlali krew bratnią i uszło im to bezkarnie, i teraz stawiają sieci na ciebie orle nasz i kraj chcą zalać potokami krwi — ale nie uda im się to, jakim Kmita! nie uda! — przepaść którą kopia, przywali ich swoim sklepieniem. Co myślisz zrobić najmiłościwszy panie?

— Rozumie się, że pojedziemy na te łowy, bo inaczej nie potrafimy zdemaskować zdrajców i położyć koniec intrygom, ale słyszałeś, że Chan zobowiązał się przyprowadzić 2000 Tatarów, trzeba ich wszystkich ulapić razem z dowódcami.

— Zostaw to mnie, miłościwy królu, znam te miejscowości pełne błot i oczeretów nad brzegami Dniestru — znam polanę Rusalek, na której, jak wspomniał ten jednooki dyabeł, zastawione będzie myśliwskie śniadanie, jest to jedyna miejscowość, mały wzgórek piaszczysty, rzadką porosły brzezina, jest to mówię jedyne miejsce, w którym można urządzić pułapkę. Wzgórek ten przytyka do samego Dniestru, z trzech stron zaś otoczony jest gąszczami rokicin i złotej wikliny — tutaj to tylko może być utworzona zasadzka, ale zasadzkę my otoczymy swoją zasadzką i jak w samotrzask złapiemy wszystkich ptaszków.

— Wybornie! ale jakąż mnie rolę naznaczasz mój Jaśku, czy mam tylko stać na polanie i być celem dla strzał tatarskich?

— Inaczej nie potrafilibyśmy załapać ich na gorącym uczynku — ten jednooki wprowadzi cię na polanę, da hasło i strzały tatarskie posypią się, ale ty królu będziesz miał pod ubraniem żelazną zbroję, orszak twój będzie cały przy tobie i będzie cię otaczał, a sukurs mój będzie tak nagły, tak przemożny, że nie damy im czasu naciągnąć nawet luków, i hasło, które usłyszą, będzie dla nich, nie dla ciebie hasłem zguby. Syn mój będzie dowodził zasadzką i będzie miał pierwszy raz sposobność uczynić przysługę swojemu królowi — ja na krok ciebie nie odstąpię mój królu, podciągnę także stalową koszulkę pod bawoli kaftan i będę miał oko na obydwóch zdrajców.

— Więc dobrze mój przyjacielu, powierzam honorowi pana na Sobaniu moje życie, pragnąłbym obydwóch tych starych spiskowców uchwycić żywcem, przykładna kara wymierzona być winna publicznie za taką zbrodnię, a syna twego po odniesionem zwycięztwie nie omieszkamy pasować na rycerza i zachować waszemu domowi dostojęństwo godne waszego rodu.

— Wszystko idzie dobrze — mówił jednooki Danił do Daszka — niczego się nie domyślają, rachowałem, że będzie ich około dwieście koni, tymczasem on sam ograniczył liczbę do pięćdziesięciu.

— Właśnie, ta prawie dziecięca ufność króla, nie bardzo mi się podoba, wygląda to tak, jak gdyby nam chciał pokazać i powiedzieć: »patrzcie, nie obawiam się was, idę tam, gdzie mnie prowadzicie, bo was lekceważę.«

— Czy nie znasz pychy i zarozumiałości Polaków? a zwłaszcza tego króla chłopów i cyganów, już cały kraj ma przeciwko sobie, duchowieństwo go wyklęło, szlachta nienawidzi, Krzyżacy czatują tylko na sposobną chwilą z wojewodą Maćkiem, ażeby podeptać go; a ten chamskiego rodu potomek, nie sobie nie robi z nikogo, Rusini dopiero nauczą go, że święta Ruś nasza nie napróżno nazywa się czerwoną.

— Jednak mnie się zdawało, jakbym czytał jakieś szyderstwo w jego oczach — po co on zostawił przy sobie tego starego odstępę od wiary przodków, Kmitę?

— Czyżbyś miał tchórzyć Daszku? w takim razie cofnij się od wszystkiego, damy sobie radę z tym wielkoludem i bez twojej pomocy.

— Nikt nie widział nigdy Daszka cofającego się przed niebezpieczeństwem i teraz się nie cofnę, ale powiadam ci, że ostrożności wszelkie przedsięwziąć potrzeba, bo nieudanie się naszego planu przypłacimy głową.

— Raz maty rodyła, raz hynuty — odpowiedział Danił kiwnąwszy ręką.

— Czy miałeś jakie wiadomości od Chana?

— Miałem, wszystko w porządku, dwa tysiące Tatarów w tej chwili już kryje się w łożach około polany Rusalek; za parę godzin, gdy się zbliży orszak królewski, sam przeprowadzę go na polanę, dam znak i w jednej chwili mrowisko tatarskie sygnie się na tę garstkę Lachów i rozszarpie ich jak zgłodniałe wilki biedną kozę.

Rozmowę tę prowadzili spiskowi w sam dzień, naznaczony do polowania, jadąc na czele pięknego oddziału Rusinów do kniei, na brzegach której mieli spotkać króla z jego orszakiem.

Oddział Rusinów składał się z pięciuset koni, wszyscy jeźdźcy mieli sajdaki na plecach napelnione strzałami, luki zawieszone obok i potężne szable przy boku; oddział ten nie wyglądał wcale na myśliwych, a cały złożony po większej części z Wołochów i Tatarów, groźną swoją postawą mógł dawać wiele do myślenia.

Cały oddział zatrzymał się pod lasem, wkrótce w promieniach słońca pokazał się oddział królewski; pięćdziesiąt tylko koni stanowiło jego całość, ale była to tylko młodź szlachecka, na pysznych koniach i z postawą tak dumną, że mimowolnie nakazywała poszanowanie dla siebie.

Stary Kmita jechał tuż obok króla, zobaczywszy zdaleka oddział Rusinów, stojący pod lasem, uśmiechnął się i rzekł:

— Sama hołota, najemne Wołochy i Tatary, zostające w służbie Daszka; swoim nie dowierzali widać zdrajcy, wkrótce wszystkich będziemy mieli w sieci.

Obydwaj dowódcy Danil i Daszko wypuścili konie i pospieszyli powitać króla, który ich przyjął bardzo łaskawie i zapytał, z kąd rozpocznie się polowanie.

— Ludzie moi będą szli ławą, miłościwy panie, po nad brzegami Dniestru, tamte boki zajęli tam już chłopci, ale zejdzie jaka godzina, zaczem się rozstawia z sieciami, tymczasem więc proszę cię, miłościwy panie, racz przyjąć skromne myśliwskie śniadanie, jakie kazałem przygotować na polowanie rusalek w lesie; po skończeniu go dam znak i rozpoczniemy łowy.

Król skinął głową na znak przyzwolenia.

Wówczas Danil puścił się małą drożyną leśną naprzód, wskazując drogę postępującemu za nim królowi z orszakiem, zaczem jednakże wjechali w las, Kmita stanął na czele oddziału dwudziestu pięciu jeźdźców i z nimi poprzedał króla, król był w środku, a za nim postępowała garstka rycerzy. Daszko

pozostał obok króla i z niespokojnością przypatrywał się temu rozporządzeniu.

Król zaczął się go wypytywać o gatunki turów i żubrów, których tutaj było dosyć.

Po godzinie drogi, pokazała się polana, na około była otoczona lasem, podszytym gęstymi zaroślami.

Na polanie rusalek było jednak pusto, nie widać było żadnych przygotowań do śniadania, Kmita pierwszy na to zwrócił uwagę.

— Coś skromne będziemy mieli śniadanie — rzekł do Daszka — nie widzę żadnych potraw ani służby kuchennej? i groźnie spojrzał mu w oczy.

— Rzeczywiście, zdziwiony tem jestem — odpowiedział zagadnięty — miałżeby się Danil pomylić w drodze, natychmiast jadę do niego dla rozmówienia się — i nie czekając pozwolenia puścił się naprzód.

Kmita podjechał do króla i rzekł:

— Ten zdrajca zmiarkował coś i uciekł.

Tymczasem cały oddział królewski znalazł się na polanie i szczelnie otoczył króla.

— Oni coś przeczuwają — rzekł Daszko, zbliżając się do Danila — nie traćmy czasu, dawaj hasło.

Danil uśmiechnął się i cicho odpowiedział.

— Zatrzask już zapadł, wszystkich ptaszków mamy teraz w naszej mocy.

Miał jednak tyle odwagi, że wjechał w środek oddziału królewskiego i rzekł do Kazimierza:

— Ze śniadaniem jeszcze służba nie zdążyła przybyć, a może się i zbłąkała, pozwolisz najmiłościwszy panie, że dam sygnał, żeby wiedzieli gdzie się kierować.

Król skinął głową w milczeniu.

Danil uchwycił trąbkę wiszącą u pasa i zadał na niej przeciągle a donośnie z parą przerwami.

Zaledwie umilkły ostatnie dźwięki rogu, gdy wszystkie zarośla zatrzeszczały, zakotłowały się, w około rozległy się

okrzyki Allach! Allach! i śniade, ponure postacie ze wszystkich stron zarośli zaczęły się pokazywać.

— Tatarzy! — zawołał Kmita — zasłońcie króla a nie puszczajcie zdrajcy!

Tymczasem chmara strzał zabrzęczała w powietrzu, ale odbiła się od zbroi rycerzy, którą wszyscy byli pokryci pod wierzchniem ubraniem.

W tejże samej jednak chwili, z tyłu po za Tatarami odezwały się inne głosy.

— Górą Lachy! hura! hura!

Tatarzy zdziwieni tem niespodziewanem natarciem, przez chwilę stali nieruchomi, ale potem jedni zaczęli uciekać w gąszcze, ale tam napotykali oddziały młodego Kmity, które żelaznym pierścieniem parły ich ku polanie, drudzy rzucali się w wody Dniestru, które starali się przepłynąć; rycerze królewscy dobywszy mieczów, rąbali tych, którzy się wydostali na polanę, niemilosierpie, nie dając przebaczenia nikomu, pomimo głośnego: Aman! aman! rozlegającego się naokoło.

Wówczas Danilo spostrzegł, że jest zgubiony, nie utracił jednak odwagi ani na chwilę, w jednej chwili wydobyl miecz i z szybkością błyskawicy rzucił się na króla.

Kazimierz tak niespodzianie napadnięty spał konia i temu tylko był winien, że cios przeznaczony jemu, uderzył w leb szlachetne zwierzę, ale w tejże samej chwili Pomian podniósł swój olbrzymi miecz do góry, raz tylko świsnął nim w powietrzu i głowa Danila potoczyła się do stóp króla.

Napróżno oglądano się za Daszkiem, tłuszcioch jakby zapadł się w ziemię.

Tatarzy widząc się zewsząd otoczonymi, wychodzili na polanę, rzucali miecze i padając na kolana, uderzając twarzą o ziemię wołali: aman! aman!

Król rozkazał zaprzestać ich mordować, Aga jednak, który nimi dowodził, zginał z mieczem w ręku, nie chcąc się poddać.

Myśliwi powrócili z polowania, prowadząc z sobą około półtora tysiąca jeńców.

Ciało Danila służba jego zabrała i na drugi dzień wyprawiono mu pogrzeb za zezwoleniem królewskim na sposób miejscowy.

A więc wezwano dwadzieścia cztery płaczek, wiedzących jakie zawodzić żale po umarłym, a że spodziewały się dobrej zapłaty, nie żałowały więc też, włosy z głowy darły całemi garściami i ciskając na wiatr zawodziły żale, których jęki i płacz gromadny w około się rozlegały; najdostojniejsza z nich, kiedy już ciało włożone było do trumny, dała znak ręką, jęki w jednej chwili ustały a ona załamując ręce, drąc sobie włosy, i obficie łzy wylewając, zaczęła śpiew, stanowiący mowę pogrzebową :

»Poszedłeś mężu na wieczne pokoje
Już nam nie przyjdiesz osładzać niedole,
Komu twe zamki! komu dzieci twoje?
Kogo zostawisz, by wodził twe woje?
Kogo pokarmu obdarzysz naczyniem?
Ty nam umarłeś — a my w tymże czasie
Głodem pomrzemy, tęsknotą zaginiem.
Po co umierać, wszak miałeś i zboże,
Miałeś wsie, grody — nędza nie ciemieży,
Tysiąc sztuk bydła na twojej oborze,
Złote kolasy — konie do uprząży.
Welniste owce pasą się wśród lasa,
Dla których bielą po siolach owczarnie
Stado koników po równinach hasa,
Gumna twe pełne, jak pełne mleczarnie.
W pasiekach twoich co kłoda, to roje,
Miliony pszczołek pracuje ci gwoli.
Poszedłeś mężu na wieczne pokoje
Już nas nie przyjdiesz pocieszać w niedoli.
Kogo ja czule do serca przycisnę?

Na kogo spojrzę słodkimi oczyma?
Wszystko na świecie, teraz nienawistne
Gdy ciebie niema i szczęścia nam niema.
Już sen żelazny zakował twe oczy,
Nie wrócisz do nas, tyś nam już daleki!
Niechże cię światłość wieczysta otoczy
Bądź zdrów nasz panie! na wieki na wieki!

I wtenczas na zakończenie wszystkie płaczki rzucają się na ziemię, tarzają się w prochu, znajomi i przyjaciele naśladują je.

Wówczas wystąpili księży ze śpiewami, które dosyć długo się ciągnęły. Nareszcie śpiewy skończone, ale nieboszczyk jeszcze oddalić się nie może; brakuje mu najważniejszej rzeczy, listu polecającego do św. Piotra i denara na opłatę wejścia.

Ksiądz siada poważnie przy trumnie, przed nim leży pargamin, pióro gęsie i inkaust we flaszkach; po chwili zamyslenia się pisze:

»Święty Piotrze, któremu Bóg powierzył klucze od nieba i straż nad podwojami niebieskimi, oto do ciebie przybywa teraz nasz przesławny wielmoża Danił z Ostrowa; wskaż mu drogę, ażeby nie błdził. — On tu wypełniał wszystko, co cerkiew nakazuje, był prawdziwym wyznawcą greckiej wiary; kiedy więc stanie przed tobą, racz mu łaskawie otworzyć, a kiedy będzie żeglował przez powietrze, niechaj mu wiatry będą przyjazne.

Wesprzyj go święty Piotrze opieką swoją! on zawsze się do ciebie modlił, wigilią twojego święta Piotrowicę obchodził, poszcząc i nie nie pijąc.

Był to człek sprawiedliwy i służebnik Boży szczery; kiedy do ciebie święty Piotrze zawita w gości, otwórz mu bramę i daj mu wejść do krainy wiecznego światła.

Kiedy będzie cię ze łzami prosił, żebyś go puścił do nieba, dopomóż mu święty, miej wzgląd na jego prostotę, bo może dość składowie nie będzie się umiał tłómaczyć.

Niech cię nie gniewa jego postać dzika i jedno tylko oko, bo on ciebie kochał święty rybaku po prostu, jak wy kochaliście po prostu Chrystusa.

Gdy on ci ten list odda, święty Piotrze, racz mu usunąć wszystkie przeszkody, ja ciebie proszę za nim, a na pewnoś tego podpisuję się i klasztorną naszą pieczęć przykładam.

Podpisano: Ojciec Bazyli od św. Jura.

Następnie włożono umarlemu list do ręki prawej, w lewą włożono mu denar, i wyprawiono ucztę ludowi wspaniałą.

Rozumie się, że święty Piotr mając tak sobie zaleconego grzesznika, nie mógł być dla niego nielaskawym i z pewnością o ile się dało, o tyle dla niego zrobił.

Król krótko już zabawił na Czerwonej Rusi, sprawa spisku, ponieważ jeden z głównych dowódców zginął, a drugi ukrył się zbiegłszy do Tatarów, sama z siebie nie przybrała szerszych rozmiarów, a sympatye, jakie lud wiejski okazywał królowi, hojnie mu wynagrodziły przykrości tego niefortunnego spisku.

Młody Jaśko Kmita Sobański kupił sobie serce królewskie, i król wyjeżdżając do Krakowa, zabrał go z sobą; czekała go potem świetna przyszłość i sława pod następnymi panowaniami.

Z panów Czeryono-Ruskiej ziemi, bardzo wielu oceniając korzyści związku z Polską, stanęło stanowczo po stronie króla, tembardziej, gdy się przekonali, że król wcale nie myśli napastować ich wierzeń religijnych i pozostawia wszystkim wolność wyznań bez ograniczenia.

W Krakowskiej jednak ziemi czarne chmury zaciemniały widnokrąg, klątwa Bodzanty ciążyła nad nią ugniatająco i chociaż król napozór zdawał się być na nią obojętny, widział jednak, że oblicze ludu nie jest już tak wypogodzone, że wielu z panów zdaleka się trzyma przejętych zgrozą, że duchowieństwo coraz się więcej od niego odsuwa.

Robota cywilizacyjna w kraju nie ustawała jednak na chwilę, mury Uniwersytetu wznosiły się pospiesznie, świątynie

przyozdabiały miasta, które otaczały się murami; wyrastały wsie na pustkowiach i roily się ludem, przybyłym z Czech, lub Niemiec, a jakkolwiek Magdeburskie prawo już zostało zniesione, cudzoziemcy jednak nie przykrzyli sobie pod artykułami statutu wiślickiego i chętnie mu się poddawali.

W Wielkopolsce jednak Maciek Borkowicz, wojewoda, nie przestawał z Krzyżakami intrygować i podburzać ich do wystąpienia zbrojnie; archiwa Malbarga, które obecnie przewiezione są do Berlina i dla wybranych tylko przystępne, wiele ciekawych rzeczy mogłyby nam opowiedzieć o tej historii śmierci Maćka, dotąd nie rozjaśnionej dostatecznie, to tylko pewne, że żadne osobiste niechęci nie kierowały królem, kiedy wydawał wyrok głodowej śmierci na potężnego tego magnata.

Król powróciwszy do Krakowa, postanowił raz załatwić stanowczo sprawę kłatwy i postanowił wysłać poselstwo do Awinionu z prośbą o uchylenie i zniesienie jej skutków.

Ksiądz Albert, osobisty przyjaciel króla, wybrany był do spełnienia tej misyi.

ROZDZIAŁ X.

Poselstwo do Awinionu. — Zdjęcie kłatwy. — Podróż królewska.

Przenosimy się w dalekie strony, aż nad brzegi Rodanu, nad którego lewym brzegiem wspaniale wznosi się Awinion, to starożytne Avenio Cavarum; ulice jego kręte i ciasno zabudowane gmachami, mnóstwem kościołów, pomiędzy którymi jak klejnot błyszczał gotycki kościół katedralny Najświętszej Panny, imponujący swojemi rozmiarami, obecnie na koszary wojskowe zamieniony, dalej wznosi się pałac papieży, wieża Glanere, całe miasto otoczone wysokimi murami z potężnymi

bramami, pałacami. W owej epoce stanowiło dla papieży, poczynawszy od Klemensa V do Grzegorza XI tak nazwaną »Nie-
wolę babilońską.«

Poselstwo wyprawione przez Kazimierza do Awinionu w osobie Alberyka kanclerza Dobrzyńskiego i zarazem proboszcza Bocheńskiego, z prośbą o zdjęcie klątwy, wymierzonej na królu przez Bodzantę, za zabójstwo Baryczki i nieuszanowanie przywilei duchowieństwa, natrafiło na czasy bardzo przy-
jazne dla siebie, tembardziej, że przywiozło z sobą zapewne poważne sumy.

Jeden z kardynałów, ośmnastoletni krewny Klemensa VI, zjednany na stronę króla polskiego przez Alberyka kanclerza, starał się wszystko załatwić przyjaźnie.

Poselstwo króla Kazimierza powróciło do kraju, osiągnąwszy zupełny skutek swojego posłannictwa, i tym sposobem położyło tamę intrygom partyi, które w mętnej wodzie ryby łapać miały nadzieję.

Maciek Borkowicz, stojący na czele malkotentów Wielkopolskich, osobą swoją, majątkiem i tragiczną śmiercią przyplacił ruinę planów, które zdaje się wypracowane były w Malborgu.

Panowie Małopolicy czując, że lew, który włada nad nimi, nie zna trwogi i przed mieczem się nie cofa, przycichli w swoich żądaniach i zaczęli przywykać do praw postanowionych w statucie Wiślickim. Ruś Czerwona doznawała błogich skutków mądrych i toleracyjnych rządów króla.

Król w nadziei zostawienia po sobie potomka płci męskiej, jeszcze raz wstąpił w śluby małżeńskie z piękną księżniczką Jadwigą; nędzne plotki rozgłaszały po kraju, iż Maciek Borkowicz był w niej zakochany, wszystko to jednak nie miało żadnej podstawy i osobista niechęć króla nie wpłynęła zupełnie na jego losy.

Były tam czynniki polityczne, wykute na kowadłe krzyżackiem, które Awinion raptem przyprowadził do nicości. Król odebrawszy sprawozdanie z poselstwa do Awinionu, dla do-

kladnego przekonania się o stanie i usposobieniu Prus i prowincyi Wielkopolskich, przedsięwziął odbyć wspaniałą podróż po tych najstarszych ziemiach polskich.

* * *

Lata upłynęły od opowiedzianych wypadków; jesteśmy już w roku 1366.

Król, od dawna żywiąc pragnienie odwiedzenia Wielkopolski, nareszcie je doprowadził do skutku i wybrał się w podróż.

Orszak królewski, składający się z kwiatu rycerstwa Rzeczypospolitej, wynosił przeszło dwa tysiące koni, pomnożyły go oddziały panów małopolskich i niektórych Rusinów, wspaniale przybrane, z rodowymi sztandarami na czele.

Król postanowił odbyć podróż Wisłą, aż do samego Torunia. W Kazimierzu więc, u podnóża zamku, z którego dzisiaj sterczy jeszcze tylko wieża samotna, pełna wspomnień, przygotowana była flotyla, złożona z rozmaitego rodzaju statków — a więc stały przygotowane dubasy, krypy, galary, barki i holenderskie okręta. Niech to nie zadziwia zupełnie czytelnika, płynącego dzisiaj parostatkiem pana Fajansa i co parę godzin szorującego po piasku, lub odpoczywającego na mieliżnach przymusowo, niech nie zadziwia to nikogo, że tu mówimy o okrętach.

Wisła wówczas nie była tą małą rzeczką, jaką jest dzisiaj. Wspaniale się ona rozlewała, w niektórych miejscach na kilka wiorst, a nurt jej główny był w stanie umieścić na swoim grzbiecie okręta ładowne, które zresztą nie zanurzały się więcej jak ośm stóp.

Nieraz jeszcze w dzisiejszych czasach, ludzie pracujący przy naprawach brzegów rzeki, lub pastuchy bawiący się na wydmach piaskowych, znajdują stare, wielkie, zardzewiałe kołowate okrętowe, lub ogniwa potężnych łańcuchów, jakie są używane jedynie do wiązania okrętów.

Nieraz w błotach i madzie rzecznej, można jeszcze znaleźć, czarne od starości kawały dębu, wycięciami swojemi jasno pokazujące pochodzenie z kadłuba okrętowego.

Liczne spichlerze, rozrzucone po nadbrzeżu prawem Wisły, imponujące swojemi murami, na ten raz wyprzątnięte, służyły za chwilowe schronienie dla wojska i orszaków pańskich.

Na statkach pozatykano sztandary herbowe, odpowiednie właścicielom, i po odbyciu nabożeństwa u podnóża zamku, za danym znakiem, odezwały się muzyki i rozpoczęła wyprawa.

Znaczne oddziały koni prowadzono łądem wprost do Torunia, tam dopiero miały być opuszczone wody rzeki przez króla i jego orszak, i dalszy pochód postanowiono odbywać łądem do samego Malborka.

Okolo sto statków, rozmaitego kształtu i rozmiarów, jak stada kaczek napełniało koryto potężnej rzeki, wiosła ich rozbijały srebrną pianę, sztandarami wiatr powiewał, a białe żagle, rozpuszczone w powietrzu, trzepotały swojemi płótnami, jak labędzie zrywające się do lotu.

Całą tę okazałą flotylę poprzedzał mały żaglowy statek z chorągwią królewską, na nim znajdowali się retmani najznakomitsi, urodzeni na brzegach, albo na samem korycie Wisły, i ci z daleka umówionemi znakami pokazywali mielizny, haki, albo spoczywające w wodzie na dnie rzeki pnie olbrzymich topoli nadwiślańskich, których się strzedz należało, ażeby nie rozbić statku; zresztą przestronne było łożysko, szeroki nurt, nie tyle więc ówcześni retmani mieli pracy, prowadząc nawet duże okręta, ile dzisiejsi, na swoim topolowem malutkiem czółenku, wskazując drogę obladowanej galarce, lub berlince niemieckiej.

Za tym pilotem wskazującym drogę, postępował wspinały okręt »Kraków«, z rozpuszczonemi żaglami; na przodzie jego unosiła się duża pozłacana korona królewska, stercząca na szczycie również złoconej wieży, obok niej powiewał do-

piero sztandar Rzeczypospolitej, a przy nim stało dwóch rycerzy, odzianych w zbroje, z dobytemi mieczami, pilnującymi honoru chorągwi.

Okręt zaopatrzony był w liczną załogę majtków, nad pomostem jego wznosił się wspaniały złocony namiot, którego jedwabne draperye w tej chwili podniesione, dawały widzieć króla, stojącego w towarzystwie panów polskich i z ciekawością przypatrującego się pięknym pobrzeżom Wisły.

Dano znak wystrzałem z arkabuza i w tej chwili wszystkie kotwice zazgrzytały na swoich blokach, uniosły się do góry i statki poprzędzane okrętem pilotów i wspaniałym »Krakowem«, z rozwiniętymi żaglami majestatycznie popłynęły z nurtem Wisły.

A musieli to być wprawni żeglarze i umiejący dzielnie kierować sterem, gdyż przy takiej ilości statków, rozmaitej chyżości, nie pokazał się żaden nieporządek.

Flota rozciągnęła się w długą, prawie bez końca linią. »Pilot« i »Kraków«, ocierały się już o zielone brzegi Puław, kiedy ostatnie statki wyruszały dopiero od brzegów Kazimierza.

Na całej przestrzeni Wisły, począwszy od jej źródeł aż Ujścia Wisły, niema równie pięknych widoków, jakie się przedstawiają oku na tej dwumilowej rozległości; zdaje się, że za każdym poruszeniem wiosła, za każdym ruchem żagla, zmieniają się pejzaże, jakimi najbujniejsza wyobraźnia artysty byłaby zadowolona.

Dopiero po za Puławami u starej wsi Modrzyce, dziś zamienionej na fortecę Iwan-Gorod, Wisła rozlewa się i brzegi jej stają się piaszczyste i coraz mniej przyciągają oko podróżnika.

Ani ujście Wieprza, ani Pilicy pod Mniszewem, nie odznaczają się niczem estetycznem.

Mury zameczyska panów na Czersku, dumnie sterczały na lewym brzegu rzeki, ale nie mogły się równać swoją wielkością, nawet z zamkiem nadwiślańskim w Kazimierzu.

Flota płynęła bez żadnego wypadku, płaskie brzegi rzeki, zarośnięte sitowiem i lasami, po za nimi się ciągnącemi, prowadziły aż do samych granic księstwa Czerskiego; na wieżach jego unosił się sztandar z orłem piastowskim, ale z książęcą tylko koroną.

I znowu rzeka wila się wśród lasów posepnych, ciemnych, świerkowych przeważnie, minęła flotyla górę Kalwaryą. Radwanków i nareszcie przy zapadającym już słońcu, na jednym z zakrętów Wisły niespodzianie odsłoniła się Warszawa.

Na prawym brzegu Wisły, gdzie dzisiaj Praga dymi setkami fabrycznych kominów, gdzie co chwila słychać świst lokomotyw, uderzenia tysiąca młotów, gdzie przewija się również tysiące koni, ludzi, ekwipaży, gdzie lokomotywy jedna za drugą świszcząc przelatują, na całej wówczas tej przestrzeni, zaledwie rozrzuconych było kilka rybackich chatek nędznych, zaledwie skleconych z drzewa, bez kominów, z których dym unosił się wszystkimi szczelinami dachu.

Drożyny, wydeptane przez dzikie zwierzęta, prowadziły w puszcze, któremi podkradali się niejednokrotnie Litwini lub Jadźwingi.

Ale i lewa strona rzeki, gdzie dziś błyszczą dachy i wieże tysięcy gmachów, gdzie żyje pół milionowa ludność i kipi życie całym warem, nie przedstawiała się zbyt imponująco.

Miejscowości, gdzie dziś rozkoszują wzrok Łazienki, Belweder, gdzie się rozciąga warsztat pracy Solec, gdzie obecnie stoją pałace Potockich, wszystko to pokryte było lasami, w których książęta Mazowieccy, nie potrzebując się zbyt oddalać od bram swojego grodu, polowali na grubego zwierza, lub z sokolami na pobrzeżach rzeki na czaple, których nie brakowało.

Na stolicy księstwa Mazowieckiego w Warszawie, zasiadał Ziemowit z żoną Eufemią, nie młody to był już człowiek i sterany chorobą; dwóch jednak dorodnych synów: Janusza i Ziemowita wyprawił ze świetnym orszakiem rycerzy nad brzeg Wisły, dla przyjęcia i zaproszenia w progi zamku przybywającego króla.

Zmrok zapadł, tutaj więc na pobrzeżu Warszawy, cała flotyla królewska zarzuciła kotwice dla przepędzenia nocy.

Pałac książąt Mazowieckich, wzniesiony na wzgórzu po nad samym brzegiem Wisły, z przepysznym ogrodem, w tarasach spadającym do samej wody, wspaniale się odbijał w jej zwierciadłach. Dziś pyszne te ogrody, o których wspominają z zachwyceniem cudzoziemcy, przedstawiają brudne place, pełne nieczystości i nikt nie znający przeszłości tego miejsca, aniby się domyślił, ile utracił zamek, gdy go pozbawiono tego szmaragdowego bukietu.

Wspaniała brama murów miejskich prawie dotykała zamku. Szczupły obręb zajmowały te mury, o ileż Wiślica ówczesna przewyższała swoją świetnością tę garstkę domów, z której potem miał się rozrosnąć potężny gród, a stara Wiślica zamienia się w żydowską kuczkę.

Kościół świętego Jana, wystawiony z drzewa, zgorzał jeszcze w roku 1313 i obecnie dopiero zakładano fundamenta pod gmach murowany, który zaledwie w lat ośmdziesiąt od chwili pożaru Janusz, książę Mazowiecki wykończył.

Jedynym więc kościołem, pięknym bardzo, ale jedynym, był klasztor ojców Augustyanów na Pivnej ulicy, świeżo wystawiony, do którego Ziemowit i księżna Eufemia z Pragi czeskiej sprowadzili księży, i obdarowali pięknym obrazem, znajdującym się jeszcze obecnie w Wielkim oltarzu »Pocieszenia Matki Boskiej.«

Dalej, prawie już na końcu miasta, gdzie dzisiaj stoi kościół po księżach Paulinach, wznosił się piękny szpital, utrzymywany kosztem mieszkańców, bo Warszawa od najdawniejszych czasów odznaczała się zawsze dobroczynnością.

Obydwaj młodzi książęta, przybrani w żelazne zbroje, które ich widocznie uciskały, na czele swojej drużyny oczekiwali króla.

Pomiędzy dworzanami ich, odznaczał się tak świetną zbroją, jak i okazałym wzrostem Iwo Świnka, siostrzeniec

areybiskupa Gnieźnieńskiego, który przed laty namówił na króla polskiego, Wacława króla czeskiego.

Król, gdy tylko statki zarzuciły kotwice, wysiadł wraz z całym swoim otoczeniem i wdzięcznie przyjął zaproszenie krewniaka, który żywił skryte nadzieje, że jeżeli nie on, to który z jego synów zajmie tron Piastów, ponieważ Kazimierz dotąd nie miał prawego potomka płci męskiej. Marzenia te jednak miały spełznąć na niczem, Opatrzność innych panów przeznaczyła Polsce, pod którymi dojść miała do zenitu swojej potęgi i sławy.

Na całym pobrzeżu Wisły płonęły smolne stosy i beczki ze smołą, tysiące żywicznych pochodni stanowiło iluminacyą, lubo książę wcale nie był przygotowany na przyjęcie dostojnego gościa, bo ten miał, omijając Mazowsze, wprost udać się do Prus.

Być może, że Kazimierz nie chciał wystawiać na koszt ubogiego księcia, a być może, że nie chciał się zobowiązywać pewnym rodzajem wdzięczności za gościnę władcy pokrewnemu, o którego dumnych projektach wiedział, a których spełnić nie miał wcale ochoty; bo planami swoimi już w daleką sięgał przyszłość i może wzrokiem jasnowidza dostrzegł te wspianiale obrazy historyi, które mieli zamienić w rzeczywistość Jagiellony.

Pomimo to uczta, przygotowana na zamku książęcym, trwała noc całą, w której jednak sam książę Mazowsza nie brał udziału, złożony chorobą, dwóch tylko jego synów zastępowało gospodarza.

Kazimierz przez ten krótki czas pobytu w Warszawie z uwagą badał charaktery obydwóch młodych książąt, ale sympatya pomiędzy nimi nie zawiązała się i dlatego potem w testamencie swoim nie uczynił żadnego z nich swoim następcą.

Grzeczne i zimne było przyjęcie, i zimne rozstanie tych ostatnich latorośli Piastowskiego rodu.

Cała drużyna królewska na drugi dzień wprost z uczty, ze wschodzącym słońcem, przy odgłosie trąb i letaurów litewskich, odprowadzoną została na czekające statki — kotwice zostały podniesione, żagle rozwinięte i wspaniała flota okryła znowu koryto Wisły.

Kazimierz nie przewidywał wielkiej przyszłości Warszawy, bo rzeczywiście miejsce to najniewłaściwiej wybrano na kolebkę narodzić się mającej stolicy.

O parę mil dalej, w punkcie, w którym Narew z Bugiem wpada do Wisły, przeznaczonem było rozrosnąć się kiedyś wielkiemu miastu i chociaż w czasach obecnych Modlin jedynie imponuje jako punkt strategiczny, ale można się spodziewać, że w czasach, w których fortece nie będą miały znaczenia, a podług ulepszeń dzisiejszych armat niedługo to nastąpić musi, Modlin zacznie rywalizować z Warszawą i ma wielkie dane do odniesienia zwycięstwa.

Na noc flota zarzuciła kotwice pod urwistymi brzegami Płocka, nie wysiadano wcale na ląd, nie chcąc opóźnić się w podróży, ale za to na pokładach wszystkich statków błyszczały kolorowe latarnie, maszty zajaśniały lampami, odezwały się liczne muzyki, i król na pokładzie »Krakowa«, pod rozciągniętym baldachimem, ugaszczał swoich współtowarzyszy podróży.

Im bliżej ujścia, tem Wisła stawała się potężniejszą, zasilalo ją już wiele rzek: Wieprz, San, Pilica, Bug, Narew; to też flota płynęła swobodnie, prawie nie zważając na pilota, płynęła po głębiach i szybko mijala mury Dobrzynia, Włocławka, Nieszawy, otarła się o podnóże Bobrownik i nareszcie minawszy Złotoryą, zatrzymała się u wież Torunia.

Tu już rozpoczynały się ziemie krzyżackie i w tem miejscu już czekały króla zarówno jego oddziały konnicy, jak i krzyżackie poczty, spieszące na oddanie mu czci.

Komtur Toruński natychmiast w towarzystwie kilku braci zakonnych zjawil się na pokładzie statku królewskiego i grzecznie zapraszając w imieniu wielkiego mistrza króla i jego

towarzyszy w gościnę do Malborge, oświadczył, iż na całej drodze, którą przebyć wypada, wszędzie przygotowaną jest odpowiednia żywność, tak dla ludzi jak i dla koni, że król nigdzie nie dozna ani niedostatku, ani niewygody — że wszyscy komturzy mają sobie polecone, z czego oni są nadzwyczaj dumnymi, być na rozkazy króla wielkiego narodu i zaspakajać nie tylko wszelkie potrzeby, ale dawać objaśnienia i pokazywać porządki krzyżackie.

Król wysiadł na ląd, tu go już czekały jego oddziały uformowane w szeregi z Ligezą na czele, tu także były orszaki panów, którym Krzyżacy z ciekawością się przypatrywali; gdyby przeczuwali przyszły Grunwald, niezawodnie nie przyjmowałiby ich tak ochoczo.

Toruń cały otoczony był murami z czerwonej cegły, na wąskich jego ulicach panował wzorowy porządek, gmachy jeżeli nie były okazałe, za to odznaczały się grubością murów, mogących wytrzymać nie jedno uderzenie taranów — na środku rynku wznosił się ratusz, w nim zgromadzona starszyna krzyżacka wyprawiała ucztę powitalną dla króla i panów polskich.

Król tylko przenocował w Toruniu, tu dosiadł konia i na czele swoich rycerzy dalszą drogę do Malborge odbywał lądem, chcąc się przypatrzeć porządkom Krzyżackim — jak się wyraża Długosz. — I rzeczywiście posiadłości Krzyżackie pod ówczesnym wielkim mistrzem Winrychem, warte były obejrzenia. Niwy, dobrze uprawne kołysały się zbożem, liczne stada owiec i bydła rozrzucone po pastwiskach, pokazywały bogactwo; miasteczka bieleły się murami, a czerwone dachy i wysokie wieżyczki kościółków pięknie się rysowały dla oka; drogi zapchane były furami, wiozącymi zboża i towary, znać było wszędzie ład i porządek niemiecki — tylko lud napotykaný na drodze, nędznie odziany, z pochmurnym wyrazem twarzy, stanowił jakby ciemną plamę. Lud był pokorny, zdaleka zbliżał się z odkrytą głową, mężczyźni jak i kobiety mieli zawieszzone na szyi sznury ciemnych paciorków z przyczepionym dużym czarnym krzyżem, ludzie po polach pracowali w milczeniu,

nigdzie nie rozlegały się śmiechy, nigdzie nie zabrzączała piosenka w powietrzu. Na niwach dworskich i zakonu pracowało po kilkadziesiąt kobiet pomieszanych z mężczyznami; nad każdą taką gromadą stał jeden lub dwóch dozorców z batami zatknietymi za pas i jakkolwiek przejeżdżający orszak królewski mógł budzić ciekawość, nikt jednakże nie opuścił roboty, nikt nie zbliżył się do drogi dla złożenia pokłonu — ludzie schyleni nad sierpem z podelba tylko spoglądali, niektórzy nawet tak byli zajęci pracą, że zdawali się wcale nie widzieć rycerzy, przeciągających drogą o parę staj, chociaż kłęby kurzu i tentent koni umarłego by poruszyły.

W powietrzu tylko rozlegały się głosy dozorców: a dalej! a prędzej! nie zostawaj! a czasem bat świsnął i rozległ się jęk uderzonego.

Widok ten smutne na sercu króla zrobił wrażenie, jakąż to różnica od jego Krakowiaków, brzęczących kółkami pasów i krzeszących iskry podkówkami, a pracujących przy pieśni:

Oj dana! dana! dana
Ziemio ukochana!

Jeden z komturów, towarzyszący królowi, objaśnił go, iż lud pracujący po polach, składają po większej części jeńcy litewscy; są to neofici, jak dowodzi tego u każdego z nich zawieszony różaniec z krzyżem — że los ich jest zupełnie znośny; zakon obsadza ich po wsiach i po pustkowiach, i dla własnego ich dobra nie uwalnia ich właśnie z pod władzy, ale oddaje pod zwierzchność panów, komturów, wójtów lub miast; żeni ich bez względu na to, że w Litwie została żona i dzieci, ale tamte związki, jako bez udziału kapłana chrześcijańskiego zawarte, nie mają znaczenia. Bat jest dla nich potrzebny, bo do niego przywykli w swojej ojczyźnie, a jeżeli pomiędzy nimi znajdują się i ludzie, którzy byli wolni za Niemnem, bojarowie i kunigasy, to i ci jako świeżo przeszli z pogaństwa na na łono prawdziwego Kościoła, winni się uważać za szczęśliwych, że na nich spłynęły promienie kultury niemieckiej, a za-

pomniawszy swojego barbarzyńskiego szwargotu, nauczą się pięknego niemieckiego języka, którym mówi Wielki Mistrz, bracia zakonni, a nawet sam cesarz.

Ci jednakże, którzy są fanatycznie przywiązani do swego litewskiego języka i religii, a nie są w stanie pojąć dobrodziejstw cywilizacyi, którą im niosą Niemcy, ci zostają pod ścisłym dozorem zakonu, używani do najordynarniejszych robót, skuci w kajdany kopią kanały, sypią szanice, i naprawiają mury fortec, a bat napędza im ochoty do pracy.

Gdziekolwiek przybywał król ze swoim świetnem rycerstwem na popasy, czy na noclegi, wszędzie czekało go gościnne przyjęcie, wszystkie potrzeby jego zaspakajali komturowie, albo raczej kazali zaspakajać ludowi — była to gościnność krzyżacka z cudzej kieszeni, ale w owych czasach upowszechniona.

A więc wieś lub miasteczko, na które spłynął zaszczyt, że królewski orszak raczył się w nich zatrzymać, natychmiast obowiązane były dostarczyć owsa, siana i słomy dla koni, baranów, kur, jaj, wołów, masła, soli dla ludzi, podwód pod bagaże obozu, i za to wszystko mogli się nie spodziewać nawet słowa »Bóg zapłać« — była to powinność, przywiązana do ziemi. Takież same prawa w państwie swoim Kazimierz właśnie poznał i oburzył na siebie wielu.

Tu, gdziekolwiek wzięto coś od mieszkańców na potrzeby oddziałów królewskich, król kazał swojemu podskarbiemu hojnie płacić, to wzbudzało silny podziw w mieszkańcach jak i w Krzyżakach, a nawet ostatni nie byli z tego zadowoleni, bo tym sposobem psuło się lud, i ten gotów na przyszłość, za każdy dostarczony artykuł żywności, bezczelnie żądać zapłaty.

Im orszaki więcej zbliżały się do Malborga, tem pola były lepiej uprawne, tem częstsze napotykały się miasteczka, tem więcej ludu mrowiło się po polach, tem częściej było słyhać świsty bata i jęki poddanych, bo tu już neofici nie nazywali się niewolnikami, tylko poddanymi prześwietnego zakonu.

Za Drwęcą, około Jelowa, zaczęła się już okolica błotnista, częste napotykały się jeziora; od Osterode do Saalfeld ciągnęły się już groble torfiaste, nad których poprawą i sypaniem nowych tysiące pracowało niewolników litewskich i pruskich.

Nie tych Prusaków, którzy dzisiaj z maczugą w rękę rozbijają słabszych, ale od narodu, zamieszkałego po lewej stronie Niemna, mającego swoją religię, swój język; narodu, który długo walczył z przemocą, a nareszcie uległszy, poddał kark w jarzmo krzyżackich rządów; ten to naród nareszcie, Krzyżacy wytepiwszy, ubrali się w jego nazwisko i na wzgardę wszelkiej sprawiedliwości nazwali się sami »Prusakami.«

Serce pękało z żalu, patrząc na los nieszczęśliwych niewolników; przykuci do taczek, nakładali je ziemią gliniastą i brzęcząc łańcuchami, po ścieżce wyłożonej deskami, prowadzili je do nasypów, drudzy uginając się pod ciężarem, nieśli na plecach wiązki rokitnicy i okraglaków, żeby je pakować w trzęsawiska, inni kopali kanały obok grobli, stojąc po pas w wodzie.

Wszelkiego tu rodzaju, płci i wieku, zobaczyć można było ludzi, były tu dzieciaki kilkuletnie, mężczyźni dorośli w sile wieku, starcy zgrzybiali, kobiety z siwymi włosami.

Młodych tylko dziewczyn i kobiet nie zobaczyłeś nigdzie, te rozdawane były osiedleńcom i knechtom krzyżackim dla powiększenia ludności; jeżeli nie odpowiadała tym zamiarom, kobieta powracała do taczek, chyba że znalazł się który z osiedleńców, co zażądał ją za wynagrodzeniem na swoją służbę.

Okolo przeprawy na rzeczce Sorge, wpadającej do Elblagskiego jeziora, najwięcej pracowało narodu.

Tuż za rzeką pod Kiszporami stał Wielki Mistrz na czele swojego rycerstwa, ażeby powitać i wprowadzić w mury Malbarga dostojnego gościa z jego świtą.

Za zbliżeniem się króla, Wielki Mistrz wraz z otaczającym go rycerstwem zsiadł z konia, wszyscy ubrani byli w żelazne zbroje, na nich zawieszzone mieli długie, białe płaszcze

z czerwonymi krzyżami na piersiach, na głowach szyszaki ozdobione kitami piór strusich.

Każdy z rycerzy na lewem ramieniu miał zawieszoną tarczę, na której wryty herb świadczył o dawności rodu.

Król także zsiadł z konia i jego świta naśladowała go. Król wyciągnął prawicę do przystępującego Mistrza i tym sposobem uprosił mu formy powitania, na które w owej epoce bardzo drobiazgową zwracano uwagę.

Mistrz nosił w swojej osobie trzy charaktery, różne wcale. Mógł być uważany jako lennik Korony polskiej, zamieszkując na ziemiach jej i pomnażać dawne zobowiązania swoich poprzedników: w takim razie powinien był przykleknąć, witając swojego suzerena.

Mógł być uważany za osobnego władcę zdobytych na Prusakach prowincyj, które bulla papieska przysądzała mu na własność i prowincyj tych mógł się uważać za niezależnego sąsiada i pana, a w takim razie stawał na równi z władcą sąsiedniego państwa.

Ale miał i trzeci jeszcze charakter, dający mu pierwszeństwo nad wszystkimi władcami świata — dostojęństwo jego kapłańskie — i w takim razie mógł z góry spoglądać na ościennych panujących i darzyć ich przeżegnaniem swojej ręki, błogosławiąc im.

Król swoim prostem przywitaniem przeciał wszelkie wahanie się Wielkiego Mistrza, podając mu rękę pierwszy, okazywał tem zwierzchnictwo suzerena, ale razem podnosił go do swojej wysokości, jako władcę prowincyj zdobytych siłą oręża, usuwał się zaś od wszelkiej zależności, nawet duchownej Mistrza.

Obydwa orszaki połączyły się, obok króla po prawej stronie jechał wielki mistrz Winrych, komturowie rozdzielili się pomiędzy panów, niektórzy mieli znajomych.

Gdy tylko z wież Marienburga ujrzano zbliżającego się króla, natychmiast w mieście wszystkie dzwony odezwały się, muzyki wystąpiły na wały, bramy zwodzone opadły na żela-

znych łańcuchach i strzały z arkebuzów powitały zbliżających się.

Krzyżacy byli pewni, że zrobią wielkie wrażenie swoją bronią palną i umiejętnością użycia prochu, mało znanego jeszcze w Europie, ale jakież ich było zadziwienie, gdy na wystrzały ich odpowiedziały również wystrzały z pośród szeregów polskich.

Wspaniałe zamku Malborskiego sale, wsparte na pysznych kolumnach marmurowych, otworzyły się na przyjęcie gości, ale pierwszej król Kazimierz, prowadzony przez W. Mistrza, udał się wraz z całym orszakiem do kaplicy zamkowej, położonej nad Nogatem i tam wraz z całym rycerstwem wysłuchał pobożnie mszy, odprawianej przez miejscowego kapelana.

Kaplica bogato była przyozdobiona łupami Krzyżaków i dobrowolnemi ofiarami rycerzy, książąt europejskich, którzy często gościli na dworze W. Mistrza i nieśli niejednokrotnie nie tylko swoje skarby, ale i życie na potrzeby zakonu, przyjmując udział w wojnie z poganami.

Malborski zamek, który dzisiaj utrzymywany jest w takim wzorowym porządku przez królów pruskich, nie jest ten sam, który przyjmował w swoich murach króla Kazimierza a potem Witolda; późniejszej to już ręki budowa. Część tylko starego zamku istnieje dzisiaj, nie wiadomo dlaczego dosyć zaniedbana przez Hohenzollernów, gdy nowsza budowa doznaje ich opieki.

Można dziś jeszcze podziwiać olbrzymie sale gościnne, sale przyjąć i zebrań kapituły, potwornej wielkości kuchnie, na ogniskach których piekły się całe żubry, jelenie i woły, a nadewszystko podziwiać trzeba stare piwnice bez końca, ciągnące się według podań po za Nogat, i równie wielkie więzienia. Czas zachował nam jeszcze izby tortur i narzędzi, używanych przy tej szlachetnej zabawie.

O wieżę Aldony, nikt się dziś nie dopyta w Marienburgu.

W sklepionej, olbrzymiej sali, wspartej na marmurowych i z labradoru kutych kolumnach, zastawione były stoly, uginające się literalnie pod ciężarem półmisek potraw, roztruchanów, puharów i ciężkich dzbanów srebrnych, miedzianych, posrebrzanych i wprost cynowych.

Dla króla ustawiony był tron, okryty bogatym kobiercem i wzniesiony na parę stopni wyżej — obok niego zajmował miejsce po lewej stronie W. Mistrz, Winrych von Kniprode, mąż w sile wieku, z poważną, złotego koloru brodą, spadającą mu na piersi.

Po prawej stronie króla, poniżej jednak, siedział Zygmunt, syn cesarza Karola IV, książę brandeburski, jako upragniony gość zakonu, dalej siedzieli Jan II, książę oświęcimski i Przemko młodszy brat jego, książę na Cieszynie, Toszczu, Gliwicach i połowie Bytomia — odrosłe z rodu Piastów, ale przesiąknięte już krwią i zwyczajami Niemiec.

Kazimierz był znakomitym biesiadnikiem, — wiadano o tem i starano się we wszystkim dogodzić jego upodobaniom — nie prowadzono więc żadnych rozmów politycznych, które mogły być drażliwe, ale muzyką i śpiewami a nade wszystko dobozem win, starano się pozyskać jego zadowolenie.

Król zwrócił się z zapytaniem jakimś do księcia Jana Oświęcimskiego, ależ jakież było jego zdziwienie i zarazem boleść, gdy ten potomek Piastów nie rozumiał ojczystego języka, i zaczął tłumaczyć się po niemiecku — być może, iż chcąc się pochlebić Niemcom i zasłużyć na względy Zygmunta, pilnie przysłuchującego się, udął, że nie mówi po polsku, boć bliskie sąsiedztwo jego z Polską i liczne stosunki z Polakami, trudno dawały temu uwierzyć. Król odwrócił się z nietajoną wzdumą od niego.

Po skończonej uczcie wystąpili minstrele i przy akompaniamencie arfy, nucili śpiewy na cześć Krzyżaków, króla polskiego, cesarza, a nade wszystko na cześć dam i miłości.

Kielichy nie przestawały tymczasem krążyć i współbiesiadnicy ożywiwszy się prowadzili już gwarne rozmowy.

Kiedy nareszcie mrok zaczął zapadać, tysiącami lamp zajaśniały brzegi Nogatu, krużganki wież i wszystkie gzymsy rozległego zamczyska, a na podwórzu zamkowym spędzone tłumy ludu, przy dźwiękach muzyki wyprawiały tańce i rozlegały się nakazane śpiewy, a kiedy już wszystko ucichło i lampy zaczęły gasnąć, a król udał się na spoczynek, usłyszał przez otwarte okno głos piszczalki wierzbowej, zdaleka dochodzący jego ucha, tak smutny i rzewny, że łza stanęła w oku jego.

— Tak grać może tylko wygnaniec, albo więzień — pomyślał król.

Drugi dzień pobytu króla w Malborgu przeznaczony był łowom i rybołówstwu, — polowano na czaple z sokołami, na brzegach Fryzkiej zatoki, naprzeciw wyspy zwanej u starożytnych pisarzy Baltia, z której wychodziły ładunki bursztynu.

Obszerne błota, porośnięte trzcina, i rokiciną, jakie się ciągnęły wzdłuż Nogatu aż do samej zatoki, były nieprzebraną spiżarnią wszelkiego ptactwa wodnego; krocie dzikich gęsi kaczek, dubeltów, krzyków, a mianowicie znaczna ilość czapli, przedstawiały obszerne pole zabawy dla myśliwego, ale że jeszcze wówczas lefoszówki nie były znane, ptactwo więc swobodnie pływało sobie stadami lub nurtowało po błotach, urągając krwiożerczym instynktom myśliwego; polowanie więc na dzikie gęsi i kaczki, musiało się odbywać zupełnie innym sposobem. Upatrywano wśród błót małe strugi lub strumyki, powoli się sączące, obstawiano je sieciami z delikatnie utkwionemi podpórkami i oddalano się na większą odległość. Wówczas w trzciny zapuszczano ogary, te natrafiały na stada dzikiego ptactwa wśród oczeretów i natychmiast głośnień szczeniem dawały znać o zdobyczy. Ptactwo nie zrywało się w powietrze, ale prowadzone przez matki stada, z wolna ustępowały przed naciskiem ogarów, psy rozbiegały się na wszystkie strony grając zapamiętałe, nurzały się w błotach, przepły-

waly strumienie, a stada tymczasem ze wszystkich stron pędzone zbliżały się ku sieciom, podpórki słabo osadzone w miedzie chwiały się; im większy był napór przybywających ptaków, tem częściej uderzały o podpórki, nareszcie sieć przewracała się i setki, tysiące nieraz uwieczonych ptaków stawały się łupem myśliwych; wówczas psy przestawały swojej muzyki, gdzieś niegdzie tylko naszczekiwał głos pojedynczego ogara. Ostrożnie wyjmowano ptactwo z więcierzy, zabijano natychmiast i wozami wyprawiano na użytek dworów.

Król stojąc wraz z gośćmi zakonu na pewnego rodzaju wzgórk, przypatrywał się jak na goliznach wód pokazywały się stada, zwolna posuwając się w jednym kierunku, pod naciskiem ogarów, jak się zbliżały do sieci i jak nareszcie potrzask zapadał; jak zakotłowało się, jakby go podnosiły balwany wody, a pisk, wrzask, hałas tysięcy ptactwa rozlegał się w powietrzu, które teraz dopiero poznało zdradę i krzykiem rozpacz ostrzegało pozostałe tłumy o zasadzce. To ptactwo, które pozostało po za obrębem sieci, z jednej strony mając zagrodzoną drogę, z drugiej naciskane przez głosy psów, teraz tłumnie wzbijało się do góry, zakrążyło kilka razy w powietrzu i oddaliło się na zatokę. Po nad głową króla przeleciało kilka cyranek, król spieszenie wziął łuk od stojącego niedaleko jednego z dworzan, naciągnął cięciwę, strzala świsnęła w powietrzu, a biedny ptak, przeszyty na wskrós, upadł nieopodal myśliwych.

Następnie nad brzegami rzeczki Sorgi, myśliwi dosiadłszy koni odebrali od sokolników sokoły zakapturzone.

Psy brodziły po nadbrzeżnych trawach, wkrótce więc kilka czapli wzbilo się w powietrze—wypuszczono sokoły białe, wybrane z gniazd na skandynawskich górach, sokoły dobrze wytresowane, szybkim lotem kuli wzbily się w powietrze, i zdawało się już pewne zwycięstwo, czaple jednak przewidywały ten atak z góry i były do niego przygotowane; w jednej chwili wyciągnęły swoje długie szyje nad grzbiety, dzióbby ostre jak bagnety podniosły w górę i zdawały się nieruchomymi

w powietrzu. Jeden z sokołów, znać młody, a temsamem nie-doświadczony, nie zważając na niebezpieczeństwo, całym pędem swego ciężaru rzucił się na ostrze dzioba czapli, i jakby przykuty do niej, spadł z nią razem na ziemię, ale czapla, zaczem nadbiegł sokolniczy, oswobodziła swój dziób z nadzianego nań wroga i swobodnie popłynęła w powietrze, a martwy sokół leżał na ziemi z rozprutą piersią.

Starsze jednak i dobrze wytresowane sokoly, nie dały się wziąć na ten manewr—kraźły uporczywie po nad zawieszonym w powietrzu ptakiem i nareszcie upatrzwszy chwilę w której czapla dziób swój opuściła, z szybkością błyskawicy rzuciły się na nią, lub z boku dojechawszy, zrzuciły ją na ziemię, same nie doznawszy żadnego szwanku.

Polowanie to jednak mało zajmowało króla, do innych on przywykł łowów. On szedł z dzidą i toporem wprost na niedźwiedzia, on z kordelasem rzucił się na zatrzymanego przez psy dzika, on przeszywał strzałą serce tura. Zabawka ta więc, upowszechniona w całej zachodniej Europie, nie przyciągała go i wkrótce na twarzy króla pokazało się znudzenie.

Godzina nastąpiła już południowa. Na murawie zastawiono stoły z przywiezionemi zapasami żywności, beczki z miodem i winem rozbito, i cała drużyna myśliwska z kielichem w rękę ucztowała.

Po zakończonym obiedzie, W. Mistrz zaprosił króla i przy nim będących gości nad sam brzeg zatoki Fryzkiej, gdzie liczni niewolnicy, brodząc po pas często w mule zatoki, wylali kawałki bursztynu i takowe składali do skarbców Zakonu.

Kawałki pospolicie były drobne, ale znajdowały się pomiędzy niemi i okazy poważnej miary. W chwili właśnie przybycia królewskiego orszaku nad brzeg, jeden z niewolników wydobył ogromny kawał bursztynu z mułu; oplukawszy go w wodzie i bacznie mu się przyjrawszy, wydał okrzyk podziwu. Inni robotnicy zaczęli się zbliżać do niego, dla poznania przyczyny tego okrzyku, ale w tejże samej chwili, dozorczy

batami rozpedzili kupiących się i odebrali bursztyn, który wydobyl niewolnik. Z daleka widzial to W. Mistrz, skinął więc i kazal sobie podać bursztyn bagrowany (to jest, wydobyty ze szlamu, kopalny, a nie wyrzucony przez wody morskie) byla to bryla niekształtna, ale wielkości głowy człowieka, żółta i przezroczysta.

Nie ogrom jej jednak niezwykle zadziwial robotników, bo takowe jakkolwiek rzadko, jednak znajdowano — w środku niej, jakby pod szklanym kloszem, widać bylo siedzącą jaszczurkę, ale jaszczurka ta, byla dziwnego kształtu, cala pokryta łuszcza jakby pancerzem koloru ciemno purpurowego. Oczy jej wysadzone na wierzch, zdawaly się z ciekawością przypatrywać obecnym, a tak doskonale zachowala wszystkie swoje kształty, że zdawalo się, że w niej drga życie i że gdyby rozbito bryłę więzając ją, wyskoczyłaby.

— Pozwól Wasza królewska Mość, ofiarować sobie ten niezwykle plód natury — rzekł W. Mistrz, zbliżając się z uszanowaniem do króla i podając mu znalezioną bryłę.

— Dobrze — odpowiedzial król — ale wraz z niewolnikiem, który ją znalazł, przyjąć ją tylko mogę.

— I stu innych gotów jestem ofiarować Waszej Miłości.

— Dziękuję wam za ten podarunek z serca — rzekł król, ściskając prawicę W. Mistrza — kaźcie więc tym ludziom, których mi darowaliście, niech tutaj wyjdą i ustawiają się szeregiem.

Na głos piszczałki dozorców, niewolnicy zaprzestali robotę i zawalani błotem, niektórzy nawet zupełnie nadzy, wyszli na groblę i ustawili się w porządku.

Było ich wszystkich 514, pomiędzy niemi kobiety, starcy i dzieci nawet. Wszystko to byli uparci Żmudzini, którzy pomimo pletni, głodu i zimna, nie chcieli odstąpić od swoich bogów i pieśń Wajdeloty byla ich jedyną religią.

Smutny bardzo widok przedstawiali ci nieszczęśliwi ludzie, na plecach ich znać bylo sine pręgi batów, głód wysuszyl ich ciała, drżące teraz od zimna.

— Racz Wasza Królewska Mość, rozkazać któremu ze swoich dworzan, wybrać sto najmocniejszych okazów tego pogańskiego motłochu.

Król smutnie spoglądał po obecnych — tu jakiś starzec nie mogąc się utrzymać na nogach, od znużenia upadał na ziemię, w drugim miejscu chłopczyzna dziesięcioletni w brudnej koszuli, oparł głowinę swoją na kolanach matki i z płaczem coś jej opowiadał.

Król zbliżył się do niewolników i przemówił do nich językiem litewskim, którym doskonale władał, mając za pierwszą żonę Aldonę, księżniczkę litewską.

Na widok zbliżającego się króla, usłyszawszy dźwięki ojczyściej mowy, cały ten tłum, jak jeden człowiek, upadł na kolana, uderzył czołem o ziemię, a potem podnosząc ręce do góry, ze łzami w oczach, zawołał wielkim jękiem:

— Ratuj! wielki kunigasie!

— Czyji wy ludzie? — zapytał król.

— My kunigasa Kiejstuta raby.

— Dawno tutaj jesteście?

— Niektórzy już dawno, niektórzy nie.

— Wtenczas wystąpił człowiek czterdziestoletni i uderzywszy czołem przed królem, rzekł:

— Ja bojar z Milkiszki i trzydziestu tu jest moich poddanych.

Teraz zarówno bojar, jak i jego poddani byli pod jednym batem zwycięzcy, niewola zrównała wszystkich.

Król jakiś czas przypatrywał się ze współczuciem całej tej gromadzie, nareszcie obracając się do Wielkiego Mistrza, rzekł:

— Szlachetny Mistrzu! który tak gościnnie przyjmujesz mnie na swojej ziemi i tak wspaniale obdarzasz, sam przyznasz, że popełniłbym niesprawiedliwość, oswobodzając stu z niewoli, a cztery razy tyle pozostawiając w niej, proszę cię więc przezaeny panie, naznacz cenę okupu i tej reszty, i sprzedaj mi ich.

— Prawa naszego Zakonu, miłościwy Panie, zabraniają nam handlować tem mięsem ludzkim, boć jakkolwiek są to zapamiętali poganie, zawsze nasi bliźni, sprzedać ci ich nie mogą.

Król smutnie spuścił głowę na piersi, co widząc Mistrz, ciągnął dalej.

— Ale darować ci ich mogą, miłościwy Panie, towaru tego nie braknie nam za Niemnem.

Król z rozczeniem przyjął ofiarowany sobie podarunek 514 Żmudzinów.

Wielki Mistrz obracając się do głównego dozorca, rzekł:

— Oddać ich wszystkich pod strażę królewską, to są już królewscy ludzie, pozdejmować z tych, na których są kajdany, bo takowe przydadzą nam się na nowe wyprawy.

Żmudzini z niewypowiedzianem zdziwieniem spoglądali na swoich dozorców, otwierających kłódki kajdan i zabierających łańcuchy — nie wiedzieli co to znaczy.

A teraz, rzekł król, zbliżając się do gromady:

— Żmudzini! jesteście wolni, wracajcie za Niemen do swoich chat, pokłońcie się odemnie swojemu kniaziowi Kiejstutowi, ale pierwszej posilcie się na drogę wśród moich żołnierzy, każę was zaopatrzyć w odzież.

Przez chwilę panowała cisza, raptem rozległy się jęki, płacz ogromny wyrwał się ze wszystkich piersi, i nareszcie cały ten tłum na klęczkach zbliżył się do króla, całował jego szatę, ślady stóp jego wyciśnięte na piasku.

Wielki Mistrz posłał gońca do pogranicznego komtura, zawiadamiając go, żeby przepuścił przez Niemen 514 niewolników litewskich, wracających do swojej ziemi.

I przez delikatność zapewne, nie chcąc więcej słyszeć podziękowań króla, zaczął mu opowiadać o sposobach wylawiania z morza bursztynu i kopania takowego w namulach wyschniętych jezior.

Obszerny handel bursztynem prowadzili Krzyżacy; Konstantynopol i Rzym zarówno używały jego kadzidla i obficie

zapelniały szkatuły skarbu Krzyżackiego; pokłady nie były jeszcze tak wyczerpane, jak obecnie, chociaż jeszcze i teraz rząd pruski wydzierżawia zbieranie bursztynu na brzegach Bałtyku od Gdańska po Królewiec, za sumę siedmdziesiąt tysięcy talarów rocznie.

Rozpoczęło się rybołówstwo w zatoce, ogromne sieci po kilkadziesiąt sążni długie, ciągnione na łodziach przez rybaków, wydały tak ogromną masę ryb, że formalne sterty utworzyły się na wybrzeżu, pomiędzy nimi odznaczały się flądry swoją brzydota, ale zarazem wykwintnym smakiem. Flądra jest to ryba płaska i obrzydliwa jak pluskwa, z przekręconą głową do płaszczyzny, jak potępieńcy Danta; z jednej strony białą, z drugiej żółtą, plamowatą powleczone skórą, wstrętny sprawia widok patrzącemu, ale czy to smażona, czy gotowana, lub wędzona, stanowi przysmak okolicznych mieszkańców.

Polacy zaopatrzyli w ubiory prawie w jednej chwili niewolników, ale trudniejsza była sprawa z kobietami, i te więc musiały poprzebierać się po męsku.

Wielki Mistrz oddał im znaczną część połowu, ażeby uwędziwszy ją, mieli o czem powracać do swoich.

Cała kompania królewska późnym wieczorem powróciła na zamek Malborski, jutro przypadał ostatni dzień królewskiego pobytu w krzyżackiej gościnie, jutro miały się odbyć gonitwy rycerskie, turnieje na pożegnanie króla.

Obszerny plac, po za murami zamku, ogrodzony został baryerami wysokimi, zrównany i wysypany białym, morskim piaskiem; z jednej strony utworzono w amfiteatr siedzenia.

W środku na wywyższeniu, pod bogatym baldachimem z jedwabiu i złota, wystawiono tron dla króla i obok niego dla sędziów, którymi byli Wielki Mistrz i książęta Cieszyńscy.

Dalej zasiadały damy, panowie polscy, niemieccy baronowie, przybyli z Zygmuntem i rycerze zakonu.

Czterech heroldów, jaskrawo ubranych, wjechało najpierwej w szranki, przy huku trąb i bębnow i ogłosiło, iż:

Wielce możny pan na Mitelwerde, przesławny baron Wegner, wraz z pięcioma swoimi towarzyszami, również szlachetnego pochodzenia, wzywa każdego, ktoby się tylko z nim chciał zmierzyć, byle szlacheckiej krwi, do starcia się na miecze i kopije w równej liczbie sześciu; jako nagrodę zwyciężcom rozdane zostaną puhary srebrne, kunsztownie rzeźbione.

Baron Wegner na czele swoich pięciu towarzyszy wjechał jedną z bram, wszyscy zakuci w żelazo po same oczy, pomału objechali szranki w okolo, przed królewską lożą oddali pokłon i stanęli w jednym szeregu przy baryerze.

Następnie wjechało sześciu rycerzy, bogato ustrojonych w złociste zbroje; Nawój z Przegini prowadził ich, siedząc na pysznym białym koniu z karminowaną grzywą i ogonem. Również stępo objechał szranki wraz ze swoimi towarzyszami, głęboki pokłon złożył przed królewską lożą i stanął u drugiej mety; przeciwnicy w milczeniu oddali sobie nawzajem pokłon rycerski i czekali sygnału rozpoczęcia walki.

Na znak dany przez króla odezwała się trąbka herolda i jednocześnie dwanaście koni postawiło dęba, zabłyszczało przednimi nóg podkowami w powietrzu i jak dwa uragany puściły się naprzeciw siebie.

Kopie rycerzy pochyliły się po nad uszami rumaków i z taką siłą uderzyły o pancerze przeciwników, że wszystkie pękły jakby obcięte mieczem; jeden z rycerzy polskich i dwóch z krzyżackiego oddziału zważyło się z koni, pozostało więc pięciu Polaków naprzeciw czterech Niemców na koniach. Wówczas jeden z najdzielniejszych rycerzy polskich Kochan, nie chcąc, gdyby nastąpiło zwycięstwo, iżby Niemcy przypisywali je przewadze liczby, dobrowolnie ustąpił na stronę, nie przyjmując udziału w dalszej walce.

Rycerze cofnęli się znowu do baryery, na nowy znak z podniesionymi mieczami ośmiu rycerzy rzuciło się przeciwko sobie, zaświeciły miecze w powietrzu, iskry posypały się nad głowami rycerzy i wkrótce dwóch Polaków i jeden Niemiec rozciągnięci byli na ziemi; rannych wyniesiono natychmiast,

a trzech Niemców odwdzięczając się równą grzecznością, jednego z pomiędzy siebie również usunęli od walki.

Nawoj z Przegini ze swoim towarzyszem i Wegner również z jednym rycerzem mieli rozstrzygnąć losy walki; przez jakąś chwilę dano koniom wypoczynek przy baryerze, teraz miała nastąpić najstraszliwsza chwila tragedyi, rycerze mieli uderzyć na siebie toporami; tu już cios każdy nie mógł się ograniczyć raną, uderzenie toporem zwykle było śmiertelne. Król niechcąc ani narażać życia drogiego swemu sercu Nawoja, ani też śmiercią Wegnera płacić za gościnność zakonu, zabronił dalszej walki i dary zostały rozdzielone pomiędzy pozostałych rycerzy.

Tak Wegner jak i Nawoj protestowali przeciw temu, ale stanowcza wola króla spór przecięła.

Na drugi dzień król żegnał się z Wielkim Mistrzem, odjeżdżając obdarował go kosztowną bardzo szablą, której klinga w Damaszku była kuta, a pochwa ozdobiona drogiemi kamieniami — było to wywdzięczenie się za udarowanie wolności 514 Żmudzinów.

Krół miał zamiar w dalszym ciągu podróży zwiedzić ziemię Pomorską, którą w początkach swego panowania drogą układów odstąpił Krzyżakom, i która niedługo znowu miała powrócić do Korony.

Liczne poczty Krzyżaków odprowadziły króla aż do Tczewa, tu przebyli most na Wiśle, na palach zbudowany, arcydzielo na owe czasy sztuki architektonicznej, bo Wisła o sześć mil tylko od swojego ujścia jest już tak potężną rzeką, że wielkiej potrzeba było odwagi, chcąc związać jej obydwa brzegi drewnianą klamrą.

Krół ominął Gdańsk, dobrze mu znany, a jadąc przez bogate Żuławy, gdzie mleczne krowy brodząc po pas w trawach, wypasaly się i dostarczały wybornych serów żuławskich, nie mógł nadziwić się bogactwu okolicy.

W Oliwie, prześlicznej miejscowości, położonej nad samem morzem, czekało króla przyjęcie.

W początkach XIV wieku, Bożysław, przeor klasztoru pustelniczego w Szwarnogau, przeniósł się z braćmi do klasztoru Oliwskiego, przyjął regułę Cystersów, a król Wacław wszystkie majątności dawne klasztoru pustelniczego do Oliwskiego przyłączył i hojnie uposażył.

Klasztor to był niezmiernie bogaty; oprócz licznych dóbr do niego należących przysługiwało mu prawo rybołówstwa w zatoce Puckiej od Oliwy do Pucka i Heli.

W Zatoce Puckiej stały okręta ze zbożem klasztorne, wysyłane do Holandyi i Anglii — dochody klasztoru były wspaniałe, a wyrób sukna, którym się zajmowano, przynosił także wielkie korzyści.

Cystersi byli to zakonnicy bardzo twardej reguły, a za jeden z najważniejszych artykułów ich praw położył założyciel — pracę.

Gdy król zbliżył się do Oliwy wśród bicia dzwonów, wystąpił na jego przyjęcie opat na czele stu księży mszalnych i nowicyatu z krzyżem w rękę i święconą wodą.

Panowie Pomorsey: Raba z Waplewa, Czarliński z Czarney, Lebowski z Leby i wielu innych, czekało u wrót świątyni, dziś rozwalinami swojemi jeszcze imponującej.

Domki Cystersów malutkie, rozrzucone w około klasztoru, otoczone klombami kwiatów starannie hodowanych, zdawały się gniazdkami ptasząt, otoczonych kwitnącemi powojami.

Każdy z zakonników miał osobny domek i osobny uprawiał ogródek, cały klasztor był niemi otoczony; zdawało się, że to wspaniały brylant, wśród wieńców zieleni i bukietów róż.

Sławne dzisiaj jeszcze w Oliwie ogrody i szpalery grabowe, należące do osobistego majątku królów pruskich, były już wtenczas założone i dziś zarząd królewskiego pałacu ma tylko tyle zasługi, że je umiejętnie zakonserwował, kiedy kościół i domki świątobliwych zakonników poszły w ruinę.

Tu, w trzysta lat potem, miano zawrzeć fatalny traktat pokoju; stolik, na którym go podpisywano, dziś jeszcze pokazują odźwierni zwiedzającym podróżnym.

Król przenocował w Oliwie, panowie Pomorscy ze łzami w oczach błagali go, żeby ich wyswobodził z tej niewoli egipskiej, jak nazywali władzę Krzyżaków.

Uczta składała się tylko z ryb wszelkiego rodzaju i wielkiej różnaitości jarzyn, bo Cystersom nie wolno było przez cały rok spróbować nawet mięsa. W Wielką Niedzielę tylko przynoszono na stół baranka pieczonego każdy z zakonników przychodził, wtykał węć widelec, powąchał go wyjąwszy, i to stanowiło całą ucztę.

Zato piwnice Zakonu zaopatrzone były w stare zapleśniałe beczki miodu, wiśniaków, jabłeczników i różnego rodzaju nalewek.

Teraz piwnice zostały otwarte i gościnni zakonnicy sami wyszukiwali, co mieli najkosztowniejszego dla uczczenia znakomitego króla.

Król nie lubił długo bawić w jednym miejscu; tak liczny orszak nie tylko wymagał odpowiedniego pomieszczenia, ale narażał na wielkie koszta gospodarza, na którego spadł zaszczyt tych odwiedzin.

Król spieszył się do Krakowa.

Jeden dzień tylko zabawił w Oliwie, żegnany krzyżem i święconą wodą pobożnych zakonników, łzami panów pomorskich i cichemi westchnieniami ludu, który bał się głośno objawiać swoje uczucia, wiedząc, że baczne oko i ucho krzyżackich szpiegów czuwa nad nim i śledzi nawet wyraz twarzy.

Nad jeziorem Radaum popsute mosty na groblach, które potrzeba było dopiero stawiać, opóźniły przejazd królewski.

Pod Chojnicami wyjechał naprzeciw niego pan na Czołowie Czołowski, zapraszając w gościnę, król jednak nigdzie się nie zatrzymując, dążył do Krakowa na wesele wnuczki swojej, które się miało odbyć z cesarzem, i na którym trzech królów i cesarz gościnnie podejmowani byli przez mieszczanina krakowskiego Wierzyńka, z przepychem niesłychanym.

Po powrocie króla do Krakowa, pierwszą osobą, którą kazał do siebie przywołać, był Niemira, jedyny już teraz syn

królewski, młodzieniec wyższemi obdarzony zdolnościami, ale burzliwy i pełen dumy.

W Krakowie robiono przygotowania do wesela.

ROZDZIAŁ XI.

Niemira. — Salamonówna. — Śmierć.

Na uczcie, wyprawionej przez Wierzyńka gościom królewskim, pomiędzy którymi, jak to już powiedzieliśmy, byli królowie i cesarz, znajdowało się także wielu panów i książąt udzielných; opisywać jej tu nie będziemy, bo przedmiot ten wyczerpali już inni autorowie dostatecznie, a cały ich opis jest dowodem tylko zamożności kraju pod zarządem genialnego króla; na uczcie tej znajdowała się także znajoma nasza Salamonowa.

Córka jej Magda, którąśmy widzieli siedzącą w klatce żelaznej ze swoją myszką, już dawno wyszła za mąż za bogatego kupca z Gdańska; ale przy matce wyrastał jeszcze kwiatek, pełen woni i uroku młodości; młodsza jej siostra, Kachna, teraz zaczynająca siedmnastą wiosnę życia.

Król, niezrównany znawca piękności, zwrócił swoją uwagę na młode dziewczę. Matka, która przeszła tragiczne sceny życia, zostawszy teraz z jedyną córką, gromadziła dla niej skarby i pragnęła jej rękę oddać człowiekowi, któryby i nazwiskiem swoim i fortuną odpowiednią godny był połączyć się z Salamonówną.

Na pretendencjach do ręki pięknej i bogatej Kachny nie zbywało.

Pomiędzy innymi Kochan, ulubieniec królewski, lubo już dawno przeszedł czterdziestkę, bogaty i przystojny jeszcze, będąc wysłany raz od króla w jakimś interesie handlowym, poznał Salomonównę i bardzo gorące amory weszły mu do serca.

Matka znając go i wiedząc, jak jest postawiony w łasce królewskiej, nie miała nic przeciw temu związkowi, a zamieszkując we własnej kamienicy w Krakowie, przyjmowała go prawie co dzień, jeżeli tylko służba nie zatrzymywała go w zamku.

Kiedy Kachna pracowicie wyszywała złotemi niciami ornat do kościoła św. Jana, siedząc schylona nad robotą, wówczas na stole przyległym zjawiał się dzban potężny z miodem, dwa puhary staroświeckiej roboty, i Salamonowa zasiadłszy z gościem swoim, a w przyszłości zięciem, maczając usta w nektarze, prowadziła bez końca rozmowy.

Kachna rzadko bardzo przyjmowała udział w tych biesiadach, czasem tylko, kiedy Kochan opowiadając jaki czyn ze swoich wypraw wojennych, unosząc się głos podnosił, lub machał ręką, pokazując jak rąbał nieprzyjaciół, dziewczyna czerwieniła się zalekła i jeszcze niżej spuszczała oczy na robotę.

Czasem Kochan przynosił z sobą gitarę hiszpańską i zasiadłszy na sofie, nucił pieśń, akompaniując na strunach instrumentu; dziewczę wówczas zapominało roboty, która jej z rąk wypadła na kolana i utkwivszy oczy gdzieś w przestrzeniach, marzyła z zamkniętymi powiekami.

Czasem Kochan przynosił z sobą wieści ze dworu i plotki krążące wśród dworzan. Raz zaczął opowiadać przy Kasi, jak król namiętnie kocha jedyne go syna z Estery, jak żałuje, że nie może go osadzić na tronie po swoim zejściu, i że młodzieniec ten odznacza się tak pięknnością ciała jak i wielkimi przymiotami serca.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołała Salamonowa, podnosząc się zdziwiona — co waszeć wygadujesz, król miałby myśleć o tronie dla tego żydziuka?

— Nie jest on żydziuk — odpowiedział Kochan — ochrzczony jast w świętej religii katolickiej, przykładnie dopełnia wszystkich obowiązków religijnych, a zdolności okazuje niepospolite; stary mistrz Mojżesz unosi się nad jego nauką i przepowiada mu świetną przyszłość.

— Nie dziwnego, swój swojego chwali, kruk krukowi oka nie wykole; zawsze to podle plemię żydowskie, może tylko wydać z siebie lichwiarza albo tchórza.

— O! co do tego — odezwał się śmiejąc się Kochan — to w Niemirze, jeżeliby sądzić podług jego usposobień, ani jedna kropla krwi żydowskiej nie płynie; równie wspaniałego charakteru trudno napotkać, szczodroblivość jego znana jest wszystkim, rozrzuca złoto garściami, tak, że nawet sam król nieraz go o to strofuje, lubi okazałość w stroju — lepszego jeźdźca trudno znaleźć w całej Polsce.

— No! no! to dziwy nam waszeć opowiadasz, ale łatwiej to harcować na wyjeżdżonym koniu, jak zajrzeć w oczy Tatarowi lub Czechowi; tam bym go chciała widzieć!

— Żydowska kapota zawsze podszyta zajęczą skórką, stehórzylby powiadam waszmości.

— I tutaj imość się mylisz, któż nie zna w całej Polsce Pomiana, jego siły potężnej i nieustraszonej odwagi, a jednak i on musiał przyznać, że ma przed sobą nie lada rycerza.

— Jakto, czyliż pomiędzy nimi przyszło do jakiego spotkania?

— To muszę opowiedzieć imości zabawną historyjkę, bo widać jej nie słyszałaś, a przez cały tydzień była na zamku przedmiotem rozmów wszystkich. Naprzeciw króla, powracającego z Pomorskiej ziemi, wyjechał na czele 30 koni Niemira, aż pod miasteczko Kcynia w Gnieźnieńskiej ziemi; orszak młokosa świetnie się przedstawiał bardzo i król rad był jak najprędzej przycisnąć do piersi swojego ulubieńca. Rozłożyliśmy się właśnie już na nocleg obozem pod samem miasteczkiem, kiedy wjechał Niemira w bramę obozową, naprędce sporządzoną.

Król przypatrując się zdaleka zwinności jeźdźca i muskularnym jego kształtom, odezwał się do otaczających:

— Dzielny to jeździec, a i bronią niepoślednio podobno włada, radbym zobaczyć na własne oczy tego dowody; hej Pomianie! — rzekł król, obracając się do stojącego niedaleko

rycerza — jeżeli go potrafisz rozbroić nie kalecząc, ten bachmat turecki będzie twoim.

Pomian uśmiechnął się ironicznie pod wąsem, ruszył ramionami i odrzekł:

— To nie na moje siły, miłościwy królu, nie umiałbym utemperować cięcia, mógłbym tego pięknego paniczka uszkodzić, przecinając go od ramienia do brzucha, a zeszyć go nie byłoby tak łatwo.

Słyszał to Niemira i oko jego zapalało takim gwałtownym gniewem, że zdawało się, że iskry się zeń posypią. W jednej chwili spał konia swego ostrogami i z szaloną zapamiętałością rzucił się na Pomiana, stojącego także na koniu. Napad był tak nagły, uderzenia tak szalone, że Pomian, zaledwie miał czas dobyć swojego tureckiego miecza i stanąć w pozycji obronnej.

— Broń się — zawołał Niemira — broń się, bo cię rozrabie.

Pomian z początku chciał tylko odpierać zadane ciosy, ale widząc, że król i wszyscy przytomni śmieją się, wpadł w złość niepohamowaną i nie zważając już na żadne następstwa, zaczął wymierzać ciosy tak potężne, jak były owe, kiedy uciął głowę żubrowi. Żart mógł przybrać rozmiary nader smutne, jedno dotknięcie szabli Pomiana gruchocze kości jak słomę. Król zaczął się niepokoić, widząc, że Pomian zapamiętale rąbie na wszystkie strony, ale tymczasem chłopak tak zwinnie obracał się ze swoją lekką szablą, że żaden cios dosięgnąć go nie był w stanie. Krążył około niego jak jaskółka łowiąca muchy, naigrawał się, a szalony złością Herkules, coraz bardziej wymierzał ciosy na oślep, nie dosięgając jednak przeciwnika, gdy tymczasem sam był już parę razy draśnięty. Niewiadomo, na czymby się była skończyła ta walka, gdyby król nie nakazał potężnym swoim głosem zaprzestać jej. — Widzi więc imość, że młodzieniaszkowi wcale na odwadze nie zbywa i o tchórzostwo wcale go posądzać nie można.

Kachna całej tej rozmowy słuchała z wielką uwagą, chociaż na pozór zdawała się nie przywiązywać do niej żadnego znaczenia.

Król myśli dla niego o wysokich koligacyach, podobno ma na oku którąś z księżniczek szląskich.

Salomonowa złapała się za głowę.

— Koniec świata — zawołała — koniec świata dali Bóg; któraż księżniczka, ale co mówię, któraż córka szlachecka lub nawet porządnego domu mieszczańska, odważyłaby się na oddanie mu swojej ręki?

— Znajdzie się taka moja imość, jeżeli król tylko rzeczywiście zechce ręki do tego przyłożyć. Ale czas to już na mnie, dzisiaj przypada mi służba w zamku, — żegnam więc imoście.

I Kochan ucałował z atencją rękę kupcowej, ale kiedy z tą samą intencją zbliżył się do Kasi, ta porwała się z miejscą i pod pozorem, że szuka zagubionego naparstka, spiesźnie oddaliła się z komnaty.

Kochan wyszedł, nic sobie nie robiąc z tego.

Otóż na uczcie u Wierzynka, wśród tysiąca gości, zapelniających komnaty, znajdowała się i Salomonowa ze swoją rozkwitającą różyczką, znajdował się również i Niemira.

Bogaty ubiór wschodni, cały z jedwabów, ściśnięty w pasie kosztowną agrałą z brylantami, szablą w złotej oprawie, czarny wąsik, zaledwie sypiący się nad rumianą wargą, wszystko to stanowiło całość tak pociągającą, że nie tylko samej Kachny oczy za nim błądziły, ale nawet mężczyźni zatrzymywali z lubością swój wzrok na dorodnej postawie młodziana.

Jednym razem oczy Niemiry i Kasi spotkały się z sobą; dosyć było jednego spojrzenia, jak potarcia fosforowej zapalki żeby wybuchnął płomień i objął te dwie egzystencje.

Niemira postarał się natychmiast, że przedstawiono go Salomonowej i jej córce. Matka dosyć oziębło przyjęła to przedstawienie, ale Kachna nie umiała ukryć swojego zadowolenia, kiedy piękny chłopak podał jej bukiet róż.

Rozpoczęły się tańce, Niemira cały wieczór jej towarzyszył, i okazywał się równie zgrabnym w drabancie, jak na koniu z szablą w ręku.

Następnego dnia złożył kobietom wizytę.

Salamonowa zrazu myślała nie przyjmować go wcale, aleć zawsze był to syn królewski, a przytem młodzieniec tak sympatyczny, tak umiejący oczarować swoją rozmową, że pierwsze lody zostały przelamane, i Niemira stał się prawie codziennym gościem.

Kiedy więc król Kazimierz powróciwszy ze swojej podróży pomorskiej, kazał wezwać Niemirę i ten wszedł do jego komnaty, odezwał się do niego:

— Porozumiałem się już z cesarzem jegomością o tobie, młodemu potrzeba przetrzeć się po świecie, cesarz jegomość na moje wstawienie się przyjmie cię na dwór swój, gdzie przebędziesz rok, kształcąc się wśród doborowego towarzystwa. Cesarz jegomość tymczasem nada ci tytuł barona, którego byś tu, w tem Królestwie republikańskim, w którem równość jest tak przestrzegana zazdrośnie, nigdy nie mógłbyś zdobyć.

— Wśród pięknych kobiet, jakiemi jest ozdobiony dwór cesarski, jest tam jedna, którą wybrałem dla ciebie; ta uczyni cię panem potężnym, a przez związki krwi, stanie się jednym stopniem do twojego wyniesienia.

— Królu mój i ojcze! — odpowiedział Niemira, śmiało się posuwając naprzód, i z uczuciem całując podaną sobie rękę — wypełnię wszystko co rozkażesz, udam się na dwór cesarski, ponieważ sobie tego życzysz, chociaż tęsknota za wami będzie mnie trawiła; zasłużę na względy cesarza, kiedy to uznajesz za właściwe, ale to wiedz panie mój i ojcze, że żoną moją nazwę tylko tę kobietę, którą ja sam wybiorę.

— Bardzo dobrze, ale któż wie, czy właśnie tej nie wybierzesz, którą ja ci przeznaczam, celuje ona swoją pięknością pomiędzy wszystkimi gwiazdami, otaczającemi tron cesarza.

— Tej tam niema, którą ja mieć pragnę za żonę.

— Co! — zawołał król zdziwiony — śmiałybyś zrobić wybór bez mojej woli?

— Serce moje już go dopełniło, mój królu.

Król podniósł się, wziął się za boki i roześmiał się na całe gardło.

— Czy można wiedzieć, kogo uszczęśliwiłeś swoim wyborem?

— Nie widzę potrzeby robienia z tego tajemnicy, a zwłaszcza przed tobą mój królu.

— A więc któż to jest?

— Jest to córka mieszczanina krakowskiego Salamona, żyje przy matce swojej tu w Krakowie.

— A tak! — zawołał król — więc to Kasia wpadła wasanu w oczy, niezły gust! ale czyż ty myślisz waryacie, że ci dumni krakowscy mieszczenie nie będą ci robić żadnych przeszkód? księżniczkę krwi łatwiej ci odda cesarz w małżeństwo, jak Salamonowa swoją Kachnę, a przytem słyszałem, że ona już jest zaręczona z Kochanem.

— Nie wiem tego — odpowiedział poważnie chłopak — i Kachna zupełnie o tem nie wie.

— Bo i nie potrzeba, żeby o tem wiedziała, matka rozporządziła jej losem, to i dosyć.

— A jeżeli ona nie zechce?

— O to jej się pytać nie będą, władza rodziców nad dziećmi jest święta i twoja Kaśka musi uleść jej prawom.

— Ja nigdy do tego nie dopuszczę — zawołał popędliwie Niemira.

— Ty, a to jakim sposobem?

— Prawem mojem jest miłość dziewczyny, wyznała mi ją, moim obowiązkiem bronić ją od przemocy i niedopuszczyć, żeby jakiegokolwiek umowy zrobiły ją nieszczęśliwą.

— Więc tak daleko zaszło? cóż na to wszystko matka jej, a i twoja?

— Jak jedna, tak i druga, nie jeszcze o tem nie wie, moja zaś, kiedy się dowie, nie sądzę, żeby żądała czego innego, jak tylko tego, co ty jej wskażesz mój drogi ojcze.

— Wpływa to bardzo na moje postanowienie co do przyspieszenia twojego wyjazdu na dwór cesarski. Z mojej strony stawać na drodze do twojego szczęścia nie myślę, ale i popierać cię przeciw Kochanowi także nie, zostawmy czasowi, a potem wyrzekniemy ostatecznie słowo.

* * *

Kochan tymczasem, mając już zezwolenie matki, ani na chwilę nie powątpiewał, iżby Kachna mogła okazać się nieposłuszną. — Dzień ślubu został jużznaczony — wyprawa nad którą od paru lat pracowano, napelniała kufry. Ciężkie srebrne zastawy i holenderskie obrusy, jak również brukselskie koronki, były podziwem sąsiadek Salamonowej, a Kachna jak zwykle cicha, siedziała przy pracy i niemi srebrnemi i złotemi naprzemian wyszywała desenie na ornacie.

Matka nie uważała jeszcze za właściwe powiedzieć jej, że dzień ślubuznaczony już i przyrzeczenie udzielono już narzeczonemu, dosyć na to będzie czasu przy zapowiedziach.

Kochan podzielał także poglądy Salamonowej, a jako mąż poważny, nie wdawał się w nadskakiwanie podwice — dosyć, że jej dawał swoje nazwisko i opiekę — czegoż może chcieć więcej?

Kasia przyszła jednego dnia z kościoła z wielce zafrasowaną twarzą. — Po summie, kiedy kapłan wszedł na ambonę i po skończonem kazaniu zaczął wygłaszać nazwiska, zabierających się do stanu małżeńskiego — z wielkiem zdziwieniem usłyszała swoje i Kochana połączone razem; dotąd o tem wcale nie wiedziała, chociaż obrączki były już gotowe i wyznaczony dzień ślubu.

Teraz matka zawołała ją do siebie, pogłaskała po twarzy, pocałowała i rzekła:

— No, moje dziecko, czas ci już teraz objawić, iż losem twoim już rozporządziłam; za trzy tygodnie od dzisiaj, staniesz do świętego związku małżeńskiego z zacnym i wysoko

poważanym mężem, który swoje afekta ku tobie przedemną oświadczył — za trzy tygodnie będziesz już starościną Kochanową, gdyż król miłościwy przyrzekł mu, iż jako podarunek ślubny, udzieli mu starostwo Żarnowskie.

— Ale mamó! — zawołała zrywając się dziewczyna — ja jego nie kocham, ja jego nie znam!

— To zupełnie niepotrzebne, ja o wszystkim za ciebie pomyślałam — znam człowieka i wiem, że będziesz z nim szczęśliwa.

— Ja szczęśliwa! — zawołała dziewczyna, zalewając się łzami — ja szczęśliwa! bez mojego Niemiry! — nigdy to nie nastąpi! — nigdy, chyba trupa mojego zawleczenie do ołtarza

Matka nie zdawała się wcale tem zdziwiona, przyciągnęła ją do siebie, położyła rękę na jej głowie i odpowiedziała:

— Odkądże to dzieci śmiać być nieposłuszne woli swoich rodziców? — czy nie wiesz, że przekleństwo Boże ciąży nad buntowniczą głową córki, która staje wspak zamiarom matki. Powiedziałam to już, temu hultajowi Niemirze, że nigdy krew uczciwej mieszcзки krakowskiej nie połączy się z krwią żydowską, chociażby w żyłach jej płynęła kropla krwi królewskiej — nigdy to nie nastąpi, wiedz o tem i więcej nie mówmy — Asanna, weź się tymczasem dokończyć ornat, żeby oddany był kościołowi przed aktem jeszcze małżeństwa. — Dziś przybędzie tu imci pan Kochan, on asannie powtórzy to, co ja już powiedziałam — wszelkie dasy na nic tu się nie zdadzą, masz asanna dla swojego przyszłego małżonka być grzeczną — a gdybyś, czego Boże cię zachowaj, powtórzyła mu te głupie słowa, któreś do mnie wyrzekła, jedyną jesteś dla mnie córką, ale krata zakonnicy oddzieli cię na zawsze od świata.

Salamonowa wyszła, zostawiając dziewczynę ztętwiałą od przerażenia.

Samym wieczorem przybył Kochan, przyniósł z sobą kosztowne zausznice, wysadzone perłami i pierścionek do zaręczyn.

— Waćpanna już wiesz — rzekł wprost do niej, biorąc ją za rękę — bo matka to waćpannie powiedziała, że Kupido przeszył serce moje strzałą śmiertelną, żeśmy przeznaczeni dla siebie, i że ślub nasz niedługo się odbędzie; — uwiozę cię na moje starostwo Żarnowskie, które mi król jego-
mość przyrzekł najsolennie, na niczem ci tam zbywać nie będzie. — Jakże aśśka uważa, czy Kupido i twego serca nie zadrasnął czasem?

— Ani trochę — odpowiedziała śmiało — ani trochę opierać się woli mojej matki nie mogę, ale waćpan ze mną nie będziesz szczęśliwy, o nie. — Przyszłość jest w ręku Boga i nasze szczęście od Niego tylko zależy.

Dziewczyna chciała coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i weszła matka, trzymając na srebrnej tacy pierścionki.

Kazała ukłęknąć obojgu u nóg swoich i przeżegnawszy ich, zamieniła pierścionki i włożyła im na palce.

Kochan z rozjaśnionem obliczem dopełnił tego aktu, ale Kasia biernie wyciągnęła rękę, a w twarzy jej tak dziwny jakiś błyszczał wyraz, że matka pomimo woli pobałdła.

Dziewczyna powstała i wzięła się milcząco do wyszywania ornatu; — matka z narzeczoną zasiadli przy dzbanie miodu i zwykłą prowadzili rozmowę.

Stróżę wygłosili dziesiątą godzinę na zegarach, Kochan pożegnał kobiety i oddalił się pełen dobrych nadziei: — dziewczyna trochę się droży, mówił sobie, ale to być inaczej nie może, żadne kupno nie odbywa się bez targu, tem przyjemniejszy towar, im lepiej jest wytargowany. — Matkę mam za sobą, król zdaje się także sprzyjać temu małżeństwu, bo obiecał mi wyraźnie dać jako podarek ślubny, patent na starostę żarnowskiego.

Plącze się tu podobno trochę ten Niemira, ale to dzieciak jeszcze, któżby dziecko oddawał w opiekę dzieciakowi? stara Salamonowa stanowczo go nienawidzi, król myśli dla niego o innej partyi — a tym sposobem wszystko idzie do-

brze — już i mnie trzeba wypocząć, pięćdziesiątka się zbliża, a życie prowadziłem tak burzliwie; tam na zamku żarnowskim wypocznę sobie z młodą żoną — doczekam się jeszcze dzieci, a kiedy stare kości zaczną boleć, znajdzie się czuła ręka żony, co mi poda lekarstwo.

Kochan powrócił na zamek, pełen różowych nadziei i na drugi dzień przy wstawaniu króla, oświadczył mu, iż jest zaręczony z Salamonówną.

Król bacznie tylko spojrzał mu w twarz i zapytał:

— A cóż bohdarka twoja na to wszystko, bardzo jest zakochana?

— Robi ona tam jakieś ceregiele, ale cóż, jak młode, zwyczajnie niedoświadczone stworzenie; jak się stulą zobaczy związaną, to i wszystkiemu będzie koniec.

— Tak, zapewne, stula rozstrzyga wszystko — rzekł król z dwuznacznym uśmiechem — to i niedługo trzeba ci będzie odbyć wjazd na starostwo Żarnowskie, dokument każe wygotować w mojej kancelaryi.

— Uniżone składam dzięki Waszej królewskiej Mości.

* * *

Gdy ogłoszoną już była godzina ognia przez stróżów miejskich i światła pogasły we wszystkich oknach grodu — do kamienicy Salamonowej zbliżył się człowiek szybkim krokiem — nie namyślając się, obszedł ją dokoła, namacał małą furtkę w ścianie, wyjął z kieszeni klucz, otworzył bez najmniejszego szelestu, następnie przyknuł tylko za sobą i przeszedłszy podwórko, wszedł do ciemnej sieni.

Zaledwie parę kroków postąpił, ręka jakaś spoczęła na jego ramieniu i nie dając mu czasu do opamiętania się, szybko pociągnęła go po wąskich a krętych schodach.

Człowiek postępował kocim krokiem, najbystrzejsze ucho nie dosłyszałoby szelestu, poprzedzany przez swojego przewod-

nika, w którym po ubiorze tylko, gdyż nie zamienili ze sobą ani słowa, poznał białogłową.

Na drugim piętrze dopiero skřęcili w korytarz wąski i zatrzymali się przy małych, ale silnie okutych drzwiczkach.

Kobieta zlekka zapukała palcem, drzwi natychmiast się otworzyły, a gdy mężczyzna przestąpił próg, przewodniczka cofnęła się i drzwi zamknęła.

Przy słabem świetle lampy, wiszącej przed obrazem Matki Boskiej, Niemira dostrzegł wyciągnięte ku sobie ręce Kachny — młodzian ani chwili nie tracąc, upadł jej do kolan, ona wsparła rękę na jego długich włosach i podnosząc go szeptała:

— Odważyłam się na krok tak szalony, przyzywając ciebie tutaj — ale dziś Kochan został ze mną zaręczony — dziś rozstrzygnęły się moje losy — ostatnie to już nasze widzenie się — dziś pożegnamy się na wieczność całą.

— I ty zdecydowałaś się Kasiu przyjąć te chaniebne pęta?

— Matka zagroziła mi klasztorem — na to bym nie zwała i u stóp Boga błagałabym o twoje szczęście — ale bez ciebie ja się modlić nie umiem, ja bym tam umarła. — Wola moja i serce huntuje się i szuka jakiegoś innego wyjścia — radź — myśl — działaj!

Niemira namiętnie przycisnął dziewczynę do piersi, na twarzy jego rozlał się wyraz szczęścia i zaufania — cichym szeptem odpowiedział:

— Więc wszystko pójdzie jak najlepiej, kiedy ty tylko trzymasz ze mną — niema siły na świecie, która by nas rozdzieliła — zrzuc ten obrzydliwy pierścionek ze swego palca — albo nie, to by obudziło podejrzenie — noś go więc, dopokąd temu staroście w gardło go nie wtłoczę. — Mamy trzy tygodnie czasu przed sobą, to więcej jak potrzeba dla dojścia do naszego celu. — Czy tylko, o moja jedyna, w ostatniej chwili nie zabraknie ci energii, czy nie przełęknieś się iść za mną chociażby na wygnanie?

— Chociażby na stos — odpowiedziała dziewczyna, otaczając szyję jego swojemi rączkami.

— Więc jesteś moja! moja na wieki! — zawołał prawie głośno Niemira, zapominając się. — Kachna zatkala mu usta swoją dłoń.

— Och! szalenciec ze mnie! — wyszeptał Niemira — to podniesienie głosu mogło nas zgubić.

— W wigilię dnia, przeznaczonego na wesele, bądź gotową — wszystko będzie przygotowane — tymczasem przywdziej maskę na swoje oblicze i swoje słowa. — Tyle mi właśnie czasu potrzeba, żeby dojrzał mój plan — przez ten czas, żeby nie obudzić podejrzeń, widywać się nie będziemy — mógłbym wprowadzić zaraz porwać cię i zawieźć do mojego zamku w Drugni, ale któż wie, czy król nie będzie przeciwko nam — jego ręka tam by nas dosięgła.

— Udamy się daleko, do Italii lub Francyi i tam przeczekamy pierwszą burzę — a gdy zostaniesz moją żoną, mam nadzieję, że król nam przebaczy, bo i matka moja błagać go będzie o to i pozwoli nam powrócić do ojczyzny.

Wtem dało się słyszeć stuknięcie we drzwi.

— Uchodź! — wyszeptała Kachna — uchodź, bo jesteśmy zgubieni, wszystko się stanie jak zarządysz — jam twoja na wieki.

Niemira jeden jeszcze pocałunek złożył na ustach dziewczyny i oddalił się spiesźnie. — Zaledwie jednak zdążył dojść do drzwi wychodowych na dole, gdy zobaczył, iż drzwi na pierwszym piętrze otworzyły się i w nich pokazała się Salamonowa w nocnem ubraniu, ze świecą w ręku, wstępująca na wschody, wiodące do komnaty córki. — Służąca teraz popchnęła go za drzwi i sama spiesźnie powróciła do swojej stancyi.

Niemira znalazłszy się na podwórku, przy niezamkniętej furtce, spiesźnie nią przeszedł i drzwi na klucz zamknął za sobą.

Tymczasem Salamonowa na palcach, pocichu, zbliżała się do komnaty córki — stanęła na chwilę przy drzwiach, przy-

sluchując się, potem schyliła się do dziurki od klucza i zajrzała nią — nic jednakże nie mogła dojrzeć, bo w komnacie panowała zupełna ciemność.

— A jednak zdawało mi się, iż słyszałam jakiś obcy głos tutaj!

Otworzyła więc drzwi pocichuteńku, najprzód wetknęła rękę ze świecą, potem wsunęła głowę we drzwi i bacznie się przypatrywała, następnie weszła sama i na palcach zbliżyła się do łóżka — dziewczyna spała przykryta prawie na głowę — lekkie chrapanie dawało się nawet słyszeć — przez chwilę stała Salamonowa, przypatrując się uspiionej i zasłaniając ręką świecę, śpiąca zaczęła coś belkotać przez sen — teraz matka zupełnie się uspokoiła.

— Więc to przez sen dziewczyna coś gadała głośno.

Również cicho więc, jak weszła, oddaliła się, unosząc ze sobą światło.

Nie poprzestała jednak na tem, weszła do pokoju panny służącej, ta spała zupełnie rozebrana, suknie były porozrzucane po krzesłach, koldra na pół się zwiesiła z łóżka, a dziewczyna chrapała na całe gardło.

— To dziwna jednak — mówiła do siebie stara — koniecznie mi się zdawało, że to był jakiś głos obcy.

Tymczasem dzień, przeznaczony na odbycie ślubu zbliżał się spokojnie. — Niemira zniknął gdzieś z Krakowa, nikt go przynajmniej na ulicach nie spotykał. — Kachna obojętnie przyszywała perły do ornatu, były nawet dnie, że nucila cicho przy robocie.

Kochan jak dawniej, codziennym bywał gościem, zasiadał z Salamonową do pucharu miodu i gawędząc z nią, od czasu do czasu spoglądał na przyszłą swoją żonę, zaledwie kilka słów w ciągu wieczora z niej wydobywszy. — Bo i na co mu to? jeszcze się nią nacieszy i nagada, jak zostanie jego żoną — a teraz niech dziewczyna zna powagę męża — to nie jakiś młokos, paliwoda, któremu język obraca się w gębie, jak szmigi wiatrakowe.

Salamonowa wydając ostatnią córkę, skoligaconą z Wierzyńkami, Bonarami i innemi potęgami kupieckimi nie tylko Krakowa, ale i zagranicy, pragnęła, żeby świetność wesela nie pozostawiała do życzenia, uproszono nawet biskupa Florjana z Morska herbu Jelita, który wstąpił na stolicę biskupią po Bodzancie, iż sam obiecał pobłogosławić obrzęd ślubny kochanej i pięknej Salamonówny.

Nadchodził nareszcie dzień stanowczy.

* * *

Tymczasem piękna niegdyś Estera z postępem lat zmieniła się do niepoznania. Boguta, młodszy syn jej umarł, dwie córki wydała za mąż za szlachciców polskich, jedna z nich umarła bezpotomnie, druga zaś została matką rodu, który potem wielce zasłużył się krajowi, i który dziś jeszcze istnieje i przechowuje w żyłach swoich kroplę krwi starych Piastów rodu.

Król, niestały w miłości, gdy uczucie to przemieniło się na przyjaźń, umiał pozostać mu wiernym; a kiedy Estera nie manifestując wcale tego, przeszła na religię katolicką i umiała z zaparciem się patrzeć na niewiernego kochanka, któremu już dawno przeszedł szósty krzyżyk, on stał się jej szczerym przyjacielem i opiekunem.

Wszystkie jej nadzieje świetnej przyszłości skoncentrowały się teraz na Niemirze, a był to młodzieniec w rzeczywistości mogący spełnić bardzo wiele. Natura obdarzyła go nie tylko fizyczną pięknoscią, siłą, odwagą, ale wysoką szlachetnością charakteru, a nadewszystko chęcią i zamiłowaniem nauk.

Mistrz Mojżesz wiele mu udzielił ze swojej mądrości, następnie Niemira przebywał kilka lat we Włoszech, które w owej chwili trzymały zarówno palmę pierwszeństwa cywilizacji europejskiej jak i zepsucia.

Król, jeżeli nie obdarzył go tytułem książęcym, to tylko dlatego, że w Polsce tytuły te nie istniały, ale nadał mu herb »Łabędź« i zaliczył do szlachty polskiej.

Nadto miał zamiar wysłać go na dwór cesarski i tam skoligacić z którąś z księżniczek Szląskich. Kiedy się więc matka dowiedziała, że syn nie myśli o podróży do Niemiec, ale tutaj zakochany w kupcównie krakowskiej, chce zakopać swoje zdolności, zamieszkując w Drugni, którą król Kazimierz wraz z innemi wsiami darował, była mocno tem dotknięta; wezwwała więc natychmiast syna do Opoczna, gdzie tenże nie omieszkiał pospieszyć, tem bardziej, że sam przed wyjazdem swoim za granicę z piękną Kachną, chciał się z matką pożegnać i zaczerpnąć złota ze skarbcza matki.

Kiedy więc Niemira przybył na zamek Opoczyński i nie kryjąc nic, opowiedział matce swoje plany, była niemi przerażona; знаła zamiary króla względem swojego jedynaka, знаła jego przywiązanie do niego i obawiała się, żeby go to za bardzo nie rozgniewało, ale zarazem znając i gwałtowność Niemiry, nie śmiała go wprost pozbawiać wszelkiej nadziei; pragnęła go zatrzymać w Opocznie dotąd, aż by się odbyło wesela Kochana. Tymczasem wyprawiła umyślnego gońca do króla, o wszystkim go powiadamiając.

Król jednakże pokazał się jakoś biernym w tym całym wypadku, nie zdawał się przywiązywać do niego wagi i pozostawił rzeczy własnemu ich biegowi.

Po dwóch dniach pobytu w Opocznie, Niemira zrozumiał dyplomacyę matki; widząc, że nic od niej na teraz wydobyć nie potrafi, pożegnał się i wsiadłszy na koń, chciał odjechać, jak mówił, do swoich dóbr.

Wtenczas spostrzegła Estera, że nie zwycięży silnej woli syna, zrezygnowała więc ze swoich dumnych zamiarów, otworzyła kufry ze złotem i pozwoliła mu brać, ile uzna za potrzebne.

Niemira odjechał rozczulony dobrocią matki i tak szczęśliwy nadziejami przyszłości, jak gdyby już wszystkie przeszkody zostały usunięte, a on się widział spoczywającym u boku pięknej żony.

Zresztą wypadło mu się spieszyć, tydzień już tylko pozostawał do wesela Kochana, a kto wie co tam zająć mogło

w czasie jego nieobecności — może przyspieszono naumyślnie dzień ślubu! Na tę myśl krew uderzyła mu do głowy, spinał konia ostrogami i pędził na złamanie karku do Krakowa.

— Co tu słychać? — zapytał się spotkanego Ligęzy, wjeżdżając w bramy stolicy.

— Nic nowego, wszystko po staremu, szykujemy się na wesele Kochana, które w poniedziałek się odbędzie.

Niemira odetchnął swobodniej, dopiero był czwartek, aż nadto pozostawało mu czasu do przeprowadzenia swojego planu.

— Król parę razy pytał się o ciebie — dodał Ligęza.

— Byłem u matki w odwiedzinach i powracam na służby mojego króla.

— Jedź, jedź wprost na zamek, król będzie miło cię widział; ja się spieszę ze zleceniami króla.

Rzeczywiście król przyjął go bardzo uprzejmie, przycisnął do piersi i zapytał w jakim stanie jest zdrowie jego matki.

Kiedy już Niemira miał od niego wychodzić, król położył mu rękę na ramiona i rzekł:

— Czy za tydzień będziesz mógł wyjechać za granicę?

— Wyjadę niezawodnie miłościwy panie — odpowiedział dwuznacznie młodzian.

Król uspokojony tą zimną odpowiedzią, pewny był, iż rady matki potrafiły odmienić zamiary Niemiry.

— Jest dla ciebie pyszny koń turecki w stajni, klejnot prawdziwy; darowuję ci go, nie zawstydzi on cię na dworze cesarskim.

Niemira w milczeniu ucałował rękę królewską i natychmiast udał się do stajni zamkowych dla obejrzenia rumaka.

Koń był niezrównanych przymiotów, kazał go więc osiodłać, a dosiadłszy i spróbowałszy zawołał zachwycony:

— To szatan prawdziwy, jak ptak przefrunął ze mną przez ten płot wysoki, niech się nazywa »szatan«, i kazał konia przeprowadzić do swojej stajni.

Tymczasem wyjechał na miasto dla rozejrzenia się i zbadańa pozycyi nieprzyjacielskich. Wychodząc z rynku, napotkał

karoce Salamonowej, a w niej zobaczył matkę, siedzącą obok Kachny. Dziewczyna była nadzwyczaj blada i zdawała się złamana nieszczęściem, ale kiedy ujrzała przejeżdżającego konno swego ukochanego, twarz jej w jednej chwili się ożywiła, a wzrok jaki mu rzuciła, dostatecznie mówił o całej potędze uczucia.

Niemira przejeżdżając uklonił się kobietom, twarz jego zdawała się obojętna, Salamonowa z uprzejmością mu się odkloniła i nawet postanowiła zaprosić tego królewicza na wesele.

Jadąc dalej spotkał się z kilkoma dworzanami królewskimi; młody Firlej, który żywił dla niego prawdziwą przyjaźń, przyczepił się natychmiast do niego, i opowiadając mu różne skandaliki dworskie, nie mógł się nachwalić konia Niemiry, nareszcie zapytał:

— A cóż, będziesz na weselu?

— O niezawodnie, bezemnie się tam nie obejdzie.

— No, a ja myślałem, że ty tak łatwo nie ustąpisz jej Kochanowi.

— Przecież jej jeszcze nie wziął.

Firlej bacznie spojrzał mu w oczy.

— Może ci będzie potrzebny przyjaciel? — zapytał po chwili milczenia.

Niemira uściśnął go za rękę i odrzekł:

— Rachowałem na ciebie, bądź u mnie dziś wieczór.

— Dobrze — odrzekł krótko Firlej.

Dwóch młodych ludzi rozstało się, Niemira nucił jakąś piosnkę włoską cichym głosem, a Firlej odszedł głęboko zamysłony.

Kiedy przybył w parę godzin do mieszkania Niemiry, który zajmował znaną nam już kamienicę Estery, żaden ruch niezwykajny nie zdradzał tu jakichkolwiek przygotowań, zastał Niemire zajętego pisaniem na pargaminie jakiegoś listu.

— Siadaj tu — powiedział do niego gospodarz. Podając mu rękę, tu masz w dzbanie miód, a obok stoi puchar, weź gitarę i brzdąkaj sobie jaką pieśń miłosną, ja natychmiast skończę moją pracę i dopomogę ci.

Firlej rozciągnął się na sofie, nalał puhar miodu i przyłożywszy do ust, do ostatniej kropli wysączył.

Tymczasem Niemira skończył pisanie, złożył pergamin we czworo i ze stojącej obok szkatułki, wyjąwszy kawał purpurowej materyi jedwabnej, zawinał w nią pergamin, potem z tejże szkatułki wydobywszy sznurek srebrny, obszył nim naokoło materyę i obydwie końce sznurka złączywszy, przyczepił do niego ołowianą pieczęć z herbem Łabędź i oddając list Firlejowi, rzekł:

— Domyśliłeś się zapewne, że nie pozwolę sobie z przed nosa zdmuchnąć dziewczyny panu staroście Żarnowskiemu, który wybornie mógłby być jej ojcem, jeżeli nie dziadkiem; ma przecież starą Salamonową z jej skarbami, może do niej wymierzyć strzały Kupida.

Poniedziałek naznaczony jako dzień ślubu pana starosty, tymczasem my go o jeden dzień wcześniej odbędziemy, wszystko przygotowane do tego; czy chcesz mi pomagać Firleju?

— A mój drogi — zawołał chłopak, rzucając się na piersi Niemiry — czy mogłeś mi powiedzieć przyjemniejszą wiadomość; toć to człowiek tak zasiedział się na tym zamku, że prawie z babami nam nucić godzinki; tu zanoszą się na jakąś awanturkę, może przecież potrzeba będzie dobyć szabelki która mi już rdzewieje, a skrzesać ognia w pałasze z panem starostą, będę sobie to miał za wielki zaszczyt.

— To gracz — odpowiedział Niemira — ale może być, i spodziewam się nawet, że tak będzie, iż wszystko się spokojnie załatwi, bo obrachowałem dokładnie i przygotowałem do tego środki, a tylko w ostateczności dobędziemy szabel, jeżeliby nam przemocą chcieli odebrać Kachnę; ale ty mój pocziwy druhu, czy wiesz, że się narażasz na coś gorszego, jak na szable Kochana, bo na gniew Króla?

Byłoby to rzeczywiście wielkie nieszczęście, bo go szczerze Kocham, ale ci powiem, że o ile mogłem zmiarkować z kilku słów, które się królowi wyrwały, to nie bardzo mu

tam o to chodzi, żeby starosta uwiózł z Krakowa piękną Salamonównę, a ponieważ sprawcą wszystkiego będziesz ty, a znane nam wszystkim przywiązanie króla do ciebie, to i gniew pana naszego skończy się bardzo prędko, zwłaszcza jak przedstawiś mu swoją żonę, a ona ze łzami w tych pięknych swoich oczach, przykłęknie przed nim; król nie kamień, niczego nie odmówi cudnej kobiecie.

I ja tak myślę i jestem pełen dobrej otuchy, przyjmuję cię więc za towarzysza mojej wyprawy i jednocześnie proszę, weź ten list i cokolwiek się stanie, czy szczęśliwie przedostaniemy się za granicę, czy nawet przyjdzie głowę położyć, oddaj go królowi; w nim błagam go o przebaczenie mojego czynu i o łaskę dla wszystkich moich współników.

Firlej wziął list, schował na piersiach i rzekł:

— Dobrze bracie, oddam go królowi, teraz opowiedz mi szczegóły całego projektu.

— Im plan jest prościejszy, tem łatwiej da się wykonać i mój plan jest bardzo prosty, z Kachną już się porozumiałem. W niedzielę wieczór, w godzinę po wygłoszeniu hejnałów do gaszenia ognia, ty z kareta będziesz czekał nas na rynku głównym, ja udam się do znajomej mi furtki kamienicy Salamonowej, otworzę ją kluczem, który posiadam, Kachna uprzedzona, będzie mnie już czekała, wyprowadzę ją swobodnie z więzienia i razem wszyscy troje w karecie przybędziemy do bramy miejskiej. Tak ciebie jak i mnie dobrze znają strażnicy, Kachna przebrana będzie także po męzku, bez robienia więc ceregieli przepuszczą nas, jak nam się to już nieraz trafiało. Za bramą czekać będzie sześć moich koni, niech i twój się tam znajduje, dosiędziemy ich wraz z Kachną, która wybornie jeździ na koniu, karecie próżnej każemy pędzić w inną stronę, dla zatarcia śladu, tymczasem sami udamy się do najbliższego kościółka za Wisłą. Prom na przeprawie czekać na nas będzie gotowy, przedostaniemy się na drugą stronę, weźmiemy ślub. Mam konie rozstawione do samych Węgier; ty powrócisz do

Krakowa, a my przeczekamy za granicą nieprzyjazny nam czas i potem powrócimy na nasz zagon.

— A czy ksiądz zechce ci dać ślub, bez pozwolenia biskupa?

— Spodziewam się, bo już wziął odemnie sto dukatów zadatku, a drugie tyle dostanie przy dopełnieniu obrzędu.

Firlej powstał, podał rękę i rzekł:

Wszystko wybornie pójdzie, zawczasu mogę powinszować panu staroście kosza; ale, ale... czy masz odpowiednie pieniądze na drogę?

Niemira uśmiechnął się, otworzył potężną szkatułę pełną złota i przesuwając go pomiędzy palcami, mówił:

— Jest tu tego tyle, że wystarczy na długie lata.

— Ale — powiedział Firlej — czy nie za mały to udział sześciu jeźdźców; a jeśli na prawdę przyjdzie nam zerzeć się z wrogiem? sądzę, że lepiej będzie, jak ja jeszcze moich wezmę sześciu, będzie nas tym sposobem czternastu. A czy twoi ludzie pewni?

— Tak pewni, jak tylko być może kamień, bo wcale nie rozumieją po polsku. Są to zakuci Rusini, których mi dodał ojciec ze swojego dworu i wyprawił mnie z nimi do Krakowa.

Dwóch młodych ludzi uściśnęło sobie dłonie i Firlej wyszedł, nucąc jakąś dumkę maloruską.

Po jego wyjściu czoło Niemiry zasepiło się jakoś, siadł znowu do stolika i zaczął pisać list do matki, tłómaczył jej się ze swojego postępku i w tak rzewnych wyrazach błagał o przebaczenie, że samemu lzy stanęły w oczach.

Chociaż to już było późno, zarzucił na siebie płaszcz obszerny, przypasał szablę do boku i wyszedł bez celu włóczyć się po ulicach, bo czuł, że na próżno przykładalby czoło do poduszki, nie zaśnie.

Pomimowolnie znalazł się przed kamienicą Salamonowej. Tu wszystko było cicho, milezenie panowało do okola.

Powrócił więc do mieszkania uspokojony, upadł na kolana i pogrążył się w głębokiej modlitwie.

Kiedy się przebudził na drugi dzień, słońce już było wysoko, była to właśnie niedziela, w której miały się rozegrać jego losy.

Raz jeszcze chciał zobaczyć ojca przed swoim wyjazdem, był przekonany, że przebaczenie winy uzyska łatwo, czas jednakże spodziewanego rozdziału był dla niego bardzo przykry, bo kochał go całym sercem młodzieńczego uwielbienia. Kazimierz był w kaplicy na nabożeństwie, udał się więc tam i klęcząc, wysłuchał całej mszy, a kiedy król wyszedł, towarzyszył mu na pokoje.

— No, jakże ci się tam podobał arab, któregom ci darował?

— Pyszny koń, najmiłościwszy królu, nie dosiadałem jeźdźce równego mu, zdaje się, że chce ulecieć z jeźdźcem w powietrze, płynie jak orzeł lekko w przestrzeni, jeździec nie czuje jego stapań.

— To mi przyjemnie wiedzieć, wkrótce będziesz miał sposobność wypróbować go.

— O tak, wkrótce! — zawołał z uśmiechem.

Król spojrział uważnie na mówiącego i pomyślał:

— Chciałby jak najprędzej wyjechać, tak mu nienawistne te gody, trzeba mu do tego dopomódz i wyprawić niebawem między ludzi.

Tymczasem zbliżył się Kochan i kilku innych panów, Niemira spostrzegłszy go, natychmiast się oddalił, ucałowawszy rękę królewską.

Kochan wyprawiał wieczór kawalerski, pożegnalny, przyszedł więc prosić króla o uwolnienie go i kilku towarzyszy od służby na dzień dzisiejszy.

Król z ochotą przystał na prośbę i do odchodzących rzekł:

— Jutro panie starosto, będziemy przytomni uroczystości twojego ślubu i odprowadzimy od ołtarza twoją małżonkę. Po odprawionych godach trzeba będzie niebawem jechać do Żarnowa i podług starego zwyczaju odprawić wjazd uroczysty do miasta. Nie będzie ci zapewne przykro bardzo opuszczać nasz dwór, mając taką piękną różę przy boku.

— Najmiłościwszy panie, opuszczać ciebie, każdemu musi być przykro, tem bardziej mnie, com wzrósł i wychował się przy tobie; ale to mnie pociesza, że niedługo ja tam miodowymi miesiącami delektować się będę, powrócę ja jak najprędzej do mojego króla, a babinę moją zostawię w Żarnowie, niech tam nasadza gąsienią i z prządkami uciera się o pasma na motowidle.

— Nie bardzo jakoś zakochany nasz starosta — powiedział król do pozostałych dworzan, po oddaleniu się Kochana.

* * *

Nadszedł wieczór. W mieszkaniu Kochana stół obszerny zastawiony był dzbanami miodu i wina, liczne puhary krążyły pomiędzy zgromadzonymi kolegami kawalerskiego życia starosty; znać, że towarzystwo siedziało już przy biesiadzie dawno, bo próżną jedną beczulkę z wina wynoszono z komnaty, a na to miejsce wprowadzano drugą ze śpiewami.

Ludzie ówczesnych czasów nie umieli nic na wpół robić; jeśli się modlili, to aż krew płynęła z pleców; jeśli się bili, to łby spadały jak makówki; jeśli zasiedli do puharów, to pływać możnaby w tem winie, które każdy z nich wypił; a kiedy zanucili pieśni, to mury się trzęsły od potężnych głosów.

Kompania ucztujących u Kochana składała się ze wszystkich jego kolegów, zostających na służbie dworskiej i z wielu szlachty okolicznej: był tam więc Plichta, Ligeza, Pomian i wszyscy właśnie z puharami w ręku otoczyli gospodarza, ściskając go na zaduszenie, składali swoje życzenia, powinszowania i oplakiwali utratę stanu kawalerskiego.

— Szkoda, że tu niema pomiędzy nami Firleja — odezwał się któryś ze współbiesiadników — ten młodzik tyle umie pieśni i dum ruskich, że całą noc mógłby śpiewać bez zamknięcia gęby.

— Ej! pieśni ruskie smutne, a nam się smucić nie wypada — zawołał Kochan.

— No nie wszystkim — odpowiedział Ligeza. — Niemira tam pewno krwawe lzy leje, zdmuchnąłeś mu z przednosa pączek róży, starosto.

— Żeby on ci tylko nie przystawił rogów, Kochanie?

— Nie jego siła — odparł Kochan, czerwieniąc się po uszy — nie jego siła, zaraz po weselu wyjeżdżam do Żarnowca.

— Bezpieczniej będzie — mruknął ktoś złośliwie.

»Gospodarzu nasz! gospodarzu nasz!

Czy nam wina dasz?

Czy nam miodu dasz?

zanucił któryś z biesiadników, inni podchwycili natychmiast wyrazy i stara ta pieśń brzęczała, aż się szyby trzęsły w oknach.

Dalej bracia! puhar w dłoń!

Nućmy pieśń wesoło,

Radość niechaj więńczy skroń

Dalej puhar wkoło.

Troski rzuć! piosnki nuć!

Wino pij! długo żyj!

Bo jak już przestaniesz pić

Wątpij, byś mógł długo żyć.«

i muzyka złożona z kilkunastu cyganów, przygrywała ochocącej się szlachcie.

* * *

Tymczasem w kamienicy Salamonowej matka zawołała Kachnę do swietlicy i otworzywszy szafy dębowe, pokazywała jej półki, zapchanie od dołu do góry cienkimi płótnami holenderskimi, bogatymi sprzętami srebrnymi, sztukami materyi jedwabnych i cienkimi jak pajęczyna koronkami brukselskimi, jak również sztukami termolamy i złotogłowia.

— To nie dosyć na tem — mówiła matka, prowadząc ją do skarbcza — tu czeka cię skrzynia pełna złota holender-

skiego i innych kosztowności. Niejedna udzielna księżniczka nie pochwali się podobnym posagiem, jaki ja zebrałam dla ciebie moja pieszczotko, a jednak ty jesteś zaszępią, chociaż jutro będziesz starością, a niedługo, da Bóg doczekać może i wojewodziną! Cóż, nie podziękujesz mi nawet moje dziecko?

Kachna rzuciła się z płaczem w ramiona matki.

— Daruj mi mateczko moja! daruj mi wszystkie przykrości, jakiem ci wyrządziła — szeptała dziewczyna zanosząc się od płaczu.

— Ależ dziecino moja — mówiła rozczulona matka, przyciskając ją do piersi — uspokój się gołąbko biała, ja nie mam do ciebie żadnego żalu, uspokój się.

To mówiąc odprowadziła ją do jej pokoju na drugim piętrze, gdzie ostatnią noc miała przepędzić; sama ją rozebrała, ułożyła do łóżeczka, przykryła kołderką i złożwszy pocałunek na czole przeżegnała i zapaliwszy lampę nocną, odeszła. Czując się wielce ufatygowaną całodziennymi trudami, obeszła jednak jeszcze wszystkie komnaty, dla przekonania się, czy pogaszone światła. Zaleciła pannie respektowej, żeby Kasi nie budziła zbyt rano do spowiedzi i udała się do swojej kamnaty, a po krótkiej modlitwie zasnęła snem błogosławionych.

Tymczasem dziewczyna, jak tylko usłyszała, że w pokoju matki wszystko się uspokoiło, cichuteńko wyskoczyła z łóżka, pospiesznie zaczęła się ubierać na powrót, ale nie kładła już sukien kobiecych, które by jej przeszkadzały w konnej jeździe, natomiast włożyła jakiś kaftan, krojem tureckim szyty, buty z ostrogami i męski kapelusz z piórem. Następnie zrobiła mały węzelek ze swoich sukien kobiecych, uklękła przed obrazem Matki Boskiej i pokrzepiwszy się krótką modlitwą, wyszła ze swojego panińskiego pokoiku. Kiedy przechodziła około drzwi pokoju matki, jeszcze raz cicho upadła na kolana, ucałowała próg domowej świątyni i jak widmo spuściła się ze schodów na dół. Noc była jasna, księżycowa; napadł ją lęk, żeby przechodząc przez podwórze, nie została czasem dostrzeżona, ale grobowa cisza panowała wszędzie.

Zaledwie miała czas zbliżyć się do furtki, ale jeszcze nie dotknęła jej ręką, gdy ta z ulicy się otworzyła i w ramiona swoje pochwycił ją Niemira.

Nie wahała się ani chwili, z całą ufnością dziecka zdała się na jego wolę.

Na ulicach były pustki zupełne. Niemira, otaczając ramieniem wpół pięknego tureczynka, szybko zbliżył się do karety stojącej w cieniu przy kościele Panny Maryi, drzwiczki natychmiast się otworzyły i Firlej wyskoczywszy, podał rękę Kachnie, pomagając wsiąść do karety. Niemira szybko wskoczył za nią, Firlej drzwi powozu zatrzasnął i sam wskoczywszy na kozioł, kazał niezbyt prędko ruszać woźnicy ku bramie, wychodzącej na Wisłę.

Firlej obawiając się, żeby tak późno tocząca się kareta nie zwróciła czyjej uwagi, rozkazał skierować ją boczną ulicą i szczęśliwie dobrali się do bramy miejskiej. Ale brama była zamknięta i strażnik nie chciał jej otworzyć bez pozwolenia oficera; na nic nie zdały się przedstawienia i ofiary datku.

Niemira nie namysławiając się, wyskoczył z karety i kazał się prowadzić do kwatery oficera straży. Oficer, chociaż już był w pościeli, poznawszy Niemirę, i gdy ten mu oświadczył, że wyjeżdża z polecenia króla, natychmiast kazał bramę otworzyć, a sam przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Najważniejsza przeszkoda była już szczęśliwie przebyta. O parę stai za bramą, gdzie właśnie krzyżowały się drogi, napotkali oddział swoich żołnierzy na koniach, gotowych do drogi, trzymających trzy zapasowe konie.

Niemira rozkazał natychmiast furmanowi z prózną kareta skręcić drogą, wiodącą ku Bochni i nie szczędząc koni, pędzić jak można najdalej, myląc pogoń.

Kachnie podano konia i pomozono wsiąść. Niemira dosiadł szatana i puścił się z nią przodem.

Firlej z całym oddziałem stanowił aryegardę, zasłaniającą ucieczkę.

Konie puszczone rozwartym klusem, trzy mile potrzeba było przebyć, zaczęła nastąpi zmiana i odbędzie się ślub, nie chciano więc zaraz z początku zbyttem pośpiechem męczyć je.

Tymczasem Salamonowa sen miała niespokojny, otworzyła oczy i zaczęła rozmyślać; niespokojność jakaś niewytłómaczona ją ogarnęła, a ciekawość, jak też spi pod jej dachem ostatni raz dziecina, pobudziła ją, że wstała i ze świecą w ręku udała się do pokoiku córki.

Odechyliła kotarę, łóżeczko było próżne — zrozumiała wszystko i załamała rękę.

Ale energiczna kobieta nie traciła czasu na załamywaniu rąk i rozwodzeniu próżnych żalów; w tej chwili więc wróciła do jednego z pokoi, w którym wisiał sznur od dzwonka, zwołującego co dzień służbę zarówno na modlitwy, jak i na obiady i kolacye, i silnie zaczęła nim targać.

Wkrótce przerażeni domownicy, zaczęli się zbiegać ze wszystkich stron, sądząc, że pożar wszczął się w domu, lub złodzieje zakradli do skarbów; na wszystkich twarzach malowało się przerażenie.

Najpierw wbiegła panna respektowa, ale ta wiedziała dobrze o co chodzi, przestrach więc jej był tylko udany; wleciało potem kilku subiektów ze sklepu Salamonowej, czem który mógł uzbrojonych; wszedł furman, kucharz, stróż podwórzowy: nie widząc jednak nigdzie ani ognia, ani złodziei stanęli, milcząco oczekując wyjaśnienia.

— Gdzie panienka? — zawołała kobieta, obracając się jednocześnie do wszystkich.

— O la Boga! — zawołała respektowa — to Kasi niema, cóż się więc z nią stało?

Ale Salamonowa miała nadzieję, powziąć najpewniejsze wiadomości od struża; obracając się więc do niego zapytała:

— Kto wchodził lub wychodził wieczór do naszego domu?

— Nikogo nie widziałem.

Salamonowa zrozumiała, że żadne badanie do niczego nie doprowadzi, dała mu więc zupełnie pokój, kiwnęła ręką na jednego z subjektów, żeby szedł za nią do jej komnaty; tu wszedłszy, szybko napisała kilka słów na kawałku pargaminu i oddając mu, rzekła:

— Na ciebie tylko liczę, poczciwy Adamie, idź do stajni, weź najlepszego konia, wiesz gdzie jest mieszkanie starosty żarnowskiego, pędź chociażby koń miał upaść, oddaj mu ten pargamin i powiedz, że od niego tylko jednego spodziewam się pomocy, niech szuka, goni, ściga; to wszystko stało się przed godziną, jeszcze być muszą w mieście.

Adam wypadł jak szalony, przeskakując po kilka schodów na raz; na rynku spotkał przechodzącego miejskiego pacholka, ten widząc człowieka tak pędzącego, złapał konia za uzdę i zatrzymał, sądząc że ma sprawę ze złodziejem.

— Cóż u diabła, czy nie poznajesz mnie, jestem subjekt od Salamonowej.

— A to pan! panie Adamie, nie poznałem, a czego pan tak pędzi?

— Stało się wielkie nieszczęście, Kasia nasza zniknęła! Czy nie widziałeś kogo na rynku, lub na ulicach?

— O! o! — zawołał pacholek, uderzając się w czoło — ja zaraz podejrzewałem coś niedobrego, jak zobaczyłem tu na rynku stojącą karetkę królewicza.

— Tak! to ona! powiedz na miłość Boga, gdzie pojechała?

— Widziałem tylko, że dwóch panów do karety wsiało, ale kobiety żadnej z nimi nie było.

— Ona tam była niezawodnie! inaczej być nie może — zawołał domyślny subjekt — w którą stronę pojechali, mów prędko na miłość Boga? i wyjąwszy garść denarów z kieszeni, sypnął je w łapy struża.

— Widziałem tylko, że konie skierowali ku bramie węgierskiej, ale wątpię, żeby im tam otworzyli o tym czasie.

Adam nie czekał już dłużej, jak szalony popędził do mieszkania starosty.

Zgromadzenie było już więcej jak podchmielone, drugi antał wina już został opróżniony, kiedy tentent konia na ulicy dał się słyszeć i raptem zatrzymał się u drzwi wchodowych. Mało kto jednak na to zwrócił uwagę, drzwi z loskotem się otworzyły i wśród pijanych biesiadników wpadł Adam.

Przecisnął się przez kilku śpiewających z kielichami w rękę i zbliżywszy się do Kochana, podał mu list Salamonowej.

Kochan, czy że był pijany, czy że rzeczywiście czytać nie umiał, co w owych czasach przytrafiło się nawet panującym, wytrzeszczył tylko oczy i obracając zwitek papieru w ręce, powtarzał:

— Co to jest? co to jest? ja nie mogę przeczytać. — Od Salamonowej powiadasz! Od Kasi? ha! ha! ha! niecierpliwi się dziewczoja? co?

Ligeza wyrwał mu kartkę z ręki, przeczytał i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ha! ha! ha! zdmuchnął mu dziewczynę z przed nosa!

— Kto? komu? — zawołał, zrywając się Kochan.

— Tobie starosto! Niemira porwał Kachnę!

— To zuch! — odezwał się ktoś z kompanii — ale Kochan już przyszedł do siebie, w jednej chwili pochwycił za szablę, przypasał ją i głosem strasznym, że aż szyby zabrzęczały w oknach, zawołał na służbę:

— Konia! konia! natychmiast, wszystka służba na konie! — i obracając się do gości zawołał:

— Panowie bracia, czy pomożecie szlachcicowi, skrzywdzonemu przez to królewiatko! czy nie pomożecie mi w odzyskaniu mojej narzeczonej, czy obawiać się będziecie tego młodzieniaszka?

Wszyscy jak jeden, porwali się do szabli, nikt jednak nie umiał jej sobie przypasać, służba pomagała im, ale wszyscy w jeden głos wołali:

— Koni! koni! — służba na koń!

Najtrzeźwiejszy z nich jednak zdawał się Ligeza. Pomian wydobyl swój żubrzy miecz z pochwy i już chciał rąbać na oślep, kto stał naprzeciw niego; ledwie mu zdołano wytłómaczyć, że tu niema jeszcze nieprzyjaciela.

— Ależ panowie, dokąd polecimy? — zapytał potężnym głosem Ligeza — trzeba nam pierwszej wiedzieć, gdzie się oni udali, zanim jak waryaci latać będziemy po ulicach?

Kochan oprzytomniał i zawołał:

— To prawda, gdzie oni się mogli ukryć?

— Karetą udali się do węgierskiej bramy, miejski pacholek tak mnie objaśnił — rzekł Adam.

— Na koń, do węgierskiej bramy! — zagrzmiali jednym chórem, i cała ta gromada pijanych dosiadła koni, które już służba trzymała przed bramą.

Na czele pędził Pomian z dobytym mieczem, dopadli bramy a zastawszy ją zamkniętą, nie czekając aż ją strażnik otworzy, zaczęli rąbać szablami. Przerażony oddźwierny uciekł i schował się w jakąś kryjówkę.

Kochan z Ligezą widząc, że brama nie ustępuje i strażnik się gdzieś zapodział, poskoczyli do mieszkania oficera straży, zbudzono go i zapytano.

Objaśnił ich natychmiast, że rzeczywiście przed godziną sam rozkazał przepuścić karetę Niemiry, który mu oświadczył, że jedzie z poleceniami króla.

Następnie oficer klnąc, wyszukał przeleknionego struża i kazał mu otworzyć bramę.

Jak uragan wyleciała szlachta za mury miasta, konie nie dotykały ziemi; Kochan swojego żgał nie tylko ostrogami, ale i końcem wydobytej szabli.

Gdyby z nich który miał cokolwiek przytomności, z łatwością byliby dostrzegli ślady karety, skręcającej na drogę bocheńską i niezawodnie za nią by się puścili; ale żaden z nich nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, licho czy instynkt podszeptował im ciągle wyrazy, które słyszeli od Adama: Brama

węgierska, droga węgierska, i nie zastanawiając się nad niczem, pędzili na oślep.

Tym sposobem manewr, obmyślany przez Niemirę, sprowadzenia na fałszywe tropy pogoni nie udał się i uciekający mieli teraz na karku całą nawałę pjanej szlachty.

Wkrótce Firlej trzymający aryergardę, posłyszał tętent pogoni, rozwinął natychmiast w dwa szeregi swoich dwunastu jeźdźców i sam spiąwszy konia ostrogą, dotarł do Niemiry, jadącego z Kachną na przedzie i szepnął mu:

— Pogoń za nami, ale i prom wiślany niedaleko, my ich tu jakiś czas zatrzymamy, a wy w konie, czuj duch! na prom i dalej na drugą stronę.

Niemira zrozumiał całą ważność przestrogi, nie odpowiadając nic, porwał za cugle konia Kachny, polechtał szatana i jak wicher puścił się naprzód.

Firlej powrócił do swojego oddziału, sformował go i zagroził nim drogę. Już było widać iskry, sypiące się z pod kopyt koni, noc była jasna, więc wkrótce zobaczył ze trzydziestu jeźdźców z Kochanem na czele, pędzących jak szaleni.

— Stój! — zawołał głosem, na jaki go tylko stać było, dobywając palasza. Ale któż powstrzyma pijaną szlachtę, na rozpalonych koniach w biegu? Nawalnica szła bez żadnego porządku, całą gromadą; któregoś koń zrzucił i sam tylko z siodłem pędził bez jeźdźcy.

Jak taran żelazny, kiedy uderzy w słabe mury, w jednej chwili oddział Firleja został przełamany, zabłyszczały szable rozległy się ciosy i krew popłynęła obficie.

Kilku jeźdźców powaliło się na ziemię, ale Kochan nie widząc tych, których ścigał, nie zatrzymał się; szaleństwo owładnęło go całego, zanurzywszy ostrze palasza w karku swojego konia, wybiegł naprzód, wołając:

— Za mną bracia! za mną! do przewozu! czempredzej do przewozu! Szlachta w jednej chwili opuściła rozbity oddział Firleja i pędziła dalej.

Tymczasem Niemira z Kasią dopadli brzegu Wisły, ale niestety! prom był na drugiej stronie. Zaczęli krzyczeć na przeżoźników i ci usłyszawszy wzywanie, spiesźnie starali się przybić do lewego brzegu rzeki.

Niemira już był zdecydowany pochwycić dziewczę na swojego Szatana i rzucić się z nią w nurty Wisły, ale tu fatalność jakaś wzięła się w ich sprawy. Koń Kachny, przestraszywszy się niespodziewanie czegoś, gwałtownie rzucił się w bok i dziewczyna spadła na ziemię. W jednej chwili Niemira znalazł się obok niej i podniósłszy na pół omdlałą, zatrzymał na swojej piersi. Prom był już o parę tylko sążni od brzegu, jeszcze minuta, a będą ocaleni.

— Boję się! ratuj! — szeptała cicho dziewczyna, drżąc na całym ciele i usta swoje rozpalone łącząc z jego tchnieniem. Tym sposobem ubezwładniła wszelkie ruchy jego.

Czy mógł zdobyć się na tyle odwagi, na tyle zimnej krwi, żeby ją odtrącić od siebie i pochwycić szablę? Niech czytelnik odpowie. Zawahał się jedną tylko minutę i to ich zgubiło, bo pogoń znalazła się w tej chwili nad brzegami rzeki.

Kochan, pędząc na przedzie oszalały, wściekły bitwą i winem, ze swoim strasznym mieczem, wzniesionym do góry, zobaczył dwoje ludzi, opartych o siebie, stojących nad brzegiem wody. Oczy krwią mu zaszły, nie był w stanie słowa wymówić, ani poznać nikogo; błysnął tylko swoim brzeszczotem, nawet jęk nie rozległ się w powietrzu i dwie głowy, złęczone ostatnim pocałunkiem, potoczyły się po ziemi.

Tymczasem nadbiegła reszta szlachty, przez chwilę konie zakotłowały się w nieporządku około strasznej sceny mordu, kiedy je nareszcie zdolano powstrzymać, szlachta z przerażeniem ujrzała dwa trupy, leżące na ziemi obok siebie ze splecionymi rękami.

Na estetycznie pięknej twarzy Niemiry błdził jeszcze uśmiech zachwyty ostatniego pocałunku. Oczy dziewczęcia szeroko otwarte, zdawały się płynąć gdzieś w nieskończoność, do krainy wiecznej miłości; bujne włosy, w nieładzie rozesłane po

ziemi, przedstawiały kosztowny kobierzec, na którym spoczywały głowy dwojga ludzi.

Szczęśliwi! bo szczęśliwy ten jest zaiste, kogo w ostatniej chwili życia otacza ramię ukochane, całują usta ubóstwionej istoty!

Ligeza pierwszy zeskoczył z konia i spojrzawszy na leżące ciała na ziemi — skamieniał.

— Boże mój! — zawołał głosem rozpaczcy — to Niemira! to jedyny syn królewski!

Szlachta w jednej chwili wytrzeźwiła się, przerażenie malowało się na każdej twarzy.

Na pół rozchylone usta dziewczęcia, zdawało się, że chcą coś przemówić.

Zgroza, okryta w śmiertelną bladość, pokryła twarze szlachty.

— To Salamonówna! — zawołał, drżąc cały jak w febrze Kochan — ukląkł na ziemi i osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w twarze dwojga młodych.

— Kto to zrobił?! — zawołał nieprzytomny.

Potem, jakby się opamiętał, podniósł wzrok do góry, zatonął nim dokoła, rozpatrując się w miejscowości.

— Tak! — szeptał niewyraźnym głosem — to toż samo miejsce, gdzie zginął Baryczko, toż samo miejsce, ja je pamiętam. Przekleństwo biskupa! kara Boża nademną!

Wszyscy wysłuchali tych słów z największem przerażeniem, teraz przypomniła im się straszna tragedia, wydarzona przed laty w tem samem miejscu, o której spełnieniu rozmaicie ludzie mówili, a uporeczywa chodziła wieść po kraju, że Baryczko wcale nie przypadkiem utonął, ale zginął z ręki Kochana.

— Straszne sądy Boże! — zawołał Ligeza, podnosząc ręce do góry. — Na kolana! panowie bracia, uderzmy czołem Bogu i odmówmy wieczny odpoczynek za zmarłych.

W jednej chwili wszyscy ci pijani ludzie, z jękiem rzucili się na ziemię i tarzali czoła w prochu.

Pomian ryczał jak lew zraniony, zanosząc się od płaczu; wszystkich oczy zasły łzami, wszystkich gorące modły uniosły się do nieba.

Niestety! żadna siła nie była w stanie wskrzesić umarłych.

Kochan stał osłupiały, zapatrzony w ofiary swojej zapalczywości, ani jedna łza nie popłynęła mu z oka, ani jeden jęk nie wydobył się z piersi, tylko kiedy Ligeza dotknął jego ramienia, obudził się z otętwienia.

— Baryczko! Baryczko! — szeptał drżącymi ustami — widzę go, to on tam majaczeje na toniach wody, schylił się do ziemi, wyjął z zanadru białą chustkę i obcierał nią delikatnie, jakby się obawiał urazić, krew najpierw z szyi Kachny, następnie Niemiry. Dzieciny moje kochane! kochane! — i znowu obrócił się ku Wiśle.

— Baryczko tonie! — krzyknął strasznym głosem — i w jednej chwili pochwycił za cugle stojącego spokojnie Szatana, wskoczył nań i wydobywszy miecz zaczął nim wiercić w szyi szlachetnego rumaka. Koń spał się, rzucił jak tygrys naprzód i w jednej chwili pogrążył się w nurtach Wisły.

Księżyc świecił wspaniale, wszyscy więc mogli widzieć, że jeździec wcale nie myśli o przepłynięciu rzeki, bo zamiast prowadzić konia z prądem wody, on ciągle kręcił nim, obracał go na prąd pod wodę, a szablą swoją nie ustawał rozcierać rany.

Szlachetne zwierzę jakiś czas usiłowało iść za kierunkiem jego ręki, bystry nurt unosił je jednak w przeciwną stronę, pomimo to dzielny koń prul jak szczupak wzburzone wały i pomimo wszelkich omyłek jeźdźca zbliżał się do przeciwnego brzegu. Jeszcze parę minut, a wydobędą się na brzeg; ale szalony jeździec szarpnął gwałtownie konia lewym cuglem i tym sposobem zwrócił go znowu na środek Wisły. Koń znowu płynął napowrót, ale widoczne już było, że traci siły, słychać było parskanie nozdrzy i widocznie zanurzał się coraz głębiej, już tylko widać łeb, wzniesiony nad wodą i jeszcze słychać ciężki oddech konia; nagle koń i jeździec zniknęli pod po-

wierzchnią wody, jeszcze raz jakaś czarna bryła pokazała się unoszona prądem; kurtyna zapadła! tragedia skończona!

Po nad brzegiem Wisły stała mała murowana kapliczka św. Jana Nepomucena, tam szlachta na rękach zaniosła ciała zamordowanych, rozciągnęli płaszcze i położyli ich obok siebie.

Dzień zaczął się już pokazywać od Wschodu, kiedy szlachta zostawiwszy straż nad umarłemi, powracała do miasta z tej nieszczęśliwej wyprawy; tu na drodze spotkała leżącego Firleja, ale na szczęście nie był on zabity, tylko leżał przytłoczony ciężarem konia z wykręconą nogą.

Podniesiono go i opowiedziano co się stało, a rozpacz młodziana nie miała granic.

* * *

Kiedy na drugi dzień król odebrał wiadomości o strasznych wypadkach, jakie zaszły w nocy, zdawał się marmurowym posągiem obojętności, nie przemówił jednego słowa.

Ciała tymczasem obojga zamordowanych dzieci przywieszone już były do Krakowa i na jednym katafalku w kościele Panny Maryi spoczywały w dwóch trumnach. Nabożeństwa żałobne z polecenia króla i Salomonowej odbywały się bez przerwy.

Kiedy zmrok już zapadł zupełny i kościół opustoszał od ludu, który cały dzień napływał falami, król okryty płaszczem udał się samotnie do kościoła, ukląkł i tu dopiero we łzach się rozplątał.

Rozkazał odkryć trumnę Niemiry. Twarz wyrażała ten wyraz szlachetności, jakim się całe życie odznaczała; na ustach błdził ten sam uśmiech zachwyty, jaki miał, przyciskając do piersi ukochaną, w chwili gdy anioł śmierci łączył ich ze sobą na wieki.

Długo król przypatrywał się tej pięknej, szlachetnej twarzy, schylił się i złożył na jego czole ostatni pocałunek i wyszedł z kościoła, cicho powtarzając: »Baryczko — Nemezys.«

Odtąd nikt nie widział do końca życia, uśmiechu na jego twarzy.

Pogrzeb odbył się wspaniały i obydwie trumny złożono w jednym grobie, pod sklepieniami kościoła Panny Maryi, w którym dotąd przechowują się jeszcze trzy pyszne grobowce rodziny Salamonów z herbem Łabędź, jakich co do piękności mało znaleźć można w Europie. Z późniejszego one już są wprawdzie czasu, ale świadczą o znakomitości rodziny, która już w XIII wieku wśród mieszczan krakowskich zajmowała niepospolite miejsce.

Straszna wiadomość o zgonie tak przedwczesnym jedy-nego a ukochanego syna, przybyła wkrótce na zamek do Opo-czna. Ktoż potrafi opisać boleść matki, tracącej w jednej chwili wszystkie nadzieje życia, całą dumę przyszłości!

Niemira, było to jeszcze ostatnie ogniwo łączące ją z królem, dla którego poświęciła młodość, dumę, dobre imię kobiety.

Dziś Estera utraciwszy wraz z młodością piękność, którą się odznaczała, utraciwszy miłość swojego niestatego kochan-ka, żyła jedną myślą odrodzenia się w ukochanem dziecięciu i w jednej chwili utraciła wszystko, co jej było drogie.

Cóż jej znaczyły wszystkie skarby, których pełne miała skrzynie, co nadania dóbr królewskich, w obec straty, jaką teraz poniosła.

W kogo uderzy grom podobny — miażdży go. Kto go przetrzyma żyjąc — przejdzie wszystkie męczarnie piekła.

Estera nie długo się namysławiając, sporządziła spis wszyst-kich swoich majątków, poczyniła z niego zapisy na biednych, przeznaczając pewną część na wynagrodzenie sług wiernych swoich, i sama oblekła się w szaty zakonnicy, poświęcając resztki życia na pokutę i chwałę Boga w murach klasztornych.

Piękna kamienica w Opocznie opustoszała, długi czas nikt w niej nie mieszkał, potem przeszła w posiadanie córki, ale coraz popadała większemu zniszczeniu, mury zaczęły pękać i nareszcie zamieniła się w pustkę, dumnie jeszcze przed kil-kunastu laty sterczącą wśród rynku.

ROZDZIAŁ XII.

U b r a m w i e c z n o ś c i.

I znowu jesteśmy w tej samej okolicy, w której rozpoczęliśmy naszą powieść. Do przedborskiej puszczy prowadziliśmy cię czytelniku.

Więcej jak ćwierć wieku ubiegło, od tego czasu, kiedyśmy ją pierwszy raz zwiedzali. Na pozór nic się tu nie zmieniło. Są starości, które się już nie starzeją; taką jest puszcza nie tykana ręką człowieka.

Też same olbrzymy rosną na okolo, też same powalone kłody sterczą sękami na ziemi, ten sam dzik, żubr, tur zamieszkuje ją co wprzód, także samo wszystko, ale nie toż samo. Czyż i w świecie duszy człowieka nie tak samo się dzieje?

Król Kazimierz znowu poluje w przedborskich lasach, od śmierci Niemiry namiętność jego do polowania powiększyła się w dziesięćkroć.

Państwo jego rozrosło i spanoszyło się, spotężniało; nieprzyjaciele zewnętrzni ze czcią wspominają jego imię, wewnętrzni ze zdumieniem widzą dobre skutki praw przez niego postanowionych. Miasta rozrosły i potężnymi otoczone murami, klasztory, kościoły wspaniałe, wsie zamożne, zamki murywane, wyrosły jakby na rozkaz różczki czarodzieja.

Bo czarodziej rzeczywisty władał krajem.

Jeden człowiek! a jakież to wielkie stworzył odmiany! drewniana, uboga kraina, zamieniła się teraz w murowane, potężne państwo północy.

Kazimierz w małym tylko orszaku dworzan, złożonym z kilkunastu myśliwych, polował na niedźwiedzia.

Król stał oparty plecami o olbrzymiej wielkości buka, którego liście poczerwieniałe, zaczęły teraz już spadać na ziemię; była to pierwsza połowa października 1370 roku. Za pasem królewskim sterczał z jednej strony potężny topór, z dru-

giej ostry i długi nóż myśliwski; obok niego stała, oparta o pień drzewa, pika z dębczaka młodocianego, na końcu okuta ostrym szpikulcem stalowym. Wytropiono właśnie i powiadomiono króla o ogromnym niedźwiedziu i król chciał się z nim zmierzyć oko w oko.

Lowczy z dwoma tylko niewielkimi pieskami poszedł wypłoszyć go z legowiska.

Dziwna jest natura niedźwiedzia. Ten olbrzym, ten pan puszczy, ze lwem mogący wystąpić do walki, śmiało idący na kule myśliwego, szczególnym strachem owładnięty zostaje na szczekanie psa, i przed malutkim nawet kundyssem owczarskim haniebnie się cofa, kiedy taki komar brzęczy mu nad uszami; ten cyklop, co jednym uderzeniem łapy zabija byka, bezwstydnie ucieka przed małym psiakiem.

Z daleka już król posłyszał najpierw głos trąbki, sygnalizującej wyruszenie zwierza, a następnie szczekanie piskliwe dwóch kundli, ujadających zajadle.

Król stał nieporuszony, zapierając w sobie oddech, nie sprawiając najmniejszego szelestu, szczekanie coraz zdawało się przybliżać, ale tak pomalu, jak gdyby odbywało się w jednym miejscu. Z pół godziny już trwała ta nieharmonijna muzyka, ciągle jednak przybliżając się, gdy naraz w oddaleniu paruset kroków dał się słyszeć łomot gałęzi i ciche stąpanie.

Coś zamajaczało w oddali i król spostrzegł nareszcie, wolnym, bydlęcym krokiem zbliżającego się niedźwiedzia. Szedł noga za nogą, co chwila się zatrzymując i wietrząc. Za nim jeden z psów posuwał się uporczywie, zajadle naszczekując; niedźwiedź zdawał się na niego nie uważać, a jednak przed nim ustępował.

Niedaleko, zaledwie o kilkanaście kroków za nim, postępowała ogromna niedźwiedzica, po bokach jej płatały się dwa male piastuny, a drugi kundys, uganiając się za nimi sprawiał jeszcze więcej hałasu.

Wyraz zadowolenia przebiegł po licu myśliwego, jak u smakosza, kiedy go zaleci zapach wonnej potrawy.

Król, jak gdyby zamienił się w posąg, stał nieruchomy, niedźwiedzie szły prosto ku niemu, zatrzymując się i wietrząc doł góry mordą; nareszcie zbliżyły się na pięćdziesiąt kroków, stanęły, ale dłużej wietrzyły jak zwykle, wykręcając lby naokoło.

Samiec znowu posunął się naprzód, niedźwiedzica z piastunami postępowała o dziesięć kroków za nim.

Na trzydzieści kroków od króla znowu potwory zatrzymały się z podniesionemi mordami do góry, wówczas samiec wydał straszny ryk, na który takim samym głosem odpowiedziała niedźwiedzica. Teraz już poczuły człowieka, wroga, a nie zatrzymując się ani na chwilę, tym samym bydlęcym krokiem zbliżyły się do myśliwego na dwadzieścia kroków; nareszcie dojrzały nieprzyjaciela, wydały powtórny ryk, jeszcze straszniejszy i nagle niedźwiedź podniósł się na dwie łapy, otworzył straszną paszczę i w tej postawie postąpił znowu parę kroków.

Król nie zadrzał ani na chwilę, był tylko sam jeden przeciw dwom potworom.

Z zimną krwią w jednej chwili wy dobył topór z za pasa i gdy niedźwiedź znalazł się tylko o dziesięć kroków od niego, topór świsnął w powietrzu i spadając ostrzem swoim rozplątał łeb strasznego wroga. Zwierz jak piorunem rażony, upadł na ziemię, wydając dzikie chrapania, konwulsyjne tylko rzuty i krew, obficie płynąca ze śmiertelnej rany, okazywały jeszcze iskierkę życia.

Na ten widok niedźwiedzica na chwilę, ale na krótką tylko, zatrzymała się, wydała potężny ryk, również podniosła się na dwie łapy i w tej stojącej pozycji postępowała z rozwartą paszczą ku nieprzyjacielowi; niedźwiadki obydwaj jak szczeniaki szły w jej tropy.

Kazimierz pochwycił teraz pikę, oparł ją mocno tyłcem o ziemię i pochyliwszy ostrzem pod kątem ostrym ku zbliżającej się niedźwiedzicy, czekał spokojnie napadu.

Potwora przybliżała się, idąc ciągle na dwóch łapach; jeszcze raz rozległ się ryk straszny i rzuciła się na myśliwego,

ale w tejże chwili ostrze piki, zręcznie skierowane, zanurzyło się w jej piersiach; niedźwiedzica chcąc zmienić pozycję i oprzeć się na czterech łapach, opuściła się i tym sposobem jeszcze więcej pograżyła w sobie żelazo wraz z drzewcem. Szpikulec przeszedł na wylot i pokazał się zakrwawiony na grzbiecie zwierzęcia, które tym sposobem nadziane jak chrapaszcz na szpilkę, zwaляło się u nóg króla.

Kazimierz, chcąc uniknąć przyciśnięcia do ziemi ogromnem cielskiem, uskoczył na bok, ale skok był tak nieszczęśliwy, że zawadziwszy o wystający korzeń, potknął się i przewrócił na ziemię. Chciał się zerwać natychmiast, ale noga ukażała się bezwładną; skrzył czy złamał ją w samym biodrze.

Obadwa niedźwiedzie leżały martwe, około nich kręciły się sieroty, gonione przez psy, ale kiedy jeden z nich dotarłszy bliżej, chciał uchwycić za kudły niedźwiadka, ten obrócił się tylko, dał mu klapsa łapą, zdawało się bardzo łagodnego, ale pies w jednej chwili żyć przestał.

— Zdaje się, że wykręciłem nogę — powiedział król do siebie, próbując jeszcze raz powstać, napróżno jednak, noga natychmiast zaczęła puchnąć, a nieznośny ból nie pozwalał się nawet poruszyć.

Podjął więc róg myśliwski i dał sygnał na ubitego zwierza.

Wkrótce z kilku stron pokazali się myśliwi, widząc króla leżącego, z przerażeniem sądzili, że był ranny przez niedźwiedzia, kiedy ich jednak zapewnił, że tylko wykręcił nogę, uspokoili się.

Ale potrzeba było obmyśleć środki przeniesienia króla na zamek przedborski, a oddalenie sięgało do dwóch mil.

Król wyjeżdżając zrana na łowy, wybrał się konno, wszyscy dworzanie również byli na koniach, a o powrocie króla na siodle, ani myśleć można było.

Zrobiono więc z dwóch płaszczy nosze, posadzono chorego na nich i zwolna ten smutny orszak postępował do zamku.

Zaczem jednak zdążono przybyć do Przedborza, noga tak spuchła, że potrzeba było odzienie porozcinać, żeby go módz rozebrać i położyć w łóżko.

Wezwani doktorzy uznali, że noga jest złamana, zaczęli ją składać, ale nie zaraz im się to udało szczęśliwie; przytem król lekcewał sobie rady doktorów, potężną ilość miodu i wina spijał codzień, pomimo protestacyi eskulapów.

Król na zamku przedborskim niecierpliwił się, nie sobie nie robił z choroby i zaledwie zdecydował się posłać do Krakowa po swoich lekarzy.

Stary Mojżesz, uczeń maurytańskiej mądrości z Korduby już nie żył, na dworze jednak polskim znajdowała się inna znakomitość naukowa, mistrz Henryk z Kolonii. Za przybyciem tegoż dopiero do Przedborza, noga została dokładnie złożona i opatrzona, jakoż królowi zrobiło się znacznie lepiej, ale wywiązała się jakaś złośliwa febra gorączkowa; mistrz zabronił mu używać wina, miodu, owoców. Król jednak czuł się na tyle zdrowym, że postanowił odbywać dalej łowy, pożegnał więc Przedborz, który swoją wolą prawie stworzył z niczego i w kolebce przejechał się do Sandomierza.

Droga nie dobrze podziałała na zdrowie króla. Wysiadł jednak sam o swojej mocy w Sandomierzu, gdzie czekały go tłumy ludu, który dowiedziawszy się o chorobie króla, ze wszystkich stron spieszył pelen niepokoju.

Kościół nie mogły nastarczyć w odprawianiu mszy za zdrowie króla; ale nie były to modły nakazane z góry, nie była to faryzeuszowska profanacya, ale płynęły gorące słowa modlitwy, tam płynęły łzy z pod serca.

Lud, widząc ukochanego króla wysiadającego z kolasy, tysiącami okrzyków radości rozdarł powietrze i porozchodził się uspokojony.

Lekarze zabronili mu używać łaźni, król jednak za przybyciem do Sandomierza, natychmiast kazał sobie przygotować parzenie, którego był wielkim zwolennikiem i delektował się ulubioną przyjemnością.

Z łaźni powrócił o swoich siłach na zamek, ale w nocy wzmogła się gorączka i parę dni go nie opuszczała.

Król nareszcie zdecydował się zaprzestać łowów w tym roku i powrócić do Krakowa, lecz i teraz jeszcze (przynajmniej tak utrzymywali doktorzy) nie wypełniał ich przepisów.

Aptek nie było wówczas, jak to ma dziś miejsce, rozrzuconych po miasteczkach; po wszystkie zioła i balsamy wysyłano gońców umyślnych do Krakowa i czekano na ich powrót. Często nie przywozili tego, czego żądali doktorzy, a zawsze schodziło parę dni, zaczem dostawili żądane medykamenty.

Postanowił więc król opuścić Sandomierz.

Na zamku chroberskim, gdzie przywieziono mocno chorego króla, mieszkał Gaworek, syn czy brat bogacza krakowskiego, który ugaszczal cesarza i królów. Był to dworzanin królewski, bardzo przywiązany do niego, jak zresztą wszyscy w ostatnich czasach, którzy go otaczali. Ale tu w nocy gorączka tak się już powiększyła, że lekarze stracili wszelką nadzieję i byli pewni, że ta noc jest już dla niego ostatnia. Silna natura człowieka, który dotąd nie znał, co to choroba, zwyciężyła na krótko, rano król uczył się lepiej, ale lud zgromadzony ze wszystkich wsi okolicznych, szlachta, która pospieszyła na wieść o chorobie króla, dworzanie jego własni, nie pozwolili mu już wsiąść do kolasy; sporządzono wygodną lektykę, utworzono nad nią z dywanów baldachim, wysłano skórąmi niedźwiedziemi, a biedne kobiety niosły swoje ostatnie poduszki i na klęczkach prosiły, żeby niemi wymościć królowi łożo.

Kiedy Kazimierza wymizerowanego wniesiono do lektyki, pomiędzy zgromadzoną szlachtą, dworzanami i ludem wiejskim nastąpiła gwałtowna sprzeczka o zaszczyt niesienia lektyki królewskiej.

Król, którego gorączka na chwilę opuściła, zauważył to i ostatnie chwile jego życia napawały go radością, widząc, że praca życia jego była oceniona, że trudy jego nie poszły na marne, że ugruntował się w sercu ludu na wieki.

Te potoki łez, te serdeczne jęki, te spory wreszcie, żeby nieść na swoich ramionach chorego, zwłaszcza przez dumną

szlachtę, która tak długo była mu nieprzyjazna, roztkliwiała go. Prosił więc, żeby się kolejno zmieniali, niosąc go.

Ten smutny orszak, postępując wśród pięknego jesiennego dnia, przybył na nocleg do Koprzywnicy, gdzie w klasztorze Cystersów odpoczywał dni ośm; gorączka tylko chwilami ustępowała. Król pomimo gorących swoich namiętności, zawsze był pobożnym wyznawcą Chrystusa, w klasztorze Cystersów zaczął oddawać się modlitwom; zewsząd zjeżdżało się duchowieństwo i odprawiało nieustanne modły.

Kazimierz robił ofiary, a raczej dopełniał swego pracowitego życia, wydając postanowienia.

Rozkazał kościół płocki, w którym przechowywano głowę świętego Zygmunta, króla i męczennika, dźwignąć z upadku; duchowieństwo płockie obdarzył hojnie, a że był to człowiek czynu, u którego zaledwie myśl się zrodziła, natychmiast została wprowadzona w wykonanie, wysłał więc zaraz z Koprzywnicy kapelana swego nadwornego, Jana ze Skrzyńka, z rozkazem natychmiastowego dopełnienia wszystkiego.

Dziwiącego dnia tłumy, towarzyszące królowi, wzrosły do kilkunastu tysięcy i jak najostrożniej, zachowując głębokie milczenie, przeniesiono króla do Osieka.

Jeden z doktorów, niejaki Mateusz, pomimo sprzeciwiania się innych, pozwolił królowi napić się miodu; doktorzy twierdzili, że to powiększyło jego gorączkę.

Potrzeba jednak było postępować dalej, bo w Osieku król nie mógł mieć odpowiedniej wygody.

Wspaniały zamek w nowem mieście Korczynie po raz ostatni otworzył swoje podwoje dla bohatera wieku.

Zamek ten był zbudowany przez Kazimierza i był jednym z ulubionych miejsc jego pobytu. Tutaj odpoczywał teraz przez trzy dni, gorączka stała ciągle w jednej mierze. Król nie chciał się ruszyć z Nowego Miasta, ale doktorzy niespokojni i tracąc pomалу nadzieję nalegali, a zwłaszcza mistrz Mateusz, który w tej chorobie największy wpływ miał na umysł króla, ażeby pospieszać do Krakowa.

We wsi Kazimierzy Wielkiej, przez niego wybudowanej na pustkowiach i podarowanej Pomianowi, którego król obdarzył przyjaźnią, paroksyzmy febry stały się tak gwałtowne, ale co czwarty dzień tylko następujące, że król znowu kilka dni był zmuszony zatrzymać się, mówiąc, że powietrze wiejskie, do którego przywykł w młodości, jest dla niego najlepszym lekarstwem.

Doktorzy jednak coraz gwałtowniej domagali się spiesznej podróży.

Wyruszone więc w dalszy pochód ku Proszowicom. Całe wzgórze Proszowskie aż po Koniuszę zalane były tłumami ludu z Krakowa, z Podgórze, z nad Sanu.

Widać było tatrzańskich górali, przybyłych z daleka, w ich krótkich sukmanach, ze łzami spieszących dla pożegnania ukochanego króla.

Gdzie się zbliżyła lektyka, lud przykłękał; cała droga od Proszowic do Krakowa, wysłana była drobnymi gałązkami świerszczyny, wierzby i tataraków.

Matki wychodziły przed domy z dziećmi na rękę i wskazując im lektykę, ze łzami w oczach mówiły:

— Patrz dziecię! to król chłopów, opiekun biednych, nasz ukochany Kazimierz!

I nic dziwnego, że ze wszystkich królów polskich jego tylko imię pomiędzy ludem, jak Henryka IV we Francyi, jest jeszcze znane i wspominane dzisiaj.

I bramy starego grodu Krakowa po raz ostatni rozwarły się przed wielkim mężem, który podniósł do takiej potęgi kraj, zjednał mu szacunek Europy i położył podwaliny przyszłej wielkości a którego dewizą było zdanie św. Augustyna, bardzo często przez niego powtarzane: *sine justitia quid sunt civitates nisi magna societas latronum?*

Wszystkie ulice do samego zamku zalane były ludem, w milczeniu rozsuwającym się na strony; lzy świeciły w wielu oczach, a nieustanne modły, nie przerywane nawet na chwilę w nocy, wznosiły się do Boga.

Kiedy król znalazł się na Wawelu, rozkazał łożę swoje ustawić w wielkiej sali na dole, z oknami wychodzącymi na południe.

Na chwilę zdawało się, że siły napowrót powracają, ale niestety! było to tylko złudzenie. Król spokojnie widział zbliżający się koniec swego życia, nawet zażartował sobie ze swoich doktorów, którzy w czasie podróży ciągle się skarżyli na brak odpowiednich ziół i lekarstw na prowincyi i dopiero obiecywali stanowczy powrót do zdrowia za przybyciem do Krakowa. Kiedy więc zbliżył się mistrz Mateusz i inni doktorzy do łoża, król słabym głosem zapytał:

— Powiedzcie mi moi mędracy, gdzie ja się znajduję?

— W Krakowie — odpowiedzieli doktorzy, sądząc, że król nie poznaje ani stolicy, ani swojego otoczenia domowego.

Król słabo się roześmiał i odpowiedział:

— O tem wiem doskonale, że leżę w mojej »Sali bassa«, ale wy przez całą drogę obiecywaliście mi, że byłem przekroczył bramy Krakowa, będę natychmiast zdrów, gdyż wam tu ani na lekarstwach, ani żadnych medykamentach zbywać nie będzie! Czemuż mnie niemi nie podnosicie? dlaczego jeszcze przepowiednie wasze się nie spełniły?

Doktorzy, zmieszani tą ironią króla, zaczęli go zapewniać, że czas wszystko dokona na dobre, że choroba jego już się przesila i nie tylko powstanie z łoża, ale ma jeszcze przed sobą długie lata życia na sławę i pociechę narodu, bo liczył dopiero lat sześćdziesiąt.

— Proszę was — powiedział król rozkazującym tonem — macie mi stanowczo powiedzieć, nie pochlebiając mi, ani uspokajając obłudnie, jaki jest prawdziwy stan mojego zdrowia; toć nie mogę rzucić tak tej, mojej ukochanej ziemi, nie porobiwszy rozporządzeń, nie mogę zostawić moich wiernych przyjaciół i sług, nie zabezpieczywszy im losu; nie mogę zejść ze świata, troszcząc się tylko o siebie i swoje zbawienie, nie dbając o to co się stanie z tymi wszystkimi, których kocham, szanuję, lub mam względem nich obowiązki?

Doktorzy nie mogli już dłużej ukrywać, że sztuka ich bezsilna jest i że nie znają środków na zatrzymanie uciekającego życia.

Mistrz więc Mateusz, po krótkiej naradzie z towarzyszami, odezwał się w te słowa:

— Kres życia człowieka wiadomy jest tylko Bogu i nieraz wtenczas, kiedy ludziom zdaje się, że iskierka już gaśnie, wola Boża rozdmuchuje ją i na nowo rozjaśnia się wesoly płomień. Ale, o ile nas uczy doświadczenie i nakazuje nam religia nasza święta, człowiek w każdej chwili powinien być przygotowany na sąd swojego Stwórcy. Nie postąpisz więc niewłaściwie, najmiłościwszy panie i ojcze nasz, jeżeli pojednasz się z Bogiem i porobisz rozporządzenia, które uważać będziesz za właściwe. Nie mówimy tego zupełnie, żebyśmy stracili wszelką nadzieję, ale choroba jest poważna i uważalibyśmy to sobie za występek, gdybyśmy ją zmniejszali kłamstwem.

— Król łagodnie się uśmiechnął i skinął ręką, że mogą odejść.

Kazał wezwać do siebie żonę z dwoma córkami, pobłogosławił im i żegnał się z niemi ze łzami w oczach ¹⁾.

Gorączka znowu się powiększyła, nad ranem dopiero kazał król wezwać do siebie krakowskiego biskupa Floryana, Władysława, księcia opolskiego, siostrzeńca swego i swoją siostrzenicę, Elżbietę, księżnę świdnicką, którą król Ludwik węgierski przysłał dla odwiedzenia Kazimierza; tudzież znakomitych prałatów, kanoników krakowskich i ulubionych swoich dworzan, ażeby pożegnać się z nimi i oddać im testament.

Najpierwej tedy wobec wszystkich zgromadzonych odmówił Skład Apostolski głośno, potem żegnał się ze wszystkimi i złożył w ręce biskupa Floryana testament, w którym o nim nie zapomniał z przyjaznych sobie. Widoczne jednak, że testament ten był sporządzony nierównie wcześniej, bo

¹⁾ Opis ostatnich chwil Kazimierza Wielkiego skreślony jest podług Długosza.

w nim zapisuje synowi swemu Niemirze cztery klucze dóbr swoich królewskich, gdy ten już nie żył, a dobra Drugnia, położone o milę od Szydłowa, Niemira miał w swoim posiadaniu jeszcze za życia.

Testament został złożony kanclerzowi królestwa, którym był wówczas Jan ze Strzelec, Suchy Wilk Grzymalita.

Król wypowiadał się i przyjął oleje święte we wtorek przed świętym Loonardem. Niebawem popadł w stan majaczek, gorączka powiększała się co chwila, wydawał rozkazy, jak gdyby dowodził wojskami, mówił nieprzytomnie, ale ciągle zdawało mu się, iż go otaczają dwa chóry duchów, stojące po obydwóch stronach łoża i nucące naprzemian wprost przeciwne sobie pieśni.

Król to rozjaśniał lice, gdy mu dźwięczały tony pierwszego chóru, tu marszczył brwi groźnie, gdy go zagłuszały dźwięki, płynące z lewej strony. Były to dwie pieśni, stare jak świat, pragnące zatrzymać dla siebie ziemię, a ona naprzemian szła pod sztandarami jednego lub drugiego.

Raz wyciągająca ramiona do wszystkiego co jasne, świetlane, majestatyczne; drugi raz brudząca swoje łapy w nieprawościach wszelkiego rodzaju, uznająca »siłę przed prawem«, powodzenie zbrodni, bogactwo przed cnotą.

Król odzyskał jeszcze przytomność, gorączka ustąpiła ale na małą tylko chwilę; rodzina, panowie i duchowieństwo jeszcze raz przyszli króla pożegnać. Na klęczkach przystępowali do łoża i całowali, łzami oblewając krzepnącą rękę.

— »Król chłopów« — szeptał Kazimierz jeszcze dosyć wyraźnie — wyrycie mi ten tytuł na nagrobku — ten tylko z moich następców będzie wielkim królem, którego nazwą znowu królem chłopów, który oprze się na ludzie i zrobi z niego potęgę; bo lud ten ma niespożytą siłę i chociaż długo błądzić będzie po manowcach, trafi nareszcie na prostą drogę, pod godłem krzyża, która go zawiedzie do celu, jaki mu wskazuje Bóg.

Wielkość narodu spoczywa w tem, co przechowuje
w swoim sercu.

To były ostatnie słowa wielkiego myśliciela, wielkiego
króla, wielkiego mędrca!

Cześć pamięci królowi chłopów!

~~-----~~



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona
Rozdział I. — Królewskie łowy	7
Rozdział II. — Król i lud	27
Rozdział III. — Uczta Estery	53
Rozdział IV. — Zdobyć Strafezyna. — Amadeje. — Zemsta kobiety bez nosa i uszów.	63
Rozdział V. — Templaryusze w Zagościu. — Dwór ich. — Sąd duchowny na czary. — Więzienie Estery	106
Rozdział VI. — Iskierka i Czarna Zośka. — Śmierć Baryczki w Wiśle. — Kochan	152
Rozdział VII. — Zjazd magnatów i biskupów w Chęcinach. — Topór i Odrowąż.	187
Rozdział VIII. — Morderca. — Królowa cyganów. — Przepo- wiednia	213
Rozdział IX. — Czerwona Ruś. — Spisek Tatarsko-Ruski. — Jaśko Kmita Sobański	251
Rozdział X. — Poselstwo do Awinionu. — Zdjęcie kłatwy. — Podróż królewska	280
Rozdział XI. — Niemira. — Salamonówna. — Śmierć	307
Rozdział XII. — U bram wieczności	343



25

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106122